

A close-up photograph of a leaf, likely from a plant, showing significant insect damage. The leaf is covered in numerous small, dark, circular holes and larger, irregular scars. Several water droplets are scattered across the surface, some reflecting light. The colors range from vibrant green to a more muted, yellowish-green, indicating the extent of the damage.

PUSTKOWIA

ŻAŁOBY

GILES BLUNT



Żona detektywa Cardinala
przegrała w końcu walkę z depresją.
Odebrała sobie życie...

Ale nie ona jedna. Algonquin Bay wstrząsa cała seria
zagadkowych samobójstw. Zrozpaczony Cardinal
nie wierzy jednak w tak dziwne zbiegi okoliczności.
Pożegnalny list żony, szokujące zdjęcie, pełne nienawisci
anonimy kierują go na zupełnie nieoczekiwany trop.

Giles Blunt to kanadyjski pisarz,
nagradzany i nominowany do prestiżowych nagród,
m.in. International IMPAC Dublin Literary Award
– jednej z najważniejszych międzynarodowych
nagród literackich. Jego powieści – *Czterdzieści słów rozpacz*
(prestiżowa nagroda Crime Writers' Macallan Silver Dagger
dla najlepszej powieści sensacyjnej), *Lodowata burza*,
Pora czarnych much – łączą thriller psychologiczny
z literackim kryminałem. Osadzone w zimnej i pustej scenerii
kanadyjskiego miasteczka, przemawiają do wyobraźni
przenikliwym nastrojem osamotnienia,
zagrożenia i niepewności.

Cena det. zł 29,80



www.wydawnictwoamber.pl



Powieści Gilesa Blunta

CZTERDZIEŚCI SŁÓW ROZPACZY

LODOWATA BURZA

PORA CZARNYCH MUCH

PUSTKOWIA ŻAŁOBY

GILES BLUNT

Przekład

KRZYSZTOF ULISZEWSKI

AMBER

Redakcja Elżbieta Novak

Redakcja techniczna

Andrzej Witkowski

Korekta

Barbara Cywińska

Katarzyna Pietruszka

Ilustracja na okładce

Masterfile/East News

Opracowanie graficzne okładki

Wydawnictwo Amber

Skład Wydawnictwo Amber

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Tytuł oryginału: By The Time You Read This

Copyright © 2006 by Giles Blunt.

For the Polish edition

Copyright © 2007 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 978-83-241-2794-8

Warszawa 2007. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp, z o.o.

00-060 Warszawa

ul. Królewska 27

tel. 62040 13, 620 8162

www.wydawnictwoamber.pl

Dla Janny

*Wiem, że mogłabym zabić.
Wiem, że mogłabym zabić siebie.*

Sylvia Plath
Dzienniki 1950-1962

1

Na Madonna Road nie mogło przytrafić się nic złego. Droga wije się wzdłuż zachodniego brzegu niewielkiego jeziora w pobliżu Algonquin Bay w prowincji Ontario. Miasteczko to pachnący sosnami azyl dla zamożnych rodzin z dziećmi, yuppie lubiących popływać łódką lub kajakiem i wiewiórek umykających przed niezbyt żwawymi psami. Takie miejsca - ciche, zacienione, na uboczu - zdają się uwalniać ich mieszkańców od tragedii i smutku.

Detektyw John Cardinal i jego żona Catherine mieszkali w najmniejszym domu przy Madonna Road. Nawet na taki nie byłoby ich stać, gdyby nie fakt, że od jeziora odgradzała ich droga, więc nie mieli ani plaży, ani bezpośredniego dostępu do wody. W weekendy Cardinal spędzał całe dnie w piwnicy, gdzie wśród zapachu trocin, farb i polerki bawił się w stolarza. To dawało mu poczucie kreatywności i kontroli, nie tak jak w pokoju dochodzeniowym komisariatu.

Jednak nawet gdy nie zajmował się stolarką, uwielbiał przesiadywać w tym maleńkim domku, otulonym ciszą jeziora. Była jesień, początek października, najspokojniejszy okres roku. Motorówki i skutery wodne już zniknęły, a skutery śnieżne jeszcze nie zaczęły mknąć z rykiem silników po lodzie i śniegu.

Jesień w Algonquin Bay była zadośćuczynieniem za inne pory roku. Barwy szkarłatnej czerwieni, rdzy, ochry i złota zdobiły wzgórze, niebo robiło się granatowoniebieskie, prawie nikt nie pamiętał spiekoty lata, wiosny z jej robactwem czy niemilosiernie mroźnych objęć zimy. Jezioro Trout było nadnaturalnie spokojne, czarny onyks wrzucony w płomień. Chociaż kiedyś tu się wychował - i wtedy brał to za coś oczywistego - a teraz mieszkał w Algonquin Bay już od dwunastu lat, zawsze zaskakiwało go piękno nadchodzącej jesieni. O tej porze roku chciał spędzać każdą chwilę w domu. Tego właśnie wieczoru, mając tylko godzinę przerwy, pojechał z pracy do domu, co trwało piętnaście minut, by posiedzieć pół godzinki przy stole i zaraz wracać.

Catherine szybko włożyła tabletkę do ust, popiła ją kilkoma łykami wody i z trzaskiem zamknęła wieczko buteleczki.

- Mięso i ziemniaki jeszcze są - powiedziała.

- Nie, wystarczy. Pyszne - odparł Cardinal, próbując zebrać z talerza ostatnie ziarenka groszku.

- Nie przygotowałam nic na deser, chyba że masz ochotę na ciastka.

- Zawsze mam ochotę na ciastka. Pytanie tylko, czy chcę potem czekać, aż wyciągnie mnie stąd dźwig.

Catherine wyniosła swój talerz i szklankę do kuchni.

- O której jedziesz? - zawołał za nią.

- Zaraz. Jest ciemno, księżyc świeci, więc czemu nie?

Cardinal zerknął przez okno. Księżyc w pełni, pomarańczowy krąg płynący nisko nad jeziorem, przecinała futryna.

- Robisz zdjęcia księżycu? Nie mów, że zaczynasz jakiś biznes z kalendarzami.

Ale Catherine nie słuchała. Zniknęła w piwnicy, w ciemni, skąd dobiegały odgłosy zdejmowania czegoś z półek. Cardinal włożył resztę jedzenia do lodówki i poustawiał naczynia w zmywarce.

Catherine wróciła, zasunęła torbę z aparatem, postawiła ją przy drzwiach i włożyła kurtkę. Jasnobrazową z brązowymi skórzanymi wstawkami przy mankietach i kołnierzu. Zdjęła z wieszaka szalik, owinęła go raz i drugi wokół szyi, po czym ściągnęła.

- Nie - powiedziała do siebie. - Będzie tylko przeszkadzał.

- Ile czasu zajmie ci ta wyprawa? - zapytał Cardinal, ale żona go nie słyszała.

Byli małżeństwem od prawie trzydziestu lat, a wciąż stanowiła dla niego zagadkę. Czasami gdy wychodziła robić zdjęcia, była gadatliwa i podekscytowana, opowiadała o każdym szczególe projektu, aż nieraz kręciło mu się w głowie od tych wszystkich punktów ogniskowych i liczb przesłony. Kiedy indziej nie miał pojęcia, co robiła, aż do chwili gdy parę dni lub tygodni później wychodziła z ciemni, ściskając w dłoniach odbitki jak trofea zdobyte na safari. Dziś była bardzo powściągliwa.

- O której możesz wrócić? - zapytał.

Catherine zawiązała kraciatą chustkę wokół szyi i schowała ją pod kurtkę.

- Czy to ważne? Myślałam, że musisz wracać do pracy.

- To prawda. Ale jestem ciekaw.

- Na pewno wrócę wcześniej niż ty.

Wyciągnęła włosy spod chustki i potrząsnęła głową. Cardinal poczuł delikatny zapach migdałów. Tak pachniał jej szampon.

Catherine usiadła na ławeczce przy drzwiach i znów otworzyła torbę z aparatem.

- Filtr split-field. Wiedziałam, że czegoś zapomniałam.

Na chwilę zniknęła w piwnicy, wróciła z filtrem i szybko wrzuciła go do torby. Cardinal nie miał pojęcia, co to może być filtr split-field.

- Znów jedziesz na przystań?

Wiosną nad jeziorem Nipissing Catherine zrobiła serię zdjęć podczas pękania lodów. Ogromne białe kawały lodu napierały na siebie jak płyty tektoniczne.

- Tam już byłam. - Catherine zmarszczyła lekko brwi i przypięła składany statyw do dna torby. - Skąd te wszystkie pytania?

- Jedni robią zdjęcia, inni zadają pytania.

- Wolałabym, żebyś nie pytał. Wiesz, że nie lubię mówić o pracy, która jest jeszcze przede mną.

- Czasem lubisz.

- Ale nie teraz. - Wstała i zarzuciła na ramię ciężką i bardzo nieporęczną torbę.

- Piękna noc - powiedział Cardinal, gdy wyszli z domu.

Przez chwilę stał bez ruchu, patrząc na gwiazdy - lśniły słabiej, bo przyćmił je blask księżyca. Odetchnął głęboko, wciągając zapach sosen i leżących na ziemi liści. Catherine także uwielbiała tę porę roku, teraz jednak nie zwracała na to uwagi. Poszła prosto do swojego samochodu, rdzawoczerwonego pt cruisera, którego kupiła przed paroma laty od poprzedniego właściciela. Silnik zaskoczył i zjechała z podjazdu.

Cardinal wsiadł do swojej camry i pojechał za żoną. Ciemna kręta szosa zaprowadziła ich do miasta. Gdy dojechali do świateł przy obwodnicy, Catherine włączyła kierunkowskaz i skręciła w lewo. Cardinal przejechał przez skrzyżowanie i dalej prosto do komisariatu w Sumner.

Catherine ruszyła w stronę wschodnich granic miasta. Cardinal przez chwilę zastanawiał się, dokąd mogła pojechać. Cieszył się jednak, widząc ją tak zaangażowaną w pracę, no i brała leki. Jeśli nawet była trochę markotna, nie budziło w nim to niepokoju. Minął rok, odkąd wyszła ze szpitala psychiatrycznego. Ostatnim razem była w domu trzy lata, aż nagły atak depresji maniakalnej kazał jej wrócić do szpitala na trzy miesiące. Dopóki brała lekarstwa, Cardinal raczej się o nią nie obawiał.

W ten wtorkowy wieczór niewiele się działo w przestępczym świecie. Cardinal poświęcił kilka godzin na wypełnianie papierów. Niedawno, jak co roku, czyszczono dywany i w powietrzu unosił się intensywny kwiatowy zapach środków piorących i wilgotnej wykładziny. Jedynym detektywem, który wraz z nim pełnił nocną służbę, był Ian McLeod, ale nawet on, największy gaduła w całym komisariacie, podczas nocnych dyżurów nie był zbyt rozmowny.

Cardinal wiązał teczkę, którą właśnie zamknął, gdy nad dźwiękochłonną ścianką oddzielającą ich biurka pojawiła się rumiana twarz McLeoda.

- Ej, Cardinal. Muszę cię uprzedzić. Chodzi o burmistrza.

- Czego chce?

- Przypętał się wczoraj wieczorem, gdy miałeś wolne. Chciał zgłosić zaginięcie żony. Problem w tym, że ona wcale nie zaginęła. Wszyscy w mieście wiedzą, gdzie ona jest, oprócz naszego cholernego burmistrza.

- Ciągle romansuje z Regiem Wilcoxem?

- Tak... Nie dalej jak wczoraj widziano ją z naszym powszechnie szanowanym szefem zarządu oczyszczania miasta. Szelagy stoi przed motelem Pod Brzozami, pilnuje braci Porcinich. Pół roku temu wyszli z Kingston i chyba wpadli na pomysł, żeby tu u nas rozwinąć skrzydła. Ale o czym to ja... Aha! Szelagy składa wczoraj meldunek, mówi, że widzi żonę burmistrza wychodzącą z Reggiem Wilcoxem z pokoju 12. Jeśli o mnie chodzi, nie przepadam za tym palantem, nie wiem, co te baby w nim widzą.

- To przystojniak.

- Daj spokój. Wygląda jak model reklamujący garniturki na wybiegu u Harrodsa. - McLeod uśmiechnął się szeroko, ale nieszczerze.

- Niektórzy uważają, że to pociągające - powiedział Cardinal. - Choć nie w twoim wydaniu.

- Hm, niektórzy mogą pocałować mnie w... Nieważne. Powiedziałem wczoraj panu burmistrzowi, że jego żona nie zaginęła. Widziano ją w centrum miasta. Jeśli nie wraca do domu, to najwyraźniej taka jest jej wola w tej konkretnej chwili.

- I co on na to?

- „Kto ją widział? Gdzie? O której?” Takie pytania zadałby każdy. Wyjaśniłem mu, że nie wolno mi udzielać informacji. Widziano ją w pobliżu Worth i Macintosh, więc nie możemy przyjąć zgłoszenia zaginięcia. Teraz

znów jest w tym motelu z Wilcoxem. Powiedziałem Feckworthowi, żeby przyszedł i że chętnie z nim porozmawiasz.

- Po jaką cholere?
- Od ciebie lepiej to przyjmie. Nie jestem z nim w najlepszych stosunkach.
- Z nikim nie jesteś.
- Aj, to mnie strasznie zabolalo.

Czekając na burmistrza, Cardinal opracował zestawienie wydatków za poprzedni miesiąc i napisał podsumowanie sprawy, którą właśnie ukończył. Myślami błądził wokół Catherine. Przez ostatni rok radziła sobie nieźle, w tym semestrze wróciła nawet do wykładów w college'u. Przy obiedzie jednak wydawała się jakaś nieobecna, zniecierpliwiona, jakby myślała o czymś innym niż jej projekt zdjęciowy. Catherine miała prawie pięćdziesiątkę i przechodziła menopauzę. Skutek? - nagła zmiana nastroju i potrzeba ciągłej zmiany zestawu leków. Jeśli więc nawet wydawała się bardziej nieobecna niż zwykle, nie brakowało ku temu potencjalnych przyczyn. Z drugiej strony, jak dobrze znamy tych, których kochamy? Wystarczy popatrzeć na burmistrza.

Gdy pan burmistrz Lance Feckworth przyjechał do komisariatu, Cardinal zaprowadził go do jednego z pokoiów przesłuchań, gdzie mogli porozmawiać na osobności.

- Chcę, żebyście wyjaśnili tę sprawę do końca - oświadczył burmistrz. - Pełne dochodzenie.

Był krępy, niskim mężczyzną, uwielbiał nosić muszki. Usiadł niezbyt wygodnie na krawędzi plastikowego krzesła, które zwykle zajmowali podejrzani.

- Wiem, że to, że jestem burmistrzem, nie daje mi większych praw, niż mają zwykli obywatele. Ale nie oczekuję też mniejszych. A jeśli miała wypadek?

Feckworth nie był burmistrzem z prawdziwego zdarzenia. W czasie jego kadencji rada miasta wydawała się przeprowadzać tylko niekończące się analizy problemów i dawać przyzwolenie, by taki stan rzeczy trwał. Był jednak życzliwy ludziom, lubił zażartować i poufale klepnąć kogoś w plecy. Jego wzrok, pełen bólu i cierpienia, mógł wytrącić z równowagi. To tak, jakby dom, w którym ktoś wychowywał się przez lata, nagle pomalowano krzykliwymi barwami.

Tak delikatnie, jak to tylko możliwe, Cardinal zauważył, że panią Feckworth widziano zeszłej nocy w mieście, a w tym tygodniu nie było poważniejszych wypadków.

- Niech to szlag, dlaczego wszyscy policjanci mówią mi, że widziano ją w mieście, ale nie chcą mi powiedzieć, gdzie ani kto ją widział? Jakby się pan czuł, gdyby chodziło o pana żonę? Chciałby pan znać prawdę?

- Tak, chciałbym.

- Proponuję więc, detektywie Cardinal, żeby dokładnie mi pan wyjaśnił, o co tu chodzi. W przeciwnym razie będę musiał udać się bezpośrednio do komendanta Kendalla i zapewniam pana, że nie powiem nic dobrego ani o panu, ani o tym przyglupie McLeodzie.

To dlatego Cardinal siedział teraz w samochodzie z burmistrzem Algonquin Bay na parkingu przed motelem Pod Brzozami. Mimo nazwy w pobliżu motelu nie było brzoź. W ogóle nie rosły tam drzewa, bo motel znajdował się w samym sercu miasta, przy Macintosh Street. Właściwie, już nawet nie nazywał się Pod Brzozami, odkąd co najmniej przed dwoma laty przejęła go sieć hoteli Sunset Inns, wszyscy jednak posługiwali się jego poprzednią nazwą.

Cardinal zaparkował jakieś dziesięć kroków od pokoju 12. Szelagry siedział w wozie po przeciwnej stronie parkingu, ale żaden z nich nie zdradził, że wie o obecności drugiego. Cardinal opuścił lekko szybę, żeby samochód nie zaparował. Nawet tu, w samym centrum miasta, czuć było w powietrzu zapach opadłych liści i krzepiącą woń drzewnego dymu, jaki ulatniał się z czyjegoś kominka.

- Mówi pan, że ona tu jest? - zapytał burmistrz. - Moja żona jest w tym pokoju?

On musi wiedzieć, pomyślał Cardinal. Jakim cudem mogłoby to zajść tak daleko? Jego żona znika z domu na kilka dni, wynajmuje pokoje, a on nic o tym nie wie?

- Nie wierzę - ciągnął Feckworth. - To nie jest przecież jakiś żaloszny serial.

Jego głos zdradzał tę niewiarę, jakby widok drzwi do motelowego pokoju sprawił, że poczuł się niepewnie. - Cynthia jest lojalna - dodał. - Chłubi się tym.

W rzeczywistości jednak Cynthia Feckworth od co najmniej czterech lat przyprawiała rogi swojemu mężowi w całym Algonquin Bay; burmistrz jako jedyny nie był tego świadom. Kim jestem, żeby zdejmować mu

klapki z oczu? - zapytywał siebie Cardinal. Kim jestem, żeby odmawiać komuś tego słodkiego środka znieczulającego, jakim jest zaprzeczenie faktom?

- Nie... nie mogłaby pieprzyć się z kimś innym. To znaczy... jeśli pozwała innemu facetowi... Tak jest. Wyrzucę ją. Zobaczy pan. Mój Boże, jeśli ona to robi... - Feckworth jęknął i ukrył twarz w dłoniach, udręczony.

Wtedy drzwi się nagle otworzyły i z pokoju wyszedł mężczyzna. Wyglądał jak model z katalogu wysyłkowego: „Skorzystajcie z naszej jesiennej promocji męskich wiatrówek”.

- To Reg Wilcox - stwierdził burmistrz. - Oczyszczanie miasta. Co on tu może robić?

Wilcox podszedł powoli do swojego forda explorera z nonszalancką i zadowoloną miną faceta, który właśnie skończył łożkowe igraszki. Wycofał samochód z miejsca parkingowego i odjechał.

- No, przynajmniej Cynthii tam nie było. To już coś - odetchnął Feckworth. - Może powinienem pojechać do domu i czekać na dobre wieści.

Ale drzwi pokoju 12 otworzyły się ponownie. Atrakcyjna kobieta rozejrzała się ostrożnie dookoła, po czym wyszła, zamykając je za sobą. Zapięła szczelnie kurtkę, chroniąc się przed nocnym chłodem, i skierowała się do bramy.

Burmistrz wyskoczył z wozu i zagroził jej drogę. Cardinal zasunął szybę, nie chcąc słuchać tego, co musiało nastąpić. Wtedy zadzwoniła jego komórka.

- Cardinal, czemu, do cholery, nie odbierasz radia?

- Jestem we własnym wozie, sierżant Flower. Nie będę cię zanudzał szczegółami.

- W porządku, słuchaj. Ktoś zadzwonił i powiedział, że za apartamentowcem Gateway leżą zwłoki. Znasz ten nowy budynek?

- Gateway? Ten przy obwodnicy? Nie wiedziałem, że już go skończyli. To na pewno nie był jakiś zaspany pijaczyna?

- Na pewno. Na miejsce przyjechał już patrol.

- Dobra. Jestem tylko parę przecznic stąd.

Między burmistrzem a jego żoną ciągle trwała kłótnia. Cynthia Feckworth skrzyżowała ręce na piersi i opuściła głowę. Jej mąż stał naprzeciwko niej z dłońmi wyciągniętymi w klasycznym błagalnym geście. W głównym wejściu do motelu rysowała się sylwetka gapiącego się na nich pracownika.

Burmistrz nawet nie zauważył, że Cardinal odjechał.

Apartamentowiec Gateway zbudowano na południowym krańcu miasta. Był to jeden z niewielu wysokościowców w okolicy niemal codziennie eksplodującej nowymi centrami handlowymi. W jego parterowej części znajdował się minipasaż handlowy z pralnią chemiczną, sklepikami i wielkim centrum serwisowym komputerów CompuClinic, które przeniosło się tu z Main Street. Pawilony handlowe działały już od jakiegoś czasu, ale większość apartamentów mieszkalnych ciągle była do kupienia. Ekipy drogowe budowały jeszcze nowe bezkolizyjne skrzyżowanie, które miało rozładować ruch na obszarze rozrastającej się gwałtownie dzielnicy, jeśli w ogóle można by to miejsce nazwać dzielnicą.

Żeby tam dotrzeć, Cardinal musiał przejechać przez pas robót drogowych, potem zrobić mały objazd w pobliżu nowego fast foodu i hurtowni papieru. Minął rząd nowo zbudowanych domków, z których większość ciągle nie była zamieszkana, chociaż w paru świeciło się już światło. Naprzeciwko ostatniego zaparkowany był pt cruiser. Cardinal przez moment myślał, że to wóz Catherine. Raz czy dwa razy do roku zdarzały mu się takie momenty: nagła obawa, że Catherine może mieć kłopoty, że dostała ataku szału i grozi jej niebezpieczeństwo albo że jest w depresji i myśli o samobójstwie. Potem przychodziła ulga, że wszystko z nią w porządku.

Wjechał na podjazd apartamentowca i zatrzymał się pod znakiem „Tylko dla mieszkańców, goście parkują przy chodniku”. Umundurowany policjant stał obok taśmy broniącej dostępu do miejsca zdarzenia.

- O, witam pana, sierżancie - powiedział na widok Cardinala. Wyglądał na osiemnaście lat. Cardinal za żadne skarby nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska. - Mamy martwą kobietę. Wygląda na paskudny upadek. Pomyślałem, że zabezpieczę teren, dopóki nie dowiemy się, co jest grane.

Cardinal spojrzął ponad jego głowę na teren poza budynkiem. Zobaczył tylko kontener na śmieci i kilka samochodów.

- Dotykałeś czegoś?

- Eee, tak. Sprawdziłem puls, ale nic nie wyczułem. No i przeszukałem kieszenie, nie znalazłem jednak żadnych dokumentów. Chyba tu mieszkała, mogła wypaść z balkonu.

Cardinal się rozejrzył. Zazwyczaj w takich wypadkach zbierał się tłumek gapiów.

- Żadnych świadków? Nikt nic nie słyszał?

- Budynek jest chyba prawie pusty, tylko parę sklepów na dole. Nikogo w pobliżu nie było, gdy tu dotarłem.

- W porządku. Daj latarkę.

Młody policjant podał mu ją i przepuścił go, przyklejając ponownie taśmę do słupka.

Cardinal szedł powoli, nie chcąc zacierać śladów i z góry przyjmować tezy młodego o nieszczęśliwym wypadku. Minał kontener po brzegi wypełniony chyba starymi komputerami. Z jednego boku na kablu wisiała klawiatura, widać też było kilka zniszczonych płyt.

Ciało leżało zaraz za kontenerem, twarzą w dół, w jasnobrązowej kurtce ze skórzanymi wstawkami przy mankietach.

Taką samą kurtkę ma Catherine, pomyślał Cardinal.

- Nie widzę żadnych otwartych okien ani drzwi balkonowych - powiedział młody. - Może dozorca pomoże ją zidentyfikować.

- Jej dokumenty są w wozie.

Młody rozejrzał się dookoła. Wzdłuż ściany budynku zaparkowane były dwa samochody.

- Nie kapuję. Wie pan, który samochód jest jej?

Ale Cardinal nie słuchał. Młody patrzył w zdumieniu, jak sierżant John Cardinal - gwiazda wydziału kryminalnego, weteran prowadzący najtrudniejsze sprawy w mieście i słynący ze skrupulatnego studiowania miejsca zbrodni - pada na kolana w kałużę krwi i tuli w ramionach zmasakrowane ciało kobiety.

2

W innym przypadku Lise Delorme zirytowałaby się, gdyby ściągali ją do pracy w wolny dzień. Działo się tak często, co nie znaczy, że przez to było mniej denerwujące. Właśnie siedziała w pubie, razem z nowym chłopakiem delektowali się wyjątkowo ostrym curry. Shane Cosgrove, bardzo przystojny prawnik, tylko rok lub dwa od niej młodszy. Poznała go, gdy bez powodzenia bronił bandziora, którego zwinęła za wymuszenia. To była ich trzecia randka, i chociaż myśl o pójściu do łóżka z prawnikiem była dla niej trudna do zaakceptowania, Delorme miała zamiar zaprosić go na drinka, gdy odwiezie ją do domu.

Byłoby jeszcze ciekawiej, gdyby Shane okazał się lepszym prawnikiem. Tak naprawdę Delorme myślała, że biorąc pod uwagę mizerny materiał dowodowy, jaki udało się jej zebrać, jego klient wyjdzie na wolność. Ale

w towarzystwie przystojnego Shane'a miło płynął czas, a tacy jak on, single, byli towarem deficytowym w mieścinie takiej jak Algonquin Bay.

Gdy wróciła do stolika, była tak blada, że Shane zapytał, czy nie musi się położyć. Detektyw sierżant Chouinard właśnie jej przekazał, że ofiarą jest żona Johna Cardinala i że sam Cardinal przyjechał już na miejsce zdarzenia. Policjanci z patrolu zadzwonili do Chouinarda do domu, a on z kolei zadzwonił do Delorme.

- Lise, zabierz go stamtąd - powiedział. - Bez względu na to, co Cardinal teraz przeżywa, jest gliną od trzydziestu lat. Doskonale wie, że do chwili, gdy wykluczmy przestępstwo, to on jest podejrzanym numer jeden.

- Sierżancie - oburzyła się - Cardinal był całkowicie oddany swojej żonie mimo tego całego...

- Całego gówna. Tak, wiem. I wiem też, że mógł mieć tego w końcu dosyć. Możliwe, że przelała się czara goryczy. Więc rusz tam swój tyłek i bierz pod uwagę najgorsze. To miejsce jest sceną zbrodni do chwili, gdy wykluczmy przestępstwo.

Delorme nie czuła irytacji, gdy jechała przez miasto, tylko żal i smutek. Chociaż przy kilku okazjach spotkała żonę Cardinala, nie mogła powiedzieć, że ją znała. Oczywiście wiedziała to, co wiedzieli wszyscy w wydziale: co parę lat Catherine lądowała w szpitalu psychiatrycznym z powodu zaburzeń maniакаlnych lub depresji. I za każdym razem, gdy Delorme ją spotykała, zastanawiała się, jak to możliwe.

Bo Catherine Cardinal była jedną z niewielu kobiet, o których Delorme mogła powiedzieć, że są radosne. Przynajmniej była taka wtedy, gdy była zdrowa. Słowa „maniакаlny” i „depresyjny”, nie wspominając już o „cyklofreniczny” i „psychotyczny”, przywoływały na myśl obrazy ludzi psychicznie chorych i ich dzikich oczu. A Catherine promieniowała łagodnością, inteligencją i mądrością.

Dla Delorme, samotnej od tylu lat, że przestała już je liczyć, towarzystwo par małżeńskich bywało nużące. Ogólnie rzecz biorąc, brakowało im tej iskry, którą mieli poszukiwacze swojej drugiej połówki. Ludzie ci mieli też irytujący zwyczaj sugerować, że osoby stanu wolnego są w jakiś sposób upośledzone. A co najgorsze, wydawało się, że większość z nich po prostu się nie znosi, traktując siebie nawzajem z podłością, jakiej nie dopuściliby się względem obcych. Ale Cardinalowie, małżeństwo od Bóg wie kiedy, wydawali się czuć naprawdę dobrze w swoim towarzystwie. Cardinal

opowiadał o Catherine prawie codziennie, tylko nie wtedy, kiedy była w szpitalu; wtedy Delorme odbierała jego milczenie nie jako wyraz wstydu, ale lojalności. Zawsze opowiadał o najnowszych zdjęciach Catherine albo o tym, jak pomogła byłemu studentowi znaleźć pracę, jaką zdobyła nagrodę, albo o czymś, co powiedziała zabawnego.

Jednak Delorme coś zaimponowało w Catherine, dostrzegła w niej coś władczego, nawet jeśli znało się historię jej choroby. Tak naprawdę po części mogło to być wynikiem tej choroby: otaczała ją aura kogoś, kto zszedł na dno szaleństwa i wrócił, by o tym opowiedzieć. Tyle tylko, że tym razem Catherine nie wróciła.

Może to i lepiej dla Cardinala, pomyślała. Może to nie najgorsze, co mogło się stać. Delorme była świadkiem tego, przez co przechodził, gdy jego żona była w szpitalu. Wtedy czuła zdumiewającą wściekłość na kobietę, która zmieniała jego życie w udrękę.

Lise Delorme, powiedziała do siebie, zatrzymując samochód przed tą samą policyjną, czasem potrafi pani być stuprocentową suką.

Jeśli Chouinard liczył na to, że szybkie wysłanie Delorme zapobiegnie reakcji podejrzanego numer jeden na miejscu wypadku, to się spóźnił. Gdy wysiadła z samochodu, zobaczyła Cardinala trzymającego w objęciach ciało żony; jego zamszowa kurtka była cała we krwi.

Młody policjant Sanderson stał przy taśmie.

- Byłeś tu pierwszy? - zapytała.

- Ktoś z budynku zadzwonił, że na tyłach leży ciało. Przyjechałem, upewniłem się, że ofiara nie żyje, i zadzwoniłem do pani sierżant. Ona zadzwoniła do wydziału kryminalnego i Cardinal przyjechał pierwszy. Nie miałem pojęcia, że to jego żona. - W jego głosie ciągle pobrzmiwała panika. - Przy zwłokach nie było dokumentów. Nie mogłem tego przewidzieć.

- W porządku. Zrobiłeś, co trzeba.

- Gdybym wiedział, nie dałbym mu się zbliżyć. Ale on też nie wiedział, dopiero jak podszedł bliżej. Nie będę miał przez to kłopotów, co?

- Wyluzuj, Sanderson, nie będziesz miał kłopotów. Dochodzeniówka i koroner za moment tu będą.

Delorme podeszła do Cardinala. Obrażenia na ciele Catherine świadczyły o tym, że musiała spaść z dużej wysokości. Cardinal odwrócił ją i trzymał w ramionach, jakby spała. Po jego umazanej krwią twarzy płynęły łzy.

Kucnęła przy nim. Delikatnie dotknęła nadgarstka i szyi Catherine, ustalając dwie rzeczy: brak pulsu i to, że ciało było ciągle ciepłe, chociaż

jego nieosłonięte części robiły się już chłodne. W pobliżu leżała torba od aparatu, obok niej rozsypana zawartość.

- John - odezwała się miękko.

Gdy nie zareagował, znów wymówiła jego imię, jeszcze łagodniej.

- John, posłuchaj. Powiem to tylko raz. To, co widzę, łamie mi serce, jasne? Mam ochotę skulić się w kącie i siedzieć tak do chwili, gdy ktoś mi powie, że to nieprawda. Słyszysz? Całym sercem jestem z tobą. Ale oboje wiemy, co się musi teraz stać.

Cardinal przytaknął.

- Nie wiedziałem, że to... Dopiero jak podszedłem bliżej.

- Rozumiem. Ale będziesz musiał ją teraz położyć.

Płakał. Delorme czekała. Arsenault i Collingwood, grupa dochodzeniowa, szli w ich stronę. Podniosła rękę, żeby ich zatrzymać.

- John, możesz ją położyć? Zrób to dla mnie. Musisz położyć ją tak, jak leżała, gdy ją zobaczyłeś. Dochodzeniówka już tu jest. Zaraz będzie koroner. Tak czy inaczej, musimy przeprowadzić dochodzenie zgodnie z przepisami.

Cardinal zsunął Catherine z kolan i z daremną ostrożnością odwrócił ją twarzą w dół. Lewą rękę położył jej z tyłu głowy.

- Ta ręka leżała tak - wyjaśnił. - A ta - wziął drugą rękę za nadgarstek - leżała wzdłuż boku. Jej ręce są połamane, Lise.

- Wiem. - Delorme chciała go dotknąć, pocieszyć, ale musiała, jako zawodowiec, się kontrolować. - Chodź ze mną, John. Niech dochodzeniówka robi swoje.

Cardinal podniósł się, lekko się zataczając. Koło Sandersona stała chmara umundurowanych kolegów. Delorme zauważyła jedną lub dwie osoby obserwujące z balkonów, jak prowadzą Cardinala przez taśmę i dalej, do samochodu. Kawalki sprzętu komputerowego chrzęściły pod stopami. Otworzyła drzwi dla pasażera i Cardinal wsiadł. Usiadła za kierownicą i zamknęła drzwi.

- Gdzie byłeś, gdy dostałeś wezwanie?

Patrzyła na niego, ale nie była pewna, czy coś do niego dociera. Był świadom przyjazdu karetki, bezużytecznie migających świateł? Widział koronera, który z torbą lekarską właśnie podchodził do ciała? Zauważył Arsenaulta i Collingwooda w śnieżnobiałych kombinezonach? McLeoda, który powoli krążył po terenie ze wzrokiem utkwionym w ziemię? Nie miała pojęcia.

- John, ja wiem, że to okropna chwila na zadawanie pytań.

Zawsze powtarzali to samo. Miała nadzieję, że zrozumie, że to jej obo-
wiązek, że musi zbadać ranę, w której ciągle tkwi nóż.

Gdy się odezwał, jego głos był niespodziewanie czysty, pobrzmiwało w
nim tylko zmęczenie.

- Byłem na parkingu motelu Pod Brzozami. W samochodzie, z burmi-
strzem.

- Z burmistrzem Feckworthem? Jak to?

- Żądał pełnego dochodzenia w sprawie zaginięcia żony, groził, że pój-
dzie do szefa, do gazet. Ktoś musiał przekazać mu złe wieści.

- Jak długo z nim byłeś?

- W sumie jakieś dwie i pół godziny. Najpierw przyszedł na komendę.
McLeod może wszystko potwierdzić, Szelagy też.

- Szelagy ciągle pilnował motelu w sprawie Porcinich?

Cardinal przytaknął.

- Być może nadal tam jest. Ma wyłączone radio. Też byś miała, gdybyś
obserwowała Porcinich.

- Wiesz, po co Catherine przyjechała do tego budynku?

- Pojechała robić zdjęcia. Nie wiem, czy kogoś tu знаła. Pewnie tak,
skoro udało się jej wejść.

Delorme niemal słyszała, jak policyjny umysł Cardinala próbuje znów
wskoczyć na właściwe obroty.

- Powinniśmy sprawdzić dach - powiedział. - Jeśli nie z niego skoczyła,
to powinniśmy popytać mieszkańców górnych pięter. To znaczy wy powin-
niście, ja nie mogę się angażować.

- Poczekaj tu chwilę - odparła.

Wysiadła z samochodu i odszukała McLeoda przy kontenerze na śmieci.

- Pełno tu szmelcu - stwierdził. - Tak jakby ktoś wysadził komputer w
powietrze.

- Od frontu jest CompuClinic - wyjaśniła Delorme. - Słuchaj, widziałeś
wcześniej Cardinala?

- Jasne, gdzieś do wpół do ósmej wieczorem siedział w biurze. Kwa-
drans po siódmej zjawił się burmistrz i pojechali gdzieś razem. Chyba do
motelu, tam jego żonka ciupcia się z zarządkiem oczyszczania. Mam za-
dzwonić do burmistrza?

- A masz numer?

- Pytanie. Facet od tygodnia zawraca mi głowę. - McLeod wyciągnął
komórkę i wybrał z listy numer telefonu, który świecił niebieskawym świa-
tłem w jego dłoni.

Delorme podeszła do kolegów z dochodzeniówki - na kolanach zbierali z ziemi różne przedmioty i wrzucali je do plastikowych torebek. Księżyc stał teraz wyżej i nie był już pomarańczowy, oświetlał okolicę srebrną poświatą. Chłodna bryza przyniosła zapach starych liści. Dlaczego najgorsze koszmary zdarzają się podczas najpiękniejszych nocy? - przemknęło jej przez myśl.

- Zabezpieczyliście jej dłonie? - zapytała Arsenaulta.

Spojrzał na nią.

- No tak, dopóki nie wykluczemy przestępstwa.

Collingwood, młodszy członek zespołu, wyjmował przedmioty z torby na aparat, która leżała kilka metrów od ciała. Collingwood był młodym blondynem, tak małym, że wydawał się prawie niemły.

- Aparat. - Pokazał jej nikona.

Obiektyw był strzaskany.

- Była fotografem. Cardinal powiedział, że wieczorem wyjechała z domu robić zdjęcia. Co jeszcze?

- Zapasowe filmy. Akumulator. Obiektywy. Filtry. Szmatka do soczewek.

- Czyli to, czego się można było spodziewać.

Nie odpowiedział. Czasami wyglądał tak, jakby nie całkiem kontaktował.

- W kieszeni miała kluczyki. - Arsenault wyciągnął rękę do Delorme.

- Sprawdzę samochód. - Sięgnęła po nie.

Doktor Claybourne, koroner, właśnie wstawał znad ciała, otrzepując kurz z płaszcza. Zaczynał już łysieć, chociaż miał niewiele ponad trzydzieści lat. Delorme pracowała z nim wcześniej. Zaprosił ją kiedyś na kolację, ale wykręciła się, kłamiąc, że się z kimś spotyka. Według niej niektórzy faceci byli zbyt mili, zbyt łagodni, zbyt bezbarwni. To tak, jakby żyć samotnie, ale bez prywatności.

- Co pan o tym myśli? - zagadnęła.

Doktor Claybourne miał wianuszek rudawych włosów wokół łysiny i bladą, niemal przezroczystą skórę. Zauważyła, że bardzo się czerwieni, co wyjątkowo widać przy takiej cerze.

- No cóż, najwyraźniej zdecydowała się skoczyć. A z ilości krwi wynika, że żyła podczas upadku.

- Czas zgonu?

- Mogę wnioskować tylko na podstawie temperatury ciała, brak też stężenia pośmiertnego. Wydaje mi się, że nie żyje od jakichś dwóch godzin.

Delorme spojrzała na zegarek.

- Czyli od około ósmej trzydzieści. Wnioski po oględzinach?

W tej sprawie będę musiał pochylić czoło przed waszymi ekspertami medycyny sądowej. Leży dwa i pół metra od budynku. Balkony wystają na półtora metra. Mogła wypaść z balkonu lub z okna.

- Z jakiej wysokości?

- Trudno powiedzieć. Myślę, że gdzieś z dziesiątego piętra.

- Ten budynek ma tylko dziewięć. Chyba zaczniemy od dachu.

- Dobra. Jak do tej pory nie widzę śladów działania innych osób.

- I chyba żadnych pan nie znajdzie, doktorze. Znałam ofiarę, to Catherine Cardinal. Słyszał pan o jej chorobie?

- Nie.

- Proszę zadzwonić do szpitala psychiatrycznego. W ciągu ostatnich ośmiu lat była tam co najmniej cztery razy. Ostatnio jakiś rok temu przez trzy miesiące. Jak pan już z nimi porozmawia, pójdziemy na dach.

McLeod kiwał do niej ręką. Odeszła od Claybourne'a, który wybierał numer na swoim telefonie.

- Feckworth Nieudacznik nie był szczęśliwy, że do niego dzwonię. W tle słyszałem wrzaski jego żony. Darła się na niego. Oczywiście wykorzystałem wszystkie swoje talenty dyplomatyczne i towarzyskie.

- Wyobrażam sobie.

- Jego dostojność mówi, że Cardinal był z nim pod motelem do dziewiętej trzydzieści. Szelagy potwierdza.

- Rozmawiałeś z Szelagym?

- Tak, nocą robi przerwę w obserwowaniu Porcinich. Już jedzie.

Delorme wróciła do wozu. Cardinal siedział tak, jak go zostawiła. Wyglądał, jakby oberwał serią dużego kalibru. Delorme zaprowadziła go do karetki.

Sanitariuszka była dobrze zbudowaną, krótko ostrzyżoną blondyną. Szpitalny uniform ciasno ją opinał.

- To mąż ofiary - wyjaśniła Delorme. - Zajmijcie się nim, dobrze?

Po czym zwróciła się do Cardinala:

- John, idę teraz na dach. Zostań i daj im się tobą zająć. Wracam za dziesięć minut.

Cardinal usiadł z tyłu karetki. Po raz kolejny Delorme stłumiła chęć objęcia go: jej przyjaciel cierpi, a ona musi wciąż być służbitką.

McLeod i doktor Claybourne wjechali z nią windą na ostatnie piętro. Potem musieli wspiąć się klatką schodową jeszcze jedną kondygnację do

drzwi z napisem „Patio”. Drzwi były otwarte na oścież, przytrzymała je cegła. McLeod znalazł włącznik i zaświecił światła na zewnątrz.

Dach wyłożono prasowanym drewnem. Stały na nim stoliki ogrodowe z otworami na parasole. Parasole wyniesiono; podmuchy jesiennego wiatru były zbyt zimne, żeby ktoś chciał przebywać tutaj dłużej niż kilka minut.

- Już rozumiem, czemu tu weszła, żeby robić zdjęcia - powiedziała Delorme, rozglądając się dokoła.

Na północy linia latarni przy drodze wiała się pod górę w kierunku lotniska. Trochę na wschód widać było łagodne, ciemne wybrzuszenie, a na południu - światła miasta, iglicę katedry i wieżę telekomunikacyjną poczty. Zza dzwonnicy francuskiego kościoła z wolna wytaczał się księżyc.

McLeod pokazał palcem wysoki do pasa, surowy betonowy murek wokół dachu.

- Chyba niełatwo by było za niego wpaść. Może wychyliła się, żeby zrobić zdjęcie. Warto zobaczyć, co jest w aparacie.

- Aparat był w torbie, więc nie sądzę, żeby robiła fotki, gdy wypadła.

- Tak czy inaczej, warto sprawdzić.

- Tam spadła. - Delorme pokazała palcem w kierunku księżyca.

- To może sprawdzi pani od razu to miejsce, a ja się rozejrzę, gdy pani skończy.

- Doktorek chyba ma na ciebie oko - zauważył McLeod, ścisząc głos.

- Przestań.

- Co, przestań. Widziałaś, jak się zaczerwienił?

- McLeod!

Delorme i McLeod ostrożnie i powoli podeszli do krawędzi dachu.

Delorme pochyliła się nisko; patrzyła na drewnianą wykładzinę. Dach był dobrze oświetlony przez księżyc i zewnętrzne lampy. Wychyliła głowę nad murkiem, potem przeszła powoli w lewo i z powrotem w prawo, nieco dalej niż stała poprzednio.

- Nie widzę widocznych śladów walki - oświadczyła wreszcie. - Właściwie nie widać żadnych śladów.

- Tu coś jest. - McLeod zauważył kawałek papieru wetknięty pod donicę i schylił się, żeby go podnieść. Podał go Delorme. Była to kartka w linie, jakieś dziesięć na piętnaście, wyrwana z kołonotatnika.

Napisano na niej kilka zdań, długopisem, drobnym pismem.

Najdroższy Johnie,

Zanim skończysz czytać, zdążę zranić Cię tak, że nie będziesz potrafił mi wybaczyć. Nie umiem wyrazić jak mi przykro. Pamiętaj, że kochałam Cię zawsze, nigdy bardziej niż w tej chwili, i gdyby było jakieś inne wyjście...

Catherine

3

Gdy Delorme zbiegła na dół, natknęła się na Szelagiego - właśnie wchodził do holu wraz ze zrozpaczoną kobietą w czerni: miała na sobie czarną spódnicę, czarną marynarkę, czarny kapelusz, czarny szal.

- Sierżant Delorme - zaczął Szelagi - to Eleanor Cathcart. Mieszka na dziewiątym piętrze i zna Catherine.

- Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. - Kobieta zdjęła kapelusz i dramatycznym gestem odgarnęła włosy z czoła. Wszystko w niej wydawało się przesadzone: miała ciemne brwi, ciemną szminkę, a skórę bladą jak porcelana, chociaż chyba nie aż tak delikatną. Niektóre słowa wymawiała jakby po parysku. - Wpuściłam ją do budynku, a ona spadła z dachu? To zbyt... zbyt makabryczne.

- Skąd pani zna Catherine Cardinal? - zapytała Delorme.

- Prowadzę zajęcia w miejscowym college'u. Nauka o teatrze. Catherine ma tam zajęcia z fotografii. *Mon Dieu*, nie do wiary. Zaledwie parę godzin temu ją wpuściłam.

- Dlaczego?

- Och, paplałam o widokach z okien mojego mieszkania. Zapytała, czy mogłaby wpaść i zrobić kilka zdjęć. To jedyny w miarę wysoki budynek po tej stronie miasta. Od paru miesięcy o tym mówiła, ale dopiero ostatnio ustaliliśmy termin.

- Termin, kiedy miała panią odwiedzić w mieszkaniu?

- Nie, chciała tylko wejść na dach. Jest tam patio. Pokazałam jej, gdzie i jak podeprzeć drzwi, bo inaczej zatrząskują się, o czym sama się przekonałam. Nie zostałam z nią. Pracowała, nie chciała towarzystwa. Sztuka wymaga samotności.

- Jest pani pewna, że Catherine została sama?

- Była sama.

- A pani dokąd poszła?

- Do Capital Centre, na próbę. Za dwa tygodnie wystawiamy *Dom lalki* i proszę mi wierzyć, niektórzy z nas nie są przygotowani na premierę. Nasz Torvald ciągle uczy się roli, słowo daję.

- Czy Catherine zdradzała objawy przygnębienia?

- Żadnych. Chociaż... No tak, zaraz... Była strasznie spięta, bardzo chciała wejść na ten dach, ale myślałam, że nie może się doczekać, aż zrobi te zdjęcia. No i wie pani, trudno rozszyfrować Catherine. Regularnie wpadała w depresję i lądowała w szpitalu. To też lekceważyłam. Oczywiście, jak większość artystów bardziej zajmuję się sobą.

- Więc nie zdziwiłoby pani, gdyby popełniła samobójstwo?

- No cóż, to na pewno szok, *mon Dieu*. Myśli pani, że dałabym jej klucz, mówiąc: Pa, kochanie. Miłego samobójstwa, ja lecę na próbę? Litości. - Urwała, podniosła głowę i popatrzyła na sufit. Potem rzuciła Delorme teatralne spojrzenie. - Ujmę to tak. Stoję tu jak rażona gromem, ale muszę przyznać, że ze wszystkich osób, które znam, a znam ich bardzo wiele, Catherine była najbardziej zdolna do samobójstwa. Nie idzie się do szpitala przez zwykłą melancholię, nie zamykają cię na oddziale, bo spotkało cię rozczarowanie, no i nie bierzesz litu, bo cierpisz na zespół napięcia przedmiesiączkowego. Widziała pani jej prace?

- Niektóre - odparła Delorme.

Pamiętała wystawę w bibliotece przed paroma laty: zdjęcie dziecka płaczącego na schodach katedry, pustej ławki w parku, samotnego, czerwonego parasola na deszczu. Zdjęcia tęsknoty. Cała Catherine - piękna, lecz smutna.

- Nie mam nic więcej do dodania - powiedziała pani Cathcart.

W chwili gdy serce Delorme potępiąło kobietę za niewybaczalny brak współczucia, ta wybuchła płaczem - nie scenicznym chlupaniem, ale przejmującym, pełnym żalu niewyreżyserowanym bólem.

Delorme poszła z doktorem Claybourne'em do karetki, gdzie ciągle siedział Cardinal.

- Był list? - Usłyszeli jego załamany głos, zanim się do niego zbliżyli.

- Potwierdza pan, że to pismo pańskiej żony? - Claybourne podsunął mu papier przed oczy.

- Tak, jej - przytaknął Cardinal i odwrócił głowę.

Delorme odprowadziła Claybourne'a do samochodu.

- Sama pani widziała - odezwał się koroner. - Rozpoznał pismo żony.

- Tak - przytaknęła Delorme. - Widziałam.

- Oczywiście trzeba zrobić sekcję, ale jeśli o mnie chodzi, uważam, że to na pewno samobójstwo. Żadnych śladów walki, mamy list pożegnalny i historię choroby psychicznej.

- Dzwonił pan do szpitala?

- Złapałem jej psychiatrę w domu. Jest przygnębiony, trudno się dziwić. To okropne uczucie stracić pacjenta. Ale nie jest zaskoczony.

- W porządku. Dziękuję, doktorze. Przepytamy wszystkich mieszkańców, tak na wszelki wypadek. Proszę dać mi znać, jeśli będziemy mogli jeszcze coś zrobić.

- Na pewno. - Claybourne wsiadł do wozu. - To frustrujące, prawda? Takie samobójstwo.

- Delikatnie mówiąc - przytaknęła. W ciągu ostatnich paru miesięcy była na miejscu dwóch innych.

Rozejrzała się za Cardinalem - on tymczasem zdążył odejść od karetki - i zauważyła go za kierownicą jego wozu. Nie wyglądało jednak na to, żeby miał zamiar odjeżdżać.

Usiadła obok niego.

- Będzie autopsja, ale koroner zamierza stwierdzić samobójstwo - poinformowała.

- Nie będziecie przepytywać mieszkańców?

- Będziemy, oczywiście. Ale nie sądzę, żebyśmy coś znaleźli.

Zwiesił głowę. Delorme nie miała pojęcia, o czym on teraz myśli, ale na pewno nie spodziewała się tego, co w końcu powiedział:

- Siedzę tu i dumam, jak odprowadzić jej samochód do domu. Pewnie jest jakiś prosty sposób, ale na razie to problem nie do rozwiązania.

- Przyprawdzą ci go - zaproponowała - gdy już tu skończymy. Jest ktoś, do kogo powinnam zadzwonić? Ktoś, kto mógłby do ciebie przyjechać i z tobą zostać? Nie powinienes być sam w takiej chwili.

- Zadzwonię do Kelly. Zadzwonię do niej, jak tylko wrócę do domu.

- Ale Kelly jest w Nowym Jorku, prawda? Nie masz nikogo tutaj?

- Nic mi nie będzie. - Zapalił silnik.

Nie zabrzmiało to przekonująco.

4

Nie za ciasne te buty?

Kelly Cardinal siedziała przy stole w jadalni i pakowała oprawioną fotografię matki w folię bąbelkową. Chciała ją zabrać do domu pogrzebowego i postawić obok urny.

Cardinal usiadł naprzeciwko niej. Minęło kilka dni, a on był ciągle ogłuszony, niezdolny do pojmowania świata. Słowa jego córki nie układały się w żaden logiczny ciąg. Musiał prosić, by powtarzała.

- Te buty, które masz na nogach - powiedziała. - Wyglądają na nowiutkie. Nie cisną cię?

- Trochę. Włożyłem je tylko raz, na pogrzeb taty.

- To było dwa lata temu.

- Och, uwielbiam to zdjęcie.

Cardinal sięgnął po zdjęcie Catherine przy pracy. Ubrana w żółtą wiatrówkę, z mokrymi od deszczu włosami, objuczona dwoma aparatami - jednym na szyi, drugim na ramieniu, wyglądała na rozdrażnioną. Cardinal pamiętał, że zrobił to zdjęcie automatycznym aparacikiem - jedynym sprzętem fotograficznym, jakiego tajniki zdołał opanować. Rzeczywiście, Catherine była na niego zła. Po pierwsze dlatego, że próbowała pracować, a po drugie wiedziała, co deszcz potrafi zrobić z jej pięknymi włosami, i nie chciała zdjęć. W pogodne dni jej włosy opadały miękko na ramiona, ale gdy padało, nie układały się i skręcały, co godziło w jej próżność. Ale Cardinal uwielbiał ten nieład.

- Fotografka, a nie cierpiała, gdy ktoś jej robił zdjęcia - zauważył.

- Może nie powinniśmy brać tego zdjęcia? Wygląda na nim na lekko poirytowaną.

- Nie, nie, proszę. To cała Catherine, robi tutaj to, co kochała.

Cardinal z początku nie chciał zabierać ze sobą zdjęcia, widział w tym coś nieprzyzwoitego, nie mówiąc już o tym, że widok Catherine rozdzierał mu serce.

Ale Catherine myślała fotografiami. Wystarczyło wejść do jej pokoju, i zanim zdążyło się coś powiedzieć, już robiła zdjęcie. Tak jakby aparat był mechanizmem obronnym, który zmieniał się przez lata tylko po to, by chronić takich kruchych ludzi jak ona. Nie była snobką, jeśli chodzi o zdjęcia. Tak samo cieszyła się przypadkowym zdjęciem zrobionym na ulicy, jak serią ujęć, nad którymi pracowała od miesiący.

Kelly włożyła zapakowaną fotografię do torby.

- Zmień buty. Nie będziesz przecież stał w za małych butach.
- Są dobre, tylko jeszcze nierozchodzone.
- No już, tato.

Wszedł do sypialni i otworzył szafę. Próbował nie patrzeć na tę połowę, w której leżały ubrania Catherine, ale nie mógł się powstrzymać. Zazwyczaj nosiła dzinsy i T-shirty lub swetry. Należała do kobiet, które mimo zbliżania się do pięćdziesiątki dobrze wyglądają w dzinsach i T-shirtach. Ale były tam też małe, czarne sukienki, parę jedwabnych bluzek, jedna lub dwie halki - głównie w jej ulubionych szarościach i czerni. Kolory guwernantki, jak je nazywała.

Wyciągnął czarne buty, w których chodził na co dzień, i zaczął je pastować. Zadzwoił dzwonek. Usłyszał, jak Kelly dziękuje sąsiadowi za jedzenie i kondolencje.

Gdy weszła do sypialni, Cardinal z zakłopotaniem zdał sobie sprawę z tego, że kłęczy na podłodze przed szafą, trzymając w ręku szczotkę; nieruchomy jak ofiara kataklizmu.

- Zaraz musimy wychodzić - powiedziała Kelly. - Będziemy mieli godzinę, zanim ludzie zaczną się schodzić.
- Aha.
- Buty, tato. Buty.
- Racja.

Gdy zaczął pastować buty, Kelly usiadła na brzegu łóżka za jego plecami. W lustrze na drzwiach szafy widział jej odbicie. Miała jego oczy, tak mówili wszyscy. Ale usta po Catherine, z małymi dołeczkami w kącikach. Pogłębiały się, gdy się uśmiechała. I włosy Catherine, gdyby tylko chciała je zapuścić. Teraz miała króciutką fryzurę z pojedynczym pasemkiem fioletu. Była bardziej niecierpliwa od matki, sprawiała wrażenie, że więcej oczekuje od ludzi, którzy wciąż ją rozczarowywali. Może jednak to po prostu przywilej młodości. Dla siebie także bywała surowym sędzią, jej wyroki nierzadko kończyły się płaczem. Jeszcze nie tak dawno surowo też osądzała ojca. Zmiękła jednak w czasie ostatniego pobytu Catherine w szpitalu i od tamtej pory nieźle się między nimi układało.

- Dla mnie to ogromny cios - powiedziała - ale naprawdę nie pojmuję, jak mama mogła to zrobić tobie. Przez te wszystkie lata byłeś przy niej, gdy miała problemy.
- Oprócz nich miała w sobie coś jeszcze, Kelly.

- Wiem, ale to wszystko, przez co musiałeś przejść! Opiekowałeś się mną, gdy byłem dzieckiem, wychowałeś mnie właściwie sam. I tyle musiałeś znieść. Pamiętam jedno zdarzenie, gdy mieszkaliśmy w Toronto. Robiłeś taką skomplikowaną szafkę, pełno w niej było szuflad i drzwiczek. Chyba z rok nad nią siedziałeś, a pewnego dnia wracasz do domu i widzisz, jak mama pali nią w piecu! Odbiło jej na punkcie ognia i twórczego niszczenia, plotła bez sensu, zniszczyła coś, co tworzyłeś z takim poświęceniem. Jak można coś takiego wybaczyć?

Milczał przez chwilę. W końcu odwrócił się i spojrzał na córkę.

- Catherine nigdy nie zrobiła nic, czego bym nie wybaczył.

- To dlatego, że jesteś właśnie taki, a nie dlatego, jaka była ona. Jak mogła nie wiedzieć, jaką jest szczęściarą? Jak mogła tak po prostu wszystko porzucić?

Zaczęła płakać. Cardinal dotknął jej ramienia. Kelly wtuliła się w niego, jej gorące łzy przenikały przez koszulę. Wtuliła się w niego tak, jak zwykle robiła to jej matka.

- Ona cierpiała - powiedział. - W taki sposób, że nikt nie mógł ogarnąć rozmiarów tego cierpienia. Musisz o tym pamiętać. Chociaż trudno było czasem z nią żyć, to ona cierpiała najbardziej. I to ona najbardziej ze wszystkich nienawidziła swojej choroby. A jeśli myślisz, że nie była wdzięczna za miłość, to się mylisz. Co słyszałem najczęściej? „Mam ogromne szczęście”. Ciągle to powtarzała. Jemy obiad albo coś, a ona dotyka mojej ręki i mówi: „Mam ogromne szczęście”. Mówiła tak też z myślą o tobie. Czuli się okropnie, że tak wiele straciła, kiedy ty dorastałaś. Zrobiła wszystko, co mogła, żeby zwalczyć tę chorobę, a w końcu to ona ją pokonała. Twoja matka była niezwykle odważna i lojalna, że wytrwała tak długo.

- Boże - Kelly mówiła przez nos, jakby miała katar. - Chciałabym być tak wrażliwa jak ty. No ładnie, zapaskudziłam ci koszulę.

- I tak miałem włożyć inną.

Wyjęła parę chusteczek z pudełka, które jej podał.

- Muszę iść umyć twarz - stwierdziła. - Wyglądam jak Medea.

Cardinal nie był pewien, kim była Medea. Tego, czy przed chwilą pocieszał córkę, też nie był pewien. A co ja mogę wiedzieć? - pytał sam siebie. Nawet nie zauważyłem, że to się zbliża. Jestem gorszy niż burmistrz. Prawie trzydzieści lat razem, a ja nie widzę, że kobieta, którą kocham, chce popełnić samobójstwo.

Dzień wcześniej to właśnie spostrzeżenie skłoniło Cardinala, by wyjechał do miasta i odwiedził psychiatrę Catherine.

W czasie ostatniego pobytu Catherine w szpitalu spotkał parę razy doktora Fredericka Bella. Rozmawiali bardzo krótko. Odniósł wrażenie, że Bell jest człowiekiem inteligentnym i kompetentnym. Catherine była nim zachwycona, bo w przeciwieństwie do innych psychiatrów Bell nie tylko przepisywał leki, ale także rozmawiał. Był również ekspertem w sprawach depresji, napisał na jej temat kilka książek.

Miał gabinet w swoim domu, wielkiej rezydencji z czerwonej cegły w stylu Edwarda VII przy Randall Street, tuż za katedrą. Poprzednimi właścicielami byli między innymi poseł i baron medialny. Wieżyczki, zdobienia, nie wspominając już o wielkim ogrodzie i ogrodzeniu z kutego żelaza, sprawiały, że dom Bella wyróżniał się w sąsiedztwie.

Na progu przywitała go pani Bell, miła kobieta koło pięćdziesiątki. Właśnie wychodziła.

- Och, bardzo mi przykro z powodu tak wielkiej straty - powiedziała, gdy Cardinal się przedstawił.

- Dziękuję.

- Nie przyszedł pan tutaj służbowo, prawda?

- Nie, nie. Moja żona była pacjentką pani męża i...

- Oczywiście, oczywiście. Z pewnością gnębią pana różne pytania.

Poszła poszukać męża, a Cardinal rozejrzał się po wnętrzu. Polerowane drewno, dębowe panele i gzymsy - a był dopiero w poczekalni. Właśnie miał usiąść na którymś z krzeseł, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich doktor Bell. Był wyższy, niż Cardinal zapamiętał, miał sporo ponad metr osiemdziesiąt, czarną brodę siewającą na podbródku i mówił z miłym angielskim akcentem, który nie był ani zbyt wytworny, ani prostacki.

- Jeszcze raz pragnę powtórzyć, jak bardzo jest mi przykro z powodu Catherine. - Ujął rękę Cardinala w obie dłonie i potrząsnął nią. - Proszę przyjąć wyrazy ogromnego współczucia. Niech pan wejdzie, proszę.

Gdyby nie wielkie biurko i brak telewizora, można by pomyśleć, że są w salonie. Półki po sufit wypełnione książkami medycznymi, czasopismami i segregatorami zajmowały wszystkie cztery ściany. Miękkie, skórzane krzesła, wysłużone i każde w innym stylu, zostały ustawione tak, by pod kątem umożliwić rozmowę. Naturalnie była też kanapa, wygodna, taka domowa, a nie jedna z tych prostokątnych leżanek, które widzi się w filmach.

Na prośbę doktora Cardinal usiadł na kanapie.

- Napije się pan czegoś? Kawy? Herbaty?

- Dziękuję, ale nie. Jestem wdzięczny, że zgodził się pan tak szybko mnie przyjąć.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić. - Doktor podciągnął sztruksowe spodnie, zanim usiadł na skórzanym krześle. Miał na sobie wełniany sweter i nie wyglądał na lekarza. Profesor college'u, pomyślał Cardinal, albo skrzypek.

~ Przypuszczam, że zadaje pan sobie pytanie, jak to możliwe, że nie dostrzegł pan żadnych sygnałów. - Bell wyraził dokładnie to, co działo się w głowie Cardinala.

- Tak - odpowiedział. - Tak to można w skrócie ująć.

- Nie jest pan sam. Ja, choć od prawie roku szczegółowo omawiałem z Catherine jej życie emocjonalne, też ich nie zauważyłem. - Oparł się o krzesło i potrząsnął kędzierzawą głową. Cardinal wyobraził sobie teriera. - Oczywiście, skierowałbym ją do szpitala, gdybym coś zauważył - powiedział ciszej po chwili.

- Ale czy to nie dziwne? - nalegał Cardinal. - Przychodzi do pana na terapię pacjentka, nie mówi jednak, że chce popełnić... Po co ktoś chciałby przychodzić do terapeuty, do którego nie ma zaufania?

- Ona miała do mnie zaufanie. Catherine nie były obce myśli samobójcze. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie było żadnych oznak podjęcia szybkiej decyzji. Ale naturalnie rozmawialiśmy o jej uczuciach, o tym, co myśli o samobójstwie. Po części ją przerażało, ale też i bardzo pociągało, jak sam pan pewnie wie.

- Powiedziała mi o tym, zanim się pobraliśmy - przytaknęła Cardinal.

- Uczciwość była jedną z mocnych stron Catherine. Często mówiła, że wolałaby umrzeć niż popaść w kolejną depresję. I od razu dodam, że wcale nie dlatego, żeby oszczędzić siebie. Jak większość ludzi cierpiących z powodu depresji nie mogła pogodzić się z tym, że rujnuje życie tym, których kocha. Zdziwiłbym się, gdyby nie powiedziała panu o tym przez te wszystkie lata.

- Nieraz mi o tym mówiła. - Cardinal poczuł, jak coś w nim pęka. Pokój zrobił się rozmazany.

Doktor podał mu chusteczki i po chwili zmarszczył brwi, pochylając się na krzesło.

- Nie mógł pan nic zrobić, naprawdę. Proszę mi zaufać w tej kwestii. Ludzie, którzy chcą popełnić samobójstwo, bardzo często nie ujawniają swoich zamiarów.

- Wiem. Nie rozdawała żadnych swoich rzeczy ani nic takiego.

- Nie, nie chodzi mi o typowe sygnały. W historii jej choroby nie ma

też wcześniejszych prób samobójczych, chociaż jest sporo myśli na ten temat. Mamy za to ciągłą, trwającą od lat walkę z kliniczną postacią depresji, składową jej zaburzeń dwubiegunowych. Statystyki są niepodważalne: największy odsetek samobójstw jest wśród osób cierpiących na psychozę maniakalno-depresyjną. Mój Boże, robię wykład, jakbym wiedział, o czym mówię, prawda? - Bell podniósł ręce w geście bezsilności. - Coś takiego... no... sprawia, że człowiek nie czuje się zbyt kompetentny.

- Wiem, że to nie pana wina - zapewnił Cardinal.

Nie wiedział, po co tam siedzi. Przyszedł posłuchać wykładu tego Angoła na temat statystyk i prawdopodobieństw? To ja znam Catherine najdłużej. To mnie nic nie zaniepokoiło. Jestem zbyt głupi, zbyt samolubny, zbyt ślepy.

- Korci, żeby się obwiniać, prawda? - Bell znów czytał w jego myślach.

- W moim przypadku takie są fakty. - Cardinal usłyszał gorycz we własnym głosie.

- Ależ ja robię to samo - odparł doktor. - Takie są skutki samobójstwa. Wszyscy bliscy osoby popełniającej samobójstwo uznają, że nie zrobili wystarczająco dużo, nie byli dostatecznie wrażliwi, że powinni interweniować. Ale to nie znaczy, że te uczucia są właściwą oceną rzeczywistości.

Powiedział jeszcze o paru sprawach, które Cardinalowi umknęły. Jego umysł był jak wypalony budynek. Skorupa. Jak mógł oczekiwać, że będzie wiedział, co się dzieje wokół niego w danym momencie?

Gdy wychodził, doktor Bell przyznał:

- Catherine miała szczęście, że była pańską żoną. Wiedziała o tym.

Słowa doktora znów zbiły go z nóg. Ledwie zdołał się pozbierać, jak pacjent wkrótce po operacji. Niemal zataczając się, przeszedł przez poczekalnię - w objęcia złotej, słonecznej jesieni.

5

Dom Pogrzebowy Desmonda mieści się dokładnie na rogu Sumner i Earl Street, co oznacza, że każdy, kto wjeżdża do miasta lub wyjeżdża z niego, musi obok niego przejechać. To takie memento mori dla mieszkańców Algonquin Bay. Nie jest to piękny budynek. Niewiele ładniejszy od betonowego klocka pomalowanego na kremowo, żeby trochę złagodzić surowość jego kształtu i rozjaśnić mrok jego przeznaczenia. Za

każdym razem, gdy ojciec Cardinala przejeżdżał obok, wygrażał mu i krzy-
czał: „Jeszcze mnie pan nie dorwał, panie Desmond! Jeszcze nie!”

Ale oczywiście w końcu pan Desmond dorwał starego Stana Cardinala, tak jak wcześniej dorwał matkę młodego Cardinala i jak dorwie każdego mieszkańca Algonquin Bay, a przynajmniej katolików. Parę przecznic dalej był następny dom pogrzebowy, z jego usług korzystali protestanci, i jeszcze jeden, nowszy, który zdawał się robić niezły interes na żydach, muzułma-
nach i zmarłych innych wyznań.

Pan Desmond nie był pojedynczym człowiekiem, ale wieloosobowym bytem, którego smutne, choć konieczne powinności spełniali energicznie liczni synowie, córki i krewni o nazwisku Desmond.

Gdy Cardinal przekroczył próg domu wraz z Kelly, poczuł zapierające dech wzruszenie. Zaczęły mu drżeć kolana. David Desmond, zawsze dokładny, schludnie ubrany młody człowiek, uściśnął im ręce. Ubrany był w dobrze skrojony szary garnitur, ozdobiony jedynie prostokątną, idealnie wykrochmaloną chusteczką wystającą z górnej kieszonki. Na nogach miał błyszczące półbuty, które bardziej pasowałyby do starszego mężczyzny.

- Ludzie zaczną się schodzić za czterdzieści trzy minuty - poinformowa-
wał. - Chcieliby państwo teraz wejść?

Cardinal przytaknął.

- Dobrze. Pójdziemy do Sali Różowej, drugie drzwi po prawej, zaraz obok komody z zegarem.

Desmond junior wyjaśnił to tak szczegółowo, jakby mieli iść na dłuższą wyprawę, a nie przejść kilka metrów pastelowego chodnika. I tak zresztą poszedł z nimi i otworzył dębowe drzwi.

- Proszę - powiedział. - Będę w pobliżu, gdyby państwo czegoś potrzebo-
wali.

Cardinal był już w tej sali i wiedział, jak wygląda: ściany w odcieniach spokojnego różu, kanapy i fotele w podobnych kolorach, gustowne stoliczki, na których stały lampy rozlewające wokół rozproszone, stonowane światło. Jednak gdy wszedł do środka, gwałtownie się zatrzymał. Z gardła wydobył mu się pojedynczy dźwięk, jakby westchnienie, głośniejszy wy-
dech.

- Co się stało? - Usłyszał za plecami głos Kelly. - Coś nie tak?

- Prosiłem, żeby nie otwierali trumny - wykrztusił. - Nie myślałem, że ją znowu zobaczę.

- Och. Ja też nie.

Oboje stali w progu. Na końcu sali leżała, czekając na nich, Catherine.

- Mam im powiedzieć, żeby zamknęli? - zapytała w końcu Kelly.

Nie odpowiedział. Powoli, niepewnym krokiem przemierzył pomieszczenie, jakby w każdej chwili mogła rozstąpić się pod nim podłoga.

Parę lat wcześniej, gdy jego matka spoczywała w tej samej sali, jej postać w trumnie ledwie ją przypominała. Choroba, która ją trawiła, nie pozostawiła śladu po radosnej, silnej, zawsze kochającej go kobiecie. Gdyby nie okulary i aura waleczności, jego ojciec też wyglądałby zupełnie obco.

Catherine pozostała sobą: szerokie brwi, pełne usta, maleńkie dołeczki, brązowe włosy z wdziękiem opadające lokami do ramion. Cardinal nie chciał wiedzieć, w jaki sposób Desmond zamaskował uszkodzenia powstałe na skutek upadku. Lewa kość policzkowa była całkowicie zmiażdżona, a przecież jego żona się nie zmieniła, jej twarz była nienaruszona, policzki nietknięte. Cardinal poczuł nowy rodzaj bólu. Chociaż ból to nie było właściwe słowo, by opisać krainę cierpienia, kontynent żalu.

Po chwili siedział skulony na jednej z różowych kanap. Był wyczerpany, oddychał z trudem. Obok usiadła Kelly, w rękę miała garść przemoczonych chusteczek.

Ktoś do niego mówił. Cardinal podniósł się niepewnie i uściśnął dłonie państwa Walcottów, sąsiadów z Madonna Road. Ci emerytowani nauczyciele wciąż kłócili się o byle co. Dziś jednak najwyraźniej zawiesili broń i prezentowali jednolity front, formalność i powściągliwość.

- Bardzo nam przykro z powodu tej ogromnej straty - powiedział pan Walcott.

- Co za tragedia. - Pani Walcott podeszła bliżej. - W taki cudowny czas.

- Tak - zgodził się Cardinal. - Jesień zawsze była ulubioną porą roku Catherine.

- Czy potrawka dotarła bez problemu?

Cardinal popatrzył na Kelly; przytaknęła.

- Tak, dziękuję. To miłe z państwa strony.

- Wystarczy podgrzać. Dwadzieścia minut w stu dwudziestu stopniach.

Przybywały kolejne osoby. Pojedynczo podchodziły do trumny, niektóre kłękaly i się żegnały. Nauczyciele z Northern University i miejscowego college'u, w którym uczyła Catherine, również jej byli uczniowie. Białe jak gołąb pan Fisk, przez lata prowadzący sklep fotograficzny, aż w końcu załatwiły go - i połowę Main Street - promocje hipermarketów.

- Wspaniałe zdjęcie, Catherine z aparatami - powiedział pan Fisk. - Dokładnie taka przychodziła do mojego sklepu. Zawsze w tej kurtce i

kamizelce wędkarskiej. Pamięta pan tę kamizelkę? Nerwowość przejawiała się w nim ożywieniem, jakby rozmawiali o ekscentrycznym znajomku, który się wyprowadził. - Dużo ludzi - dodał, rozglądając się z aprobatą.

Studenci Catherine, jedni w średnim wieku, inni młodzi i zapłakani, cicho składali na ręce Cardinala słowa otuchy. Nieważne, jak bardzo były banalne i oklepane, w zdumiewający sposób przebijały go na wylot. Kto by pomyślał, że zwykłe słowa mogą mieć taką moc?

Pojawili się jego koledzy z pracy: McLeod w przymalym garniturze, Collingwood i Arsenault, którzy wyglądali jak duet bezrobotnych komików. Larry Burke przeżegnał się przed trumną i przez jakiś czas stał tam z pochyloną głową. Nie znał zbyt dobrze Cardinala, był nowy w zespole, ale przyszedł, by wyrazić swój żal i współczucie.

Delorme przysła w ciemnoniebieskiej sukience. Cardinal nie mógł przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni widział ją w sukience.

- To smutny dzień. - Przytuliła go.

Czuł, że lekko drży, że dusi w sobie łyżę współczucia. Nie mógł wykrztusić ani słowa. Uklękła na parę minut przed trumną, potem wstała i jeszcze raz go uścisnęła. Oczy miała wilgotne.

Przyszedł też szef policji R.J. Kendall, a wraz z nim sierżant Chouinard, Ken Szelagy - wszyscy z wydziału kryminalnego - oraz różni posterunkowi z terenu.

Po południu byli już w krematorium Highlawn. Cardinal nie pamiętał, jak tam dotarli. Na prośbę Catherine miało nie być ceremonii kościelnej, ale w testamencie, który oboje spisali, zaznaczyła, że chce, aby wielebny Samson Mkembe powiedział kilka słów.

Gdy Cardinal służył jako ministrant, wszyscy kapłani byli pochodzenia irlandzkiego albo francusko-kanadyjskiego. Teraz Kościół musiał szukać ich dalej: ojciec Mkembe przybył aż z Sierra Leone. Wysoki, kościsty mężczyzna o hebanowej twarzy stał na wprost krematoryjnej kaplicy.

Była prawie pełna. Cardinal dostrzegł Meredith Moore, szefową wydziału sztuki college'u, i Sally Westlake, bliską przyjaciółkę Catherine. Wśród żałobników rozpoznał też po kędzierzawej głowie doktora Bella.

Ojciec Mkembe mówił o sile Catherine. I nie mylił się co do większości jej zalet - zapewne dlatego, że wcześniej dzwonił w tej sprawie do Kelly. Ale mówił też o tym, jak to wiara pomogła Catherine tak długo trwać w nieszczęściu, co było wierutnym kłamstwem, bo Catherine chodziła do

kościół sporadycznie i dawno temu przestała wierzyć w Boga.

Drzwi pieca otworzyły się i przez chwilę zamigotały płomienie. Trumna wjechała do środka, drzwi się zamknęły, a kapłan odmówił ostatnią modlitwę. W sercu Cardinala dźwięczał dzwon sądnego dnia: Zawiodłeś ją.

Barwy świata na zewnątrz były nienaturalnie jasne: niebo niebieskie jak płomień palnika gazowego, dywan jesiennych liści jakby świecący własnym, złotożółtym światłem. Nad Cardinalem przemknął cień, gdy dym, jego żona, rozwiął się w słońcu.

- Panie Cardinal, nie wiem, czy mnie pan pamięta... - Meredith Moore potrząsała ręką Cardinala swoją małą, wysuszoną dłonią. Cała była tak wysuszona, że trzeba by było wrzucić ją do rzeki, by ciało nabrało wody. - Catherine i ja byłyśmy koleżankami.

- Tak, pani Moore. Spotkaliśmy się parę razy w ciągu ostatnich kilku lat.

W rzeczywistości pani Moore prowadziła przeciwko Catherine obrzydliwą wojnę dotyczącą kontroli nad wydziałem sztuki. Miała tupet mówić o zdrowiu psychicznym Catherine jako poważnej przeszkodzie i w końcu wygrała.

- Będzie nam jej bardzo brakowało. Studenci tak ją lubili - dodała tonem, który wskazywał, że akurat opinia studentów ma niewielkie znaczenie.

Cardinal przeprosił ją i poszedł poszukać Kelly: właśnie tuliła się do Sally Westlake. Sally była wielką kobietą o wielkim sercu, jedną z niewielu osób, które Cardinal powiadomił o śmierci Catherine osobiście.

- Och, John - wytarła oczy - tak bardzo będzie mi jej brakowało. Była moją najlepszą przyjaciółką. Moją inspiracją. To nie banal: ona zawsze żądała ode mnie, żebym więcej myślała o swoich zdjęciach, więcej ich robiła, spędzała więcej czasu w ciemni. Była najlepsza. I była z ciebie taka dumna - zwróciła się do Kelly.

- Nie wiem dlaczego - odparła Kelly.

- Bo jesteś dokładnie taka jak ona, utalentowana i silna. Liczysz na karierę w Nowym Jorku? To wymaga samozaparcia i odwagi, kochanie.

- Równie dobrze może się to okazać kompletną stratą czasu.

- Och, nie mów tak! - Przez moment Cardinal myślał, że Sally uszczypnie jego córkę w policzek albo potarga jej włosy.

Podszedł doktor Bell, by jeszcze raz złożyć im kondolencje.

- Miło, że pan przyszedł - podziękował mu Cardinal. - To moja córka, Kelly. Przyjechała na kilka dni z Nowego Jorku. Doktor Bell był psychiatrą Catherine.

- Nie można powiedzieć, że terapia zakończyła się sukcesem. - Kelly uśmiechnęła się smutno.

- Kelly...

- Nie, nie, wszystko w porządku - odezwał się Bell. W pełni sprawiedliwe słowa. Niestety, specjalizować się w depresjach to tak, jak być onkologiem; stosunek porażek do sukcesów jest przytłaczający. Ale nie chciałem państwu przeszkadzać, tylko złożyć uszanowanie.

Gdy odszedł, Kelly zwróciła się do ojca.

- Mówiłeś, że mama nie wyglądała na przygnębioną.

- Wiem, ale wcześniej też udało się jej mnie oszukać.

- Wszyscy są tacy mili - powiedziała Kelly, gdy wrócili do domu. Karty kondolencyjne stały w rzędach wzdłuż stołu, a stół i blat w kuchni były zastawione pojemnikami z potrawkami, risottem, kotletami, klopsami, ciastami, nawet pieczoną szyneką.

- Miły zwyczaj z tym jedzeniem - zauważył Cardinal. - Czujesz się w środku pusta i wiesz, że na pewno jesteś głodna, ale sama myśl o gotowaniu cię przerasta. Myślenie o czymkolwiek cię przerasta.

- Idź i się połóż. - Kelly zdjęła płaszcz.

- Nie, tylko poczuje się gorzej. Wrzucę coś do mikrofalówki. - Wziął do ręki plastikowe pudełko i przyglądał mu się, stojąc na środku kuchni, jakby było to coś z innej planety.

- Jeszcze parę kart. - Kelly rzuciła kilka kopert na stół.

- Może pootwierasz?

Cardinal włożył pojemnik do mikrofalówki i popatrzył na rzędy guzików. Kolejny problem. Nie potrafił wykonać najprostszych czynności. Po co mu jedzenie? Albo sen? Albo życie? Nie przetrwasz tego, usłyszał wewnętrzny głos. Masz za swoje.

- O mój Boże! - zawołała Kelly.

- Co?

Jedną ręką ścisnęła kartę, a drugą zakrywała sobie usta.

- Co to jest? - zapytał. - Pokaż.

Kelly pokręciła głową i schowała kartę za plecami.

- Kelly, pokaż mi to.

Złapał ją za nadgarstek i wyrwał jej kartę.

- Wyrzuć to, tato. Nawet na to nie patrz. Po prostu wyrzuć.

Karta była droga, z naniesionym rysunkiem lilii. W środku standardowe kondolencje zaklejono małą kartką papieru, na której ktoś wydrukował: Jakie to uczucie, palancie? I nie da się przewidzieć, co będzie dalej.

6

Planeta Rozpacz. Oddalona od ciepła słońca o niezliczoną liczbę lat świetlnych. Gdy pada deszcz, ona też spływa kropelkami rozpacz, gdy zaświeci słońce, ona faluje cząsteczkami żalu. Nieważne, skąd wieje wiatr - z południa, wschodu, północy czy zachodu - pcha przed sobą węgielki rozpacz. Rozpacz kłuje cię w oczy i wysysa z ciebie powietrze. Na tej planecie nie ma tlenu, nie ma azotu; atmosfera składa się tylko z rozpacz.

Cardinal czuł rozpacz nie tylko na widok niezliczonych przedmiotów związanych z Catherine: zdjęć, płyt, książek, ubrań, magnesów na lodówce, mebli, które wybrała, ścian, które malowała, roślin, o które dbała. Rozpacz wpełzała też przez szczeliny w dachu, pod drzwiami, wokół okien.

Nie mógł zasnąć. W myślach bezustannie dźwięczały mu słowa wydrukowane na karcie. Wstał i zaczął przyglądać się jej przy jasnym świetle lamp w kuchni. Kelly wyrzuciła kopertę, ale wyciągnął ją z kosza - bez wątplenia wydruk z drukarki komputerowej, jednak nie było w nim nic szczególnego, przynajmniej nic, co mógłby dostrzec gołym okiem.

Karta też była zwyczajna: karta kondolencyjna firmy Hallmark wraz z kopertą, dostępna w każdym kiosku albo sklepie papierniczym.

Na znaczku była data i godzina. Oczywiście chodziło o czas, w którym karta wyszła z poczty, a nie czas wrzucenia do skrzynki. Był też kod pocztowy. Kod - o czym Cardinal wiedział - nie oznaczał miejsca, gdzie wrzucono kartę, ale urząd pocztowy, do którego trafiła. Za nim był trzycyfrowy numer oznaczający stanowisko nadawcze. Rozpoznał stempel pocztowy Mattawy. Znał tam kilka osób: znajomi, którzy nie mieli powodu, by go ranić. Mattawa to oczywiście kraina domków letniskowych, setki ludzi przyjeżdżało tam z całego Ontario, żeby spędzić weekend nad rzeką. Jednak w połowie października większość pozamykała swoje domki na zimę.

Naturalnie, jeśli ktoś chciał ukryć swoje prawdziwe miejsce zamieszkania, mógł sobie pojechać do Mattawy i stamtąd wysłać kartę. Mattawa leży przy autostradzie numer 17, niewiele dalej niż pół godziny jazdy z Algonquin Bay.

Lise Delorme zdziwiła się, widząc Cardinala. Była niedziela, przyszedł wtedy, gdy myła okna. Miała na sobie dzinsy z ogromnymi rozcięciami na

kolanach i poplamioną farbą bawełnianą koszulę w kratę, chyba bardzo starą. Jej dom, bungalow na samym końcu Rayne Street, pachniał octem i papierem gazetowym.

- Od sierpnia miałam je umyć - wyjaśniła, choć nie zapytał - i właśnie się do tego zabrałam.

Zrobiła kawę.

- Dla ciebie bezkofeinowa - stwierdziła. - Na pewno nie spałeś.

- To prawda, ale mam powód. To znaczy inny powód.

Delorme przyniosła do salonu kawę i talerz ciastek czekoladowych.

- Może pójdziesz do lekarza po valium? - zasugerowała. - Nie ma sensu pogarszać sytuacji brakiem snu.

- Powiedz mi, co o tym myślisz. - Wyjął z szarej teczki kartę wraz z kopertą i położył je na stoliku. Były teraz w koszulkach foliowych, karta rozłożona, koperta z adresem u góry.

- Praca? - Delorme uniosła brwi. - Jak możesz przychodzić do mnie z robotą? Myślałam, że weźmiesz tydzień lub dwa wolnego. Matko, na twoim miejscu wyniosłabym się stąd na parę miesięcy.

- Tylko rzuć okiem.

- Ktoś ci to przysłał? - Delorme pochyliła się nad stolikiem.

- Tak.

- Och, John. Tak mi przykro. To chore.

- Chciałbym wiedzieć, kto to przysłał. Pomyślałem, że mogłabyś opisać swoje pierwsze wrażenie.

- No cóż. - Delorme popatrzyła na kartę. - Ktokolwiek to jest, zadał sobie trud wydrukowania dwóch zdań zamiast napisania ich odręcznie. Według mnie to ktoś, kto obawia się, że mógłbyś rozpoznać jego charakter pisma lub przynajmniej dopasować je do innego.

- Kto ci przychodzi na myśl?

- Hm, naturalnie każdy, kogo wsadziłeś do paki.

- Każdy? Nie jestem taki pewien. Przed paroma miesiącami wsadziłem za napad Tony'ego Capozziego. Na pewno jest niezłe wkurzony, ale nie sądzę, żeby mógłby zrobić coś takiego.

- Miałam na myśli gości, którzy odsiadują duże wyroki. Może pięć lat albo więcej. Nie ma takich wielu.

- A wśród nich musi być ktoś na tyle wyrafinowany i uparty, żeby zdobyć mój adres. Nie ma mnie w książce telefonicznej. Myślę o kimś związanym z bandą Ricka Boucharda.

Rick Bouchard był urodzoną gnidą nawet według niezbyt ostrych kryteriów dilerów narkotyków. Był - bo przed paroma laty zamordowano go

w więzieniu. Cardinal pomógł wsadzić go tam na piętnaście lat i Bouchard - w odróżnieniu od większości bandziorów bardzo zaradny i inteligentny - ścigał go aż do ostatniego dnia życia.

- Możliwe - zgodziła się Delorme - ale jak bardzo? Bouchard nie żyje i w ogóle.

- Znają mój adres, i to w ich stylu. Kiki B, parę lat temu pojawił się pod moimi drzwiami z listem z pogrózkami.

- Ale Bouchard jeszcze wtedy żył, a po jego śmierci Kiki się wycofał, sam mówileś.

- Czy tacy jak on kiedykolwiek naprawdę się wycofują?

- Wielu nieprzyjemnych typów zna twój adres. Mamy przecież Internet. Pamiętasz, jak ten głupi dziennikarz parę lat temu robił wywiad dokładnie przed twoim domem? To była głośna sprawa. Kto wie, ile osób to oglądało?

- Ten materiał nie poszedł w paśmie ogólnokrajowym, tylko w lokalnym. Sprawdzalem.

- Lokalne pokrywa duży obszar, John. - Delorme ujęła jego rękę w swoje ciepłe dłonie. Nieczęsto go dotykała. Miała miłą twarz i nawet przez mgłą bólu - albo właśnie dlatego - Cardinal pomyślał, że w tym momencie wygląda niezwykle pięknie. Zdał sobie sprawę, że w pracy ona musi pokazać inną twarz, opancerzoną przed codziennym festiwalem sarkazmu w pokoju zespołu. Oczywiście, on też tak robił, wszyscy tak robili, nagle jednak wyobraził sobie Delorme, jedyną wśród nich kobietę, jako delfina w zbiorniku pełnym rekinów.

- Równie dobrze mogłby to być jakiś stuknięty sąsiad - powiedziała. - Ktoś, kto chowa urazę do policji. Nie musi to być nic osobistego.

- Stempel wskazuje Mattawę. - Cardinal powoli podniósł plastikową koszulkę.

- No tak, cóż... Odsuść sobie. W niczym ci to nie pomoże. Nie poczujesz się przez to lepiej. I musiałbyś zadać sobie gigantyczny trud. Chyba nawet nie wiem, czy dałbyś radę.

- Miałem zamiar ciebie o to poprosić.

- Mnie? - Spojrzała na niego uważnie.

- Ja nie mogę, Lise. Jestem stroną.

- Nie mogę przeprowadzić takiego śledztwa. Wysyłanie ohydnych kart pocztowych to nie przestępstwo.

- „I nie da się przewidzieć, co będzie dalej” - przeczytał Cardinal. - Nie czujesz w tym groźby? Wziąwszy pod uwagę okoliczności?

- Ja bym uznała to za stwierdzenie. Na temat życia w ogóle. To nie znaczy, że ktoś komuś chce zrobić krzywdę.
- Nie uważasz tego zdania chociaż za dwuznaczne?
- Nie, John, nie uważam. Pierwsza część jest bezsprzecznie ohydna, ale to nie groźba. Całość sprowadza się do szyderstwa. Nie można prowadzić śledztwa w sprawie drwin.
- A jeśli Catherine nie popełniła samobójstwa? - zapytał Cardinal. - A jeśli została zamordowana?
- Ale nie została. Zostawiła list. Była chora. Ludzie cierpiący na depresję maniackalną się zabijają, to nie wyjątek.
- Wiem o tym...
- Czytałeś list. Przeszukałam potem jej wóz. Znalazłam notatnik, w którym go napisała. Długopis też tam był. Natychmiast rozpoznałeś jej pismo.
- Tak. No, ale nie jestem ekspertem.
- Nikt nie widział ani nie słyszał niczego podejrzanego.
- To nowy blok. Ile osób tam mieszka, pięć?
- Kupiono piętnaście mieszkań. Dziesięć jest już zamieszkanym.
- Innymi słowy, jest prawie pusty. Jakie były szanse, że ktoś coś usłyszy?
- John, nie było śladów walki. Żadnych. Osobiście przeszukałam ten dach. Żadnej krwi, żadnych zadrapań, szkód, połamań. Dochodzeniówka i koroner stwierdzili, że ciało leżało dokładnie tak, jak powinno przy upadku.
- Tak jak powinno przy upadku - powtórzył. - Więc mogła zostać zepchnięta.
- Sekcja też nic nie wykazała. Wszystko pasuje do samobójstwa. Nic nie wskazuje na coś innego.
- Chcę wiedzieć, kto wysłał tę kartę, Lise. Pomożesz mi czy nie?
- Nie mogę. Gdy tylko dostaliśmy opinię patologa, Chouinard zamknął sprawę. Skoro nie ma sprawy, to nie ma też jej numeru. Co mam powiedzieć ludziom? Chodzi o moją pracę.
- W porządku. Zapomnij, że pytałem. - Cardinal wstał i zabrał kurtkę z krzesła. Stał na wprost okna i zapiął guziki. Niebo ciągle było przedziwnie błękitne, a opadłe liście tworzyły kołderkę w kolorze ochry i złota.
- John, nikt nie chce uwierzyć, że osoba, którą kochał, popełniła samobójstwo.
- Przegapiłaś plamkę. - Cardinal wskazał na okno. Dwie dziewczynki bawiły się na dworze w kupie liści, wijąc się w nich jak szczeniaki.

- Nie musisz tego robić. Nie musisz szukać winowajcy. To nie twoja wina, że zginęła.
- Wiem - odparł - ale może nie jest to też wina Catherine

7

Przez cały następny ranek Delorme nie mogła przestać myśleć o Cardinalu. Musiała odgrzebać stertę raportów, zając się różnymi oskarżeniami o włamanie i napad, no i ten gwałcieł, który w przyszłym tygodniu stanie przed sądem. Jej najlepszy świadek zaczynał się bać i całą sprawę mógł trafić szlag. Na dodatek sierżant Chouinard rzucił jej na biurko kolejną teczkę.

- Będą do ciebie dzwonić z Toronto, z wydziału przestępstw na tle seksualnym - zakomunikował. - Chyba mają coś dla nas.
- A z jakiej racji Toronto miałyby mieć coś dla Algonquin Bay?
- Cóż, zazdrozczą nam naszej znanej w świecie reputacji. Ale nie dziękuj mi. Nie będzie ci się to podobać.

Telefon zadzwonił pół godziny później, zgłosił się sierżant Leo Dukovsky; twierdził, że pamięta Delorme z organizowanej parę lat wcześniej w Ottawie konferencji poświęconej procedurom sądowym. On wygłaszał referat o komputerach, a Delorme brała udział w panelu poświęconym księgowości.

- Księgowość sądowa? - zapytała. - To było prawie dziesięć lat temu. Musiałam zrobić coś okropnego, skoro pamięta mnie pan po tylu latach.
- Nie, po prostu zapamiętałam atrakcyjną Francuzkę o bardzo...
- Francuzko-Kanadyjkę - poprawiła. Lubiała być czarowana, ale istnieją granice.
- ...o bardzo francuskim nazwisku, ale bez akcentu. - Sierżant Dukovsky nie zawahał się nawet przez sekundę.
- Ale czemu? Myśli pan, że wszyscy tu żyjemy na głębokiej prowincji? I mówimy jak Jean Chretien?
- To też zapamiętałam. Tę drażliwość.
- Może ludzie właśnie tak na pana reagują. Nie pomyślał pan o tym?
- No tak, uwaga, dla pani charakterystyczna, gdy człowiek ma do zrobienia coś bardzo paskudnego. Chociaż może pani się akurat to spodoba: mozolna praca, ale jej efekty, jeśli w ogóle będą, wynagrodzą wszystko. Od

dawna monitorujemy w sieci dziecięcą pornografię. Co jakiś czas docierają do nas zdjęcia wciąż tej samej dziewczynki. Gdy zobaczyliśmy ją po raz pierwszy, miała około siedmiu lat. Wydaje nam się, że teraz ma jakieś trzynaście, może czternaście.

- Widać ją w różnym otoczeniu? Z różnymi zwyrodnialcami?

- Nie, to zawsze ten sam facet. Jest ostrożny i nie pokazuje na zdjęciach twarzy, ale zdjęcia chyba są robione w powtarzających się kilku miejscach. Spróbowaliśmy wyizolować charakterystyczne elementy tła: meble, widoki z okien i tak dalej.

- I myślicie, że mała mieszka w Algonquin Bay?

- Albo tu mieszka, albo co jakiś czas przyjeżdża. Nie mamy stuprocentowej pewności. Materiały wysyłamy już do was kurierem. Czekamy na wasze opinie. Jeśli to jest Algonquin Bay, zrobimy wszystko, żeby wam pomóc, i naturalnie to będzie wasza sprawa. Więc jak, nie cieszy się pani, że panią zapamiętałem?

Jednak nawet taki telefon nie mógł na dłużej jej rozproszyć; cały czas myślała o Johnie Cardinalu. Ich biurka stały obok siebie, a jego nieobecność w pracy była czymś niezwykłym. Nawet gdy zmarł jego ojciec, John wziął sobie tylko dzień wolnego. Dla wydziału to może i dobrze, pomyślała. Tak naprawdę jednak niemożność oderwania się od pracy jest raczej słabością niż siłą.

Delorme zdawała sobie sprawę, że z nią jest tak samo. Nudziła się, gdy miała wolne. Kiedy zbliżał się koniec roku, zazwyczaj dostawała ekwiwalent za niewykorzystany urlop.

Spojrzała na zdjęcie Catherine stojące na biurku Cardinala. Musiała na nim mieć co najmniej czterdzieści pięć lat, ale pozostała pociągająca. Było coś w jej lekko sceptycznym spojrzeniu, w błysku jej wilgotnych ust. Nie trudno zrozumieć, że Cardinal się zakochał. Coś ty zrobiła mojemu przyjacielowi? - chciała zapytać Delorme. Dlaczego dopuściłaś się czegoś tak niewybaczalnego? I jeszcze, dlaczego ludzie w ogóle się czegoś takiego dopuszczają? Bez zastanowienia mogła wymienić kilka przypadków: matka trojga dzieci, dyrektor opieki społecznej, nastolatek - wszyscy podnieśli rękę na samych siebie.

Otworzyła notatnik znaleziony w samochodzie Catherine, mały, standardowy kołnotatnik z nadrukiem „Northern University” na okładce. Sądząc po zawartości, służył jako brulion do zapisków. Numery telefonów i nazwiska były nabazgrane tu i tam obok przepisów na zupę grzybową

i jakiś sos, notek o odebraniu ubrań z pralni albo zapłaceniu rachunków, obok pomysłów na projekty fotograficzne:

Seria telefoniczna - różne zdjęcia ludzi w trakcie telefonowania z budki, z komórki, przez krótkofalówką, dzieci rozmawiające przez puszki na sznurku, wszystko.

Albo: Nowa seria o bezdomnych: portrety bezdomnych, ale ubranych w drogie ciuchy, jakby dla niepoznaki. Może jakoś inaczej? Mniej zaaranżowane?

Na kolejnej stronie po prostu napisała: *Urodziny Johna.*

Delorme znalazła też długopis. Był w torbie razem z notatnikiem. Najprostszy długopis, z bładniebieskim wkładem. Napisała „skutki osobiste” na kartce papieru i porównała kolor z notatkami. Ten sam tusz - na pierwszy rzut oka, bez testów.

No i list pożegnalny. Charakter pisma wyglądał tak jak w notatniku. Oszczędne „J” w „John”, „k” w „jakiś” ładnie łączyło się i przechodziło w „i” zarówno w notatniku, jak i w liście. Straszny list, a jednak pismo nie było ani bardziej wyraźne, ani bardziej chwiejne niż w innych zapiskach. Tak naprawdę bardzo staranne, jakby decyzja o samobójstwie przyniosła ukojenie. Przecież miałaś obok siebie dobrego człowieka, kochającego męża. Dlaczego to zrobiłaś? - chciała ją zapytać Delorme. Choćby nie wiem ile w tobie było bólu, jak mogłaś?

Wrzuciła wszystkie trzy rzeczy do koperty i ją zakleiła.

Parę godzin później koperta leżała otwarta na stole kuchennym w domu Johna Cardinala przy Madonna Road. Kelly Cardinal przyglądała się bacznie, jak ojciec ostrożnie przewraca strony notatnika. Widok pisma matki wzruszył Kelly. Co jakiś czas jej ojciec coś zapisywał we własnym notatniku.

- Jak dajesz radę na to patrzeć, tato?
- Idź do pokoju, kochanie. Muszę to zrobić.
- Nie wiem, jak możesz to znieść.
- Nie mogę. Po prostu muszę to zrobić.
- Ale po co? Oszalejesz.
- Tak naprawdę dziwnie lepiej się przez to czuję. Mogę skupić się na czymś innym niż...

Kelly wyciągnęła rękę i dotknęła jego rękawa.

- Może dokładnie na tym powinieneś się skupić, zamiast przeglądać jej notatnik. To ci szkodzi, tato. Chyba powinieneś się położyć i wypłakać. Wykrzyczeć, jeśli musisz.

Trzymał notatnik pod wiszącą nad stołem lampą. Przechylał go raz w jedną, raz w drugą stronę, najpierw sprawdzał kartkę czystą, a potem zapisaną. To jego skupienie było denerwujące.

- Popatrz - powiedział. - To znaczy, nie musisz, jeśli nie chcesz. Ale to interesujące.

- Co takiego, na litość boską? Nie do wiary, że się w tym babrzesz. - Kelly poczuła, że zachowuje się jak małolata. Chyba się cofam z powodu stresu, pomyślała.

- Według mnie to pismo Catherine.

- Oczywiście, że tak. To jasne, nawet gdy patrzy się na nie pod innym kątem. Tak ładnie zakręca literę „k”.

- I napisała to tym długopisem, albo takim jak ten, na stronie wyrwanej z tego notatnika.

- Tato, twoi koledzy na pewno już to ustalili. O co chodzi? Myślisz, że ktoś inny napisał list mamy?

- Nie, nie myślę. Przynajmniej na razie. Ale popatrz. Z tej strony.

Kelly zastanawiała się, czy nie iść do pokoju i nie włączyć telewizora. Nie chciała drażnić ojca, ale nie chciała też zrobić nic, co mogłoby pogorszyć sytuację. Wstała i stanęła za nim.

- Zastanawia mnie to, że ten list nie jest ostatnią rzeczą, jaką Catherine napisała w swoim notatniku - wyjaśnił.

- To znaczy?

- Na kartkach widać wcześniejsze odciski długopisu. Są słabe, ale można je rozróżnić, jeśli przytrzyma się kartki pod odpowiednim kątem. Widzisz?

- Nie bardzo.

- Źle patrzysz. Usiądź.

Cardinal przysunął krzesło i Kelly usiadła. Powoli przechylił notatnik do przodu i do tyłu.

- Czekaj ! - krzyknęła. - Teraz widzę.

Ręka Cardinala zamarła. Na górze strony zapisanej notatkami widniały niewyraźnie odbite słowa: „Najdroższy Johnie”. Cardinal przechylił ją lekko. Niżej Kelly mogła odczytać: Jakieś inne wyjście... Catherine”. Pośrodku były inne zapiski, wśród nich przypomnienie o urodzinach Cardinala.

- Moje urodziny były w lipcu - powiedział. - Trzy miesiące temu.

- Myślisz, że napisała ten list trzy miesiące temu? To chyba możliwe. A jednak... trochę dziwne nosić przez miesiące list pozęgalny.

- Wyjaśnienie może być zupełnie proste. - Cardinal rzucił notatnik na stół i oparł się na krzesło. - Napisała list konkretnego dnia, mając zamiar... Ale potem zmieniła zdanie. Przynajmniej na jakiś czas. Albo trzy miesiące temu pominęła jedną kartkę, a później napisała list na pierwszej wolnej stronie.

- Tak dla porządku? W takiej sytuacji zamartwiać się dokładnym wykorzystaniem każdej strony w zeszycie za dziewięćdziesiąt pięć centów?

- Rzeczywiście.

- Ale to jej pismo. Jej długopis. Tak naprawdę co to za różnica, na której stronie napisała ten list?

- Nie wiem - odparł Cardinal. - Naprawdę nie wiem.

Cardinal już dawno nauczył się, że detektyw pracuje dzięki kontaktom. W zawałonym robotą i niedofinansowanym świecie sądownictwa nawet drobne powiązania osobiste mogą znacząco pchnąć bieg spraw, a już prawdziwa przyjaźń - zdziałać cuda.

Tommy Hunn nie był przyjacielem. Tommy Hunn był kolegą Cardinala z wczesnych lat, gdy pracował w obyczajówce w Toronto. Tak czy inaczej, można się było go bać: mocno umięśniony, jakby od niechcienia brutalny, wesół rasista. No i niezły detektyw do czasu, gdy w domu publicznym przyłapał go jego zespół. Gdyby nie Cardinal, który poręczył za niego w postępowaniu dyscyplinarnym, Hunn mógł usłyszeć o wiele poważniejsze zarzuty niż ten o niestosownym zachowaniu. Cardinal pisał w jego obronie listy poparcia i później, gdy Hunn szukał nowego zajęcia, listy z referencjami. Hunn wrócił na uczelnię i w końcu zdołał załapać się do działu dokumentacji w Centrum Analiz Sądowych w Ontario, gdzie od tamtej pory sprawował się jak należy.

- No proszę, dobry duszek Cardinal. - W słuchawce zabrzmiał głos Hunna. - To na pewno coś ekstra. Bo jeśli nie, to czemu nie łączyła cię centrala?

- Mam dla ciebie kilka dokumentów, Tommy. W sumie trzy. Liczę na twoją pomoc.

- Chcesz coś sprawdzić, no nie. Tylko że, John, jesteśmy tu niezłe zawałeni. Mogę pracować tylko nad tym, co za chwilę ma być w sądzie.

- Tak, wiem.

Wszyscy gliniarze mają do spłacenia jakiś dług, czasem po długich latach. Cardinal nie musiał przypominać o tym Hunnowi.

- Mów, o co chodzi. Zobaczą, co się da zrobić.

- Mam kartę kondolencyjną z wklejoną do środka karteczką. Na niej jest wiadomość, drukowana chyba z komputera. Tylko dwa zdania, ale mam nadzieję, że uda ci się znaleźć jakieś wskazówki, skąd to pochodzi. Tak naprawdę nie wiem nawet, czy to drukarka laserowa, czy atramentowa.

- Tak czy inaczej, daleko nie zajdziemy bez porównania tego wydruku z innym. Skończyły się czasy maszyn do pisania. Co jeszcze masz?

- List pożegnalny.

- Samobójstwo. Tyle zamieszania z powodu samobójstwa? Cholera, samobójstwo to wrzód na mojej dupie. Dla mnie ktoś, kto się zabija, to pieprzony cykor.

- Zgoda - przytaknął Cardinal. - Kompletny tchórz. Bez dwóch zdań.

- I samolub - ciągnął Hunn. - Nie ma chyba większego egocentryzmu niż zamach na własne życie. Zobacz, co się z tym wiąże: twój czas, mój czas, lekarze, pielęgniarki, karetki, psychiatrzy, można wymieniać w nieskończoność. I to wszystko dlatego, że komuś odechciało się żyć. To samolubstwo w najczystszej postaci.

- Bezmyślność - dodał Cardinal. - Kompletna bezmyślność.

- Wtedy gdy im się nie uda. Bo gdy im się uda, cały żal spada na innych. Miałem kiedyś kumpla, najlepszego zresztą, zastrzelił się ze służbowego pistoletu. Mówię ci, przez parę miesięcy czułem się fatalnie. Dlaczego nie zauważyłem żadnych objawów? Dlaczego nie byłem lepszym przyjacielem? Ale wiesz co? To on był kumplem do bani, a nie ja.

- Tak, dobrze to ująłeś, Tommy.

- Samobójstwa, stary, mówię ci...

- To być może nie było samobójstwo.

- W porządku! To zupełnie inna historia. Teraz mam się nad czym zastanawiać. Wykorzystam wszystkie swoje umiejętności i każdą możliwość...

- Muszę to mieć szybko. Tommy. Na wczoraj.

- Jasne. Gdy tylko to dostanę. Ale jeśli masz zamiar wykorzystać ten materiał lub moją analizę w sądzie, musisz przejść przez Centrum Podawcze, a oni nikomu nie pędzą z pomocą. Mógłby do nich przyjść sam Bóg z odręczną notatką na papierze firmowym Lucyfera, a i tak kazaliby mu się ustawić w kolejce.

- Nie mogę iść do Centrum Podawczego, Tommy. Tej sprawy nie ma.

- O, kurczę.

- Ale wyciśnij coś z tego, a sprawa będzie. Wtedy przejdę wszystkie wymagane procedury.

- W porządku, John. - Ciężkie westchnienie po drugiej stronie słuchawki. - Przyprawiasz mnie o ciężki ból głowy, ale niech ci będzie.

8

Mdłości to najdelikatniejsze słowo, które mogło opisać wrażenia Delorme. Wydział przestępstw na tle seksualnym z Toronto przesłał jej około dwudziestu zdjęć; czekały na nią, gdy wróciła z lunchu. Przejrzała je i teraz żałowała, że to zrobiła. Zdjęcia prowokowały reakcje żołądkowe, jakby dostała cios prosto w brzuch. Poczuła też bardziej złożone emocje: niepokój, niemal panikę i jednocześnie przytłaczające poczucie beznadziei, jeśli chodzi o rodzaj ludzki.

Obrazy i dźwięki dobiegające z biura - klikanie i trzask kopiarki, wrzask McLeoda na sierżant Flower, stukanie klawiatury i dzwonki telefonów -to wszystko wokół niej zanikło. Stłumiła zbierający się w gardle szloch. Doświadczała podobnych emocji podczas lektury pewnych sprawozdań: o ścinaniu głów w Iraku czy wojnie domowej w Afryce, gdzie uzbrojone bandy równały z ziemią wioski, gwałcił kobiety i odrąbując ręce mężczyznom.

Wiedziała, że scen na zdjęciach nie można porównać z masowymi morderstwami, ale wrażenie, jakie na niej wywierały, było dokładnie takie samo: rozpacz, że człowiek może sięgnąć samego dna. Nawet w miasteczkach takich jak Algonquin Bay słyszało się o takich zdjęciach, ale aż do teraz Delorme nic takiego nie widziała. Mieli rok temu przypadek dyrektora zakładu opieki społecznej, człowieka bez wątpienia kochanego przez rodzinę i przyjaciół, którego oskarżono o posiadanie pornografii dziecięcej. Ale nie prowadziła tej sprawy i nie widziała materiału dowodowego. Facet popełnił samobójstwo po zwolnieniu za kaucją, najwyraźniej ze wstydu, chociaż oskarżono go tylko o posiadanie pornografii, a nie o produkcję czy też dystrybucję.

Delorme zdała sobie sprawę, że zdjęcia na jej biurku są dokumentacją przestępstw. Przestępca zrobił je sam w trakcie popełniania swoich zbrodni; niesamowita pornografia dziecięca. Na kilku zdjęciach dziewczynka wyglądała na siedem lub osiem lat, ciągle miała dziecięcy tłuszczyk wokół szyi i policzków; na innych miała około trzynastu lat - słodka buzia,

jasne blond włosy do ramion i niemal nienaturalnie zielone oczy, których kolor na paru fotografiach podkreślały łyzy. Zdjęcia robiono w sypialni, na kanapie, łodzi, w namiocie, hotelu. Na jednym pewien detal był rozmazany - kapelusik na głowie dziewczynki rozmył się w niebieskobiałą smugę.

Sprawca był bardzo ostrożny i nie pokazywał twarzy, stał się więc zbiorem różnorodnych szczegółów. Był owłosioną ręką, kłatką piersiową, patykowatymi nogami, piegowatym ramieniem, pośladkiem. Jego przyrodzenie, na wielu zdjęciach ujęte z bliska, wyglądało na zaczerwienione, ale trudno było wywnioskować, czy z powodu złej jakości fotografii, czy przekrwienia. Delorme, wcale przecież niepruderyjna ani niechętna mężczyznom, uznała ten widok za najohydniejszy, jaki w życiu widziała.

Zdawało się jej, że ten facet nie może być człowiekiem; że to tylko ożywione mięśnie, monstrum, które uciekło z laboratorium szaleńca. Lecz szokująca prawda była taka: to jednak człowiek. To mógł być każdy, nawet ktoś, kogo znała. W dodatku ofiara darzyła go uczuciem - na zbyt wielu zdjęciach widać było jej uśmiech i spokój. Musiał być albo jej ojcem, albo kimś blisko związanym z rodziną. Nie ulegało wątpliwości, że mała go kocha, i ten fakt przyprawiał Delorme o ból serca.

Z Toronto przyszły też dwie dodatkowe koperty. Pierwsza zawierała dokładne kopie zdjęć, ale cyfrowo usunięto z nich dziewczynkę i sprawcę. Teraz przedstawiały tylko zwyczajne miejsca: staromodną kanapę, łóżko hotelowe, wewnątrz namiotu, podwórko z brudnym, plastikowym domkiem. Miejsca, które nie wzbudziłyby zainteresowania, gdyby nie to, co w nich się stało.

Trzecia koperta zawierała tylko jedno zdjęcie, powiększenie tego, na którym dziewczynka ma kapelusik na głowie, wełniany, biało-niebieski toczek, już nierozmazany. Delorme nie miała pojęcia, jak policja z Toronto to zrobiła, ale to, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersiach. Rozpoznała toczek. Nie wszystkie wyszywane litery były widoczne, dokładnie jednak widziała „Fut... Zim... Algon...” Festiwal Futer Zimowych w Algonquin Bay.

Zadzwoił telefon.

- Delorme, wydział kryminalny.
- Tutaj sierżant Dukovsky. Przestała pani wymiotować?
- Sierżancie, być może pan przyzwyczaił się już do czegoś takiego, ale ja mam ochotę zamieszkać w lesie i do końca życia jeść tylko korzonki i jagody.

- Wiem, co pani ma na myśli. A ten gość to jeszcze nie najgorsze, co nam wpada w ręce. Ostatnio wyłapujemy zdjęcia noworodków, i to robione na żywo.

- Na żywo? Nie rozumiem.

- Przekaz bezpośredni. Koleś kupuje sobie kamerkę internetową i następuje dzieciaki online, a jego współpracownicy na całym świecie płacą i oglądają.

- Och!

- Na nieszczęście kilka ze zdjęć, które pani dostała, pojawiło się w tym samym chat-roomie co ten przekaz na żywo, więc nie zdziwiłbym się, gdyby nasz koleś wpadł na jakiś nowy pomysł.

- Miejmy nadzieję, że dorwiemy go wcześniej. Niech pan mi powie coś o tym festiwalowym toczku. Jak zdołaliście go tak dobrze wyostrzyć?

- Pracuje u nas parę sześćdziesięcioczerobitowych głów, mają fioła na punkcie oprogramowania graficznego. Prawdziwie zaawansowana technologia. Zapytałem ich, jak to działa, ale od razu tego pożałowałem. Zaczęli nawijać o filtrowaniu wyrównującym i algorytmach Lucy-Richardsona. Mówię pani, oni żywią się procesorami Athlona.

- A ja myślałam, że Photoshop jest fajny. Interesujące: nazwa festiwalu zmieniła się parę lat temu, by uniknąć protestów. To nie jest już festiwal futer, tylko po prostu festiwal zimowy.

- To może być ważne. Tylko nie wiemy, kiedy dziewczynka go dostała i od kogo.

- Tak czy inaczej, to jeszcze nie oznacza, że ona tu mieszka. Festiwal przyciąga ludzi z całego świata.

- E tam. Hordy ludzi przemierzają pół świata, żeby uczestniczyć w Festiwalu Futer Zimowych w Algonquin Bay?

- Nie hordy. I nie przyjeżdżają na festiwal, tylko na targi futrzarskie. Klienci z Paryża, Nowego Jorku, Londynu i tak dalej. Nawet Rosjanie przyjeżdżają, żeby podejrzeć konkurencję.

- Człowiek uczy się całe życie. Nie miałem pojęcia, że Algonquin Bay to ośrodek międzynarodowego handlu. Przyjrzała się pani zdjęciu na łodzi? Temu, gdzie w tle widać inne łodzie?

Delorme odszukała fotografię. Ukazywała pokład jachtu z całą masą drewnianych wykończeń, drewnianą podłogą, czerwonymi siedzeniami z pikowaną tapicerką. Na jednym z nich leżała dziewczynka, miała na sobie niebieskie džinsy i żółtą koszulkę. Wyglądała na dziesięć, jedenaście lat i uśmiechała się szeroko do obiektywu.

- Wiadomo, czemu przegapiłam tę fotkę - stwierdziła Delorme. - Akurat tu nic jej nie robi. Mała wygląda na szczęśliwą.

- Proszę spojrzeć na tło.

- Jest tam mały samolot z pływakami. Na ogonie widać kawałek numeru. CGK.

- Właśnie. To cessna skylane, a cały numer to CGKMC. Jakies pięć minut zajęło nam sprawdzenie tych liter i porównanie ich z oznakowaniem samolotów tego typu w Algonquin Bay. Ich właścicielem jest Frank Rowley. Podam pani jego adres i numer telefonu. Mam nadzieję, że pani zaimponowałam?

- Ale samolot jest tylko tłem. Nie ma powodu sądzić, że istnieje związek między właścicielem samolotu a tą mendą ze zdjęć.

- Nie ma, ale od czegoś trzeba zacząć. Proszę mi wierzyć, natychmiast dostanie pani wszystko, co uda nam się ustalić. Tymczasem może skupi pani swój francusko-kanadyjski umysł na tych zdjęciach. Proszę nad nimi posiedzieć, zawęzić krąg poszukiwań.

- A może rozlepimy fotografię dziewczynki, tak jak w przypadku osób zaginionych? Moglibyśmy rozwiesić jej zdjęcia na pocztach w nadziei, że zadzwoni ktoś, kto ją widział. Musimy działać szybko. On niszczy życie tego dziecka.

- Problem w tym, że sprawca też może je zobaczyć, i to wcześniej niż ktokolwiek inny. Pedofile nie są z natury brutalni, ale jeśli pomyśli, że mała mogłaby wpakować go na całe lata do więzienia, może ją po prostu zabić.

9

Następnego dnia Kelly weszła do kuchni w stroju do joggingu - czarne legginsy, fioletowo-różowa bluza z przyszytym do niej małym słoniem - i wzięła ze stołu pomarańczę. Catherine kupiła te pomarańcze. Kupiłaś kilogram pomarańczy, choć miałaś zamiar się zabić? - zapytał ją w myślach Cardinal.

- Chcesz trochę owsianki? - Nalał córce kawy.

- Jak wróć. Nie chcę dźwigać dodatkowych kilogramów. Rany, tato, wyglądasz na zmęczonego.

- I kto to mówi? - Oczy Kelly były podpuchnięte i zaczerwienione. - A ty możesz w ogóle spać?

- Nie bardzo. Co pół godziny się budzę - odparła, rzucając na stół skórki pomarańczy. - Nigdy nie sądziłam, że tak bardzo fizycznie można odczuwać emocje. Budzę się i nie mogę ruszyć nogami. Czuję się jak wrak, chociaż nic nie zrobiłam. Po prostu nie mogę uwierzyć, że już jej nie ma. No wiesz, jakby teraz stanęła w drzwiach, nie zdziwiłabym się specjalnie.

- Znalazłem to. - Cardinal trzymał w rękach zdjęcie, na które natrafił w albumie pełnym luźnych fotografii, czarno-biały portret osiemnastoletniej Catherine. Zdjęcie było nastrojowe i artystyczne, miała na sobie czarny golf, w uszach duże, srebrne, okrągłe kolczyki.

Kelly wybuchła płaczem, co zaskoczyło Cardinala. Może dlatego, żeby złagodzić jego smutek, córka tłumila rozpacz i żal. Teraz jednak płakała jak dziecko. Położył jej dłoń na ramieniu i pozwolił się wypłakać.

- Uf - westchnęła, kiedy wróciła z łazienki, gdzie obmyła twarz. - Tego mi chyba było trzeba.

- Tak właśnie wyglądała, gdy się poznaliśmy - powiedział Cardinal. - Uważałem ją za najpiękniejszą dziewczynę, jaką w życiu spotkałem. Taką, którą widuje się tylko w filmach.

- Zawsze była taka spięta?

- Ależ skąd. Cały czas żartowała z siebie.

- Chodź ze mną, pobiegamy razem - zaproponowała nagle Kelly. - Oboje pocujemy się lepiej.

- Czy ja wiem...

- No chodź. Wciąż przecież biegasz, prawda?

- Nie tak często, jak kiedyś.

- No chodź, tato. Poczujesz się lepiej. I ja też.

Madonna Road znajduje się w pobliżu autostrady numer 69, więc musieli przebiec około pół kilometra poboczem, a potem skrócić w lewo w Water Road, biegnącą brzegiem jeziora Trout. Dzień był cudownie pogodny, z ostrym posmakiem jesieni w powietrzu.

- Rany, ten zapach liści - wysapała Kelly. - Na wzgórzach widać każdy kolor z wyjątkiem niebieskiego.

Kelly nie była dziewczyną z natury radosną; z prawdziwym wysiłkiem próbowała rozweselić Cardinala, co bardzo go wzruszało. Był świadom piękna tego dnia, ale gdy tak biegli przedmieściami, ich kroki zdawały się wybijać rytm do słów: Catherine zmarła, Catherine zmarła. Cardinal czuł

sprzeczne emocje - pusty w środku i zarazem straszliwie ciężki, jakby jego serce było kulą ołowiu. Catherine też oddychała takim mroźnym powietrzem, pomyślał.

- Kiedy musisz wracać do Nowego Jorku? - zapytał.

- Dopiero w przyszłym tygodniu.

- Och, nie musisz zostawać aż tak długo. Jestem pewien, że powinnaś wracać.

- Nie, tato. Chcę zostać.

- A dziś? Masz jakieś plany?

- Zamierzałam zadzwonić do Kim Delaney, ale sama nie wiem. Pamiętasz Kim?

Cardinal przypomniał sobie kawał blond baby, wścieklej na cały świat i rozpolitykowanej. Były z Kelly nierozłączne w ostatnich latach college'u.

- Myślałem, że Kim wyruszyła już w świat.

- Ja też.

- Zabrzmiało ponuro. - Cardinal przypadkowo otarł się o kosz na śmieci. Mały terier podskoczył po drugiej stronie ogrodzenia, wściekle ujadając.

- No cóż, przez jakiś czas byłyśmy najlepszymi koleżankami, ale teraz nie wiem, czy w ogóle powinnam do niej dzwonić - stwierdziła Kelly. - Kim była najinteligentniejszą dziewczyną w college'u w Algonquin Bay, o wiele inteligentniejszą ode mnie: przewodnicząca klubu dyskusyjnego, delegatka młodzieży do ONZ, redaktorka księgi pamiątkowej. A teraz wygląda na to, że chce zostać królową przedmieść.

- Nie każdy chce się wyprowadzać do Nowego Jorku.

- Wiem. Ale Kim ma dwadzieścia siedem lat, trójkę dzieciaków i dwa, dwa! wozy terenowe.

Cardinal pokazał palcem podjazd, obok którego właśnie przebiegali: stały tam grand Cherokee i wagoneer.

- Potrafi gadać tylko o sporcie. Życie Kim obraca się chyba wokół curlingu, hokeja i piłki nożnej. Dziwię się, że nie zajęła się jeszcze kręglami.

- Priorytety się zmieniają, gdy ma się dzieci.

- W takim razie nie chcę mieć dzieci, jeśli to oznacza ograniczenie funkcji umysłowych. Kim nie czytała gazety od lat, w telewizji ogląda tylko *Ryzykantów* i *Idola*, i hokej. Hokej! Nienawidziła sportu, gdy byłyśmy w szkole. Szczerze? Myślałam, że będziemy wiecznymi przyjaciółkami, teraz jednak... chyba jednak do niej nie zadzwonię.

- Mam pomysł. Co powiesz na przejażdżkę do Toronto?
- Jedziesz do Toronto? Po co? - Kelly spojrzała na ojca. Na górnej warstwie miała cienką warstwę potu, zaróżowiły się jej policzki.
- Mam sprawę w Centrum Analiz. Chcę ją załatwić osobiście.
- To wiąże się z mamą?
- Tak.

Przez parę chwil słychać było tylko ich oddechy, a przynajmniej oddech Cardinala. Kelly nie wyglądała na szczególnie zmęczoną. Water Road skończyła się pętlą. Oboje zwolnili i przez chwilę biegli w miejscu. W oddali, za domami z czerwonej cegły, schludnymi trawnikami i rzędami ogromnych worków z pozostałościami po jesiennych porządkach, rozlewało się jezioro w kolorze głębokiego indy go.

- Tato - szepnęła Kelly - mama się zabiła. Popęłniła samobójstwo, i to boli jak diabli, ale prawda jest taka, że była chora, wychodziła ze szpitala i znów tam wracała, przez wiele lat. I naprawdę nie powinniśmy się dziwić, że chciała z tym skończyć. - Dotknęła jego ręki. - Wiesz, że to nie przez ciebie.

- Jedziesz ze mną?
- Rany, nie ma mowy, jak się już na coś uprzesz, co? - Pomyślała chwilę. - Dobra, pojedę. Ale tylko po to, żeby dotrzymać ci towarzystwa.
- Wracamy bardziej malowniczą trasą. - Cardinal pokazał ścieżkę, która wiała się między drzewami.

Przez całą drogę na południe autostradą numer 11 Cardinal nie mógł przestać myśleć o Catherine. Chociaż „myśleć” to nie najlepsze słowo. Czuł jej nieobecność w urodzie wzgórz. Czuł, że unosi się gdzieś nad drogą, którą zawsze się od niej oddalał i do niej wracał. Tym razem Catherine nie machała mu jednak na pożegnanie i nie będzie czekała na jego powrót.

Kelly przełączała kanały radia.

- Hej, wróć - powiedział Cardinal. - To Beatlesi!
- Faj, nie cierpię Beatlesów.
- Jak można nie cierpieć Beatlesów? To tak, jakby nie cierpieć słońca. Albo lodów.
- Nie lubię ich wcześniejszych kawałków. Brzmiały jak nakręcana zabawka.

Cardinal spojrzał na nią. Dwadzieścia siedem lat. Była starsza niż Catherine, gdy urodziła się Kelly. Zapytał o Nowy Jork.

Przez jakiś czas Kelly opowiadała mu o swych frustracjach związanych z próbami zaistnienia w środowisku artystycznym. W Nowym Jorku trudno się przebić. Musiała dzielić mieszkanie z trzema innymi kobietami i nie zawsze im się układało. I musiała pracować w dwóch miejscach, żeby jakoś związać koniec z końcem: była asystentką malarza Klausa Meiera - naciągała dla niego płótna na ramy i prowadziła jego księgi - trzy dni w tygodniu pracowała też jako kelnerka. Nie zostawało jej zbyt wiele czasu na malowanie.

- Nie ciągnie cię do życia w małym miasteczku? Nie masz ochoty rzucić tego wszystkiego?

- Nigdy. Czasem tęsknię za Kanadą, jasne. Trochę trudno zaprzyjaźnić się z Amerykanami.

- Jak to?

- Amerykanie to tylko pozornie najbardziej przyjaźni ludzie na świecie. Z początku byłam tym niemal odurzona... oni są tacy otwarci, o wiele bardziej niż Kanadyjczycy. I nie boją się dobrze bawić.

- To prawda. Kanadyjczycy są bardziej skryci.

Udaję, pomyślał Cardinal. Ja nie rozmawiam, ja udaję, że rozmawiam. Tak się to robi: słuchasz, potakujesz, zadajesz pytanie. Ale mnie tu nie ma. Nie ma mnie, tak jak nie ma World Trade Center. Moje serce do Strefa Zero.

Chciał porozmawiać o tym z Catherine, ale Catherine nie było.

Próbował się skupić.

- Któregoś dnia Amerykanie wynaleźli pewien rodzaj fałszywej poufałości - stwierdziła Kelly. - Na pierwszym spotkaniu opowiadają o rozwodach albo o tym, jak byli molestowani w dzieciństwie. Nie żartuję. Miałam chłopaka, który opowiadał, jak to jego ojciec dopuszczał się z nim kazirodztwa, tak to ujął. To było na naszej pierwszej randce. Na początku myślałam, że wszyscy są tacy ufni, ale to nieprawda. Oni po prostu nie mają poczucia przyzwoitości. Dlaczego się uśmiechasz?

- Zabawnie jest słuchać, jak mówisz o przyzwoitości. Taka niekonwencjonalna dziewczyna, jak ty.

- Tak naprawdę w głębi serca jestem całkiem konwencjonalna. Mam przeczucie, że to właśnie spowoduje mój artystyczny upadek. Boże, patrz na te drzewa.

Podróż do Toronto trwała cztery godziny. Cardinal zostawił Kelly w kafejce przy College Street, gdzie miała się spotkać z dawną przyjaciółką, a sam pojechał do Centrum Analiz przy Grenville.

Z punktu widzenia architektury Centrum Analiz nie wzbudza zainteresowania. Wielka, betonowa płyta jak wiele innych budynków rządowych pochodzi z epoki lanego betonu, który zastąpił cegłę i kamień. W środku jest to mieszanina kolorowych przepierzeń, tweedowych dywaników i wyciętych z gazet dowcipów rysunkowych, ponaklejanych nad biurkami pracowników.

Cardinal był tu wiele razy, chociaż akurat nie w dziale dokumentów, i ten swojski widok wytrącił go z równowagi. Tonął w najgłębszej życiowej rozpaczy; wszystko powinno być inne. A jednak strażnicy, stukająca winda, zwykłe gabinety, biurka, mapy i tablice - wszystko było dokładnie takie, jak kiedyś.

- No dobra, a więc mamy tu trzy różne rzeczy. - Tommy Hunn wyłożył je na laboratoryjny stół.

W przeciwieństwie do budynku Tommy się zmienił. Przerzedziły mu się włosy, a pasek nikał pod fałdą tłuszczu, tak jakby pod koszulą spał sobie jamnik.

- Jeden list pożegnalny. Jeden notatnik, w którym ten list prawdopodobnie został napisany. I jedna obrzydliwa karta kondolencyjna z wydrukowaną wewnątrz wiadomością.

- Może zaczniemy od karty - powiedział Cardinal. - Ona nie ma związku z pozostałymi dwiema rzeczami.

- Najpierw karta. - Hunn włożył gumowe rękawiczki, wyjął kartę z plastikowej koszulki i ją otworzył. - „Jakie to uczucie, palancie? - przeczytał pod nosem. - I nie da się przewidzieć, co będzie dalej”. Milutkie.

Przysunął tekst do okna i ustawił pod kątem do światła.

- Drukarka atramentowa, widać od razu. Żadnych cech charakterystycznych widocznych gołym okiem. Przynajmniej dla mnie. Ale przyjrzyjmy się temu dokładniej. - Wziął lupę i przysunął kartę do twarzy. - No i proszę. Skaza w druku. Popatrz na litery „d” i „b”.

Podał Cardinalowi lupę. Z początku Cardinal nic nie widział, ale gdy oko przystosowało się do powiększenia, dostrzegł jasną linię biegnącą przez górne fragmenty liter „d” i „b”.

- Dobra wiadomość jest taka, że jeśli drukarka robi coś takiego, to robi to zawsze. Zauważyłeś, że tylko w tym miejscu występuje skaza. Ale gdybyśmy mieli inną stronę z drukarki tego gościa, zobaczyłbyś tę samą skazę.

- W czym to nam może pomóc? - zapytał Cardinal.

- Bez drugiej próbki do porównań? W niczym. A zła wiadomość jest taka, że gdy zmieniają pojemnik z tuszem, zmieniają rodzaj skaz. Ale nie

zdziwiłbym się, gdyby zamiast wymieniać pojemnik, kupili nową drukarkę.

- A co możesz powiedzieć o tym? - Cardinal wskazał na notatnik.

- To zależy, co chcesz wiedzieć.

- Chciałbym upewnić się, że list napisano tym samym długopisem co resztę notatek. I dowiedzieć się, kiedy go napisano w stosunku do ostatnich wpisów. Otwórz na stronie, gdzie są „Urodziny Johna”.

- Urodziny Johna. Ha! Może ona kierowała to do ciebie?! - Hunn przewrócił kilka stron i przytrzymał notatnik pod światło, tak samo jak kartę.

- No tak, mamy odcisk długopisu. Widać „Najdroższy Johnie”. Najpierw włożymy obie rzeczy do komparatora. - Podniósł dużą pokrywę czegoś, co nazywało się VSC 2000. - Patrz w to okienko, gdy to włączę. Mogę oświetlić próbki kilkoma różnymi rodzajami światła i zobaczyć, co się okaże. Tusz może dla oka wyglądać identycznie, ale nawet ten sam rodzaj i model wykaże różnice w podczerwieni. Skład chemiczny różnych partii tuszu reaguje inaczej. Nie masz pojęcia, ile fałszywych testamentów wykryłem dzięki temu urządzeniu. „Najdroższy Johnie”. Super.

Cardinal schylił się, żeby zajrzeć w okienko. Pismo na stronach notatnika świeciło.

- Te są identyczne - stwierdził Hunn. - Tym samym długopisem napisano list i przypomnienie o urodzinach.

- Możesz stwierdzić, co było napisane wcześniej?

- Jasne. Musimy wpakować to do nawilżacza. - Hunn włożył notatnik do małego urządzenia ze szklaną szybą z przodu, które wyglądało jak mała mikrofalówka. - Wystarczy około minuty. Wgniecenia będą lepiej widoczne, gdy papier będzie wilgotny.

Urządzenie zapiszczało i Hunn wyjął notatnik.

- Teraz trochę magii DES-a i zobaczymy, co wyjdzie.

- Trochę czego?

- DES. Detektor elektrostatyki.

Była to potężna maszyna z wyciągiem wentylacyjnym u góry. Hunn ułożył notatnik tak, że pojedyncza strona leżała płasko nad warstwą pianki. Potem rozpostarł nad nią arkusz folii.

- Pod pianką mamy próżnię, która zasysa powietrze. Dzięki temu dokument będzie szczelnie przylegał. Teraz użyję innego sprzętu... spokojnie, nie będę zdejmował spodni. - Hunn wziął podobne do różdżki urządzenie i nacisnął włącznik, po czym przesunął nim nad foliowym arkuszem. - To maleństwo daje kilka tysięcy woltów.

Cardinal nie zauważył, żeby coś się zmieniło.

- Teraz zbiorę gwiazdny pył. - Hunn wytrząsnął z małego pojemnika coś, co wyglądało jak opiłki żelaza. - W rzeczywistości to małe koraliki ze szkła pokryte tonerem. Rozsypię je dokładnie tutaj... - Wysypał czarny proszek na folię pokrywającą stronę z notatnika. Koraliki ślizgały się, zostawiając toner w zagłębieniach. Błysnęła lampa błyskowa. - Zrobiłem zdjęcie; zobaczymy wszystko. Zdejmowano z nich odciski palców?

- Nie. Po co?

- Toner często wylapuje odciski, oczywiście nie tak dobrze jak talk. Zobacz, te tutaj to niezły materiał do porównań.

Cardinal podniósł zdjęcie, które wysunęło się ze szczeliny urządzenia. Na przypomnieniu o urodzinach Johna - teraz zupełnie białym - widać było mały, ciemny odcisk palca. Przez środek okręgów i spiral tego śladu przebiegała krótka, prosta linia, pamiątka po skaleczeniu - Catherine skaleczyła się lata temu w kuchni. Odcisk palca Catherine, trzymała notatnik na kolanach. Żyła. Myślała o mnie, planowała moje urodziny, przyszłość - Cardinal odkaslnął, maskując jęk w gardle. List pożegnalny był widoczny teraz w całości, jakby wygrawerowany czarnym tonerem. „Nim skończysz czytać”...

To jej charakter pisma. Wiesz dobrze, że to jej pismo. Dlaczego tak się tym zadrezczasz? - pytał siebie.

- W porządku - powiedział. - Wiemy już, że list został napisany na stronie wcześniejszej niż ta tutaj, co ma sens. Więc ta strona powinna być pusta, gdy Catherine pisała. Ale czy można stwierdzić, że tusz na tej stronie, w przypomnieniu o urodzinach, jest na odbiciu listu czy pod nim?

- Och, podoba mi się takie chytne myślenie. Połóżmy kartkę pod mikroskopem. Jeśli białe linie notatki o urodzinach będą przerywane czarnymi, to będzie znaczyło, że wgłębienia powstały później niż ten wpis. - Hunn popatrzył w mikroskop i ustawił ostrość. - Nie. Mamy czarne przerywane białymi. Czyli tusz na wgłębieniach.

- A więc list pożegnalny został napisany przed notatką o urodzinach.

- Tak, absolutnie. Zakładam, że wiesz, kiedy były urodziny tego tajemniczego Johna.

- Tak, ponad trzy miesiące temu.

- Hm. A więc nietypowe samobójstwo.

- Właśnie. Mogę zatrzymać to zdjęcie?

- Jasne. Dzięki niemu nie trzeba się tak troszczyć o oryginał. - Hunn wyciągnął oryginał z urządzenia i włożył go z powrotem do koszulki.

- Tommy, zrobisz dla mnie coś jeszcze?
- Co?
- Posyp tym magicznym proszkiem list.
- Chcesz go sprawdzić pod kątem wcześniejszych odgnieceń długopisu?

Masz już przecież ślady na przypomnieniu o urodzinach.

- Zależy mi na tym. Moi miejscowi towarzysze broni niespecjalnie trzymają moją stronę w tej sprawie.

- Dobra. - Hunn popatrzył na niego przenikliwie.

Powtórzył całą procedurę zwilżania listu, zabezpieczania go pod folią, traktowania ładunkiem elektrycznym. Potem rozsypał na folii proszek.

- Masa różnych wgłębień z wcześniejszych zapisków. Jeśli chcesz, możemy włożyć to pod mikroskop i ustalić, które zapiski powstały wcześniej.

- Popatrz na to. - Cardinal wyciągnął zdjęcie. List był teraz na biało. Jednak na górze strony, pośrodku, zarysowane czarnym tonerem było coś jeszcze.

- Sporo większy niż ten poprzedni - stwierdził Hunn - i nie ma bliźny. Nie jestem z dochodzeniówki, ale według mnie to zupełnie inny odcisk kciuka.

Niedługo potem Hunn odprowadził go do windy, gdzie czekali chwilę w milczeniu. Odezwał się sygnał, znak jej przyjazdu. Cardinal wsiadł i wcisnął guzik parteru.

- Posłuchaj - ton głosu Hunna zdradzał, że intensywnie nad czymś myśli - to wszystko nie ma związku z tobą, prawda? To znaczy... osobistego. Ten John z notatnika to nie ty, co?

- Dziękuję za pomoc, Tommy - odparł Cardinal, gdy drzwi windy się zamykały. - Wielkie dzięki.

Powrót do Algonquin Bay tego samego dnia oznaczał, że Cardinal i Kelly musieli spędzić w samochodzie w sumie osiem godzin. Droga powrotna upłynęła spokojnie.

Cardinal zapytał, co słysząc u koleżanki Kelly.

- W porządku. Przynajmniej nie zamieniała się w warzywko jak Kim. Ciągłe zajmuje się sztuką i mniej więcej wie, co się dokoła dzieje.

Bawiła się kosmykiem fioletowo-czarnych włosów i patrzyła przez szybę. Cardinal pamiętał doskonale, jak w tym właśnie wieku zmienili się jego koledzy. Wielu przestało się z nim kontaktować, gdy został policjantem, i skreśliło go, gdy wyprowadził się do Algonquin Bay.

„Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo - mawiała Catherine. - Każdy ma swoje życie i czasem nas w nim nie ma, zazwyczaj wtedy, gdy bardzo byśmy chcieli w nim być. A czasem na odwrót, jesteśmy w nim, zazwyczaj wtedy, gdy bardzo tego nie chcemy”.

A teraz, Catherine? Jak poradzę sobie z tym, że cię nie ma? - pomyślał.

„Jak glina - wyobraził sobie jej odpowiedź i przekorny uśmiech. - Tak jak radzisz sobie ze wszystkim”.

Ale to nie pomaga! - chciał krzyknąć. Nic nie pomaga.

Przejechali obok WonderWorld, ogromnego parku rozrywki na północ od Toronto. Przez szyby widać było sztuczne szczyty gór i ogromne kolejki górskie. Kelly zapytała, jak mu poszło w Centrum Analiz, ale Cardinal wymamrotał coś wymijająco. Nie chciał zobaczyć w jej oczach żalu i frustracji.

- Chyba zjemy obiad w Sundial - powiedziała, gdy Orillia była już za nimi.

- Niestety, nie - odparł. - Sundial jest zamknięte.

- Nie do wiary! To koniec pewnej epoki.

Musiały wystarczyć im zwyczajne kanapki na stacji benzynowej.

Gdy wrócili do domu, zapadła już ciemność. Wzgórza i drzewa były ciche, balsam dla uszu po wiecznym hałasie Toronto. No i się ochłodziło. Na wpół widoczny księżyc oświetlał strzępy chmur wiszących w bezruchu nad wodą; czarne jezioro lśniło jak lakierowana skóra.

Gdy Cardinal otworzył drzwi wejściowe, nadepnął na brzeg białej koperty. Podniósł ją, nie pokazując jej Kelly.

- Idę pod prysznic. - Kelly zdjęła kurtkę. - Po całym dniu w samochodzie czuję się brudna.

Cardinal zaniósł kopertę do kuchni, trzymając ją za róg. Włączył światło i spojrzął na adres. Był pewien, że widzi bladą linię biegnącą przez „M”, „d” i „R” w „Madonna Road”.

10

Odwołując wcześniej doktora Bella, Cardinal nie zwrócił uwagi, jak komfortowo dla pacjenta urządzony był jego gabinet. Wielkie, słoneczne

okna udrapowane zwiewnymi jak żagle zasłonami, regały od podłogi po sufit wypełnione fachowymi książkami dodającymi otuchy, pachnącymi papierem, klejem i tuszem, wytarte perskie dywany; wszystko w tym pokoju wyrażało równowagę, trwałość, mądrość - to, czego pacjentom doktora mogło brakować w ich własnym życiu. Był to azyl chroniący przed chaosem, kokon, w którym bezpiecznie mogli dzielić się swoimi refleksjami.

Cardinal opadł na kanapę. Zauważył pudełka chusteczek dyskretnie umieszczone na każdym końcu stolika - dokładnie tak samo jak w domu pogrzebowym Desmonda - i zastanawiał się, jak często siedziała tu i płakała Catherine. Czy mówiła też o swym rozczarowaniu mężem, który nie poświęcał jej wystarczającej uwagi, nie był wystarczająco dobry i cierpliwy?

- „Ależ ona musiała cię nienawidzić” - doktor Bell przeczytał tekst wydrukowany w ostatniej karcie. - „Zawiodłeś ją na całej linii”. - Jaka była pańska reakcja po przeczytaniu tego? - Popatrzył na Cardinala znad małych okularów. - Chodzi mi o pierwszą reakcję.

- Pomyślałem, że on ma rację. Albo ona. Ktokolwiek to napisał. Prawdą jest, że ją zawiodłem i że pewnie mnie za to znenawidziła.

- Wierzy pan w to?

Lagodne oczy doktora nie badały, nie prześwietlały - czekał cierpliwie. W szklach okularów odbijały się jasne kwadraty okien.

- Tak, wierzę, że ją zawiodłem.

A w co nie mógł uwierzyć? Że rozmawia o tej sprawie z kimś takim. Nigdy z nikim tak nie rozmawiał, z wyjątkiem Catherine. Było coś w Bellu, aura delikatnego wyczekiwania, jego wygląd, to, jak się ubierał - to wszystko wzbudzało zaufanie. Nic dziwnego, że Catherine go lubiła, chociaż...

- Tak? - zapytał doktor. - Teraz się pan waha.

- Coś sobie przypomniałem. Coś, co Catherine mi powiedziała zaraz po wizycie u pana. Widać było, że płakała, więc zapytałem, co się stało. Jak poszło. Odpowiedziała: „Uwielbiam doktora Bella, jest wspaniały. Ale czasem nawet najlepszy lekarz musi cię zranić”.

- Pomyślał pan o tym teraz, bo moje pytanie zabolalo.

Cardinal przytaknął.

- W psychoterapii jest takie popularne stwierdzenie: Musi się pogorszyć, zanim się polepszy.

- Tak, Catherine mówiła mi to samo.

- Nie jest niczyją intencją pogarszanie stanu pacjenta - wyjaśniał doktor. W rękach obracał mały mosiężny przedmiot, który wyglądał jak

miniaturowa maszyna parowa. - Ale wszyscy tworzymy system obrony przed pewnymi prawdami o nas samych lub naszej sytuacji, głównie przed rzeczywistością, a terapia zapewnia przestrzeń, w której bezpiecznie można ten system rozbroić. Pacjent go rozbraja, nie terapeuta, mimo to taki proces musi przebiegać boleśnie.

- Na szczęście nie przyszedłem tu jako pacjent. Chciałem pana tylko zapytać o te karty. Zdaję sobie sprawę, że nie robi pan portretów psychologicznych...

- Niestety, nigdy nie wydawałem ekspertyz sądowych.

- Nie szkodzi, to nie jest oficjalne śledztwo. Miałem jednak nadzieję, że powie mi pan, jakiego rodzaju osoba mogła napisać coś takiego. Zostały wysłane z dwóch różnych miejsc, ale wydrukowano je na tej samej drukarce.

- Co dokładnie jest badane, oficjalnie czy też nie?

- Śmierć... - Cardinal zaciął się na tym słowie. W odniesieniu do Catherine ciągle nie przechodziło mu ono przez gardło, mimo że minął już ponad tydzień. - Catherine.

- To znaczy, nie wierzy pan, że popełniła samobójstwo?

- Koroner stwierdził samobójstwo, moi koledzy z komisariatu się z nim zgadzają. Mnie trochę trudniej to zaakceptować, chociaż pewnie powie pan, że to tylko moja obrona.

- Ależ nie, nigdy bym nie powiedział, że to tylko obrona. Dla obrony mam ogromny szacunek. Ona pomaga nam przetrwać dzień, o nocy nawet nie wspomnę. Nie wątpię też w pańskie kompetencje w sprawach zabójstw. Moje doświadczenie z pracy z Catherine przemawia za tezą o samobójstwie, lecz jeśli dowody miałyby wskazywać na coś innego, to nie będę na czarne mówił białe. Na pewno poszlaka wskazująca na przypadkową śmierć byłaby także dla mnie łatwiejsza do przyjęcia. Ale pan nie mówi tu o przypadku, prawda?

- Nie.

- Uważa pan, że została zamordowana. I że ktoś, kto wypisuje te ohydne karty, ma coś wspólnego z zabójstwem.

- Powiedzmy, że na dziś mam kilka wątków i za nimi podążam. Oczywiście chciałbym uregulować należność za pomoc; powinienem być od tego zacząć.

- Wykluczone. Nie mógłbym przyjąć żadnej zapłaty. To nie moja działka. Cieszę się, że mogę wyrazić swoje prywatne zdanie, ale przyjęcie pieniędzy oznaczałoby profesjonalną usługę. W tym przypadku z pewnością tak

nie jest. - Doktor Bell uśmiechnął się, na moment przymknął powieki. - Takie zastrzeżenie wystarczy. Ciągłe pan chce, żebym kontynuował?

- Bardzo proszę.

Bell poruszył lekko ramionami i pokręcił głową. Jeśli to tik, to widziałem gorsze, pomyślał Cardinal. Doktor wziął pierwszą kartę i poprawił okulary. Usiadł wygodniej na krześle i przysunął kartę bliżej światła. Potem znieruchomiał, jak postać na obrazie.

- No dobrze - odezwał się po dłuższej chwili. - Przede wszystkim, jaka jest natura człowieka, który pisze taką notkę? W gruncie rzeczy mamy tu kogoś, kto z pana szydzi.

- Moja koleżanka powiedziała dokładnie to samo.

- W dodatku ten człowiek nie robi tego prosto w oczy, ale się ukrywa. Tak jak dziecko, które z bezpiecznej odległości przeżywa kogoś na ulicy. Wie, że nie może pan zareagować. To tchórzliwy i pełen strachu rodzaj ataku. A zabójstwo jest bardzo osobiste i bezpośrednie. Zazwyczaj. Żeby łączyć te karty z możliwością zamordowania Catherine, musi pan założyć, że motyw w obu przypadkach był ten sam: celem ataku jest pan, a Catherine była tylko środkiem, żeby ten cel osiągnąć. Żeby pana zranić, morderca wcześniej w jakiś sposób zdobył jej list pożegnalny... chyba że myśli pan, że to nie jest jej pismo. Ma pan co do tego jakiejś wątpliwości?

- Na razie przyjmijmy, że jest autentyczny.

- Co oznacza, że ktoś zdobył jej list. Jak to się mogło stać?

- Nie wiem, jeszcze nie wiem. Proszę kontynuować.

- Zamierza zranić pana, krzywdząc ją, być może śledzi ją przez jakiś czas... nawet długi czas. Może szpera w jej rzeczach i znajduje list, który napisała któregoś wyjątkowo trudnego dnia. Może nawet znajduje go, gdy się go już pozbyła, kto wie? Tak czy inaczej, idzie za nią tej nocy, gdy jest zupełnie sama, i zrzuca ją z dachu. Potem zostawia list, żeby zmylić trop. Jeśli tak faktycznie było, to wydaje mi się, że człowiek zdolny do tego wszystkiego, czyli do podchodów, czekania i w końcu do przemocy, taki człowiek to nie sierota, która potrafi tylko pisać anonimy. Jasno się wyrażam?

- Chciałbym, żeby chłopaki z Nauk Behawioralnych wyrażali się tak jasno - oparł Cardinal. - Proszę dalej.

- Moim zdaniem, w tym przypadku chodzi o kogoś, kto pana zna. I kładę nacisk na pana, nie na Catherine. Zadał sobie trud ukrycia swojego charakteru pisma. I mówił pan, że wysłał karty z dwóch różnych miejsc. - Doktor opadł na krzesło, kołysząc nim, nogę oparł na stoliku. - To zapewne ktoś nerwowy i zamknięty w sobie. Ktoś, kto uważa siebie za nieudacznika.

Prawie na pewno bezrobotny. Zerowe poczucie własnej wartości. A sądząc po pierwszej karcie, także ktoś, kto cierpi z powodu jakiejś straty, za którą pan odpowiada. Na pewno rozważał pan już możliwość, że to ktoś, kogo pan kiedyś przymknął.

- Tak, i jest takich wielu.

- Właśnie, ale słowa: „Jakie to uczucie”, wyrażają chyba szczególną intencję. Ktoś panu następuje na nogę, więc pan robi to samo. Jakie to uczucie? Jak ci się to podoba? Według mnie, to nie tylko ktoś, kogo pan wsadził, ale być może ktoś, kto także stracił żonę w wyniku tego uwięzienia.

- Nie robimy statystyk, ale takich pewnie nie brakuje. Więzienie to ciężka próba dla małżeństwa.

- Pobyt w szpitalu też, chociaż warto zauważyć pański godny podziwu przykład.

Cardinal chciał powiedzieć, że robił, co mógł, najwyraźniej nie było to wystarczająco dużo, ale żal chwycił go kościstą ręką za gardło. Otworzył swoją aktówkę i wyjął list Catherine z plastikowej koszulki.

Doktor Bell po raz kolejny zwrócił się w stronę światła. Zamyślony, podrapał się i znów zastygł w bezruchu.

- Czytanie tego musiało strasznie boleć - rzekł po chwili.

- Jak się panu wydaje, doktorze? Czy to brzmi autentycznie?

- Ach, więc ma pan wątpliwości co do autentyczności?

- Proszę mi tylko powiedzieć, jak to dla pana brzmi.

- Dokładnie w stylu Catherine. Głęboko zasmucona kobieta, która często traci nadzieję, ale jest także zdolna do wspaniałej miłości. Myślę, że miłość pomagała jej przetrwać depresję, a one, według wszelkich przesłanek, powinny okazać się zabójcze. Jej głównym zmartwieniem, a słyszałem to od niej wiele razy, było, jak jej choroba wpłynie na pana. Najwyraźniej aż do końca.

- Jeśli to był koniec - zastrzegł Cardinal.

11

Larry Burke był nowy w wydziale kryminalnym. Tak naprawdę mundur zdjął dopiero przed paroma miesiącami. Bardzo chciał wyrzucić dobre

wrażenie na kolegach z wydziału. Obawiał się nawet, że wpadanie do pubu Country Style na spokojny lunch mogłoby być odbierane jako coś banalnego - gliniarz zajadający się pączkami. Prawda była taka, że miał gdzieś pączki, po prostu smakowała mu serwowana w pubie kawa. A ostatnio robili też świetne kanapki, więc czemu miał nie jeść tam, gdzie lubił?

To było jego ulubione zajęcie w dni wolne od pracy: usiąść w Country Style nad dziennikiem „Toronto Sun” - najlepiej relacjonował wydarzenia sportowe - zamówić ogromną kawę i kanapkę z sałatką z kurczaka i po prostu spędzić tam na luzie półtorej godziny. Tego dnia promienie słońca wpadały przez okna i Burke'owi było za gorąco, chociaż październikowe powietrze było chłodne, a wzgórza pokrywały jesienne kolory szkarłatu i złota.

Oblizła palce z resztek sałatki i łyknął kawy. Czekala na niego jeszcze babeczka z otrębami, ale nie chciał zbyt szybko kończyć lunchu. Cóż, odkąd rozstali się z Brendą - lub raczej odkąd Brenda rozstała się z nim - dni stały się przygnębiające. Burke z przyjemnością pociągnąłby ten pełen wzlotów i upadków związek jeszcze rok lub dwa.

Zastanawiał się, czy do niej nie zadzwonić i zapytać, jak leci, ale nie chciał robić z siebie żalostnego durnia. Zresztą, Brenda miała rację: związek bez przyszłości.

- Jezu, nie uwierzycie, co właśnie widziałem.

Burke spojrzął znad artykułu o pucharach. Facet przy stoliku obok gapił się nad jego ramieniem na coś za oknem. Burke obejrzał się, ale widział tylko parking, a na nim nic się nie działo.

- Już poszedł - powiedział facet - ale przysięgam, że koleś, który wysiadł z tej hondy civic, miał strzelbę. Wszedł do pralni, wyglądał na wkurzonego.

- Jest pan pewny, że niósł strzelbę?

- Kurczę, w zeszłą sobotę ustrzeliłem sześć kaczek. Rozpoznam flintę, gdy ją zobaczę.

Burke'owi nagle zrobiło się sucho w ustach. Nie zabrał ze sobą służbowej broni ani radia. Wyjął komórkę i wybrał numer dyżurnego na posterunku.

- Cześć, Mo, tu Burke... Tak, tak, wiem, posłuchaj. Mam zgłoszenie, że do pralni obok Country Style wszedł uzbrojony facet. Nie widziałem go, ale myśliwy, który siedzi obok mnie, przysięga, że facet miał strzelbę.

Usłyszał, jak sierżant włącza radio; rozłączył się, wyszedł na parking i skierował w stronę pralni. Woń liści mieszała się z zapachami detergentów

ulatujących z przewodów wentylacyjnych pralni. Było tak chłodno, że dostał gęsiej skórki. A przynajmniej zdawało mu się, że to z powodu chłodu.

Nie wahał się. Z doświadczenia wiedział, że w takich przypadkach czekać to najgorsza strategia. W takich sytuacjach nigdy nie jest lepiej. Miał nadzieję, że facet albo miał zabawkę, albo może jechał ze strzelbą do naprawy.

Otworzył drzwi pralni i wszedł do środka. Młody chłopak - szczupły, nawet mizerny, o chudej szyi, przedwcześnie łysiejący, miał może dwadzieścia kilka lat, nie więcej - gapił się na wirującą suszarkę na samym końcu szeregu pralek, tak jakby oglądał mecz futbolowy, a nie furę prania. Na początku rzędu plastikowych krzeseł siedziały trzy kobiety; czytały kolorowe pisemka albo słuchały iPoda. Żadna nawet na niego nie spojrzała.

Udając, że idzie po gazetę, Burke przeszedł z drugiej strony pralek i zauważył, że młody człowiek rzeczywiście trzyma w ręku dubeltówkę. Kołysała się w luźnym uścisku dłoni lułą do dołu. Chłopak wyglądał na nieświadomego obecności innych.

Burke cofnął się o kilka kroków. Postukał pierwszą z kobiet w ramię i gdy ta zaskoczona spojrzała w górę znad pisma, położył palec na ustach. Pokazał jej swoją odznakę i wskazał drzwi. Otworzyła usta, ale Burke jeszcze raz ją uciszył. Podniosła mały plecak z podłogi i wyszła.

Pozostałe kobiety obserwowały sytuację. Im też gestem nakazał wyjść. Obie wstały, ale zamiast wyjść, jedna z nich podeszła do suszarek.

- O Boże, on ma broń! - krzyknęła.

- Za drzwiami. Szybko. - Burke złapał ją za łokieć. - Proszę wyjść i trzymać się z dala od okien. Niech nikt się nie zbliża, dopóki nie przyjadą posiłki. No już, już!

Kobieta nie odwróciła się, nawet gdy drzwi trzasnęły za nią.

Dwie inne osoby na samym końcu pralni niczego nie usłyszały przez bulgotanie i stukot pralek, a chłopak siedział między nimi a Burkiem. Teraz patrzył na niego.

- Czego pan chce? - zapytał.

Miał nieprzyjemny głos, brzmiał jak kwakanie kaczki, pasował do znacznie starszego mężczyzny.

- Jeden gość wpadł w panikę, gdy zobaczył, jak wchodzisz tu z bronią. - Burke się uśmiechnął. - Pomyślałem, że sprawdzę, co i jak.

- Nie mam zamiaru nikogo skrzywdzić.

- To dobrze. Ale wiesz, że prawo nie pozwala nosić niezabezpieczonej broni w granicach miasta?

- Kim pan jest? Gliną?

Burke przytaknął i znów się uśmiechnął. Popatrzył chwilę na sufit, potem na chłopaka. Próbował przypomnieć sobie, co mówili w szkole policyjnej na temat kontaktu wzrokowego z niezrównoważonym osobnikiem. Niektórzy odbierali to jako zagrożenie, ale inni się uspokajali. Nie pamiętał, jak to było, więc próbował trochę tak, trochę tak.

- Nie mam dziś służby - powiedział. - Dobra, podaj mi broń, kolbą do przodu.

- Nie. Nie zrobię tego.

Kobieta i mężczyzna z tyłu wciąż nie wiedzieli, co się dzieje. Gdyby Burke mógł ich wyprowadzić, sam też by wyszedł i spokojnie czekał przed pustym budynkiem na przyjazd wsparcia. Gdzie oni są, do cholery?

- Posłuchaj - zaproponował. - Powiem tylko tym ludziom, żeby wyszli. Obawiam się, że ta broń może wypalić, a przecież nie chcemy, żeby ktoś został ranny, prawda?

- W porządku. Wyprowadź ich. Ty też idź.

- Przepraszam! - Burke musiał przekrzykiwać hałas pralek. - Przepraszam państwa! - Pokazał swoją odznakę, chociaż i tak z tej odległości nie mogli nic z niej odczytać. - Proszę państwa! Jestem z policji. Muszę prosić o opuszczenie budynku. Proszę wyjść na zewnątrz i przez jakiś czas czekać w bezpiecznej odległości.

Mężczyzna mamrotał coś pod nosem, podnosząc plecak i butelkę mrożonej herbaty i idąc do drzwi, przez które wyszła kobieta, już bez zbędnych protestów.

Burke odwrócił się do młodego człowieka z bronią; on naprawdę wyglądał jak chłopiec.

- Poproszę jeszcze raz. Możesz oddać mi broń? Najpierw kolba.

W odpowiedzi chłopak wprowadził nabój do komory. Serce podskoczyło Burke'owi do gardła.

- Dobra, posłuchaj. - Burke podniósł ręce. - Jestem nieuzbrojony. Mówiłem ci, mam dziś wolne. Odłóż broń i utnijmy pogawędkę na ten temat.

Utnijmy pogawędkę? Pogawędkę? Byłoby miło, gdybym mówił jak normalny człowiek, pomyślał.

- Wyjdź stąd - powiedział chłopak swoim kaczym głosem. - Nikomu nie zrobię krzywdy. Tylko sobie.

- Powiedz przynajmniej, jak się nazywasz. Przecież będziemy musieli cię zidentyfikować, i w ogóle.

- Perry. Perry Dorn.

- Ja mam na imię Larry - przedstawił się Burke. - Perry i Larry, brzmi nieźle, co?

Łączenie w pary, tak to się nazywa. Znajdź sposób, żeby się jakoś z gościem identyfikować. Jeśli zapali szluga, ty też zapal. Jeśli ma ochotę na pizzę, zapytaj, czy da ci kawałek. Łączenie w pary może przynieść skutek, zobaczą w tobie człowieka, zobaczą w tobie życzliwość.

- Więc gdzie mieszkasz, Perry?

- Woodruff Avenue. Woodruff 341.

- Ach tak, ten budynek przy starej stacji kolejowej? Fajne miejsce.

- To dziura.

- Poważnie? Patrząc z zewnątrz, w życiu bym nie pomyślał.

- No właśnie. Zadziwiające, czego się nie wie, patrząc tylko z zewnątrz.

- Szczerą prawdą - odparł Burke. - Najprawdziwszą. Może powiesz mi trochę, co jest nie tak? Wyglądasz na całkiem silnego faceta. Na takiego, co dostanie parę ciosów i nie pada na deski. Co się dzieje, Perry? Co cię tak dobiło? Praca? Dziewczyna?

Perry pokręcił głową. Kącik ust mu drżał, jakby chłopak czuł żółć podchodzącą mu do gardła.

- Jeśli powiem, zostawi mnie pan w spokoju?

- Nie mogę odejść, dopóki masz broń, Perry. Miałbym poważne kłopoty, gdybym to zrobił. Powiedz, co ci zależy?

Chłopak zamrugał kilka razy. Czoło zrosił mu pot i spłynął na oczy. W pralni było ciepło, ale nie aż tak.

- Nie mam dziewczyny i nie mam pracy. Zapiszmy takie równanie: Niech X będzie studentem. Byłem studentem. Miałem iść do McGill na studia, ale z dziewczyną. Niech Y będzie moją dziewczyną. Była dziewczyną. Powiedziała, że pojedzie ze mną, ale później zmieniła zdanie, po tym, jak już zostałem przyjęty i za wszystko zapłaciłem, miałem wykupiony bilet i tak dalej. Wiedziałem, że coś jest nie tak z tym równaniem. I to jeszcze, zanim się wycofała. Wiedziałem, że to nie może iść tak pięknie. I miałem rację. Otrzymałem właściwą odpowiedź, nie wiedziałem tylko, jak ją otrzymałem.

- To trudne, Perry - powiedział Burke. - Ciężki bagaż do udźwignięcia. Wiesz, nie byłoby źle, gdybyś dał sobie trochę czasu na uporanie się z tym.

Młody człowiek go zignorował.

- Miałem iść do McGill. Mieli opłacić moje chesne. Zapłaciłbym tylko za książki i jedzenie, a teraz nie mogę jechać. Bo widzisz, nie chodzi tylko o to, że ona nie chciała jechać do Montrealu. Nie w tym problem. Rzuciła mnie, bo spała z kolesiem, niby moim kumplem. Niech to będzie Z. Stanley, mój tak zwany przyjaciel.

Burke'owi mogło się zdawać, że robi postępy, wciągając chłopaka w opowiadanie o sobie i swoich kłopotach. Ten jednak mówił beznamytnie. Kwaczącym głosem rozwiązywał matematyczne równania swej niedoli i nie pozwalał odwrócić od tego swojej uwagi. Rzucił matematycznymi formułkami, jakby jego życie było matematycznym problemem. Ten chłód w głosie, ten brak odczuwania sprawiał, że serce Burke'a biło ze zdwojoną szybkością.

- No cóż, Perry, niech to szlag. Robi się coraz gorzej. Nie dziwne, że masz dość. Każdy by miał. Musisz trochę odpocząć, stary. Potrzeba trochę czasu, żeby odzyskać siły po czymś takim.

- Czas się skończył. Miałem pojawić się na zajęciach parę tygodni temu. Już mnie skreślili z listy. A jeśli chodzi o moją dziewczynę...

- Jak ma na imię?

- Margaret. Ale wszyscy mówią na nią Peg.

- Margaret. To irlandzkie imię.

Nie słuchał.

- Puszczala się na prawo i lewo - powiedział, jakby już wcześniej tego nie mówił. - To w pewnym sensie wprowadza nowy wektor do tego równania. Była niewierna. Od dawna, za moimi plecami. Mówi, że nie, że to tylko ostatnio. Nie mogę tego udowodnić, ale wiem, że kłamie. Mam takie przecucie. Wszystko to kłamstwo.

Chłopak powinien się rozplakać, jednak ten jego głos... Jest martwy, taki ostatecznie pewny. Wszystkie maszyny ucichły, z wyjątkiem suszarki, która z hukiem uderza o ścianę. Burke słyszy zatrzymujące się na zewnątrz samochody: w końcu przybyło wsparcie. Nagle przychodzi natchnienie, przecucie warte kogoś z dochodzeniówki. Wskazuje na pralnię.

- Tutaj ją spotkałeś, Perry? Czy przypadkiem nie tu po raz pierwszy się spotkaliście?

- Szóstka z plusem - odpowiada chłopak i uśmiecha się szeroko.

Bingo! - myśli Burke. Teraz już dokądś zmierzamy.

I właśnie w tym momencie Perry Dorn odwraca strzelbę, przystawia ją sobie do podbródka i pociąga za spust.

Jednym z aspektów pracy małomiasteczkowego policjanta, dzięki któremu jest ona bardziej interesująca i frustrująca niż praca w metropolii, jest to, że detektyw ma do czynienia z wszelkimi rodzajami przestępstw. Nie pracuje w obyczajówce ani w wydziale zabójstw, ani w gospodarczym; dostaje to, co zleci mu jego zwierzchnik. Cardinal był na zwolnieniu, McLeod i Burke wzięli wolne, więc to właśnie Lise Delorme musiała zająć się kolejnym samobójstwem - tym razem w pachnącej detergentami, gorącym metalem i mydłem pralni. Tak jakby nie wystarczyło jej polowanie na faceta molestującego dzieci.

Delorme czuła też w środku zapach krwi. Sufit ociekał czerwoną mazią i sporą ilością tkanki mózgowej, a w miejscu, gdzie samobójca upadł, pełno było szkarłatnych bryzgów, plam i smug. Kałuża krwi na podłodze już pociemniała i zaczynała krzepnąć.

- Rany - powiedział Szelagy. - Jak myślisz, co mogło być przyczyną śmierci?

Każdy, kto stanął obok Kena Szelagy'ego, czuł się tak, jakby stał obok drapacza chmur. Facet miał prawie dwa metry i Delorme zawsze czuła się przy nim jak kruszynka, chociaż wcale kruszynką nie była. Zazwyczaj rekompensowała to sobie szorstkim zachowaniem, choć nie musiała, bo Szelagy był najbardziej spokojnym facetem z wydziału kryminalnego.

Postali chwilę z boku, żeby koroner mógł zrobić swoje. Znowu padło na doktora Claybourne'a. Na jego głowie pobłyskiwały odbicia lamp fluorescencyjnych.

Delorme przejrzała zawartość portfela samobójcy. W gumowych rękawiczkach trudno wyjmować pojedynczo karty i dokumenty, ale w końcu udało jej się wydobyć prawo jazdy. Surowa, trochę przechylona twarz na zdjęciu niezbyt przypominała krwawe resztki na podłodze.

- Perry Wallace Dorn - przeczytała. - Mieszkał przy Woodruff, o ile to aktualny adres.

- Kawalek drogi stąd - zauważył Szelagy. - Mógł przynajmniej iść do swojej pralni. Może automat zjadł mu monetę.

Delorme przerzuciła kilka kart kredytowych, kartę biblioteczną, ubezpieczenie, kartę rabatową księgarni, nieważną już legitymację studencką Northern University.

- Mam - powiedziała w końcu. - Akt urodzenia.

Obróciła go. Niestety, był to skrócony odpis aktu, bez imion rodziców. Podala go Szelagy'emu.

- Zadzwoń do USC, sprawdź dane rodziców i czy facet miał żonę.

Szelagy wyjął telefon, a Delorme wzięła kawałek papieru, który podawał jej doktor Claybourne.

- Miał to w kieszeni marynarki - stwierdziła.

Jego twarz była czerwona. Taka cera, przypomniała sobie Delorme, lekceważąc aluzje McLeoda. McLeod zawsze się mylił, aż dziw, że został detektywem.

Kartka została zgnieciona w kulkę, potem wyprostowana i złożona już bardziej starannie. Tak czy inaczej, nie miała szans na zapisanie się w historii wspaniałych, romantycznych listów.

„Droga Margaret” - i tyle. Te słowa przekreślono i przepisano kilka razy w różnych miejscach. „Droga Margaret, Droga Margaret, Droga”... Zero punktów za elokwencję, Perry. Później jednak Delorme zmieniła zdanie. Może właśnie wystarczyło napisać tylko to, gdy chciał rozstać się z życiem. Nie, dzięki, mam już dość. Wy idźcie sobie dalej beze mnie. Może Perry Dorn zawarł tu całą esencję listu pożegnalnego: „Droga”...

Można by pomyśleć, że spotyka to tylko nieudaczników, przemknęło jej przez myśl, ofiary losu lub ludzi bez perspektyw. Widziała już jednak wystarczająco dużo, żeby zdawać sobie sprawę z tego, że samobójstwo jest wyjściem dla wszystkich. Dla mądrych i głupich, brzydkich i ładnych, każdy może skończyć z sobą, kiedy chce. Ale dlaczego akurat teraz? Dlaczego w październiku? Delorme wiedziała wystarczająco dużo o samobójstwach, żeby zaprzeczyć mitowi o świątecznym pędzie. Nie tu, nie w Ontario. Przypadków było więcej w lutym, co chyba nawet zrozumiałe, bo do lutego ludzie mieli już tak dosyć śniegu i zimna, że samobójstwo mogło wyglądać na rozsądne wyjście. I dlatego między innymi niemal całe Algonquin Bay w okolicach lutego przenosiło się na Florydę albo na Karaiby.

Po co zabijać się na jesieni? Było tak pięknie, wzgórze buchały cudnymi kolorami. Na jesieni Delorme czuła się najszczeńliwsza. Nie w Nowy Rok, ale na jesieni składała swoje przyrzeczenia. Może to jej pozostało po czasach szkolnych. Na jesieni kupuje się nowe podręczniki, ich czyste, świeże strony zachęcają do robienia starannych, jasnych notatek. Później, z biegiem tygodni, notatki robią się coraz gorsze, stają się mało zrozumiałe i bezskutecznie - jeśli w ogóle - chcą zapasać w pamięć. Ale w te pierwsze

jesienne dni, gdy w powietrzu czuje się już mroźne oznaki zimy i niebo lśni błękitem, nie można, przynajmniej Delorme nie mogła, nie czuć radości. Chociaż każde lato przynosiło nowy, romantyczny zwrot, to właśnie jesień przepełniała jej serce nadzieją.

Słońce świeciło tak jasno, że parking wydawał się płonąć. W budynku wszystko, czego nie pokrywała krew, było szare i nijakie, jak ubranie wyblakłe od zbyt częstego prania.

Trzasnęły drzwi i wszedł Burke z notatnikiem w rękę.

- Sprawdziłem jego wóz. Na tylnym siedzeniu jest pełno nowych książek, segregatorów i innego dziadostwa.

Próbował być szorstki, ale twarz miał bladą i trzęsły mu się ręce.

- Mamy jego legitymację studencką - powiedziała Delorme. - Posłuchaj, Larry, idź do domu i połóż się. Facet rozwalil sobie łeb na twoich oczach, nad czymś takim nie przechodzi się do porządku dziennego w pięć minut.

- Popatrz na to. - Podał jej kartkę, drogi papier firmowy z czerwoną obwódką datowany na kwiecień.

- „Szanowny panie Dorn - przeczytała - mamy zaszczyt poinformować pana, że został pan przyjęty na studia magisterskie w Uniwersytecie McGill na Wydziale Matematyki. Biorąc pod uwagę pańskie bardzo dobre wyniki w Northern, jesteśmy przekonani, że zostanie dla pana ufundowane stypendium. Po potwierdzeniu przez wydział premii studenckich pańskie wydatki prawdopodobnie ograniczą się do kosztów utrzymania. Z niecierpliwością czekamy na pana jesienią”. Rok akademicki zaczął się już jakiś czas temu. Skoro przyjęto go do McGill, czemu nie pojechał do Montrealu?

- Najwyraźniej koleś miał nierówno pod sufitem - odparł Burke. - Palant - dodał, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

- Poważnie, Larry - spojrzała na niego - idź do domu i odpocznij. Nie nadajesz się teraz do roboty. Jazda. Nikt nie będzie ci miał tego za złe.

- Nic mi nie jest. To się zdarza. Z takim gównem mamy do czynienia, tak?

- Nie. Nigdy nie widziałam, jak ktoś do siebie strzela, i nigdy nie chcę czegoś takiego zobaczyć. A to co?

- Co? - Burke trzymał małego palmtopa i gapił się na niego, jakby nagle zmaterializował się w jego dłoni. - A, no tak. Był w jego wozie. Pomyślałem, że będziesz chciała rzucić okiem.

- Miałeś rację. A teraz idź do domu.

- Chyba posiedzę kilka minut na zewnątrz.
- USC oddzwoni do mnie. - Szelagy z trzaskiem zamknął klapkę telefonu.
- Może nie będzie trzeba - odparła Delorme. Stukała już w palmtopa, przeglądając adresy. Nic nie było pod „D” jak Dorn ani pod „R” jak rodzice.
- Mam. Pod „M” jak mama.

13

Cardinal odczuwa dziwną przyjemność w zalewaniu się. Wszyscy - Catherine, Cardinal i Kelly - są właśnie w restauracji Trianon. Jedzą najlepszy obiad w całym Algonquin Bay. Tradycyjnie świętują w Trianon specjalne okazje: urodziny, rocznice ślubu lub czasami przyjazd Kelly. I właśnie jest, przyjechała z Nowego Jorku, więc i Catherine ma szampański humor, szpital to tylko wspomnienie lekarskiego kitla. Serce Cardinala jest lekkie jak balon z helem. Może za dużo wypił, bo z sentymentem wspomina:

- Wspaniale. Tak właśnie powinno być. Moglibyśmy mieć swój program w telewizji. *Rodzina Dorotek*.
- Tato, przestań. - Kelly przewraca oczami.
- Poważnie, tylko popatrz na nas - nalega Cardinal. Dobra, czuje w sobie wino, ale musi to powiedzieć. - Piękna, inteligentna córka, dobry mąż...
- Stuknięta żona - wpada mu w słowo Catherine, a oni się uśmiechają.
- Jestem ci tak wdzięczny. - Cardinal bierze jej ciepłe dłonie w swoje ręce. - Wdzięczność nie jest słowem, które może opisać to, co czuję. Jestem tak...
- Tato, o czym ty tak ciągle nawijasz?! - Kelly wygląda tak, jakby chciała poprosić o rachunek i najbliższym samolotem wrócić do Nowego Jorku.
- Nie możemy normalnie porozmawiać?
- To jest normalna rozmowa - odpowiada Cardinal. - To właśnie jest w tym takie cudowne. Śniło mi się, że Catherine nie żyje, a tu proszę: wszyscy razem siedzimy sobie, tak zwyczajnie. - Kładzie rękę na sercu, jakby dotykał pieca wypełnionego ogniem radości.
- Śniło ci się, że nie żyję? - Poważne brązowe oczy Catherine zmierzyły go spojrzeniem, kąci jej ust lekko się zmarszczyły.

- To było tak prawdziwe! Coś okropnego!
- Biedactwo - mówi Catherine z troską w głosie. Kładzie mu dłoń na policzku i Cardinal czuje ciepło krwi pulsującej w jej palcach. - Ale już w porządku?

- W porządku? Czy już w porządku? - Cardinal się śmieje. - Jest tak w porządku, że mogliby to butelkować i sprzedawać na ulicach. Heroina i ecstasy wypadłyby z rynku. Jest w porządku, mógłbym nawet... - Głos mu się załamuje i nie może wydusić ani słowa więcej. Płacze. To łyzy szczęścia, łyzy radości, jego żona i córka wyglądają przez nie jak efekty komputerowe.

Chłód łoż wysychających mu na twarzy obudził Cardinala. Spał na plecach i łyzy zalewały mu oczy. Z nosa mu ciekło, górna warga piekła od wydzielin, a łyzy spływały wokół uszu i szyi. Taka radość! Wytarł oczy i odwrócił się na łokciu, żeby powiedzieć o tym Catherine.

Ten sen bardzo go zdenerwował. Każda czynność stała się wielokrotnie wzmocniona. Zwykle postawienie szklanki na stole - hałas nie do zniesienia. Odgłos wody lejącej się z kranu - obrzydliwie szorstki, brzęk sztućców - tortura. Nawet gazeta szeleściła nieprzyjemnie jak tłuczone szkło. Nie mógł czytać, nic nie rozumiał. Nawet nagłóweków.

Catherine była wszędzie. Każda rzecz w domu miała w sobie coś z niej. Wszystko, co wybrała, w co włożyła wysiłek, po co poszła do sklepu, o czym myślała. Najwięcej z niej miało to, z czego na co dzień korzystała.

W łazience leżały stopy jej lekarstw, małe tubki mlecza do demakijażu i nawilżacza, szczotka pełna jej włosów. Trzyma się takie rzeczy? Jak się je wyrzuca?

W wazonie stały dawno zwiędłe tulipany, które przyniosła do domu. Kiedy to było, dwa tygodnie temu? Cardinal nie potrafił ich wyrzucić, najwyraźniej Kelly też nie. Były też zdjęcia, które Catherine chciała oprawić: portret Kelly, spokojne ujęcie ich obu zrobione samowyzwalaczem. I szafka na CD wypełniona płytami: *Goldberg Variations*, *Well-Tempered Clavier* Goulda i Landowskiej. Bonnie Raitt, Sheryl Crow. Czy kiedykolwiek będę w stanie słuchać tej muzyki? Mam to wszystko wyrzucić?

W pustej kuchni Cardinal nasypał sobie miskę płatków. Nigdy nie jadł płatków na zimno, ale uznał, że będą na tyle nijakie, że nawet nie zauważy, jak je przełknie. Patrzył na nie, kiedy pływały w mleku, gdy zadzwonił telefon.

Podniósł się, by odebrać. Kobieta, nie znał jej.

- Dzień dobry, czy zastałam Catherine?
Stał przy zlewie, ścisnął słuchawkę jak sparaliżowany.
- Halo? Czy to numer Catherine Cardinal?
- Tak - wykrztusił Cardinal. - Zgadza się.
- Mogę ją prosić?
- Aaa, nie. Ona, eee... nie ma jej.
- Kiedy wróci?
- Nie wiem, to znaczy nie jestem pewien.
- Aha. No cóż, czy może pan jej powiedzieć, żeby zadzwoniła do mnie?
Zostawię swój numer telefonu. Może pan zapisać?

Wziął długopis i słuchał, jak podawała mu swoje nazwisko i numer telefonu w Toronto. Catherine powinna zadzwonić w sprawie weekendowych warsztatów z fotografii cyfrowej. Cardinal trzymał długopis nad małym notatnikiem, którego wraz z Catherine używali do przekazywania sobie informacji o telefonach, ale nic nie napisał.

Uciekł w pracę. Duch Catherine nawiedzał go w biurze pewnie nie więcej niż pięć, sześć razy. Z wyjątkiem zdjęcia nad biurkiem nie było tam nic, co by ją przypominało. To było miejsce facetów, mimo obecności Delorme, sierżant Flower Frances i paru innych kobiet z personelu pomocniczego. Pokój dochodzeniowy to miejsce facetów, Catherine nie mogła się tam o niego upominać.

- Wróciłeś - powiedział McLeod. - Akurat wtedy, gdy zaczynało się tu robić kulturalnie.

- Nie ma mnie. Wpadłem tylko sprawdzić kilka rzeczy.

- Aha. A ja wpadłem tylko, żeby się trochę przespać.

Cardinal złapał swój kalendarz i przewrócił kartki do stycznia. Sprawa Renaudów: dwaj bracia dokonali serii włamań. Bagażnik ich vana wyglądał jak lombard, gdy drogówka zatrzymała ich do kontroli. Na tym by się skończyło, gdyby jedno z włamań nie miało tragicznego finału. Ku ich zaskoczeniu w domu, który zamierzali okraść, był właściciel. Bracia wpadli w panikę i pobili go niemal na śmierć. Cardinal przesłuchiwał ich parę tygodni. W końcu udało mu się nakłonić jednego do zeznawania przeciwko drugiemu. Obaj odsiadawali teraz sześćioletnie wyroki w więzieniu w Kingston.

- Co ty tu robisz? - Delorme podeszła do niego i uściskała go mocno.

Cardinala, wciąż trochę przeczulonego, coś chwyciło za gardło. Delorme rzuciła okiem detektywa na biurko i otwarty kalendarz. - Aha! Żli chłopczy,

których znałeś i lubiłeś. Idę o zakład, że tropisz tego kogoś, kto napisał kartę.

- Karty - poprawił ją. - Dostałem kolejną.
- Ten sam stempel? - Popatrzyła na niego uważnie.
- Ta została nadana w Sturgeon.

Sturgeon Falls - jakieś pół godziny jazdy na zachód od Algonquin Bay. Po chwili powiedziała to, co o tym myślał sam Cardinal.

- Mattawa. Sturgeon. Zakładając, że to ta sama osoba, to pewnie ktoś stąd. To tak, jak maskowanie swojego charakteru pisma.

- Wiem na pewno, że korzystał z tej samej drukarki.

Biurko Delorme stało tuż obok biurka Cardinala. Usiadła w swoim fotelu i obróciła się na nim w jego stronę.

- Pokażesz mi to?
- Ostatnio cię to nie interesowało.
- John, błagam. Nie przekraczaj tego, co mówiłam.

Powiedziała do niego po imieniu w pracy. Cardinal zdziwił się, jak bardzo go tym ujęła. Wyjął z aktówki kartę zabezpieczoną plastikową koszulką.

„Ależ ona musiała cię nienawidzić. Zawiodłeś ją na całej linii”.

- Skurwiel - zakląła Delorme. - O ile to facet. Kobiety też potrafią być wstrętne, co na pewno zauważyłeś. Myślisz, że to bracia Renaudowie? - Jej francusko-kanadyjski akcent był teraz twardszy, zawsze tak reagowała, gdy górę brały emocje. - Jeśli to oni, osobiście pojedę do Kingston i skopię im dupy.

- Nie sędzę, żeby to byli oni. Po pierwsze, skąd by się dowiedzieli, że Catherine...

- W więzieniu informacje szybko się rozchodzą, wiesz o tym. A oni ciągle mają rodzinę w mieście. Ktoś mógł im powiedzieć.

- I wtedy co? Namówili kogoś, żeby wysłał jedną kartę z Mattawy, a drugą ze Sturgeon Falls, ale obie były wydrukowane na tej samej drukarce? Jak dla mnie to za bardzo naciągane.

- No cóż, znasz swoich przestępców lepiej ode mnie.

Zadzwoił telefon Delorme. Odebrała i cicho zaczęła rozmawiać z Larrym Burkiem o chłopaku, który zastrzelił się w pralni. Cardinal słyszał o tym w wiadomościach, gdy jechał na posterunek. To zapewne najbardziej pilna sprawa w kalendarzu Delorme na ten tydzień, a jednak nic mu o tym nie wspomniała; nie chciała go denerwować gadaniem o samobójstwach. Cardinal zastanawiał się, czy chce być traktowany jak dziecko.

Wrócił do przeglądania kalendarza. Co parę minut ktoś zaglądał i rzucał coś w stylu: „Cardinal! Dobrze widzieć cię z powrotem!”, a Cardinal niezmiennie odpowiadał: „Mnie tu nie ma”.

Poszperał w szufladzie z aktami, przejrzał jedną fiszkę po drugiej. Tyle nazwisk, tylu lotrów i bandytów, a jednak bardzo niewiele nadawało się na autorów kart, nie wspominając o samym morderstwie.

Jeśli było to morderstwo. Wszyscy dokoła uważali, że to samobójstwo, mimo że Catherine nikogo nie ostrzegła. I chociaż jej list bez wątpienia został napisany kilka miesięcy wcześniej, to było za mało. Cardinal wiedział o tym. To było zbyt mało, by zaniepokoić Delorme, a co dopiero mówić o koronerze czy sędziach. Jego samego także zżerała niepewność.

Odrzucił te myśli i sięgnął do Pudła w Pół Drogi, jak je nazywał. Zawie-rało materiały, którymi musiał się zająć, ale nie miał na to czasu. Wśród zawiadomień o zmianach trybu postępowania, o bliskich konferencjach, wśród papierów sądowych były też powiadomienia rejestru centralnego o ostatnich zwolnieniach. Nie były to tylko sprawy Cardinala, ale wszystkie z tego rejonu.

- Larry, to nie twoja wina. - Usłyszał cichy głos Delorme. - Powinieneś z kimś o tym pogadać. Masz prawo być człowiekiem.

Głos Delorme wydawał się bardzo odległy, tak jakby Cardinal znalazł się pod wodą. Czuł się jak tonący, płuca wypełniała mu rozpacz. Wypuszczeni bandyci i dranie byli deską z tonącego statku, której mógł się chwycić w oczekiwaniu na ratunek. Ale na jaki ratunek?

Catherine żywa.

Ciągle przeglądał zapiski, a gdy skończył, miał listę trzech kandydatów. Wszyscy mieszkali w Algonquin Bay, wszyscy wyszli z więzienia w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy i wszyscy dzięki niemu odsiedzieli co najmniej pięć lat.

14

W Algonquin Bay jest wiele kościołów, niektóre nawet dość ciekawe, ale katolicki kościół pod wezwaniem Świętej Hildy do nich nie należy. Wyglądu koszarnej budowli z czerwonej cegły przy Sumner Street nie polepszyło nawet położenie dachu z blachy falistej, nieprzekonująco pomalowanej tak, by imitować starą miedź. Jednak mimo ciągle zmniejszającej się liczby wiernych takie miejsca mają swoje zalety - na przykład można swobodnie parkować.

Cardinal zostawił samochód w cieniu Świętej Hildy i poszedł w dół Sedgewick Street. Ta dzielnica nosiła miano mieszanej, bo wśród starych, odrapanych domów parterowych i kanciastych bliźniaków można było natknąć się na nauczycieli, młodych policjantów albo takich jak Connor Plaskett.

Connor Plaskett zaczął wachać klej w podstawówce. Potem przyszła kolej na marihuanę i alkohol w każdej postaci, chociaż najbardziej lubił tanie porto, może z powodu zawartości cukru. W pewnym momencie, po przykrej sprzeczce z kierowcą autobusu, doznał olśnienia i wstąpił do AA.

Wyrzeźwiał, zajął się projektowaniem stron www, ożenił się. Interes rozwinął tak, że mógł już utrzymać żonę i dziecko na całkiem przyzwoitym poziomie. Wtedy internetowa bańka mydlana pękła i został bez grosza. Alkohol dawał natychmiastowe znieczulenie.

Plaskett właśnie wychodził z dwutygodniowego ciągu, gdy strzeliło mu do głowy, by okraść miejscowy sklep. Zrobił to, uzbrojony. Był na tyle przytomny, żeby zabrać taśmę wideo z monitoringu - okazało się jednak, że to atrapa.

I tak w wiadomościach o osiemnastej wszyscy mogli zobaczyć, jak Connor Plaskett żąda od młodego chłopaka za ladą oddania całodniowego utargu.

Była to jedna z najłatwiejszych spraw, które Cardinal musiał w życiu rozwiązać.

Plaskett nie miał szczęścia do prokuratora i sędziego, nie wspominając o żonie. Skazano go na pięć lat. Gdy siedział, jego żona odkryła, że tak naprawdę całe życie była lesbijką, i zostawiła go - zabierając ze sobą dziecko - dla kobiety, która pracowała przy liniach wysokiego napięcia.

Plaskett fatalnie to przyjął, jeszcze w więzieniu wrócił do starych nałogów, a nawet wpadł w nowe. Po odsiadce był w gorszym stanie niż przed nią.

Wkrótce potem Plaskett zaczepił Cardinala w okolicach tawerny Chinook. Cardinal właśnie aresztował kogoś innego, nawet nie pamiętał już kogo, gdy Plaskett wytoczył się z tawerny i rozpoznał go.

- Palant. - Prysnał w niego śliną cuchnącą piwem. - Ty skurczybyku, zniszczyłeś mi życie.

- Mylisz się, Connor - odparł Cardinal. - Te zasługi chyba przypadają tobie.

- Miałem rodzinę, zanim się przyplątałeś. Załatwię cię na cacy.

Plaskett zatoczył się i próbował zadać żalosny cios, ale klapnął na samym środku parkingu. Cardinal zabrał mu kluczyki od wozu, wepchnął na tylne siedzenie zdezelowanego pikapa i zatrzasnął drzwi. Kluczyki dał na przechowanie barmanowi.

Pod numerem 164 stał maleńki, brązowo-biały dom - wyraźnie pochyłał się z wiatrem, jakby i on brał narkotyki. Numer 164B okazał się betonową dobudówką, nieudaną próbą ulepszenia rudery.

Cardinal nacisnął dzwonek, ale nie usłyszał wewnątrz nikogo. Zastukał do drzwi, na których przed laty ktoś, posługując się szablonem, narysował bożonarodzeniową wiązanekę.

- Zaraz. - Usłyszał ostry, kobiecy głos.

Po tym nastąpił głośny brzęk, jakby taca z filiżanką herbaty spadła z dużej wysokości, a zaraz po nim seria niewyobrażalnych przekleństw.

Słowo „flejtuch”, choć dobrze je znał, nieczęsto przychodziło mu do głowy. Tym razem przypomniał je sobie, gdy tylko otworzyły się drzwi.

- Czego? - Głos kobiety wyrażał niezadowolenie.

- Szukam Connora Plasketta.

- Super - powiedziała. - Ja też.

Otworzyła drzwi. Cardinal wszedł do pomieszczenia, które miało być kuchnią, ale wyglądało jak sklep z tandetą.

- Proszę wybaczyć bałagan. Nie mam szafek.

W mrocznym świetle, które przenikało do środka przez maleńkie okno, Cardinal zauważył zlew, małą płytę grzewczą na niewielkiej lodówce i parę skrzynek po jabłkach; wilgoć i częste użycie sprawiły, że skrzynki nie nadawały się nawet na opał jako deski.

Poszedł z kobietą do pokoju jeszcze bardziej mrocznego. Usiadła na rozsyłanej kanapie tak nisko, że podbródek ledwie wystawał jej nad kolana. Cardinal oparł się o futrynę drzwi. Mieszkanie cuchnęło dymem papierosowym i wilgotnym dywanem.

- Gdzie Connor? - zapytał.

- A skąd mam wiedzieć? Papierosa?

- Nie, dzięki. Kim pani dla niego jest?

- Dupodajką. - Parsknęła, widząc jego spojrzenie. - A myślał pan, że kim? Doradcą podatkowym?

- I nie wie pani, gdzie on teraz jest?

- Nie mam pojęcia.

- No cóż, jeśli pani nie wie, to pewnie jego kurator sądowy też nie, a to znaczy, że Connor naruszył prawo.

- Tak? - Po wielu próbach w końcu udało jej się przypalić papierosa i teraz namiętnie zaciągała się dumaurem. - Cholera, czego pan od niego chce? - Wypuściła smużkę dymu w kierunku Cardinala.

- To ma związek z niedawnym zabójstwem.

- Connor nie mógł nikogo zabić. Ledwie potrafi zawiązać buty.

Obrzydliwe otoczenie najlepiej o tym świadczyło. Choć mogła to być kryjówka człowieka zdolnego zabić kobietę, to jednak na pewno miejsce to nie wyglądało na dom kogoś, kto mógłby kupić kartę, wydrukować na niej tekst i wysłać ją z Mattawy lub Sturgeon Falls.

Ale słowa Plasketta ciągle dźwięczały w uszach Cardinala: „Załatwię cię na cacy”.

- Gdzie ostatnio obracał się Connor? - zapytał. - Muszę mieć adres.

- Jezu, Connor nigdzie nie łązi, w tym problem. Siedzi dniami i nocami przed telewizorem i ogląda futbol. Za cholerę nic nie robi. Mam ochotę na piwko. Pan pewnie się nie napije.

- Nie, dziękuję.

Poszła do lodówki i wyjęła puszkę molson Canadian, otworzyła ją i duszkiem wypila niemal do dna. Gdy wróciła i chciała usiąść na łóżku, źle oceniła odległość - potrąciła stolik i telefon z łoskotem wylądował na podłodze. Patrzyła na Cardinala przez chwilę, jakby próbowała przypomnieć sobie jego imię.

- Coś mi się przypomniało - powiedziała w końcu. - Wczoraj miałam dziwną rozmowę przez telefon.

- Z kim?

- Jezu, nie wiem. Nie znam gościa. Mówił, że jest kumplem Russella McQuaiga, który z kolei jest kolegą Connora od kieliszka. I Russell kazał mu zadzwonić. On i Connor nieraz jeżdżą do Toronto. Duże miasto, wie pan. Osobiście mam Toronto w dupie. Brud i syf. Nieważne, ten koleś próbował mi powiedzieć, że Connor nie wróci.

- Jak to nie wróci? Wyjechał do Toronto i jakiś obcy facet dzwoni, żeby powiedzieć, że Connor nie wraca?

- Tak, tak mi się zdaje. Coś takiego... - Przegarnęła palcami brudne włosy. - Tak naprawdę, jak teraz sobie myślę, chyba nawet próbował mi powiedzieć, że Connor nie żyje. Tak.

- Jakoś bez problemu to pani znosi.

- No cóż, po pierwsze, to nic nie wiem o tym gościu. Czemu mam mu wierzyć? A po drugie, gdyby Connor nie żył, policja już by mnie zawiadomiła, nie? Albo szpital. Musieliby do mnie zadzwonić, to znaczy tego no... powiadomić najbliższą rodzinę.

- Dupodajki raczej nie uznaje się za najbliższą rodzinę - zauważył Cardinal. - Najpierw zadzwoniliby do krewnych albo nawet jego byłej żony, a dopiero do pani. Szpital może nawet nie wie o pani istnieniu.

- No tak, niby tak. - Odgarnęła pasma włosów z twarzy, jakby to była mgła. - Myśli pan, że on nie żyje?

- Nie wiem. Ale łatwo to sprawdzić.

- Cholera, mam nadzieję, że żyje - zatroskała się. Przechyliła głowę i wlała sobie do gardła resztę piwa. Zgniotła puszkę i z wysiłkiem zdusiła bekniecie. - Nie zniosę kolejnej przeprowadzki.

15

Sierżant Mary Flower weszła do pokoju dochodzeniówki i usiadła na biurku Delorme. To właśnie robiła, gdy chciała, żeby rzucić wszystko i zwrócić uwagę tylko na nią. Wkurzające, ale skuteczne.

Delorme rozmawiała przez telefon z biurem koronera i daremnie próbowała ustalić, gdzie podziewają się dowody w sprawie o morderstwo, która wchodziła na wokandę za dwa tygodnie. Przykryła dłonią mikrofon słuchawki i kątem oka spojrzała na Flower.

- Na korytarzu jest pani Dorn, wściekła jak sam diabeł - powiedziała Flower. - Chce z tobą rozmawiać, nie wiem czemu.

- Okazuje się, że znam jej córkę.

- Dobrze. Ona też tu jest. Podoba mi się twój top. To Gap?

- Benetton. Powiedz, że zaraz przyjdę.

Delorme odszukała obie panie w poczekalni. Starsza, koło pięćdziesiątki, stała pod zegarem z założonymi na piersi rękami, tupiała gniewnie jedną nogą, jakby liczyła każdą sekundę spóźnienia ze strony wymiaru sprawiedliwości. Jej córka, Shelly, siedziała na krześle. Shelly była wesołą, rudowłosą kobietą, koleżanką Delorme z fitness klubu. Często obok siebie ćwiczyły na bieżni i plotkowały dla zabicia czasu. Delorme lubiła tę mężatkę z dwojgiem dzieci. Teraz widziała ją po raz pierwszy poza klubem. Shelly wstała, gdy ją zobaczyła.

- Lise, wiem, że nie powinnyśmy przychodzić niezapowiedziane.

- W porządku. Przykro mi z powodu twojego brata. Był taki młody...

- Tak, był młody - przerwała jej pani Dorn. Nawet w tych kilku słowach Delorme usłyszała rozpacz pod postacią wściekłości. - Dopiero przestał

być chłopcem. Był studentem, bardzo zdolnym. Przyjęli go do McGill, miał po co żyć, nie musiał umierać.

- Lise, to moja matka, Beverly Dorn.

- Pani Dorn, bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

- Ale ma pani zamiar nam pomóc? Tego chcę się dowiedzieć. Co pani zrobi, by naprawić tę straszną krzywdę? Perry był bystrym chłopakiem, wrażliwym, a teraz nie żyje. Nie musiało tak się stać. Powinno być dochodzenie. Zaslugujemy na odpowiedzi.

- Mamo, Lise zrobi, co tylko będzie mogła. Uspokój się.

- Proszę ze mną - zaproponowała Delorme.

Zaprowadziła je do pokoju, który często proponowano zestresowanym rodzinom. W przeciwieństwie do innych leżał w nim dywan, stała też całkiem wygodna kanapa. Na jednej ścianie wisiał obraz matki z dzieckiem, na drugiej była tablica bez kredy. Delorme zamknęła drzwi.

- Proszę usiąść. - Wskazała na kanapę.

- Nie mam ochoty na siedzenie - burknęła pani Dorn. - Jestem zbyt zdenerwowana.

- Mamo, nie masz powodu wyzywać się na Lise.

- W pralni był z Perrym inny policjant. Co z nim? Był przy nim, gdy to się stało. I zanim to się stało. Dlaczego go nie rozbroił, może mi to pani wyjaśnić? Dlaczego nic nie zrobił?

Delorme jeszcze raz gestem zaprosiła je na kanapę i poczekała, aż pani Dorn usiądzie obok córki. Jej oczy były czerwone od płaczu, który nie przynosi ulgi; wzburzenie na pewno nie pozwalało jej spać.

Delorme usiadła naprzeciwko nich i zaczęła mówić spokojnym głosem:

- Tak, w pralni był policjant. Przyszedł do kawiarni obok, nie był na służbie. Nagle ktoś zauważył, jak pani syn wchodzi do pralni ze strzelbą. Po wezwaniu posiłków policjant wszedł za nim do środka.

- Dlaczego nie odebrał mu broni? Tego właśnie bym się chciała dowiedzieć. Dlaczego nie wyrwał mu broni? Po prostu stał tam sobie i pozwolił nato!

- Policjant musiał przede wszystkim zatroszczyć się o bezpieczeństwo osób w pralni. Tam byli inni ludzie. Skupił się więc na wyprowadzeniu ich jak najszybciej.

- Perry nigdy nie był zagrożeniem dla nikogo oprócz siebie. Wystarczy na niego spojrzeć. Nie skrzywdziłby muchy. Dosłownie. Stawał na głowie, żeby pozbyć się owada z domu i go nie skrzywdzić.

- Policjant nie znał pani syna. Widział tylko zrozpaczonego człowieka, uzbrojonego, w pomieszczeniu pełnym ludzi. Najpierw wszystkich wyprowadził, i słusznie.

- Pozwolił mojemu bez wątpienia zrozpaczonemu synowi się zabić. Brawo. Dajcie mu medal.

- Mamo. Pozwól jej mówić. - Shelly położyła rękę na ramieniu matki, ale pani Dorn ją odtrąciła.

- Nie pouczaj mnie.

- Nikt cię nie poucza. Zadałaś pytanie, a Lise ci odpowiada. Daj jej skończyć.

- Wtedy policjant próbował...

- Policjant, policjant. On jakoś się nazywa? Ma numer odznaki?

- Ma. I mogę pani udzielić tych informacji, ale to niczego nie zmieni. Próbował uspokoić pani syna. Rozmawiał z nim i zachęcał do odłożenia broni. Pani syn odmówił.

- To był młody chłopak! Macie wyszkolonego policjanta i nie potrafi powstrzymać dzieciaka przed samobójstwem? Dlaczego nie złapał za tę broń?!

Delorme pozwoliła, by to pytanie - a raczej oskarżenie - zawisło na minutę w powietrzu.

- Wydaje mi się, że zna pani odpowiedź, pani Dorn.

Pani Dorn zdecydowanie pokręciła głową.

- Policjant nie chciał jeszcze bardziej denerwować Perry'ego. I sam też nie chciał dostać kuli. Powtarzam, był nieuzbrojony.

- Praca policjanta to podejmowanie ryzyka. Powinien był spokojnie rozmawiać z Perrym i podejść na tyle blisko, żeby wyrwać mu strzelbę.

- I jestem pewna, że gdyby mógł, zrobiłby to. Próbował go zagadać, uspokoić, tak jak pani mówi. Rozmawiali, gdy nagle Perry odwrócił broń do siebie i strzelił.

- I nikt go nie powstrzymał.

- Pani Dorn, od chwili, gdy zauważono, jak pani syn wchodzi do pralni, do momentu strzału minęło niecałe osiem minut. Wyprowadzenie ludzi zajęło jakieś trzy, cztery minuty. To dało policjantowi i pani synowi najwyżej pięć minut, żeby rozwiązać problem.

- Wystarczająco dużo czasu, żeby uratować mu życie. Dlaczego go nie powstrzymał? Mój Boże, dlaczego go nie powstrzymał? To był przecież dzieciak!

- Policjant zrobił wszystko, co mógł, pani Dorn. Po prostu zabrakło czasu.

- Mogę porozmawiać z tym policjantem?

- Mamo...

Nie ma go dziś - odparła Delorme. - Jest w fatalnym stanie psychicznym po tym, co się stało. Żaden policjant nie wkracza w taką sytuację bez nadziei na szczęśliwe zakończenie. Proszę mi wierzyć, pani Dorn, w tamtym momencie nikt bardziej niż ten policjant nie chciał, żeby pani syn żył. Gdyby mu się udało odwieść Perry'ego od jego zamiaru, przyszedłby dziś do pracy i byłby najszczęśliwszym człowiekiem. Ale nie jest. Jest nieszczęśliwy.

- Bo może czuje się winny. Może dlatego jest nieszczęśliwy. Dlatego że nie spełnił swojej powinności.

- Mam nadzieję, że gdy się już pani uspokoi, zobaczy pani tę sprawę w innym świetle.

Pani Dorn pociągnęła nosem. Popatrzyła na obraz na ścianie, a potem znów na córkę.

- No cóż, na pewno będziemy domagać się dochodzenia.

- Nie mamy już oficera dochodzeniowego, ale dam pani bezpośredni numer do Toronto. Jeśli uznają to za uzasadnione, rozpoczną śledztwo.

16

Wyjść z biura i zająć się na powrót sprawą dziecięcego porno było prawdziwą ulgą. Biedny Burke nie potrafił uchronić Perry'ego Dorna, ale Delorme była optymistką. Wierzyła, że znajdzie tajemniczą dziewczynkę i uchroni ją przed dalszym molestowaniem.

Pojechała nad jezioro Trout i zaparkowała na małym parkingu koło przystani. Gdy schodziła po drewnianych stopniach, chłodna bryza wiała od jeziora. O tej porze roku powietrze sprzyjało zdrowiu i pracy. Czysty tlen, z pierwszymi oznakami mrozu. Aż chciało się coś robić, wdrażać nowe projekty, wykrywać przestępstwa.

Jako dziecko Delorme brała tu lekcje pływania - nie na samej przystani, ale kilkadziesiąt metrów dalej, w doku Ministerstwa Surowców Naturalnych. Instruktorzy kazali uczniom skakać do jeziora, gdy woda miała ledwie dziesięć stopni, i ćwiczyć różne chwyt ratownicze. Musiała ćwiczyć metodę usta-usta z Maureen Stegg; do tej pory na wspomnienie tego czuła się dziwnie.

Świeże powietrze na przystani psuły zapachy lin, kreozotu i benzyny. Większość łódek już odholowano na zimę, ale kilka jachtów stało na kotwicy niedaleko nadbrzeża i kołysało się lekko na falach. Serce Delorme podskoczyło, gdy zobaczyła lśniąca w słońcu cessnę, a na jej ogonie ten sam numer co na zdjęciach z dziewczynką.

- Mogę pani pomóc? - zapytał mężczyzna w drogich okularach przeciwsłonecznych i firmowej czapeczce przystani. Najwyraźniej wytrzymała gość, ubrany w krótkie spodenki, chociaż pogoda absolutnie nie zachęcała do takiego stroju.

- Zastanawiam się, ile kosztuje wynajęcie tutaj miejsca. - Delorme nigdy nie miała łodzi i nie знаła poprawnego nazewnictwa. Pewnie powinna zapytać o opłatę za zezwolenie na kotwiczenie lub coś takiego.

- To zależy, czego pani potrzebuje - odpowiedział.

Delorme zauważyła, że jego wzrok opadł na jej rękę w poszukiwaniu obrączki, której nie było, i z powrotem się podniósł.

- Potrzebuję?

- Tak, czy ma pani zamiar korzystać z zasilania i światła. No i wielkość ma znaczenie, naturalnie. Pani stąd?

- Tak. - Delorme odwróciła się i pokazała cessnę. - Ile kosztowałoby cumowanie tam, na samym końcu doku.

- Nie za duży obrót tam mamy, niestety. To najbardziej pożądane, najdroższe miejsca. Wynajmują je co roku ci sami ludzie. Nawet jeśli się wyprowadzają: do Sudbury, Sundridge, nieważne dokąd, ich nie zwalniamy.

- A na przykład samolot. Też zawsze cumuje w tym samym miejscu?

- Jasne. Samoloty zmieniają miejsce nawet rzadziej niż łodzie. Ten facet cumuje tam co najmniej tyle czasu, ile ja mam tę przystań, czyli jakieś dziesięć lat.

- Naprawdę? Może mi pan pokazać, co jest takiego szczególnego w tych miejscach na końcu doku? Tych, które wyglądają na ogrodzone?

Uśmiechnął się, w jego opalonej twarzy błysnęły duże, białe zęby. Myśli, że mu się powiedzie, stwierdziła w duchu Delorme. Był nawet fajny z tymi kręconymi blond włosami i szerokim uśmiechem. Sznury mięśni także mogły się podobać. Chyba przyzwyczyił się do zainteresowania przyjezdnych dziewczyn. Na pewno nie nagabywał dzieci: za młody, za szczupły i z nie takimi włosami.

Otworzył bramę. Poszli wzdłuż doku.

- Ile może kosztować taka łódź? - zapytała Delorme. - Czterdzieści kałków?

- Gdzie tam! Jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, może nawet więcej. O, tutaj. Widzi pani? - Położył rękę na niebieskiej skrzynce przyczepionej do latarni. - Tutaj ma pani wszelkie domowe wygody: prąd, kablówka, satelita, co pani chce.

- We wszystkich dokach?

- Nie, nie. Tylko w tych dwóch. Parę innych ma prąd, ale nic więcej. Te mają jeszcze dodatkową ochronę. Nad nami są światła, kamery. Każdy, kto by się włamał, zostanie schwytany.

- A do innych doków można sobie wejść ot tak?

- Wszystkie doki są chronione - powiedział urażony. - Mówię tylko, że za dodatkową opłatą dostaje się dodatkową ochronę.

- A co z ubezpieczeniem?

- To sprawa właścicieli. Naturalnie, my mamy własne ubezpieczenie od pożaru, kradzieży i tak dalej. Ale jeśli jakaś łódź zostanie skradziona lub zniszczona przez wandalów, to zapłaci za to ubezpieczenie właściciela, nie nasze.

- Rozumiem. Nazywam się Lise Delorme, jestem detektywem policji z Algonquin Bay. - Pokazała mu legitymację. Zauważyła, jak jego zainteresowanie jej osobą gwałtownie spada. Zawsze tak było. Niektórych mężczyzn pewnie i kręca policjantki, ale Delorme z doświadczenia wiedziała, że jest ich niewielu, i nigdy tacy, jak trzeba.

- Jeff Quigly. - Bez entuzjazmu podał jej dłoń.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie kilku przypadków naruszenia prawa na tym terenie i potrzebuję pańskiej pomocy.

- Oczywiście. Jeśli tylko będę mógł.

Jeśli tylko będę mógł cię wykopać z mojej przystani i z okolic, to miał na myśli.

- Muszę się dowiedzieć, kto wynajmuje te miejsca.

- Obydwa doki?

- Właśnie. I nie tylko teraz, ale przez ostatnie dziesięć lat.

- Nawet gdybym chciał to pani powiedzieć, to nie jestem pewien, czy to wiem.

- Mówił pan, że najemcy nieczęsto się zmieniają.

Quigly skrzyżował ręce na piersi. Nie patrzył już na Delorme, tylko na jezioro.

- Proszę posłuchać, nie zamierzam zdradzać informacji na temat najemców. Nie mam zwyczaju tego robić. Ludzie mają prawo do prywatności.

- Prowadzi pan przystań, a nie szpital. To nie jest informacja tajna.

- Nie, ale mimo wszystko. Załóżmy, że powiem komuś, że to miejsce należy do pana X. I łódź pana X akurat wypłynęła. Złodziej mógłby pomyśleć, że pan X ma wakacje i żegluje po Wielkich Jeziorach albo płynie do Nowego Jorku. I włamać się do jego domu. Jak wtedy wyglądam?

- Nie zrobiłby pan nic złego. Panie Quigly, nie jestem złodziejką, jestem oficerem policji, prowadzę śledztwo.

- Tak. No cóż, widzi pani, to co innego. A co to za śledztwo? No jasne, ludzie piją na łodziach, palą trawkę, ale teraz dziwna pora, żeby to badać. Nie wydaje mi się, żebym musiał narażać prywatność moich klientów z powodu jakiegoś mało ważnego naruszenia prawa.

Delorme nie chciała ujawniać prawdziwej natury przestępstwa. Wzmianka o molestowaniu dzieci w takim miejscu spowodowałaby burzę plotek. A ona nie chciała, żeby poszukiwany choć przez chwilę poczuł, że go tropi, dopóki nie będzie gotowa zakuć go w kajdanki.

- Muszę liczyć na pańską dyskrecję - powiedziała. - Nie wolno będzie panu o tym nikomu mówić.

- To oczywiste.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie napaści.

- Naprawdę? - Pokręcił głową. - To musiało być coś mało ważnego, inaczej słyszałbym o tym.

- Nie mogę zdradzić panu więcej szczegółów. Pomoże mi pan? Mogę dostać nakaz, ale to zajmie co najmniej dzień i bardzo opóźni zgarnięcie bandziora.

Quigly zabrał ją do biura przystani. Był to zagracony pokój ze szczegółową mapą jeziora Trout na jednej ścianie i ogromnym modelem szkunera „Bluenose” stojącym pod drugą. Wszędzie wisiały zdjęcia wędkarzy i powiększone żarty rysunkowe o tematyce żeglarskiej. Quigly poszperał w szafce i wyciągnął z niej kilka skoroszytów.

- Kwity za wynajem z ostatnich dziesięciu lat - powiedział. - Nie są jednak uporządkowane.

17

Delorme ułożyła listę nazwisk w porządku geograficznym, co umieściło Franka Rowleya na samym początku. Nie była pewna, czego może się

spodziewać po człowieku, który ma własny samolot: może ma też wielką rezydencję gdzieś wysoko na Beaufort Hill? Albo stary dom w stylu wiktoriańskim przy Main West? Okazało się jednak, że Frank Rowley mieszka w zwykłym, małym domu z białej cegły, tylko parę przecznic od obwodnicy. Delorme wjechała na podjazd i zaparkowała za jasnobrązowym fordem escortem, skromnym, bezpretensjonalnym samochodem, który nie pasował jej do wizerunku człowieka posiadającego samolot.

Mały klon na podwórku zrzucił już wszystkie liście w kolorowy okrąg, ale równo przycięty rząd ostrokrzewu przed domem był ciągle zielony. Jeszcze zanim wysiadła ze swojego wozu, usłyszała jęk gitary elektrycznej - jakby jakaś umęczona dusza wyrwała się z piekieł i grasowała w okolicy.

Gitara zawyła, umilkła i zaczęła od nowa. Tym razem coś z Beatlesów, ale Delorme nie mogła przypomnieć sobie tytułu.

Gdy zapukała, drzwi otworzył kompletnie łysy mężczyzna w wieku około czterdziestu lat. W rękę miał gitarę. Faceci i ich zabawki, pomyślała Delorme.

- Pan Rowley?

- Tak. W czym mogę pomóc?

- Mogę zabrać panu chwilę? - Pokazała odznakę.

Wnętrze domu mocno pachniało domowymi wypiekami. Delorme ucieślił widok drobin mąki na łysej głowie Rowleya.

Poszła za nim do salonu - na kolorowym dywaniku stały lalki i wypchanne zwierzęta, jakby ofiary katastrofy. Były tam też dziecięcy skuter i duże, pootwierane książki na kanapie i fotelach. Delorme potknęła się lekko o dywanik.

- Przepraszam - powiedział Rowley. - Nie jest w najlepszym stanie, tylko dlatego mogłem sobie na niego pozwolić.

- Ma pan dzieciaki, jak widzę - zauważyła. - W jakim wieku?

- Mamy córkę, Tarę, siedem lat. Zaraz wróci ze szkoły. Proszę, niech pani usiądzie.

Delorme usiadła w głębokim fotelu o spękanych, drewnianych nogach i podłokietnikach. Wszystkie meble sprawiały wrażenie wygodnych, były w wiejskim stylu - dużo drewna, poduszki, narzuty, zwłaszcza wielka narzuta w niebiesko-czarną jodełkę. I właściciel - mężczyzna w średnim wieku z gitarą na ramieniu i głową, która dobrze wyglądałaby na stole bilardowym. Mężczyzna ze zdjęć miał włosy prawie do ramion i Delorme absolutnie nie miała podstaw, by podejrzewać Rowleya. Jego samolot tylko przypadkowo pojawił się w tle jednego ze zdjęć. Jego córka także była za młoda. Mimo

to Lisa zmierzyła go wzrokiem.

- Panie Rowley, ma pan licencję pilota, prawda?
- Zgadza się. Pracuję dla Northwind. - Wymienił nazwę linii, która latała małymi samolotami z Algonquin Bay do północnych miast, takich jak Timmins i Hearst.

- Teraz chyba macie mniej klientów?
- Nie, pracuję cztery dni i cztery mam wolne, dlatego zastała mnie pani w domu.

- Na przystani ma pan samolot, tak? - Odczytała mu numer z notatnika.

- Dlaczego pani pyta? Coś się z nim stało?
- Chcę się tylko upewnić, że rozmawiam z właściwą osobą.
- Rozmawia pani. Napije się pani kawy albo czegoś innego? Właśnie miałem zaparzyć dzbanek.

- Nie, dziękuję. Nie trzeba.
- Za chwilę będą gotowe fantastyczne ciasteczka. Tara je uwielbia.

Rowley wyłączył wzmacniacz i oparł gitarę o ścianę. Był to wielkichromowany instrument z wieloma pokrętłami. Delorme pomyślała, że bardziej pasowałby do zespołu country niż do Beatlesów, ale się na tym nie znała.

- Często chodzi pan na przystań?
- To zależy, co pani ma na myśli, mówiąc „często”. Jeśli tam chodzę, to tylko po to, żeby polatać „Bessie”.

- „Bessie”?
- Cessna „Bessie”. - Uśmiechnął się. - Tak się nazywa, proszę nie pytać dlaczego. Latam nią raz lub dwa razy w tygodniu, po mniej więcej dwie godziny. Wendy, moja żona, chce, żebym się jej pozbył. To według niej zbyt niebezpieczne. Ale jakoś nie mogę. Kocham latać, to większa frajda niż wtedy, gdy robi się to w pracy.

- Wyobrażam sobie - powiedziała. Rowley wyglądał na człowieka, który cieszy się życiem, piecze ciastka i gra na gitarze wśród porzucanych książek i zabawek. - Zna pan wielu ludzi na przystani?

- Hm, znam Jeffa Quigly'ego, szefa przystani.
- Kogoś jeszcze?
- Nie bardzo. - Rowley wzruszył ramionami. - Nie szwendam się tam bez sensu. Nie wpadam do baru ani nic takiego, w przeciwieństwie do wielu facetów. To miejsce jest trochę jak klub. Ale do takiego klubu nie chciałbym wstąpić... wie pani, goście, dla których świetna zabawa to kupno

beczki piwa, wypad na jezioro i picie na umór. Coś takiego nie bawiło mnie, gdy miałem dwadzieścia lat, więc tym bardziej mnie nie bawi, gdy mam czterdzieści parę. Poza tym mam żonę i dziecko. Nie wiem, jak ci ludzie znajdują na to czas.

- Proszę mi trochę o nich powiedzieć. Muszę się czegoś o nich dowiedzieć.

- A po co? Nad czym pani pracuje?

- Napaść - wyjaśniła.

- O rany. No wie pani, gdy mówiłem o imprezach piwnych, na pewno nie miałem zamiaru sugerować, że któryś z nich jest zdolny do jakiegokolwiek przemocy.

- Nie, ależ skąd. Ja szukam świadków. Może mi pan cokolwiek powiedzieć?

- Jedynym, którego dobrze znam, jest Owen Glenn.

Delorme zapisała nazwisko w notatniku. Natknęła się na nie już, kiedy wertowała archiwa na przystani. Wynikało z nich, że wynajmował miejsce, które w ogóle jej nie interesowało.

- Owen to znajomy pilot. Ma małego pipera, którym lata raz w miesiącu. W lecie często na niego wpadam, ale nie jesteśmy kolegami czy coś w tym stylu. Jest bardziej konserwatywny niż ja. Parę razy zaczęliśmy gadać o polityce i musiałem grzecznie się wykręcić, wie pani, o czym mówię? On żałuje, że nie zabijamy Irakijczyków.

- Więc nie jest właścicielem jednej z tych łodzi, które ciągle tam cumują?

- Nie, ma tylko małą łódkę, jak ja.

- Zna pan ich właścicieli?

- Na tyle, żeby powiedzieć im „cześć”.

- Naprawdę? Przecież przechodzi pan koło nich, idąc do samolotu.

- Łódki są po północnej stronie przystani, pod barem. Wiosłuję stamtąd do samolotu, a to nie sprzyja pogaduszkom z sąsiadami, jeśli mogę tak ich nazywać.

- Zna pan któregoś z nazwiska?

- Jasne. Na przykład Matta Mortona. Jest właścicielem łodzi motorowej. Znam go od liceum, chociaż chyba nie jesteśmy przyjaciółmi. On był raczej sportowcem, a ja kujonem, że tak powiem.

- Artystyczna dusza - odpowiedziała Delorme.

- Artystyczna dusza! - Roześmiał się. - Właśnie. Cały ja. Zostało mi tylko znalezienie sztuki, którą mógłbym opanować.

- Z tego, co słyszałam, nieźle pan zagrał Beatlesów. Gra pan zawodowo?

- To tylko hobby. Gram w zespole wzorującym się na Beatlesach. Nazywa się Sierżant Tripper. Gramy głównie na weselach i imprezach w barach.

- Które miejsce na przystani wynajmuje pan Morton? - Delorme znała odpowiedź, ale detektywi wcześniej uczą się potwierdzać dane, gdy tylko nadarza się okazja.

- Jego łódź cumuje pod koniec, pod trójką, po północnej stronie.

- To znaczy gdzie w stosunku do samolotu?

- Tak blisko, jak się da. Czasem mogę zajrzeć do jego kabiny. Nie dlatego, że chcę, oczywiście.

- A dlaczego? Widział pan kiedyś coś niepokojącego?

- Na łodzi Matta? Nie, nigdy.

- Jakby pan go opisał?

- Matta? Nie wiem. Facet średniej postury. W liceum grał w futbol. Włosy brązowe, trochę siwieją, jak u nas wszystkich. No, ale ja akurat nie muszę się o to martwić. - Roześmiał się i pogłaskał po łysinie.

- Ma dzieci?

- Chłopca i dziewczynkę. Chyba. Nie pamiętam ich imion.

- A miejsce naprzeciwko pana Mortona?

- Po południowej stronie? Nie znam tych ludzi. Mają wielką łódź.

Według Jeffa Quigly'ego i archiwum przystani to miejsce wynajmował André Ferrier. Opłaty - zawsze w terminie, ale na przystani rzadko go widywano. Delorme zapisała informacje i zamknęła notatnik.

- Tak jak mówiłam, panie Rowley, na tym etapie szukamy świadków. Bardzo mi pan pomógł.

Dała mu swoją wizytówkę. Idąc do drzwi wejściowych, próbowała zerknąć do innych pomieszczeń, ale nie zauważyła żadnych ścian, mebli ani innych przedmiotów, które pasowałyby do tego, co widziała na zdjęciach.

- Jeśli coś mi przyjdzie do głowy, zadzwonię do pani - obiecał Rowley. - Ale jestem przekonany, że nigdy nie spotkałem tam nikogo, kto mógłby być zdolny do napaści.

- I może się pan zdziwić - odparła Delorme. - Ciągle zdumiewa mnie, kto do czego okazuje się zdolny.

Frederick Bell skończył jeść ciastko z truskawkami i zebrał łyżeczką resztki bitej śmietany z talerza.

- Jesteś pewna, że miało niską zawartość tłuszczu? - zapytał żonę Dorothy, która układała zakupy w lodówce.

- Kupiłam to w Zdrowym Sercu. - Jej głos trochę tłumili drzwi lodówki. - Miało być niskokaloryczne.

- Ale tylko wtedy, gdy zje się jedno. A jeśli masz ochotę na kolejne?

- Nie dostaniesz drugiego. - Dorothy miała dużo zdrowego rozsądku. Służył jej dobrze, gdy była pielęgniarką, i równie dobrze, gdy została żoną psychiatry. - Jeśli zjesz jeszcze jedno, to kupowanie produktów niskokalorycznych mija się z celem.

- Poświęciłem życie na nierozumienie istoty rzeczy i mijanie się z celem. Nie widzę powodu, dla którego miałbym nagle przestać.

Dopił herbatę. Była zimna, ale lubił taką. Każda herbata jest dobra. Niektóre brytyjskie nawyki trudno wyplenić.

- Niedaleko Nottingham znalazłam uroczy domek - powiedziała Dorothy. - Na biurku położyłam ci zdjęcie. Chyba go jeszcze nie widziałeś.

- Niestety, znów cię zawiodłem.

- Czy to tak trudne spojrzeć na zdjęcie?

- Nie wiem. Chyba nie przyjąłem do wiadomości pomysłu, żeby po przejściu na emeryturę wrócić do Anglii.

- Rozmawialiśmy już o tym. Myślałam, że oboje uznaliśmy, że tam będziemy najszczęśliwsi. To śliczne miejsce, bardzo blisko morza. I blisko rzeki Trentu. Zawsze mówiłeś, że jak już przejdziesz na emeryturę, będziesz chciał mieszkać blisko wody.

- Herosi nigdy nie odchodzą na emeryturę. Taką mamy naturę.

- Pewnego dnia będziesz musiał, a ja nie pozwolę, żebyś snuł się po domu w czasie tych niekończących się kanadyjskich zim.

- Anglia jest cholernie droga. Funt stoi bardzo wysoko.

- Niedawno sporo spadł. Stać nas na ten domek i jest taki przytulny.

Zdaniem Bella w tej sprawie zdrowy rozsądek opuścił Dorothy. Tu, w Kanadzie, mieli wielki dom, niemal rezydencję. A w Anglii nawet najmniejsza kłitka kosztowała około pół miliona funtów. Dorothy chyba aż nazbyt wierzyła w możliwości zarobkowe tutejszych psychiatrów. Nie było tu

nawet tak jak w Stanach. Ale co tam, lubiła przeglądać oferty domów i ogrodów, marzenia nic nie kosztują. Bell postawił talerz i filiżankę na blacie kuchennym i uszczypnęła żonę.

- Nie zaczynaj znowu. - Odwróciła się i dała mu klapsa w rękę. - Jest środek dnia.

- Ani mi to w głowie, za pięć minut mam pacjentkę. Nie mogę zapomnieć o swoich *gravitas*.

- No jasne. Nie możesz zapomnieć o *gravitas*. Gdzie my byśmy bez nich byli?

Dawno temu, jeszcze w Londynie, Bellowie bez przerwy zdzierali z siebie ubrania. Przez te wszystkie lata ich życie erotyczne wpadło w rutynę, co Bellowi odpowiadało. Kochali się i opiekowali sobą, to mu wystarczało. Naturalnie Dorothy nie miała tej klasy co on - nie była błyskotliwa, nie była nawet lekarzem - ale dobrze spędzało się z nią czas. Ciągłe była ładna, mimo pięćdziesiątki. Zachowała pociągłą twarz, opierając się wiekowi, i szczupłą sylwetkę znacznie młodszej kobiety.

Umył ręce w łazience na dole. Przeciągnął się, po czym otworzył drzwi oddzielające kuchnię od korytarza i gabinetu. Młoda kobieta o blond włosach rozpaczliwie spragnionych wody i szamponu siedziała na ławeczce w poczekalni. Inni pacjenci przeglądali gazety albo słuchali iPod'a, ale ona siedziała tylko zgarbiona, w kurtce, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Nazywała się Melanie, miała osiemnaście lat i była chodzącym nieszczęściem.

- Witaj, Melanie.

- Dzień dobry.

Nawet w tych dwóch słowach wyczuł powolność, opór, które same za siebie mówiły o ogromnym wysiłku, jaki sprawiło jej wydukanie kilku sylab. Natychmiast pojawił się tam trzeci byt: depresja. Bell wyobraził ją sobie - a w zasadzie jego - jako cichą postać, okryty peleryną, zamaskowany i niewidzialny dla pacjenta Byt. Bell czasami czuł się jak stary ksiądz w *Egzorcystycie* - jego przeznaczeniem była ciągła walka z nieśmiertelną nemezis. Z Bytem.

Melanie weszła za nim do gabinetu i usiadła na kanapie. Rozpięła kurtkę i położyła torebkę na podłodze. Potem osunęła się na oparcie i patrzyła w podłogę. Doktor Bell usiadł na małym krześle naprzeciwko z notatnikiem na kolanach. Nie uśmiechał się, jego twarz wyrażała oczekiwanie. Dla psychiatry istotne jest, żeby po pierwszych uprzejmościach to właśnie pacjent zaczął mówić. Te pierwsze słowa zdradzą ją tak wiele. Czasem jednak

- jak teraz - trudno doczekać się, aż pacjent pokona to, co mu ciąży na sercu, i zacznie rozmowę. Czas uciekał.

Melanie sprawiała wrażenie o wiele starszej. Była drobną dziewczyną o małym biuście, wyglądała trochę jak przytopiony szczur: miała dość długi, płaski nos, który rozdzielał strąki włosów na dwie połowy. Koszulka Northern University także nie dodawała jej urody. Kiedy się odezwała, ciągle patrzyła w podłogę.

- Ledwie tu przyszłam - powiedziała.

- To takie trudne dla ciebie? Dlaczego?

- Nie wiem... - Na dłuższą chwilę zapadła cisza, tylko jedna stopa wybiła rytm jak metronom, raz w lewo, raz w prawo. - Mam siebie dość. Dość myślenia o sobie. Dość gadania o sobie. To gadanie nie ma sensu. Więc po co tu przychodzić? Po co ciągle brnąć przez to wszystko?

- Uważasz, że nie ma sensu rozmawiać o tobie? Czy też, że cokolwiek byś powiedziała, i tak sobie nie pomożesz?

Spojrzała na niego po raz pierwszy, jej zielone oczy były otchłanią rozpacz. Potem szybko spuściła wzrok na podłogę.

- Chyba i jedno, i drugie.

Bell odczekał chwilę, pozwolił, by sama zdała sobie sprawę, jak bardzo przesadza lub raczej jak przesadza ta zakapturzona postać czyhająca w mroku poza jej polem widzenia. Był zawsze nakłaniał swoje ofiary do takich stwierdzeń: oskarżajcie się o brak wartości po to, by nie podejmować najmniejszej próby ocalenia.

- Zapytam cię o coś. Założmy, że ktoś do ciebie przyszedł, koleżanka albo ktoś obcy, nieważne, i powiedział: „Nie ma sensu ze mną rozmawiać. Jestem beznadziejna. Nie warto nawet o mnie myśleć”. Co byś odpowiedziała?

- Że się myli. Że każdy jest coś wart.

- Ale dla siebie nie jesteś tak łaskawa, jak dla kogoś innego.

- Nie wiem... Wiem tylko, że ciągle cierpię. Mam już dość rozmów o tym. To nie pomaga. Nic nie pomaga. Chcę już z tym skończyć. Ja nawet...

- Nawet co?

Melanie się rozplakała. Bell podał jej chusteczki. Wyjęła kilka, ale nie użyła ich od razu. Szlochała, zasłaniając twarz dłonią.

- Dlaczego się chowasz? - zapytał, ale rozplakała się jeszcze bardziej. Widać to było po ruchach jej ramion, słycać w urywanym szlochu.

- O Boże - wyszeptała, gdy łzy przestały płynąć.

- Potrzebowałaś tego.
- Chyba tak. - Głośno wypuściła powietrze. Wyglądała na wyczerpaną.
- Powiedziałaś, że chcesz z tym skończyć, że nawet...
- Tak. - Dmuchięła w chusteczkę, ciągle ciężko oddychała. - Tak. Byłam w księgarni parę dni temu, znalazłam książkę o samobójstwach. O samobójstwach wspomaganych, jakoś tak. Miała tytuł *Odejść z wdziękiem*. Mówi o tym, jak to zrobić, jak się zabić... bezboleśnie. Po prostu zakłada się plastikowy worek na głowę.

- I?..
- Nie kupiłam jej. Ale stałam tam i długo czytałam.
- Bo myślałaś, żeby się zabić.
- Uhm.
- W porządku. Proste pytanie, Melanie, muszę to wiedzieć: próbowałaś kiedyś naprawdę się zabić? - Miał pewność, że odpowiedź będzie negatywna.

- Nie, nie bardzo.
- Co masz na myśli, mówiąc „nie bardzo”?
- Zadrapałam kiedyś żyłką nadgarstek, ale to zabolalo. Strasznie boję się bólu. Nie mogłam nawet przeciąć tak, żeby poleciała krew.
- Kiedy to było?
- Och, bardzo dawno temu. Miałam może ze dwanaście lat.
- Dwanaście. Napisałaś list pożegnalny?
- Nie. To nie było na poważnie. To było żalosne.
- Było gorzej niż teraz?
- Nie, nie. Teraz jest o wiele gorzej. O wiele.
- Jak często ostatnio myślisz o samobójstwie?
- Nie wiem...
- Chyba jednak wiesz, Melanie.

Jego głos nie mógł być już bardziej miękki. Bell próbował przepelnić każdą sylabę ciepłem i zachętą, przede wszystkim bezwarunkowym, prawdziwym szacunkiem. Jesteś tu bezpieczna - chciał, żeby to wiedziała; możesz stawić czoło wszystkim demonom.

- Bardzo często myślę o samobójstwie - przyznała. - Codziennie. Zazwyczaj po południu, późnym popołudniem. Wtedy wszystko wygląda najczarniej. Kolejny dzień jest stracony, a moje życie ciągle nic nie znaczy. Jestem niczym. Słyszę śmiech koleżanek z pokoju, słyszę, jak rozmawiają przez telefon, jak wychodzą i dobrze się bawią. Jakby były z innej planety. Ja chyba nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Godzina czwarta, piąta, i kolejny

dzień stracony. Znów próbuję pisać wypracowanie, które kompletnie nie ma znaczenia. Znów martwię się, co myślą o mnie nauczyciele, co myślą znajomi. Tak to wygląda.

- Te wszystkie myśli samobójcze... Napisałaś kiedykolwiek list pożegnalny?

- Często o tym myślałam, ale nigdy tego nie zrobiłam.

- A gdybyś miała taki zamiar, to co byś napisała?

Nie chce zranić matki, to nie jej wina. Siedzi tu i bardzo cierpi, i najbardziej martwi się o matkę.

- W tym liście chyba by było... No nie wiem tak dokładnie. Chciałabym, żeby mama wiedziała, że nie mam do niej pretensji. Że zrobiła, co mogła, i takie tam. To znaczy wychowała mnie. Właściwie sama.

- Melanie, wiem, że ostatnio trudno ci się uczyć, ćwiczenia pisemne i tak dalej. Ale zadam ci małą pracę domową. Dobrze?

Wzruszyła ramionami. Pod bluzką poruszyły się jej małe piersi.

- Chciałabym, żebyś napisała taki list. Spisz swoje przemyślenia. Wydaje mi się, że to ci dobrze zrobi. Zrozumiesz, co odczuwasz. Dasz radę?

- Chyba tak.

- Nie musisz się za bardzo wysilać. List nie musi być długi. Po prostu napisz, co byś chciała powiedzieć, gdybyś zamierzała popełnić samobójstwo.

19

Nie jest tajemnicą, że pewni ludzie, lub może ludzie w pewnym nastroju, będą szukać takiej osoby, miejsca albo rzeczy, która ich dobieje. Pijak skieruje swe kroki do baru, nałogowy hazardzista do banku po oszczędności kogoś, kto jest mu drogi, opuszczony kochanek do miejsca rozstania. John Cardinal zszedł tego popołudnia do piwnicy - i stał tam w przydymionym świetle, wśród zapachów chemikaliów ciemni Catherine.

Ciemnia należała tylko do niej. Cardinal nigdy nie wchodził tam nieproszony.

Chociaż Catherine czasem wcześniej mówiła o swoich projektach, nigdy nie wspominała o pracy w ciemni. Była jak szef kuchni, który nie chce w tej kuchni nikogo, pragnąc przygotować idealny obiad, tak jakby powstał z

niczego. Catherine lubiła przychodzić z piwnicy z garścią zdjęć i rozkładać je na kuchennym stole. Potem stała z tyłu, a Cardinal oglądał jedno po drugim.

Jeśli ociągał się z opinią, Catherine się odzywała: „Na tym podobają mi się schody przeciwpożarowe, ich przekątna jest pełna dramatyzmu”, albo: „Popatrz na rowerzystę w tle, jedzie w przeciwnym kierunku. Uwielbiam takie przypadki”. Często Cardinal wyczuwał, że podoba mu się coś zupełnie innego: śliczne dziecko, cudowny śnieg. Ale Catherine nie miała mu tego za złe.

Na sznurze nad zlewem, który Cardinal zamontował przed kilkoma laty, wisiało kilka odbitek tego samego ujęcia. Były czarno-białe, pokazywały ścianę z cegieł na pierwszym planie i w tle trochę dalej zbliżającego się mężczyznę. I mężczyzna, i ściana były jednakowo ostre, i nawet własna, ograniczona wiedza Cardinala mówiła mu, że niezwykle trudno osiągnąć taki efekt. Burzyło to atmosferę zdjęcia, jakby mężczyzna i ściana byli jednakowo odczłowięczeni. Mężczyzna opuścił głowę, zasłaniając twarz oryginalnym kapeluszem. Złowieszcze zdjęcie... chociaż może tylko takie się zdawało z perspektywy czasu.

- Co tu robisz? - W drzwiach pojawiła się Kelly. Wyglądała ślicznie w białej koszuli i niebieskich dżinsach. Catherine dwadzieścia lat temu.

Wskazał jej regały na ścianie, wysoką szafkę na aparaty i obiektywy, szerokie półki na pudła ze zdjęciami. Pojemniki na ramki.

- Zrobiłem je dla niej.
- Wiem.
- Naturalnie Catherine wszystko zaprojektowała. To była jej pracownia.
- Była tu szczęśliwa - powiedziała Kelly i Cardinal poczuł ucisk w sercu.
- Chcę cię prosić o przysługę, Kelly. Nie teraz, ale może za parę miesięcy.

- Jasne, o co chodzi?
- Nie znam się na fotografii. I prawdę mówiąc, podobało mi się każde zdjęcie, które zrobiła. Ona wszystko widziała, według niej warto było robić zdjęcia, a dla mnie to się liczyło. Ale ty jesteś artystką.

- Początkującą malarką, tato. A nie fotografem.
- Masz oko artysty. Pomyślałem, że kiedyś, nie teraz, mogłabyś przejrzeć zdjęcia Catherine i wybrać najlepsze. I może w przyszłym roku zrobilibyśmy wystawę jej prac w bibliotece uniwersyteckiej.

- Oczywiście, tato. Chętnie się tym zajmę. Ale teraz chodź już stąd. Wszystko jest ciągle zbyt świeże, nie uważasz?

- Tak, masz rację.
- No już. - Wzięła go za rękę i dosłownie wyprowadziła z ciemni. Ale to tylko pograżyło go w jeszcze większym smutku.

Kelly miała jednak rację. Na górze łatwiej mu się oddychało, był u siebie. Wszedł do salonu i popatrzył na tytuły książek na półkach. Większość kupiła Catherine. Wiele w nich było o fotografii, ale całkiem sporo o budyzmie i jodze; były też powieści Johna Irvinga i wiele o psychologii - książki o depresji i zaburzeniach dwubiegunowych. Wziął do ręki *Przeciwko samozagładzie* Fredericka Bella.

Na wewnętrznej stronie okładki wymieniono także inne książki, wszystkie o naukowo brzmiących tytułach, ta jednak chyba była skierowana do przeciętnego odbiorcy. Jej ton był łagodny, uspokajający, tekst zaskakująco odkrywczy. Pierwsze strony opowiadały o samobójstwie ojca Bella, gdy ten miał osiem lat, i jego matki, gdy zaczynał studia uniwersyteckie. Nic dziwnego, że takie przeżycia mogą doprowadzić kogoś do wyczerpanej pracy na polu - jak to we wstępie wyraził Bell - rozpacz i żalu.

Cardinal przerzucił kilka stron. Książka opisywała przypadki kliniczne, każdy rozdział zaczynał się opisem próby samobójczej, z powodu której pacjent trafiał pod opiekę Bella. Był też rozdział poświęcony partnerom samobójców, ze szczególnym zwróceniem uwagi na ludzi, którzy poślubili więcej niż jedną osobę, która targnęła się na własne życie. „Pewne osoby o tłumionych fantazjach samobójczych - pisał Bell - muszą przebywać w pobliżu ludzi, którzy potrafią się zabić. Same nie są zdolne do rzucenia się w objęcia śmierci, więc potrzebują kogoś, kto popełni samobójstwo za nie”.

Cardinal pomyślał, że akurat w tym momencie to nie najlepsza dla niego lektura.

Poszedł do kuchni, gdzie Kelly siedziała nad szkicownikiem. Z blatu podniósł pocztę, którą Kelly tam położyła. Większość była do Catherine: pismo fotograficzne, zawiadomienia z Galerii Sztuki Ontario i Muzeum Królewskiego w Ontario o bliskich wystawach i masa korespondencji z Northern University. No i parę kwadratowych kopert zaadresowanych do niego - kolejne karty.

Szukał właśnie nożyka do kopert, gdy zadzwonił telefon. Brian Overholt, policjant z wydziału zabójstw w Toronto; Cardinal znał go od zawsze. Ponad dwadzieścia lat temu razem pracowali w obyczajówce, a potem w narkotykach. Tworzyli pracowity zespół. Overholt był jednym z niewielu kolegów z Toronto, których mu brakowało. Cardinal dzwonił już do niego w sprawie Plasketta.

- John, mam coś dla ciebie. Plaskett faktycznie nie żyje. Jakies dwa tygodnie temu niedaleko jednego z klubów potrącił go samochód. Przez jakiś czas był w stanie krytycznym, umarł w sobotę tydzień temu.

- Był u was zamieszany w coś, o czym powinienem wiedzieć?

- O niczym takim nie wiemy. Jego kumple zniknęli po wypadku, więc możesz sam wyciągnąć wnioski. Najwyraźniej nie chcieli zadawać się z przedstawicielami prawa.

- Macie kierowcę?

- Nie, ale to tylko kwestia czasu. Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić? Halo? Jesteś tam?

Cardinal właśnie otworzył jedną z kopert adresowanych do niego i teraz się w nią wpatrywał.

- Ee, tak, Brian. Słuchaj, wielkie dzięki. Postaram się zrewanżować.

- Jasne. Jak będę szukał Eskimosa, poproszę cię o pomoc. A co słyhać u Catherine?

- Muszę uciekać, Brian. Wypadło mi właśnie coś pilnego.

Karta miała stempel Mattawy, tak jak ta pierwsza. Taka sama, półbłyszcząca karta, jaką można kupić w każdej kwaciarni, nie mówiąc o sklepach papierniczych w całym kraju. A więc nadawca kupił ich co najmniej trzy, może wszystkie w tym samym czasie w jednym sklepie. Sprzedawca mógł zauważyć kogoś, kto naraz kupował trzy karty kondolencyjne.

Cardinal próbował myśleć jak detektyw i nie reagować na słowa wydrukowane w środku. Wszystko wyglądało jak poprzednio, pierwotny zapis pokrywała wydrukowana wiadomość: „Ależ z ciebie musiał być wspaniały mąż. Woląła śmierć niż życie z tobą. Pomyśl tylko. Ona dosłownie wolą umrzeć. To powinno ci uświadomić, co jesteś wart.”

Cardinal podszedł do okna i popatrzył na kartę pod różnymi kątami. Tak, rozróżniał cienką linię biegnącą przez górne części liter. Prawie na pewno ta sama drukarka i prawie na pewno ten sam nadawca. Kimkolwiek był, to na pewno nie Connor Plaskett. Brian Overholt właśnie dokładnie wyjaśnił dlaczego.

„Woląła śmierć niż życie z tobą”.

- Pierdol się! - Cardinal uderzył pięścią w lodówkę. Magnesy, notatki i zdjęcia wylądowały na podłodze.

- Tato, wszystko w porządku?

Kelly poderwała się z krzesła i patrzyła na niego ze strachem.

- Nic mi nie jest.

- Nie pamiętam, żebym słyszała, jak tak klniesz. - Położyła sobie rękę na sercu.

- Być może będziesz musiała się do tego przyzwyczaić - odparł, wkładając kurtkę.
- Idziesz gdzieś? Złapał kluczyki.
- Nie czekaj z kolacją - rzucił i wyszedł.

20

Dajcie mi adres Neila Codwalladera. - Cardinal wjeżdżał do miasta drogą 63. Dziwiło go, że tak się wścieka. Czuł, jak gniew pulsuje mu w nadgarstkach, jak łomocze w skroniach.

- On jest teraz sam, John. Nie ma nikogo, kogo mógłby tłuc.

Po drugiej stronie linii zgłosił się kurator sądowy, Wes Beattie. Słyszając jego spokojny, ciepły głos, trudno było uwierzyć, że Wes kiedykolwiek był policjantem. A jednak zanim został kuratorem sądowym, przez piętnaście lat pracował w Policji Prowincji Ontario. Za każdym razem gdy Cardinal rozmawiał z nim przez telefon, wyobrażał sobie tłustego kocura.

- Muszę się z nim zobaczyć w innej sprawie - powiedział Cardinal i zadrżał na focusa, który gwałtownie zmienił pas, nie włączając kierunkowskazu. - I to szybko.

- Chyba się denerwujesz, John. Jeśli Neil coś zmalował, lepiej mi o tym powiedz. Nie możemy mieć przed sobą tajemnic, prawda?

- Powiem ci, jak z nim pogadam. Dasz mi ten adres?

- Main Street East 690. Ale nie ma go tam teraz, pracuje na dwa etaty.

- Niech zgadnę, jest wolontariuszem w poradni dla ofiar przemocy.

- Nie, jakoś nie wyobrażam sobie Neila jako terapeuty bitych kobiet, jednak ma pracę. Trzy dni w tygodniu zasuwa w Wal-Marcie, a w pozostałe cztery w Zappers.

- W punkcie ksero?

- Dokładnie. Posłuchaj, John, chyba nie masz zamiaru wpaść tam i zagrozić jego posadzie? Tak samo jak ty nie lubię damskich bokserów, a Neil spłacił już swój dług wobec społeczeństwa i teraz naprawdę uczciwie...

- Nigdy nic nie wiadomo. Dobra, jestem pod marketem. - Cardinal się rozłączył. Wjechał na parking wielkości kilku boisk piłkarskich.

Rzadko wchodził do Wal-Martu. Nigdy nie mógł znaleźć tego, czego szukał, a i ceny go nie zadowalały. Przejścia wciąż blokowały otyłe pary z wózkami, chociaż dziś było raczej pusto. A jednak Cardinal wołał wspomagać lokalne sklepiki, może irracjonalnie. W Wal-Marcie podobało mu się tylko to, że zatrudniał starszych ludzi. Chociaż było sporo młodych, obiboków, pracowało tam wielu emerytów - dorabiali sobie do emerytury, pomagając klientom znaleźć to, po co przyjechali.

- Gdzie można znaleźć takie karty? - spytał szczupłą sprzedawczynię.
- Tutaj - powiedziała. - W następnej alejce.

Poszedł w kierunku działu pogrzebowego. Była tam ogromna liczba kart kondolencyjnych.

- No i mamy - szepnął. - Z wyrazami najgłębszego współczucia.

Wziął kartę identyczną z ostatnią, którą dostał, a potem inną, taką samą, jak druga. Pierwsza najwyraźniej została wyprzedana.

- Znalazł pan? - spytała drobna kobieta.

- Tak, dziękuję pani. Może pani powiedzieć, czy Neil Codwallader dziś pracuje?

- Neil? Czy to ten z działu foto?
- Taki umięśniony i wytatuowany.
- A tak. Był wcześniej, ale chyba już poszedł do domu.

Skierowała go do działu foto kilka alejek dalej. Naprawdę, żeby poruszać się w tym miejscu, potrzebny jest motorower.

- Neil wyszedł pół godziny temu - poinformował chłopak z obsługi. - Ma gdzieś drugą robotę.

Dziesięć minut później Cardinal był po drugiej stronie miasta. Łamiąc przepisy, zaparkował naprzeciwko punktu ksero.

Zappers to miejsce, gdzie można wpaść i sprawdzić pocztę albo odebrać lub wysłać faks, albo założyć anonimową skrzynkę pocztową w przypadku nielegalnego interesu. Główna oferta: przestarzały sprzęt za niewielkie pieniądze. W lokalu była teraz tylko jedna klientka, Azjatka, która z prędkością światła pisała coś na klawiaturze.

Codwallader stał za kontuarem plecami do środka i kserował ogromny stos papierów. Gdy się odwrócił, chyba nie poznał Cardinala.

Jego długie włosy i sumiaste wąsy były modne przed trzydziestoma laty, a i wtedy musiałby być gwiazdą rocka. Pobyt w więzieniu nie wpłynął na jego muskulaturę - poważnie zagrażała szwom koszulki. Jego ramiona były ozdobione tatuażami.

- Pomóc w czymś?

- Dobre pytanie.

Codwallader znieruchomiał, nie zmierzył Cardinala spojrzeniem, jakim zmierzyłby go normalny człowiek, tylko popatrzył na niego zimnym wzrokiem więźnia.

- Znam cię. Jesteś gliną.

- A ty damskim bokserem.

- Tak twierdzisz. Ale to nie znaczy, że to prawda.

- No cóż, karta pacjenta, lekarze i opieka społeczna też tak twierdzą. O Corze nie wspomnę.

- Nie mam ci nic do powiedzenia. Nawet nie pamiętam, jak się nazywałeś.

- Cardinal. John Cardinal. To ja powiedziałem sędziemu, że znalazłem twoją żonę ze złamanym nosem, złamaną ręką i garściami wyrwanych włosów. O jej podbitych oczach i porwanym ubraniu.

- Mówiłem sądowi, że nie ja to zrobiłem.

- Jak każdy łachudra. Zawsze niewinny.

- Nie mam teraz żony dzięki takim jak ty. Dzięki tym, co lubią się wtrącać. Teraz robię to, co muszę, żeby przetrwać. Więc jeśli nie zamierzasz skorzystać z komputera, to wynocha.

- Tak naprawdę to interesują mnie drukarki.

- Są tam. - Wytatuowany palec wskazał stojące obok siebie trzy urządzenia. - Dwa dolce za pierwszą stronę, dziesięć centów za każdą następną. Proszę bardzo.

Cardinal otworzył teczkę. Wyjął dyskietkę, włożył ją do komputera i wybrał list, który pisał do swojego agenta ubezpieczeniowego. Polisa musiała zostać zmieniona, bo Catherine była jej beneficjentem.

Wybrał drukarkę numer jeden, potem drugą i trzecią. Wydrukował trzy kopie listów. W druku zauważył różne mankamenty, ale w żadnym nie widać było białej linii wzdłuż górnej części liter. Oczywiście, w takim miejscu jak to, pojemniki z tuszem były wymieniane często. Jeśli wszystkie wiadomości wydrukowano w tym samym czasie, powiedzmy dzień lub dwa po śmierci Catherine, ten pojemnik na pewno wylądował już w śmietniku. A Codwallader mógł korzystać z własnego tuszu.

Cardinal włożył wydruki do teczki i wyjął dyskietkę z komputera.

- Ile płacę?

- Dwa dwadzieścia pięć plus VAT. Trzy szesnaście.

Zapłacił.

- Powiedz mi coś, Cardinal. Jesteś żonaty?

Cardinal podniósł rękę, pokazując złotą obrączkę z imieniem Catherine wygrawerowanym w środku. Zawsze chciał, by pochowano go z tą obrączką na palcu.

- Jesteś taki przyzwyczajony i w ogóle - burknął Codwallader. - Powiedz prawdę. Nigdy nie masz ochoty stuknąć żonki w łeb? Taki mały łomot. Nie mówię, że to zrobiłeś, tylko pytam. Bądź szczery. Nie masz czasem ochoty spuścić jej łomotu?

- Nie. A teraz ty odpowiedz mi na jedno pytanie. Gdzie byłeś w nocy czwartego października? We wtorek, dwa tygodnie temu.

- Wtorek? Byłem tu. Mamy otwarte do dziesiątej wieczorem. Słuchaj, jeśli coś się stało Corze... nie mam nawet pojęcia, gdzie mieszka albo czy zmieniła nazwisko, nie wiem nic. Więc jeśli oberwała we wtorek wieczorem, to ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Tak twierdzisz.

- Możesz sprawdzić kamery ochrony. - Wskazał na małe kamery nad wejściem. - Trzymają zapis co najmniej przez miesiąc. Zapytaj szefa.

- Zapytam. Gdzie jest?

- Wyjechał. Wraca za tydzień. Pieprzona Cora. Myślałem, że pozbyłem się już tej suki.

21

Delorme czekała do szóstej, aż miała pewność, że Matt Morton będzie w domu, zanim pojechała na Warren Street. To ślepy zaułek po wschodniej stronie miasta. Nie była tam chyba nawet dwa razy.

Mortonowie mieszkali w niskim, parterowym domu, który wydawał się za ciasny dla pary małżonków, nie wspominając już o małżeństwie z dziećmi. Dodatkowo wrażenie to potęgowały duże samochody na podjeździe - toyota land cruiser i chrysler pacifica, i jedyny nie taki wielki ford taurus. Obok garażu, pod okapem stały dwa połyskujące czerwienią skutery śnieżne.

Była też wspaniała łódź, potężny chris-craft. Oczywiście Delorme nie odróżniłaby chris-crafta od łodzi podwodnej, ale nazwa producenta wyróżniała się chromowanymi literami na burcie. Dla jej niewprawnego oka

łódź wydawała się niezgrabna, miała zbyt długi dziób i była za niska, ale zapewne osiągała duże prędkości i po to ją zbudowano, a nie dla ładnej sylwetki. Zresztą, kto wie, jak wygląda na wodzie? Delorme nie orientowała się, jaką moc ma silnik, ale śruba napędowa robiła wrażenie.

Po co kupować taką wielką łódź, a potem mieszkać w byle jakiej chałupce? Delorme często myślała o ludziach, którzy wydawali pieniądze w pogoni za wszystkim, tylko nie własnym domem. W policyjnej pracy spotkała takich całą masę, bywała w prawdziwych norach... z telewizorami wielkości szkolnych tablic.

Oczywiście dom Mortona nie podpadał pod tę kategorię, wyglądał na zadbane i dobrze utrzymany.

O właścicielu nie można było tego powiedzieć. Jeśli kiedyś był zawodnikiem drużyny futbolowej, jak mówił Frank Rowley, to nie pozostał po tym ślad. Mięśnie pokryła warstwa sadelka. Najwięcej go było w górnych częściach ciała, jakby ktoś mocno ścisnął Mortona w kostkach i cały tłuszcz popłynął w górę, osadzając się wokół szyi i ramion. Włosy, tak samo jak sprawcy ze zdjęć, miały brązowy kolor, chociaż były równo przycięte.

Delorme przedstawiła się i pokazała odznakę.

- Proszę wejść - powiedział. - Mam tylko minutę, zaraz siadamy do obiadu.

- W porządku, nie zajmę panu dużo czasu. - W salonie nie było niczego, co widziała na zdjęciach. Na końcu korytarza była kuchnia, za daleko, by dostrzec coś więcej niż kilka drewnianych szafek. Delorme słyszała wrzask dzieci, dziewczynki i chłopca, i głos uciszającej je kobiety.

- Podziwiałam pańskie pojazdy na zewnątrz. Zwłaszcza łódź.

- Moja duma i radość. No i dobrze, za to, co za nią zapłaciłem. I ciągle płacę.

- Panie Morton, prowadzę dochodzenie w sprawie kilku przestępstw, których dokonywano w okolicach przystani nad jeziorem, i muszę zerknąć na pańską łódź. Nie ma pan nic przeciwko?

- Jakie przestępstwa?

- Napady, między innymi.

- Napady. Nie mają ze mną nic wspólnego, od razu mogę to pani powiedzieć.

- Jesteśmy na etapie ustalania świadków.

- Nigdy nie widziałem niczego, co przypominałoby napad. I o niczym takim nie słyszałem. Co to ma wspólnego z moją łodzią?

- Zapewne nic. Gdybym mogła szybko ją obejrzeć, bardzo by mi to pomogło.

- Oczywiście. W porządku.

- Dziękuję.

Morton włożył wiatrówkę i zaprowadził Delorme do łodzi. Szedł wolnym, ostrożnym krokiem, charakterystycznym dla otyłych. Jednak w ciągu paru lat można sporo przytyć. Delorme nie wykluczyła jeszcze Mortona z kręgu podejrzanych.

- Chce pani wejść do środka?

- Tak.

- Na tej łodzi nie doszło do napadu. Nie mam pojęcia, w czym może pani pomóc włazenie do środka.

- Pomoże nam wykluczyć parę rzeczy, panie Morton. Mogę wejść na przyczepę?

- Wolałbym, żeby weszła pani po drabinie.

Pomogła mu wyjąć z garażu aluminiową drabinę. Wystarczyły dwie minuty wysiłku, by dawny zawodnik pocił się i dyszał. Jednak ruszył pierwszy i przeszedł przez burtę na pokład.

- Nie wygląda teraz najlepiej - powiedział. - To tak, jakby oglądać konia wyścigowego w stajni. Nie ma się właściwego obrazu.

- Och, ten obraz mi wystarczy. - Delorme rozglądała się dokoła. - Fajnie musi być nią pływać.

- Nie ma nic lepszego, zapewniam panią. Powietrze, słońce. No i piwo. I wszyscy zadowoleni. Dzieciaki mają frajdę, żona jest w siódmym niebie, a ja zapominam o swojej robocie.

- A czym się pan zajmuje?

- Branża komputerowa. Sieci. Kiedyś dobrze się na tym zarabiano, teraz już nie. Nie w tym mieście. Mieliśmy kupić większy dom, ale na razie nic z tego.

- Możemy zdjąć brezent z siedzeń? - Delorme była już prawie pewna, że nie chodzi o łódź ze zdjęć. Koło sterowe było białe, a to na zdjęciach drewniane. Oczywiście, koła sterowe można wymienić, lecz na łodzi nie było też drewnianych dodatków. Wątpiła, by ktoś chciałby to zmieniać.

Morton podniósł plastik z siedzeń od strony rufy. Były składane, obite gładką, białą tapicerką. Obok nich przytwierdzono niewielkie stoliki. Zdjęcia ukazywały siedzenia z czerwoną, pikowaną tapicerką, ustawione do siebie oparciami. Tył łodzi był zupełnie inny.

- Chce pani zobaczyć też kambuz? I kabinę?

- Nie, dziękuję. Bardzo mi pan pomógł.
- To nie kłopot. Skoro już tu jesteśmy...
- W porządku. Nie zaszkodzi rzucić okiem.

Puściła go przodem, a Morton z dumą pokazywał jej różne elementy łodzi. Kilka razy powiedział: „Żona by mnie zabiła, gdyby dowiedziała się, ile za to zapłaciłem”.

- To tak, jakby mieć drugi dom - zauważyła. - Przynajmniej w lecie.
 - Właśnie. - Morton podkreślił odpowiedź wielkim jak kiełbasa palcem.
- Nie myli się pani.

Delorme nigdy nie pociągała łodzi, ale to wnętrze, zadbane i schludne, miało w sobie urok. Mnóstwo szafeczek i schowków, wszystko zminiaturyzowane, o zaokrąglonych brzegach.

- Dzieciaki muszą uwielbiać tę łódź - stwierdziła.
- Och, mój syn nie schodziłby z niej, gdybym mu tylko na to pozwolił. Ale Brittney ma to gdzieś. Jak to trzynastolatka.

Delorme bardzo chciała zobaczyć dziewczynkę, ale nie miała pomysłu, jak to zrobić.

- Panie Morton, jak się panu układa z innymi ludźmi na przystani? Często pan z nimi przebywa?
- Niespecjalnie. To w większości rodziny, wie pani. Zajęci dziećmi, nie mają czasu, żeby bliżej się poznać. Gadamy o pogodzie i takie tam.
- Ciasno tam jest. A to droga zabawka. Nie miał pan nigdy skarg?
- Co, na przystań?
- Albo na ludzi, którzy cumują obok pana.

Morton się zastanowił. Potarł głowę.

- No cóż, jest taki włoski dupek, zawsze głośno słucha muzyki, po drugiej stronie doku, ale na wodzie hałas niesie się daleko. Ucieszyłbym się, gdybyście go aresztowali albo deportowali. Czy coś w tym stylu.

- Mało prawdopodobne. A ci z sąsiedztwa?
- Państwo Ferrier? Fajni ludzie. Nie jesteśmy zbyt blisko, ale się lubimy. Wypijemy nieraz piwo z André, pogadamy o sporcie. I tyle.

- Mają dzieci?

- Dwie córki, Alex i Sadie. Sadie, chyba osiem lat, Alex jest w wieku Brittney, ma trzynaście, a robi się na trzydziestkę. Wie pani, jak to teraz jest.

Trzynaście lat. Delorme chciała dowiedzieć się więcej o dziewczynkach, ale wolała nie sprowadzać jeszcze rozmowy na te tory. A jeśli Morton molestował dzieci sąsiadów? Żeby odwieść go od tematu, wspomniała Franka Rowleya.

- Znam go jeszcze z liceum. To porządny facet. - Morton nagle strzelił palcami. - Właśnie sobie coś przypomniałem. Bada pani przypadki napa-
dów?

- Tak.

- Facet... Bell. Fred Bell. Uratowałem mu raz dupę, gdy jakiś stuknięty popapraniec mu przyłożył.

- Frederick Bell? - Delorme nigdy nie spotkała go osobiście, ale wie-
działa, że jest psychiatrą.

- Właśnie. Anglik. Ale to nie było dokładnie na przystani. To się stało
obok, przed knajpą z owocami morza.

- O co poszło?

- Nie wiem. Gość krzyczał coś na temat leczenia, jakie Bell zaserwował
jego synowi. Chłopak chyba popełnił samobójstwo. Tak czy inaczej, facet
najwyraźniej zwariował, tłukł jak opętany, więc delikatnie wszedłem mię-
dzy nich i powiedziałem, żeby sobie poszedł. Nietypowa napaść, jeśli się
nad tym zastanowić. To było jakiś rok, może półtora roku temu.

- Zna pan jego nazwisko?

- Nie pamiętam już. Whiteside albo coś takiego.

- Ostatnie pytanie. Czy widział pan albo słyszał coś niepokojącego w
okolicy przystani? Coś, co by kazało zastanowić się nad tym, czy to na
pewno dobre miejsce dla dzieci?

- Jak to? Pod względem bezpieczeństwa?

- Pod każdym względem.

- Przystań to jak domy po sąsiedzku. - Morton pokręcił głową. - Ludzie
zazwyczaj wiedzą o sobie. Pożyczą cukru i te sprawy, wie pani. Mimo że nie
znamy się za dobrze, mamy poczucie wspólnoty, ten rodzaj zaufania do
siebie, którego brakuje w wielu innych miejscach. Idealna oaza spokoju,
dla wszystkich, zwłaszcza dla dzieci.

22

Cardinal przerzucał rachunki przy stole w jadalni. Kelly oglądała w salo-
nie kolejną powtórkę *Ostrego dyżuru*. Robiła to tak, jak Catherine - z mi-
ską popcornu na kolanach. Co jakiś czas mówiła: „Przestań” albo: „Żaden
normalny lekarz by tego nie zrobił”.

Cardinal wypisał czeki na karty kredytowe Catherine. Na każdym od-cinku wystawiającego czek dopisywał: „Właściciel nie żyje. Proszę anulować”.

Pomyślał o dwóch osobach, które do tej pory wytropił: jedna z nich nie żyła już, gdy zginęła Catherine, druga pozostawała w kręgu podejrzeń. Musiał jeszcze potwierdzić alibi Codwalladera, ale przecucie mówiło mu, że to nie on. Cardinal czuł, że przeoczył coś oczywistego. Podążał donikąd. Do tej pory koncentrował się na motywacji i sprzyjających okolicznościach: Kto miał powód, by zranić go, zabijając jego żonę? Kto ostatnio wyszedł z więzienia?

Ale pozostawały też podstawowe sprawy do rozważenia. Kto znał jego adres? Kto wiedział, że Catherine jest jego żoną? Kto mógł tak skwapliwie skorzystać z tej informacji? Na pewno nie taki pijaczyna jak Plaskett (nawet gdyby żył) i może nie taki zajęty sobą nieudacznik jak Codwallader.

Adresu i numeru telefonu Cardinala nie było w książce telefonicznej i na pewno komisariat takich informacji by nie udzielił. Od czasu pracy w ekipie do spraw narkotyków w Toronto Cardinal miał zwyczaj oglądać się za siebie i sprawdzać, czy ktoś go nie obserwuje. Jeśli nie jesteś czujny, ktoś może pójść za tobą i zagrozić twojej rodzinie. Wiedziałby, gdyby ktoś go śledził.

Przewertował resztę rachunków: próśby o wsparcie Stowarzyszenia Ochrony Ptaków, Sierra Club, Amnesty International i inne ze szpitala dziecięcego, z UNICEF-u i organizacji charytatywnych. No i rachunki z elektrowni i domu pogrzebowego Desmond.

Większość była już otwarta, część nawet opłacona. Cardinal sprawdzał każdy z nich pod lampą obok telefonu. Nałożył okulary, by mieć pewność. Żaden nie zawierał tej skazy w druku, co karty kondolencyjne.

W porządku, może to byłoby za proste. Prawie wszystkie, z wyjątkiem pomniejszych od organizacji charytatywnych, były wypisywane komputerowo. Nikt nie widział tych rachunków, dopóki nie wracały opłacone. Otworzył list z domu pogrzebowego.

Szanowny Panie, personel Domu Pogrzebowego Desmond chciałby zapewnić Pana, że w tych dniach żałoby łączymy się z Panem w bólu.

Chcielibyśmy też podziękować za skorzystanie z usług naszej firmy. Mamy nadzieję, że nasze usługi przyniosły Panu pewną ulgę i poczucie bezpieczeństwa w czasie jednego z najtrudniejszych doświadczeń w życiu każdego człowieka.

W tym liście załączamy fakturę. Prosimy uiścić opłatę w dogodnym dla siebie czasie. I proszę pamiętać: jeśli jest coś, co możemy dla Pana zrobić w tych trudnych dniach, służymy pomocą.

Z podziękowaniem i wyrazami najgłębszego współczucia.

List podpisał David Desmond. Żadnej skazy w wydrukowanych literach.

- Ale idiotka! - zawołała Kelly do telewizora. - Jakim cudem ona została pielęgniarką?

W przerwie na reklamę, idąc do kuchni, przystanęła obok Cardinala.

- Tato, dlaczego nie przyjdiesz pooglądać?

- Za chwilę.

- Przyjemnie popatrzeć, jak ktoś potrafi spaprać sobie życie bardziej niż ty sam. Chociaż w pracy pewnie dzień w dzień masz z tym do czynienia.

- O tak, zgadza się.

- Idę po colę, chcesz jedną?

- Jasne.

Cardinal patrzył na fakturę, która przyszła razem z listem. Coś przykuło jego uwagę - nie cena. Tutaj akurat nic zaskakującego.

Trumna - naturalny orzech włoski, klasa pierwsza - 2500 dolarów.

U góry liter biegła wyraźna linia.

I niżej: Opłata wniesiona: 3400 dolarów.

Taka sama linia przez O i W.

- Zaczyna się! - zawołała Kelly z salonu. - Przyniosłam ci tu twoją colę.

Cardinal wyjął z teczki trzy karty. „Wolała śmierć”... Linia przez W.

„Ależ ona musiała cię nienawidzić”. Taka sama linia przez A. Wyjął lupe i spojrzął na litery ze skazą. Trafiony.

Czyżby dyrektor domu pogrzebowego miał dość okazywania współczucia cierpieniu, jakie wciąż widział? Czy można mieć dość łez, modlitw, wahań co do szczegółów pochówku, nieustannych zapewnień, że to właśnie ta ukochana osoba była kimś szczególnym, w przeciwieństwie do innych, których chował co dzień? Pomyślał, że tak, można mieć tego dość, pewnego dnia może coś w człowieku pęknąć i zacznie wysyłać niezbyt kondolencyjne karty.

Ale na kopercie - żadnych wad wydruku.

Zadzwoił do Desmond. A on, profesjonalista w każdym calu, nie zawahał się ani chwili.

- Tak, John? Jak mogę ci pomóc?

- Patrzę właśnie na waszą fakturę.
- Och, nie pali się. Połowę już zapłaciłeś w ramach zaliczki. Na pewno masz wiele innych rzeczy na głowie.
- Zastanawiam się, czy sami je przygotowujecie.
- Podajemy wstępne kwoty, oczywiście. Ale potem zlecamy wszystko zewnętrznej firmie.
- Dobrze się spisują. Mam trochę skomplikowanych wyliczeń podatkowych w tym roku i zastanawiałem się, czy nie mógłbyś mi dać na nich jakichś namiarów.
- Ależ oczywiście. To Beckwith i Beaulne. Poczekaj moment, mam tu gdzieś ich wizytówkę.
- Który z nich dla was pracuje?
- Żaden. Facet nazywa się Roger Felt.
- Żartujesz.
- Czemu? Znasz Rogera?

23

Roger Felt. Cardinal nie myślał o nim przez co najmniej pięć lub sześć ostatnich lat. Roger Felt był brokerem, doradcą finansowym i analitykiem inwestycyjnym biura Frasera Granta w Algonquin Bay. Miał reputację miejscowego Midasa z akcjami o dużym potencjale wzrostu.

Jak niemal każdy doradca inwestycyjny w mieście Felt żył z funduszy wzajemnych. Powierzane mu oszczędności inwestował w mniej lub bardziej stabilne fundusze. Jednak w przypadku jego emerytury nie bardzo mu się to podobało. Lata spędzone na analizach prasy fachowej wypełniły mu głowę sylwetkami czarodziejów od inwestowania, którzy łatwo i szybko robili kasę i odchodzili na emeryturę, kupując jachty, rezydencje w górach i domy na południu Francji. Nie miał zamiaru zostać w dwupoziomowym mieszkaniu w Algonquin Bay i domku na jeziorze.

Tak więc Roger Felt opracował ambitny plan, żeby trafić do pierwszej ligi. Zainwestował w bardziej ryzykowne udziały i zaczął jechać na krawędzi. Gdy po raz pierwszy znalazł się poza krawędzią, szybko pokrył straty z własnej kieszeni. Oczywiście te pieniądze pochodziły również z ubezpieczenia emerytalnego jego żony, nie tylko jego. Powinny też pokryć koszty

utrzymania teściowej i kształcenia ich trojga dzieci, które miały po kolei iść na studia. To nie problem. Gdy tendencje rynkowe zaczęły zrywać, a jego zmysł ekonomiczny mówił mu, że tak stać się musi, będzie tak bogaty, że pokryje te potrzeby z kieszonkowego.

Wiele chybionych inwestycji później... i Roger Felt znalazł się w mało komfortowej sytuacji człowieka, który wyczerpał nie tylko swoje konta, ale także te należące do jego najbogatszych klientów. W Algonquin Bay do tych najbogatszych należeli emeryci z dobrymi emeryturami i spłaconymi domami, którzy mieli trochę wolnej gotówki. Felt lekką ręką „pożyczał” sobie pieniądze z ich kont, żeby pokrywać straty i realizować większe inwestycje, by później - jak to wyjaśniał przed sądem - wszystkich spłacić, oczywiście z należnymi odsetkami.

Marzenia o luksusowym życiu na Lazurowym Wybrzeżu zaczęły z wolna blednąć, zmieniły się w sny o spłaceniu skradzionych funduszy, o przywróceniu zabezpieczenia finansowego rodzinie, o pozostaniu na wolności.

Nic z tego nie wyszło.

Jedną z jego klientek, Gertrude M. Lowry, chciała ulokować wszystkie swoje fundusze w innej firmie. Gdy zmęczyły ją uniki Felta, zadzwoniła na policję. Sprawa przypadła Cardinalowi, a ponieważ nie miał pojęcia o finansach, do pomocy przydzielono mu Delorme. Od sześciu lat pracowała w policji, ścigając przestępców w białych kołnierzykach, przed paroma miesiącami uzyskała dyplom MBA.

Felt został aresztowany za defraudację, sprzeniewierzenie funduszy i przekroczenie uprawnień, i uznany za winnego wszystkich trzech zarzutów. Jego adwokat, Leonard Scofield, w rozwlekłej mowie prosił o najniższy wymiar kary, co sędzia przyjął dosyć chłodno. Nic dziwnego, skoro wcześniej zeznawali świadkowie: ludzie w podeszłym wieku, zmuszeni wrócić do pracy, młodzi, których marzenia o własnym domu legły w gruzach, wściekłe pary, które straciły majątki, i drżące staruszki, które musiały wykonywać najgorsze roboty, żeby utrzymać się na powierzchni. Roger Felt dostał osiem lat więzienia, z którego warunkowo wyszedł po pięciu.

Cardinal zatrzymał się pod adresem podanym przez Desmonda. Było to mieszkanie nad sklepem z materiałami przy Sumner Street. Żeby dojść do drzwi, Cardinal musiał przecisnąć się przez tak wąskie przejście, że przez chwilę szedł bokiem.

Drzwi były wypacykowane przez kolejne pokolenia graffiściarzy. Najmniej pomysłowy z nich ogromnymi, czerwonymi literami napisał: „Kocham cię”. Cardinal zadzwonił domofonem i czekał, rozglądając się po

korytarzu zarzuconym pustymi puszkami po napojach i opakowaniami po chipsach. Leżała tam nawet przemoczona tenisówka bez sznurowadeł. Jednym słowem, katastrofa w porównaniu z posiadłością nad jeziorem, którą miał Felt w chwili aresztowania. Gdy po niego przyszli, leżał na hamaku ze szklanką rumu z colą w dłoni.

- Kto tam? - zaskrzeczał głos w trzeszczącym głośniku.
- Kurier.
- Już schodzę.

Na schodach rozległo się ciężkie stąpanie i drzwi się otworzyły.

Więzienie nie przysłużyło się Feltowi. Zawsze był trochę staroświecki. Niekoniecznie eleganckie, ale drogie garnitury i wysportowana sylwetka sprawiały, że wyglądał jak angielski sir. A teraz? - jak zgarbiony karzeł. Koszula nie była chyba od lat prasowana, pod pachami widniały koliste plamy potu. Cuchnął papierosami i głośno oddychał.

- Przyjechał pan z Almy? - wymienił nazwę restauracji przy Main Street. - Niczego u nich nie zamawiałem.

- Niespodzianka. - Cardinal wyjął odznakę.
- O, nie. - Felt spojrział na niego przez grube szkła okularów.
- Panie Felt, mamy powody przypuszczać, że łamie pan warunki zwolnienia warunkowego. Muszę wejść i się rozejrzeć.
- Proszę o nakaz.
- Jest pan przestępcą na zwolnieniu warunkowym, panie Felt, a ja mam podstawy sądzić, że łamie pan jego warunki. Nie potrzebuję nakazu.

Cardinal przeszedł obok niego i ruszył schodami w górę. Drzwi na górze otwierały się na ciasną, niesymetryczną kuchnię oświetloną żarówką energooszczędną - takie wybierali właściciele mieszkań pod wynajem. Z papierosa na popielniczce unosiły się smugi dymu. Obok leżały kalkulator, stos papierów, zdezelowany laptop i stała mała drukarka.

Cardinal wyjął z drukarki kartkę papieru. Była to faktura wystawiona przez Beckwith i Beaulne zaadresowana do Nautilus Marine Storage and Repair. Przez litery N i R przebiegała blada linia. Zazwyczaj Cardinal zachowywał spokój, gdy należało aresztować przestępcę. Teraz jednak, gdy Felt wszedł naburmuszony do kuchni, poczuł wściekłość. Postanowił nad sobą zapanować. Wskazał palcem kalkulator, stertę dokumentów i laptopa.

- Warunkiem zwolnienia był zakaz zatrudnienia w sektorze finansowym. A ja widzę, że wykonuje pan usługi księgowo. Czy mogę rozmawiać z panem Beckwithem?

- Nie ma go tu.

- A panem Beaulne'em?
 - Też go nie ma.
- Beckwith i Beaulne to fikcyjne osoby, prawda?
- To tylko nazwa. Dobrze brzmiała.
 - Prowadzi pan fikcyjną firmę, panie Felt. Po to, żeby znów naciągnąć naiwniaków.
 - Potrzebuję klientów. Nazwa dobrze brzmiała. Nie sądzi pan chyba, że utrzymam się z pensji sprzedawcy kanapek.
 - Z pańską przeszłością defraudanta sąd na pewno zainteresuje się fikcyjną firmą prowadzącą księgowość.
 - Proszę tego nie robić. Nie mogę wrócić do pudła.
 - Niech pan włoży buty, panie Felt. Bo właśnie tam jedziemy.

24

Roger Felt został spisany i osadzony w celi komisariatu po tym, jak zezwolono mu na kontakt z adwokatem. Cardinal powiadomił prokuraturę i kuratora sądowego. Sporządził notatkę, skończył papierkową robotę i zaniósł pudła materiałów zabranych z mieszkania Felta do sali narad.

Była najspokojniejszym i najbardziej przyzwoicie wyglądającym miejscem w komisariacie. Długi, dębowy stół i zgrabne krzesła - estetyka jak w siedzibie małej, ale dochodowej korporacji. Cardinal otworzył pierwsze pudło i wyjął kalkulator, laptopa i drukarkę. Otworzył drugie pudło i wyciągnął z niego stos dokumentów i materiały piśmienne.

Weszła sierżant Mary Flower. Do określenia takiego typu kobiety z pewnością pochodzi słowo babsztyl. Miała nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, ale nadrabiała to szeroką klatką piersiową i niskim głosem. Była troskliwa wobec umundurowanych kolegów, lecz jeśli podejrzewała, że któryś z policjantów na patrolu się obija, potrafiła posłać tak płomienną wiązanekę, że przez parę tygodni w powietrzu czuć było jeszcze siarkę. Przez te wszystkie lata podkochiwała się w Cardinalu, co od czasu do czasu bezwstydnie wykorzystywał, gdy była mu potrzebna pomoc mundurowych.

- Posłuchaj, John - pracowali razem wystarczająco długo, żeby mówić sobie po imieniu, gdy inni nie słyszeli - pewnie powiesz mi, że to nie moja sprawa, ale...

- To nie twoja sprawa, Mary.
 - A jednak moja, w pewnym sensie. Bo chodzi o właściwe prowadzenie tego biznesu, a to dotyczy mojej działości, czyli szkolenia młodych. Ale nie dlatego o tym mówię. Mówię o tym, bo jesteś moim kumplem i szanuję cię na tyle, żeby powiedzieć ci, kiedy według mnie robisz błąd.
 - Robię masę błędów. Który masz na myśli?
 - Po pierwsze, skarbie, nie powinno cię tu jeszcze być. Ciągłe cierpisz i będziesz cierpieć jeszcze długo. Komisariat to nie miejsce dla złamanych serc.
 - Ona mnie nie rzuciła. Ona, eee...
- Umarła. Nigdy nie będzie w stanie wymówić tego słowa. Nie w przypadku Catherine.
- Wiem, John. Więc przyznaj w końcu, że jesteś tylko człowiekiem. Przyznaj w końcu, że twój osąd może być wypaczony, że możesz popełnić błąd. Nie jestem detektywem, nie przewidzę, co zrobisz.
 - Złamał warunki zwolnienia. Albo one coś znaczą, albo nie. Nie może być i tak, i tak.
 - No widzisz, właśnie teraz to do ciebie niepodobne. Zazwyczaj nie jesteś facetem, co to rozumuje w stylu wszystko albo nic, czarne albo białe. Proszę cię tylko o to, żebyś wziął trochę wolnego. Nie reagujesz jeszcze tak, jak trzeba.
 - Skończyłaś?
 - Mamuśka Mary skończyła, skarbie.
 - To dobrze. Bo mam robotę.

Okazało się, że Wes Beattie był kuratorem sądowym Rogera Felta. Choć często rozmawiali przez telefon, Cardinal nie widział Beattiego od ponad roku. Od tego czasu zapuścił brodę. Wyglądał wyjątkowo formalnie w ciemnym garniturze i pod krawatem.

- Rany, Wes - Cardinal zmierzył go wzrokiem - przyjechałeś tu limuzyną?
- Przerwałeś mi wieczór w operze - mruknął Beattie - i zrujnowałeś moją roczną próbę ukulturalnienia się.
- Algonquin Bay nie ma opery.
- Dziś ma. Manhattan Light Opera Company przyjechała na dokładnie jeden wieczorny występ, a ty wyciągnąłeś mnie stamtąd.
- Adwokat Felta tu jedzie, czekamy też na prokuratora.
- Nie spodziewaj się za wiele - ostrzegł go Beattie. - Rozmawiałem z prokuratorem, a on nie chce się tym zająć, jeśli ja nie będę chciał. I muszę ci powiedzieć, John, że ja wcale, ale to wcale nie chcę.

- Roger Felt złamał warunki zwolnienia, Wes. Prowadzi pod przykrywką działalność finansową. Wysyłał do mnie pogróżki i groźby, być może będziesz chciał to zobaczyć, zanim podejmiesz decyzję, nie mówiąc o decyzji prokuratora.

Beattie należał do tego typu ludzi, którzy roztaczają wokół siebie aurę spokoju; trudno było mu się oprzeć. Stał przed Cardinałem i słuchał, kołyszając się na piętach w przód i w tył. Przez cały czas ze współczuciem przytakiwał. Kurator sądowy, osaczony przez sędziów, przestępców, ofiary i prawników, nie mówiąc już o wzburzonych gliniarzach, musi nauczyć się słuchać, bo inaczej zwariuje.

- Możemy gdzieś usiąść i pogadać? - zaproponował cicho. Jego ton zrozumienia sprawił, że Cardinal nagle poczuł się jak historyk.

- Jasne.

Cardinal poszedł z nim do sali narad, gdzie stał sprzęt Felta.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że Beckwith i Beaulne to fikcyjny twór? - Cardinal wyjął kartkę papieru firmowego.

- Ściśle rzecz biorąc, wcale nie. To księgowość prowadzona przez Felta, zwykły domowy biznes. Beckwith i Beaulne to tylko nazwa, nieważne, że to nieprawdziwe nazwiska. Merrill i Lynch też od dawna nie żyją.

- Merrill i Lynch istnieli naprawdę, to oni założyli firmę.

- John, nie utrzymasz zarzutu oszustwa. Roger naprawdę prowadzi usługi księgowe. Ni mniej, ni więcej.

- Robi dla ludzi zeznania podatkowe. Czyli doradza w sprawie podatków, a to doradztwo finansowe, czego wyraźnie zabraniają warunki zwolnienia.

- Nie zgadzam się i sąd też się nie zgodzi. On nie prowadzi rachunkowości, tylko księgowość. To zwykle prowadzenie ksiąg i podliczanki. Nie ma dostępu do kont, nikt nie powierza mu funduszy. To interesujące usługi i efektywne wykorzystanie jego umiejętności.

- Sąd może na to spojrzeć inaczej.

- John, omawiałem te sprawy z sędzią, zanim Roger dostał zielone światło. Nie miał wątpliwości. I prokurator też nie ma, dlatego do niego nie dzwoniłem.

- Popeliłeś błąd, nie ściągając go tutaj, Wes.

- Próbuję wyświadczyć ci przysługę. Uwierz mi, nie wnoś tej sprawy do sądu. Roger się zmienił. To przestępstwo kosztowało go wszystko, co miał. Nie tylko pieniądze. Widziałeś, gdzie mieszka. Żona zostawiła go wkrótce po tym, jak wylądował w pudle. Dwoje dzieciaków nie chce mieć z nim nic wspólnego. Stracił przyjaciół. I wiele przeszedł.

- I myślisz, że się zmienił.

- Ja to wiem i zespół orzekający też to wiedział. W więzieniu odnalazł wiarę, jest katolikiem, i chociaż zazwyczaj nie przywiązuję do takich zapewnień najmniejszej wagi, w jego przypadku to prawda. Bardzo się zaangażował w życie parafii.

Cardinal wyjął z pudła kilka czystych kart kondolencyjnych.

- Znalazłem je przy laptopie. - Otworzył swoją teczkę i wyciągnął karty, które dostał pocztą. - A te wysłał do mnie. Proszę. Popatrz uważnie. Przy patrz się i powiedz, jak bardzo się zmienił.

Beattie dokładnie przeczytał karty, otwarte, włożone w koszulki. Trzymał każdą przez kilka sekund, obracał i kładł na stole.

- Myślisz, że wysłał ci te karty.

- Korzystał z komputera, żebym nie rozpoznał jego charakteru pisma, ale drukarka drukuje z małą wadą. Sam zobacz. - Podał mu lupę.

Beattie spojrział na jedną z kart, potem na fakturę, którą Cardinal dostał z domu pogrzebowego. Porównał ją z pozostałymi kartami.

- John, przykro mi, że coś takiego dostałeś. - Postukał palcem w karty. - To musiało być straszne.

- Straszne to złe słowo. Moja żona... Wiesz, co się z nią stało. Koroner myśli, że się zabiła, ale ja... nie. Załóżmy, że kogoś zabiłeś i upozorowałeś samobójstwo. Czy nie napisałbyś czegoś takiego, co?

Pograżam się, pomyślał, wiem, że się pograżam. Wzmianka o jego podejrzaniach co do morderstwa była błędem, ale nie mógł się powstrzymać. Słowa same wypływały mu z ust.

- Sześć lat temu aresztowałem Felta za kradzież cudzych oszczędności. Tak jak mówiłeś, stracił reputację, przyjaciół, dzieci, żonę. Życie, które znał, skończyło się, i w więzieniu miał całe pięć lat, żeby pielęgnować w sobie nienawiść do mnie za to, że go dorwałem. Według niego, gdybym go nie powstrzymał, trafiłby w końcu w stuprocentową inwestycję, która zrobiłaby z niego milionera i pozwoliła oddać to, co ukradł, to znaczy pożyczył, jak to ładnie ujmował. Jak wyrównuje rachunki? Zabijając mnie? Nie, to zbyt proste, zbyt bezpośrednie, i tak naprawdę nie jest prawdziwą zemstą, bo nie cierpiałbym tak jak on, gdy opuściła go żona. A więc w ramach zemsty zabija moją żonę, a potem pisze te karty, żeby mnie jeszcze bardziej pograć w rozpacz.

Nawet dla samego Cardinala brzmiało to jak jęk rannego zwierzęcia. A teraz jeszcze musiał znieść okropny widok współczucia na twarzy Beattiego, który wyciągnął rękę i położył ją na jego ramieniu.

- John, co ty tu w ogóle robisz? Nie powinieneś jeszcze wracać do pracy.

- Dlaczego trzymasz stronę tego gościa? Scofield już dla niego pracuje. Uważasz, że to nie on napisał te karty?

- Nie uważam, widzę przecież skazy w druku kart i faktury. Wiem, że Felt zestawia rachunki domu pogrzebowego Desmonda. Umiem dodać dwa do dwóch. Widzę nawet, jak pisze te chore zdania. Facet ma pokręcone w głowie, to nie ulega wątpliwości. Ale to najłagodniejszy gość, jakiego można sobie wyobrazić. Brak podstaw, żeby podejrzewać go o zrobienie komuś krzywdy. John, nie dostałeś nawet orzeczenia, że to było morderstwo. Odpocznij trochę. Umów się z psychologiem.

- Nawet stawiając sprawę w najlepszym świetle, mamy przestępcę na zwolnieniu warunkowym, który wysyła pocztą groźby i insynuacje. To wystarczy, żeby znów go wsadzić.

- Te listy są obrzydliwe. Ohydne. Paskudne. Ale czy można je uznać za nękanie? Nie wiem. To sprawa do dyskusji. Ale groźby to już co innego. Nie znajdziesz sędziego, który kupi groźby. Powiedz mi, John, gdybyś przyjął, że stwierdzenie samobójstwa jest prawidłowe, gdybyś nie podejrzewał morderstwa, to czy w ogóle zadałbyś sobie trud, żeby szukać tego, kto napisał te karty?

Drzwi otworzyły się z hukiem i stanął w nich Leonard Scofield. W jednej ręce trzymał teczkę z cieleńcej skóry, a w drugiej jakiś dokument. Garnitur Scofielda zawsze wyglądał tak, jakby jego właściciel uczestniczył w dyplomatycznym przyjęciu, a jego buty - jak nigdy nienoszone. Była dziesiąta trzydzieści wieczorem, a on pojawił się w ciemnym, prążkowanym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i bordowym krawacie.

Scofield miał też donośny głos, głos prezentera wiadomości - porbrzmiewały w nim autorytatywne tony; sprawiały, że nawet najsłabsza argumentacja miała rozsądny wydźwięk. Cardinalowi udało się wsadzić dwóch z trzech jego klientów do więzienia, ale nigdy na tak długo, jak na to zasługiwali.

Jakby tego było mało, Scofield był także miłym człowiekiem. Cardinal, jak większość gliniarzy, czuł wrodzoną podejrzliwość wobec adwokatów, chociaż dobrze wiedział, że nie ma ku niej żadnych podstaw. A Scofield budził szacunek, nawet jeśli w sądzie walił akt oskarżenia w gruzy. Zawsze chętny do dyskusji przed procesem, zawsze otwarty na racjonalną argumentację. Nawet jeśli zawzięcie bronił swojego klienta, umiał zachować dobre maniery. Cardinal często żałował, że Scofield nie ubiega się o urząd.

Krótko mówiąc, Cardinal zawsze czuł się nieswojo, gdy miał Scofielda za przeciwnika.

- Panowie - powiedział Scofield - brak mi słów, by wyrazić, jak bardzo irytujące jest wzywianie kogoś o tak okropnej godzinie.

- Jeśli reprezentuje pan Felta - odparł Cardinal - będzie pan żałował, że został w ogóle wezwany.

Scofield miał ciemne, wyraziste brwi, bardzo przydatne w sądzie, gdzie mógł wyrażać cichy, ale wiele mówiący sceptycyzm. Potrafił także wyrażać wiele innych emocji, na przykład teraz - przyjazną troskę.

- Detektywie, niech mi wolno będzie wyrazić żal z powodu tragedii, która pana dotknęła.

- Dziękuję.

Albo opowiadanie bredni było obce Scofieldowi, albo potrafił udawać szczerłość jak hollywoodzki gwiazdor.

- Proszę na to spojrzeć. - Scofield wręczył Beattiemu kilka dokumentów. - Właśnie dlatego się spóźniłem. Po drodze wpadłem do katedry i porozmawiałem z ojcem Mkembe. Wiem, że to kapłan, i zapewne nie chcielibyście oświadczenia pod przysięgą, ale mimo wszystko takie tu mam. Ojciec Mkembe przysięga, że Roger Felt był na zbiórce pieniędzy na katedrę we wtorek czwartego, między ósmą a jedenastą wieczorem. Inne oświadczenia pochodzą od diakona i od siostry Catherine Wellesley. Także przysięgają, że Felt był wtedy z nimi. Wygląda na to, że księgował wpływy z dorocznego targu różności i licytacji. Ale, jak widzę, o to akurat nie jest oskarżony.

Cardinal nie był człowiekiem zadufanym w sobie. Jako katolik z urodzenia i wychowania w dorosłe życie wkroczył z przesadnym poczuciem winy. Wiedział, że zdolny jest do zrobienia rzeczy, których się powstydzi, nawet do złamania prawa. Nie był więc typem policjanta, co to wkracza na miejsce przestępstwa i zaczyna się mądrzyć, gotów do potępienia zbrodniarzy. Co więcej, im robił się starszy - i im większy dystans zachowywał wobec własnej religii - tym mniej zaufania wzbudzali w nim ludzie oddani prawości: prawi członkowie gangów wykańczali swoich konkurentów za wkroczenie na ich teren, prawi mężowie potrafili skopać i skatować, a nawet zabić swoje żony, które „nie okazywały im szacunku”, prawi gliniarze umieli dołożyć z kolana albo z łokcia podczas aresztowania każdego, kto według nich próbował prześlizgnąć się przez sita wymiaru sprawiedliwości. Cardinal, który poświęcił życie dla prawa i porządku, już dawno zauważył, jak wielu niesprawiedliwościom towarzyszy tak zwana prawość.

Dlatego zdumiało go, że sam sobie wmawia nieomyślność, że jest skłonny zgnoić niewinnego człowieka. Wstyd palił go w środku jak pochodnia, na czoło wystąpiły mu gorące krople potu.

- Nic absolutnie nie rozumiem. - Wes Beattie nie załapał, o co chodzi. - Co, do diabła, ma wspólnego wtorek czwartego z kartami wysyłanymi do Johna?

- To noc, gdy zginęła żona pana Cardinala. Jeszcze raz, detektywie, moje kondolencje. Podnoszę tę kwestię tylko dlatego, że zmuszają mnie do tego okoliczności.

Beattie siedział rozparty w fotelu, ale teraz pochylił się do przodu, opierając klatkę piersiową o stół.

- Chce pan powiedzieć, że jadąc tutaj, zatrzymał się pan po drodze, żeby odebrać te oświadczenia w obronie pańskiego klienta, któremu nie postawiono jeszcze żadnych zarzutów? Nikt tu nie wspominał o morderstwie, przynajmniej nie panu. Jeszcze nie.

- Właśnie, panie Beattie. Gdy odebrałem pański telefon, przyszło mi do głowy, że przyczyna tego nieszczęsnego zamieszania może być tylko jedna. Zbyt długo znam detektywa Cardinala i zbyt często musiałem ulec po jego świadectwach, żeby nie darzyć go szacunkiem. Musiał mieć o wiele ważniejszy powód niż te nieszczęsne karty, by z takim wysiłkiem starać się posłać mego niedostatecznie zresocjalizowanego klienta z powrotem do więzienia. W zeszłym tygodniu byłem w sądzie wiele razy, w wielu różnych sprawach i pogłoski, które do mnie doszły, wiele mówiły.

- Pogłoski? - zapytał Cardinal. - Pogłoski, że mi odbiło? Że oszalałem z rozpaczy i nie mogę pogodzić się z prawdą?

- Nie aż tak ostro. Pogłoski, że koroner był młody i niedoświadczony, że starszy stażem człowiek mógł jednak zlecić dochodzenie.

Cardinala trochę - nie za mocno - podbudowało, gdy usłyszał o możliwości wsparcia; może więc nie jest sam?

- I pogłoski- ciągnął Scofield - że detektyw Cardinal wyruszył na samotną krucjatę przeciwko osobie lub osobom, które mogły dopuścić się przestępstwa. Biorąc pod uwagę okoliczności, potrafię to zrozumieć. I dlatego też wydało mi się prawdopodobne, że mój klient stał się ofiarą mylnej oceny detektywa. Oceny zrozumiałej, jeśli weźmiemy pod uwagę okoliczności, ale jednak błędnej. Mam wielką nadzieję, że te oświadczenia zmienią pańskie zdanie w tej kwestii.

- Nie widział pan, co on mi przysłał. - Cardinal popchnął karty w jego kierunku.

Scofield przestudiował je bez dotykania, jakby były zakazane.

- To bez wątpienia najohydniejsze wiadomości, jakie kiedykolwiek widziałem - przyznał.

- Skazy w, druku pasują do faktury, którą John otrzymał z domu pogrzebowego. Roger prowadzi ich księgi.

Wspaniale - powiedział Scofield. - Mamy tu połączenie ohydy i głupoty, co często się zdarza. Głupota tak wielka, że autor chyba chciał być złapany. Mimo wszystko jednak w świetle tych oświadczeń...

- Porozmawiam z nim. - Cardinal wstał.

- Nie mogę pozwolić, żeby go pan przesłuchiwał pod moją nieobecność.

- Nie będę go przesłuchiwał. Może pan poczekać na zewnątrz i patrzeć.

Cardinal zabrał ich do małej kuchni. Stały tam automaty z colą i słodyczami oraz monitor, który pokazywał wnętrze pokoju przesłuchań.

Kazał przyprowadzić z celi Felta i posadził go przy stole.

- Mój prawnik tu jest. - Felt był wyraźnie zdenerwowany. - Nie może mnie pan bez niego przesłuchiwać.

Cardinal położył na stole karty, jedną po drugiej, otwarte na wydrukowanych wiadomościach. A potem wyjął fakturę z domu pogrzebowego.

- Dostałem twoje karty - powiedział cicho.

- O Boże - jęknął Felt. Popatrzył na karty, a potem na fakturę. - O Boże - znów jęknął.

I nagle, ku zdumieniu Cardinala, wybuchnął płaczem. Najpierw próbował ukryć twarz, pochylił się do przodu i tarł oczy dłońmi. Jednak, gdy płacz nie ustawał, oparł się o krzesło i pozwolił łzom płynąć strumieniami. Nawet nie starał się ich ocierać. Próbował coś powiedzieć, jednak to, co z siebie wydusił, było niezrozumiałym bełkotem.

Cardinal czekał.

Felt znalazł w końcu na stole pudełko chusteczek, otarł twarz i wydmuchał nos. Pochylił się i oparł czoło na dłoni. W milczeniu pokręcił głową. Jego oddech ciągle się rwał. Spróbował mówić, ale łzy znów popłynęły.

Cardinal czekał.

W końcu Felt się uspokoił. Cardinal podał mu kubek wody.

- Przepraszam - powiedział Felt. - Nie mam słów, by wyrazić, jak bardzo mi przykro.

- To zabawne, jak bardzo perspektywa pójścia do pudła wyzwala w człowieku ochotę do przeprosin.

- To prawda, myśl o więzieniu mnie przeraża. Ale to nie dlatego jest mi przykro. Teraz... jak widzę te słowa... Widzę je tak, jak pan musi je widzieć. Widzę je obok faktury za pogrzeb pańskiej żony...

Musiał przerwać, bo znów dusiły go łzy. Kolejna chusteczka. Kolejny kubek wody.

- Jestem przerażony tym, co zrobiłem. - Popatrzył na Cardinala błagalnym wzrokiem. - Zrobił pan kiedyś coś karygodnego? Coś, co chciałby pan przed wszystkimi ukryć? - Wskazał palcem karty. - To jest, to jest... obrzydliwe. Jak ktoś mógł coś takiego zrobić drugiemu człowiekowi? Ja to zrobiłem, a jednak nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, jak ktoś mógł coś takiego zrobić drugiemu człowiekowi.

Pociągnął nosem i znowu pokręcił głową. Koszulę miał przemoczoną, jakby wszedł do pokoju prosto z deszczu.

- Moja żona zostawiła mnie po roku mojej odsiadki - powiedział. - Zabrała ze sobą córkę. Brzydziły się mną. Myślałem, że zrozumiałem swoją winę, że przestałem winić wszystkich za wszystko, co straciłem. Ale wtedy, tydzień temu, wystawiałem faktury dla Desmondów i w ręce wpadła mi usługa dla pana. Chodziło o pańską żonę. Nie wiem, co mnie wtedy opętało.

- To się nazywa zemsta.

- Chyba tak.

Felt spojrzął na niego zaczerwienionymi oczami, jego wzrok nie był już błagalny. Nie prosił o zrozumienie. Był wyczerpany.

Cardinal też był wyczerpany. Nie chciał niczego więcej, tylko być już w domu, w łóżku, jak najdalej od komisariatu. Wstał i otworzył drzwi.

- Z powrotem do celi, prawda? - spytał Felt.

- Jest pan wolny. - Cardinal pokręcił głową.

- Naprawdę? - Felt rozejrzał się po pokoju, jakby sprawdzając, czy przypadkiem nie ma tu nikogo, kto przygląda się, jak pada ofiarą dowcipu. - Mówi pan, że mogę iść do domu?

Cardinal przypomniał sobie okropny pokoik - kuchnię o niesymetrycznych ścianach, zimny i bez miłości. Dom.

- Pod jednym warunkiem - zaznaczył.

- Co tylko pan zechce, naprawdę.

- Nie chcę pana więcej widzieć.

25

Doktor Bell uważał się za spokojnego, rozumnego człowieka, dlatego niepokoiło go coraz większe wzburzenie, które go ostatnio ogarniało. Gdy

podnosił dłonie do twarzy, widział, że drżą. Nie, nie może stracić nad sobą kontroli.

Wcisnął „play” i drzenie rąk natychmiast osłabło. Nagrywarka DVD była sprzętem z górnej półki. Wyposażona w twardego dysku o pojemności 100 GB, mogła oznaczać interesujące fragmenty i automatycznie archiwizować zapis na płytach. I pracowała bardzo cicho - a to bardzo ważne podczas sesji terapeutycznej.

Najlepsza jednak była kamera cyfrowa firmy Canon, niewiele większa od piłki golfowej, ukryta w kinkiecie za książkami. Szerokokątny obiektyw Carla Zeissa bez zniekształceń obrazu obejmował zarówno pacjenta, jak i doktora. Wielokierunkowy mikrofon schowany w żyrandolu nad stolikiem był wielkości gumki do ścierania. Oprogramowanie do nagrywania niwelowało odległość mówiącego od mikrofonu. Jakość dźwięku sprawiała Bellowi ogromną przyjemność.

Gdy po raz pierwszy zaczął nagrywanie, nie włączał sprzętu aż do chwili, gdy wymienili się z pacjentem pozdrowieniami i wstępnymi uwagami. Teraz jednak nagrywał całe sesje od początku.

Patrzył więc, jak Perry Dorn wchodzi w kadr i siada, jak światło dnia przenika przez jego przerzedzone włosy. Słuchał grzecznej wymiany zdań, a jego podniecenie rosło. Potem nastąpiła przerwa, pacjent nic nie mówił i się nie ruszał; Bell pomyślał przez chwilę, że może wcisnął pauzę.

Każdy terapeuta musi wiedzieć, co robić z przerwami w rozmowie. Niektórzy uważają, że jeśli pacjent się waha, to terapeuta nie powinien go popędzać. Pięć minut, dziesięć, niech zmarnują nawet piętnaście minut, jeśli chcą. Idzie się tempem pacjenta, ani trochę szybszym.

Inni nie pozwalają, by przerwa trwała dłużej niż minutę, bo pacjenci mogą zinterpretować milczenie terapeuty jako wrogość, brak chęci pomocy. Właściwą reakcją może być delikatne pytanie, nic na siłę, lub może podsumowanie ostatniej sesji. Jeszcze inni, bardziej bezpośredni, pytają o pracę domową, którą zadali.

W tym przypadku Perry przerywa milczenie. Biedny Perry.

- Przepraszam, że wtedy dzwoniłem - mówi. - Przepraszam, że przeszkodziłem.

- Nie ma sprawy. Przykro mi, że nie mogłem poświęcić ci więcej uwagi. Akurat wtedy było to niemożliwe.

- Wiem, wiem. Nie oczekuję, że ludzie będą rzucać wszystko, gdy tylko wpadają w depresję. Głupio mi było dzwonić. Po prostu... Naprawdę myślałem, że to zrobię. No wie pan. Naprawdę myślałem, że...

Jak długo ta cisza ma wisieć w powietrzu? Wypowiedzieć jego myśl za niego? Czy może niech kołacze mu się ciągle w głowie? Gdy był chłopcem, Bell widział starą epopeję. W tym filmie na jednego z nieszczęśników opuszczono dzwon, a jego oprawcy kolejno podchodzili i uderzali w ten dzwon młotem. Gdy dzwon podniesiono, z uszu ofiary sączyła się krew. Czasami podtrzymywanie ciszy ma ten sam efekt: zabiję się, zabiję się, zabiję się - dzwoni pod czaszką bez przerwy, bez ustanku.

Wtedy gra się skończyła. Bell przyglądał się temu z satysfakcją mistrza szachowego przeczuwającego bliskie zwycięstwo. Jako wygrywający, na każdym kroku miał coraz więcej możliwości, coraz więcej rozwiązań. Ale pacjentowi, który przegrywał i który nie był nawet świadom, że bierze udział w grze, każdy ruch zostawiał coraz mniej możliwości, aż w końcu nie pozostał mu żaden wybór.

Na ekranie doktor Bell pozwala ciszy trwać.

Perry spuszcza głowę.

Bell pozwala ciszy zalać pokój jak fala przyływu.

Perry zaczyna szlochać.

Doktor podaje mu pudełko chusteczek. Szach i mat.

- Przepraszam. - Perry bierze chusteczkę i czyści nos.

- Byłeś zrozpaczony - mówi doktor. - Chciałeś się zabić.

Perry przytakuje.

- Ale nie zrobiłeś tego.

- Nie.

- Dlaczego?

- Chyba stchórzyłem. Tchórz do potęgi dziesiątej, cały ja. - Perry prychnie z drwiną. Potrzebna kolejna chusteczka.

Zadziwiająco, jak bardzo może człowieka wypełniać nienawiść do samego siebie, a jednak ciągle chodzi po ziemi, pomyślał Bell. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Perry Dorn powinien był się zabić już całe lata temu, ale nie, trzymał się życia dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku, pograżając się w cierpieniu.

- To na pewno coś więcej niż tchórzostwo - mówi Bell z ekranu. - Bo w końcu czego miałbyś się bać?

- Bólu. - Wzrusza ramionami. - Bólu, a także tego, że mógłbym zmasakrować sobie twarz i przeżyć.

- Mogłoby tak się zdarzyć, gdyby ktoś był bardzo nieostrożny. Ale może było coś jeszcze w tym planie, co ci nie pasowało?

- Nie wiem, co ma pan na myśli.

- No cóż, a co by pomyślała Margaret, gdybyś naprawdę popełnił samobójstwo?

Szczerze?

- Szczerze.

Perry zastanawia się przez chwilę.

- No cóż, na początku na pewno byłaby poruszona.

- A potem? W dłuższej perspektywie?

- Potem pewnie miałyby to w dupie. Pomyślałby pewnie, że to kolejny przejaw mojej...

- Ułomności?

- Właśnie. Mojej ułomności.

- Ucieszy się, że się ciebie pozbyła.

- Tak. Jak wtedy, gdy tak sprytnie mnie rzuciła.

Samobójstwo jako zemsta, pomyślał Bell, ale nie powiedział tego głośno. Zwerbalizowanie tej obserwacji wydobyło na powierzchnię ukryty motyw. Perry mógłby go przeanalizować, nawet odrzucić. Naturalnie, jeśli celem miałyby być utrzymanie pacjenta przy życiu za wszelką cenę, to właśnie trzeba by zrobić.

- Chcesz, żeby wiedziała, co ci zrobiła. Jak zniszczyła twoje szczęście.

- To prawda. Kiedyś taki nie byłem!

Co do tego akurat Bell miał ciągle wątpliwości. W historii Perry'ego przewijał się motyw samobójstwa, były leki antydepresyjne. Były też złoścząca się matka i dobra siostra.

- Czy od tamtej pory myślałeś jakoś inaczej o tym, jak mógłbyś to zmienić? Wzmocnić efekt?

- Hej - mówi Perry i prawie się uśmiecha. Prawie. Tak naprawdę nie uśmiechnął się w gabinecie Bella nawet raz. - Czy przypadkiem nie powinien pan mnie od tego odwozić?

- Och, naturalnie nie chcę cię do niczego namawiać. Moim zadaniem jest pomóc ci rozpoznawać bolesne schematy w twoim życiu. Analizować twoje wobec nich odczucia. I pomóc ci znaleźć alternatywę.

- Mówi pan o schemacie, według którego ciągle rzucają mnie bliskie mi kobiety.

- To tylko jeden z nich. Brutalnie mówiąc, ale tak, to jeden z nich.

- I o moim nawyku niszczenia wszelkiego dobra, jakie przytrafia mi się w życiu. Przyszłość na uniwerku i tym podobne.

- Znów, brutalnie mówiąc.
- Wie pan co? Zastanawiałem się nad czymś, co mi pan powiedział dawno temu. Gdy po raz pierwszy tu przyszedłem. Powiedział pan, że w pracy znajdziemy radość. Lub w miłości. I jeszcze, że niektórzy farciarze, czyli pewnie aktorzy czy ktoś taki, mogą znaleźć szczęście w obydwu.

- Ale powiedziałem też, że możliwe jest, a nawet bardzo często tak bywa, by znaleźć szczęście tylko w jednym, a w drugim już nie. Wielu ludzi jest szczęśliwych w pracy, ich małżeństwa są jednak katastrofą. I na odwrót. A jednak żyją pełnią życia.

- Właśnie! To właśnie pan powiedział. I stwierdził pan również, że niezwykle trudno jest żyć, jeśli nie można znaleźć szczęścia ani w miłości, ani w pracy. Niedawno zdałem sobie sprawę z tego, że to o mnie mowa. To oczywiste. Lubię studiować, ale nie wyobrażam sobie pójścia na uniwersytet, gdyby Margaret miała zostać tu, w Algonquin Bay. Moja kariera uniwersytecka jest skończona.

- O jedno źródło szczęścia mniej.

- Racja. I jeszcze Margaret mnie rzuca.

- Następne.

- No więc po co brnąć dalej? Tak na logikę. Nie jęczę, by zyskać współczucie. Mówię tylko, że nie ma sensu dalej żyć. Mam zerowe powody do radości. Szczęście zawsze mnie omija. Po co dalej żyć? Cały czas cierpię.

- Nie odpowiem za ciebie, Perry. Nikt nie odpowie. Wszyscy musimy znaleźć sobie sens istnienia. Gdybyś mnie zapytał, mógłbym wymieniść masę powodów: jesteś młody, przystojny, inteligentny, wszystko może się zmienić, znów zaświeci słońce, wzburzone wody opadną.

- Czyli gadka szmatka. Tego nie potrzebuję.

- Domyślam się.

- Chcę prawdy.

- Wiem. Dlatego jakoś nie rusza mnie twoje stwierdzenie, że jesteś tchórzem. Według mnie potrafisz doprowadzić do końca to, co postanowisz. Pytanie tylko, skąd wiedzieć, kiedy to coś zostanie postanowione. Najwyraźniej tego dnia, gdy nie pociągnęłaś za spust, jeszcze nie. To nie było satysfakcjonujące. Margaret nie wiedziałyby, że chodzi o nią.

- To prawda. - Perry jeszcze głębiej zapada się na

kanapie. - Nie mogę zrobić nic, co by mogło ją dotknąć. Chyba nigdy nie mogłem. Przez chwilę jednak udało się jej mnie ogłupić. Przez moment myślałem, że zależy jej na mnie. Wtedy myślałem, że istnieję.

Zapada długie milczenie, Perry wciska dłonie między kolana i zwiija się w kłębek na kanapie. Jego twarz traci wyraz, każda część jego ciała tchnie rozpaczą.

Doktor Bell zatrzymał obraz. Większość psychiatrów uznałaby Perry'ego za pewnego kandydata na oddział psychiatryczny, gdzie dostałby serię leków antydepresyjnych. Jego przeszłość, postawa, wyobrażenia i przeżycia osobiste pojawiłyby się na karcie pacjenta pod nagłówkiem POWODY PRZYJĘCIA. A jednak nie było sensu przedłużać jego cierpienia. Próbował wyważyć otwarte drzwi. Bell puścił nagranie.

- Odrobiłeś pracę domową? - mówi z ekranu. Cisza. - Perry?

- Próbowałem. - Perry się wzdraga.

- I co się stało?

Perry sięga do kieszeni i wyjmuje zwiniętą w kulkę kartkę papieru. Ruchem ręki, który zdaje się wyczerpywać jego siły, toczy ją do doktora.

Bell rozwijają i rozprostowuje na stole.

- Droga Margaret - czyta. - Dlaczego nic więcej nie napisałeś?

- Bo po co? Nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Nie chce znać moich myśli. Nie chce wiedzieć, że ciągle ją kocham. Chce mnie wyrzucić ze swojego życia. Dlatego myślę, że oszczędziłbym ją, gdybym usunął się z jej życia na dobre.

- A jednak nie zrobiłeś tego.

- Jeszcze nie. Jakaś częśćka mnie obawia się, że jak odstrzelę sobie łeb, to tylko ucieszę ją i Stanleya.

- Mówisz poważnie? - zapytał Bell. - Naprawdę myślisz, że ich to ucieszy? Spójrzmy na to inaczej: jak sądzisz, jaka będzie reakcja Margaret na takie wieści? Gdy dostanie twój list? Taki jak ten.

- Szok, tam mi się zdaje. Będzie przerażona. Pewnie będzie się bała, że ludzie zwałą całą winę na nią. Ale tak się nie stanie. Wszyscy będą się o nią martwić, bo wszyscy się o nią troszczą. I będą jej mówić, że to nie jej wina. „Och, byłaś dla niego taka dobra”. „Biedna Margaret, tak bardzo starałaś się go nie zranić”. Problem tkwił we mnie. Ja miałem problemy.

- Uwierzy im?
- Ależ oczywiście. Ona wierzy we wszystko, co złe na mój temat.

Zapada cisza. Oglądając nagranie, Bell poczuł się teraz tak, jak wtedy. Wiedział, że samobójczy plan Perry'ego był niedoskonały. Nie powodował tego efektu, na którym zależało młodemu człowiekowi. Doprawdy, to było jak kształtowanie przedstawienia teatralnego: lepsze dialogi, analiza scen.

- Czegoś mi tu brak - mówi Bell i przechyla do tyłu krzesło, kontemplując sufit, jakby był filozofem, który rozmyśla nad sensem życia i testuje własną teorię słabości. - Nie to, nie to...

- Co? - Perry szybko siada. Jak kot, co słyszy stukot swojej miski.

- Nie, naprawdę. Nic takiego. Coś mi przyszło do głowy.

- Ale co? Co chciał pan powiedzieć?

- Pomyślałem o pralni. Pomyślałem, że była bardzo symboliczna, gdy zaczęliście chodzić ze sobą. Sam powiedziałeś, że doznałeś oczyszczenia na nową drogę. Zapamiętałem to jako dobrą uwagę. Oboje wyszliście oczyszczeni z przeszłości. Tak to chyba ująłeś. I zastanawiałem się...

- Pralnia - mówi Perry. Rzuca na stół pogniecioną chusteczkę. - Tak, na pewno zauważy pralnię.

Doktor Bell wciska kciukiem stop-klatkę.

Mat.

26

Przez ten czas, gdy pracowała z Cardinałem, Delorme nigdy nie wątpiła w jego zdrowy rozsądek. Ale gdy usłyszała, że podejrzewa Rogera Felta o zamordowanie Catherine - wiadomość lotem błyskawicy obiegła posterunek - zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem rozpacz nie doprowadza go do szaleństwa.

Nie mogła jednak teraz o nim myśleć. Gdzieś w mieście była dwunasto-, trzynastoletnia dziewczynka, którą zapewne cały czas molestowano, i nic tego nie zmieni, dopóki Delorme wraz z jednostką z Toronto jej nie znajdzie. Dlatego właśnie w niedzielę, w swój wolny dzień, była u André Ferriera.

Nie przywiązywała wielkiej wagi do idealnego porządku w domu. Były

takie dni, nawet tygodnie, gdy pranie leżało stosami, naczynia stały nieporzucane, a kurz grubą warstwą zalegał pod meblami. Mieszkała sama więc nikomu nie przeszkadzała, jeśli nie sprzątała całymi dniami. Dlatego też nie osądzała nikogo według stanu, w jakim znajduje się jego mieszkanie.

Z wyjątkiem domu Ferrierów. Ci ludzie wzniesli bałagan na zupełnie inny poziom. Żaluzje w oknach opuszczone i ustawione tak, że zalegający mrok był pocięty na plastry światłem, które padało na sufit zamiast na podłogę. Wszędzie lustra, fotografie i grafiki. Ten nieład wcale nie był jednak artystyczny - sprawiał wrażenie przypadkowego i nieprzyjemnego.

Jakby dla kontrastu pani Ferrier była zadbaną, elegancką kobietą. Jej ciemne włosy podtrzymywała przepaska, żaden kosmyk nie mógł się wyknąć. Zaprowadziła Delorme do salonu i wskazała krzesło, na którym piętrzył się stos poduszek.

- Och, przepraszam - podniosła całe ich naręcze i położyła na podłodze.

Potem znalazła na środku zawalonej kanapy miejsce dla siebie i postawiła stopy na podłodze, zarzuconej zabawkami i poduszkami; spały też na niej psy. Nie było tu nic, co by Delorme widziała na zdjęciach. Przy grzejniku, lekko pochrapując, spał bernardyn, najwyraźniej głuchy jak pień. Szary pudel otworzył jedno oko i spojrzał na Delorme, po czym znów zapadł w drzemkę. Leżał tam też brązowo-biały owczarek szetlandzki, wyglądał jak nieżywy. W powietrzu czuło się wyraźny zapach psów.

Delorme nie miała żadnej alergii, a jednak zaczęła odczuwać przemożną chęć podrapania się.

- O co więc chciała pani zapytać? - Pani Ferrier, w przeciwieństwie do nieładu w salonie, wyglądała nieskazitelnie w jasnozielonym swetrze i niebieskich dżinsach. Była po trzydziestce, ale sprawiała wrażenie starszej. Bezdzietnej Delorme każdy, kto miał dzieci, wydawał się niesłychanie dojrzały.

Opowiedziała pani Ferrier o przystani i o napaści.

- Jestem wstrząśnięta. Nigdy nie mieliśmy tam problemów. Kiedy to się stało?

- Nie znamy dokładnej daty. - Delorme nie miała ochoty powiedzieć, że chodzi o zdarzenia sprzed trzech lat.

Zapytała o to samo, co wszystkich: o sąsiadów, o skargi, o to, czy widziała coś podejrzanego. Odpowiedzi były niemal jednakowe: sąsiedzi z przystani są życzliwi, chociaż niezaprzyjaźnieni, dochodzi czasem do nieporozumień, ale nigdy nie zdarzyło się nic, co pozwalałoby obawiać się o bezpieczeństwo.

Delorme spojrzała na pokrywające całą ścianę zdjęcia.

- Czym się zajmuje pani mąż?

- Sprzedaje samochody w salonie Nissana. Ale to jest jego prawdziwa pasja. - Wypielęgnowaną ręką wskazała ścianę. - André to urodzony fotograf.

Z góry dobiegł hałas telewizora, strzały z jakiejś futurystycznej broni i szczeknięcia komend. Po chwili dało się słyszeć stukot szybkich kroków na stopniach schodów. Wkrótce do pokoju wpadła dziewczynka. Wyglądała na siedem, osiem lat, miała blond włosy związane w kucyki, przez co jej oczy wydawały się skośne.

- Mamusiu, mogę iść do Roberty? Tammy i Gayle też idą.

- Myślałam, że Roberta ma przyjść do nas.

- No proszę, mamusiu, proszę!

- Dobrze. Ale masz wrócić na lunch. - Pani Ferrier popatrzyła na zegarek.

- Hurra!

Dziewczynka zatańczyła w miejscu i wybiegła z domu.

- Śliczna mała - powiedziała Delorme. - Ale pewnie potrafi umęczyć.

- Sadie to ciągle dziecko, dzięki Bogu. Jej siostra za to zaczyna przyprawiać nas o bóle głowy. Ma pani dzieci? Chyba nie, sądząc po pani figurze.

- Nie jestem mężatką. - Delorme podeszła do ściany, żeby przyjrzeć się zdjęciom. Jednocześnie próbowała zerknąć do sąsiedniego pokoju, ale drzwi przymknięto i był pogrążony w mroku.

- Ładne zdjęcia - powiedziała.

Przedstawiały łodzie, ludzi, drzewa, pociągi, budynki. Fotografie były o wiele lepszej jakości od tych pornograficznych, które dostała z Toronto. To oczywiście jeszcze nic nie znaczyło. Nawet zawodowiec mógł obniżyć standardy pod wpływem żądz.

Pani Ferrier wstała i podeszła do niej. Zapachniało mydłem cytrynowym.

- To Sadie. - Wskazała na zdjęcie czterolatki siedzącej na grzbiecie bernardyna. - Zrobione kilka lat temu, kupiliśmy wtedy Ludwiga. Ależ ona wymęczyła tego psa. Biedaczysko musiał wozić ją na sobie jak kucyk. Nic dziwnego, że teraz przesypia całe dnie. Prawda, Ludwig?

- Mówiła pani, że ma też drugą córkę?

- Alex. Nie cierpi, jak się ją fotografuje. Zabrała z domu nawet stare zdjęcia. Trzynastolatki podchodzą do wszystkiego z takim... zaangażowaniem.

- Jest teraz w domu?

- Nie, pojechała na weekend do rodziny w Toronto.

Usłyszały, że otwierają się drzwi.

- Jest André. On potrafi powiedzieć więcej o przystani.

Z korytarza dobiegły głębokie westchnięcie i odgłos zdejmowania butów.

- Boże, mam dość.

- Tu jesteście! - zawołała go pani Ferrier.

- My? - Ferrier wszedł i podał dłoń Delorme. - André Ferrier - przedstawił się, zanim zdążyła to zrobić jego żona.

- Lise Delorme.

- Pani Delorme jest detektywem - wyjaśniła pani Ferrier. - Prowadzi śledztwo w sprawie przystani. Jakaś napaść.

- Na przystani? Boże, a kogo napadnięto? Pewnie nie może mi pani powiedzieć.

- Niestety, nie. Czy mogę zadać panu kilka pytań?

- Oczywiście. Muszę usiąść. Rozegrałem dziś dziewięć rund na polu, nie czuję nóg.

- Nie za zimno już na golfa?

- Proszę to powiedzieć mojemu szefowi. To fanatyk. Mamy colę albo coś innego do picia dla pani detektyw?

- Nie, dziękuję. Nie trzeba.

André Ferrier znalazł sobie miejsce wśród bałaganu na kanapie. Był średniej budowy ciała, szeroki w ramionach, ale w lepszej formie, niż można by się spodziewać po sprzedawcy. Brązowe włosy przykrywały mu uszy i opadały na kołnierz.

Pasuje, pomyślała Delorme. To może być facet ze zdjęć, chociaż tamten miał krótsze włosy. Chciała zobaczyć jego łódź, i to natychmiast, ale jednocześnie nie mogła pozwolić na to, żeby stał się czujny. Jeszcze raz zadała pytanie. Miała już wprawę w sugerowaniu, że do zdarzenia doszło w czasie jakiejś dzikiej imprezy, choćby nastolatków pozostawionych bez kontroli.

Pan Ferrier leniwie popijał ze szklanki, odpowiadając na pytania. Absolutnie nie wyglądał na zmartwionego.

- Sporo musi pani być na nogach, co? - zapytał w którymś momencie. - W tej pracy chyba stoi się bardzo dużo.

- Już nie - odparła. - To właśnie jest najlepsze po zrzuconiu munduru.

- Ja większość czasu stoję w salonie i rozmawiam z klientami. Nie wyobraża sobie pani, jakie to wyczerpujące. Pewnie dlatego szef każe nam ciągle grać w golfa. Urodzony sadysta.

- Ale widzę, że ma pan własne hobby - zauważyła.

- Co? Ach, zdjęcia. Tak, uwielbiam fotografować. Tak właśnie wygląda dla mnie idealne popołudnie: przewiesić przez ramię dwa aparaty, iść gdzieś, gdzie jeszcze nie byłem, i przez cały dzień robić zdjęcia.

- Bardzo rzadko już to robisz - wtrąciła się pani Ferrier. - Powinieneś częściej wychodzić.
- To trudne przy dzieciach. Nie chcą sobie położyć, gdy ja ustawiam aparat, wybieram obiektyw i tak dalej. Nie wspomnę już o przyglądaniu się, jak robi się kilka ujęć tej samej sceny. A to właśnie trzeba robić. Gdy widzę coś, co warto sfotografować, robię tyle zdjęć, ile trzeba. Nie ma co oszczędzać filmu.
- Wspomniał pan o dwóch aparatach. Cyfrowe czy zwykłe?
- Właśnie zaczynam z cyfrowym. Prawdę mówiąc, ta technologia jeszcze nie osiągnęła odpowiedniego poziomu. Żeby uzyskać satysfakcjonujące efekty, musiałbym wydać parę tysięcy dolarów, a za parę lat i tak będzie to przestarzały sprzęt. Mam małą cyfrówkę, ale nie dlatego biorę ze sobą dwa aparaty. Dwa aparaty bierze się po to, żeby nie zmieniać ciągle obiektywów. Na jednym mam obiektyw szerokokątny, a na drugim teleobiektyw. Taka mała sztuczka, której ktoś mnie kiedyś nauczył.
- Nie może pan po prostu używać obiektywu o zmiennej ogniskowej?
- Ciężki. Nieporęczny. Za dużo szkła. - Skrzywił się.
- Sam pan wywołuje zdjęcia?
- O tak. Tylko w ten sposób mogę mieć nad tym jakąkolwiek kontrolę.
- Panie Ferrier, bardzo by nam pomogło w dochodzeniu obejrzenie pańskiej łodzi.
- Moment. Myśli pani, że ktoś oberwał na mojej łodzi? Przepraszam bardzo, ale to niedorzeczne. Nikt na nią nigdy nie wchodzi, z wyjątkiem nas.
- Nawet pod pana nieobecność?
- Właśnie. Mamy nawzajem na oku nasze rzeczy. Jeśli powiem Mattowi Mortonowi albo Frankowi Rowleyowi, że wyjeżdżam, mogę być pewny, że nikt nie wejdzie na moją łódź.
- Ale to nie dom, oni też nie przebywają tam przez cały czas.
- To prawda. Na przystani jest jednak dobra ochrona. Musi być. Parę lat temu mieli tam serię włamań. Od tamtej pory pozakładali kamery.
- Naturalnie ma pan prawo odmówić i zażądać nakazu. - Delorme wstała. - Pani Ferrier, dziękuję pani za pomoc.
- Nie sądzę, żeby André nie chciał pokazać pani łodzi, prawda, kochanie?
- Oczywiście to zrobię. Wydaje mi się tylko, że to strata czasu, to wszystko.
- Nawet jeśli wykluczmy ją jako miejsce przestępstwa, to już będzie nam łatwiej - powiedziała Delorme. - Naszym problemem jest to, że większość łodzi ściągnięto już z wody. Gdzie pan trzyma swoją w zimie?

- Na przystani Four Mile. Po drugiej stronie jeziora. Mają o wiele więcej miejsca, no i są tańsi.
- To gdzieś niedaleko Island Road?
- Proszę jechać Island Road i skręcić w prawo, w Royal. Jakies pół kilometra dalej zobaczy pani znak. Nie da się go przegapić. Powiem im, że pani jedzie.

Island Road była sześć kilometrów za miastem, na północ autostradą 63. Delorme musiała przejechać obok Madonna Road, która biegła wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Trout i po kilkuset metrach wracała łukiem wzdłuż autostrady. Dom Cardinala wyglądał jak ciemny prostokąt pod jasnymi chmurami i wśród różnych kolorów liści. Delorme zaciekawilo, czy jego córka ciągle jest w domu, czy wróciła już do Nowego Jorku.

Nie pracowało jej się tak, jak z Cardinalem. Delorme lubiła robotę w terenie, lubiła ze wszystkiego się wywiązać i co do minuty opisać to w raporcie. Cardinal zawsze starał się jak najszybciej zawęzić obraz sytuacji i niemal zawsze miał rację. I też próbował mieć wszystko pod kontrolą, jak Delorme. „Pracując razem, powiedział kiedyś Chouinard, moglibyście zostać niezłym śledczym”.

Dwaj chłopcy z dochodzeniówki żyli we własnym świecie. Szelagy był strasznym gadułą, jak radio włączone non stop. McLeod zawsze przedstawiał światu swoje poglądy - a były one kontrowersyjne. Co najmniej raz dziennie Delorme modliła się, by jego seksistowskie, rasistowskie czy społeczne uwagi okazały się tylko żartem. Dopóki Cardinal był w biurze, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo trzymał na wodzy odzywki McLeoda.

Skręciła w Island Road, rozmyślając, jak John daje sobie radę. Ponieważ nie wyszła za mąż, nie straciła partnera, ale pamiętała, jak bardzo rozpaczła, gdy przed dwunastoma laty umarła jej matka. Delorme była wtedy studentką uniwersytetu w Ottawie. Ciągle pamiętała to cierpienie, codzienne, trwające tygodniami i miesiącami. Miała nadzieję, że Cardinal wkrótce poczuje ulgę.

Wyobrażenia zaczęła podsuwać jej obrazy. Zobaczyła siebie i Cardinala na obiedzie w drogiej restauracji. Nie wiedzieć czemu w Montrealu. Potem spacerowali po Mount Royal, pod nimi rozpościerała się panorama miasta. Przytuliła go, tak żeby dodać otuchy, a on przytulił ją. Serce zabiło jej mocno, poczuła, że to coś więcej niż przyjaźń.

- Boże, Delorme - powiedziała na głos, naciskając hamulce. Przegapiła zjazd na Royal Road. Cofnęła, słysząc, jak trąbi kierowca jeepa, po czym wjechała na piaszczystą drogę.

„Przystań Four Mile: Sprzedaż, naprawy, przechowywanie”. Znak pojawił się szybciej, niż się spodziewała, przed podjazdem na tyle szerokim, że swobodnie mogły przejechać nim przyczepy z łodziami.

Młody mężczyzna w szerokich spodniach i wymyślnych, sportowych butach pokazał jej hangar dla łodzi. Budowla przypominała jej ogromną półkę, zamiast drzwi miała zwijane, metalowe rolety. Była dwupiętrowa. Delorme ucieszyła się, że łódź Ferriera leży na niższym poziomie.

- Wracam do biura - powiedział chłopak. - Jakby co, proszę mnie zawołać.

- Jasne, dziękuję.

Przystań była pusta. Zaczęło mżyć. Deszczyk stukał o falistą blachę, intensywnie pachniały sosny i mokre liście. Delorme otworzyła kłódkę i uniosła roletę. Znalazła włącznik i zapaliła światło.

Łódź leżała na przyczepie, co sprawiało, że wydawała się ogromna. Sam kadłub, z oślepiąco białego włókna szklanego, miał chyba ze dwa metry wysokości. Nad górną kabiną sterzczały różne anteny i światła.

Delorme weszła na przyczepę, a z niej na małą, chromowaną drabinę przyczepioną do rufy. Gdy spojrzała ponad burtą, zatrzymała się. Oprócz drewnianych zdobień nadburcia (jeśli tak to się nazywa), cały pokład był przykryty matowym brezentem przywiązany do niego żółtą linką przewleczoną przez grumoty.

Przez dziesięć, a może piętnaście minut Delorme rozplątywała węzły. W końcu udało jej się poluzować brezent i ściągnąć go na tyle, że mogła wejść na pokład.

Rozejrzała się po drewnianych podłogach i połyskujących wykończeniach również z drewna. Wspięła się do górnej kabiny i dokładnie obejrzała zdobione mosiężnymi elementami koło sterowe. Na rufie zobaczyła siedzenia odwrócone do siebie oparciami, obite pikowaną tapicerką. To była łódź ze zdjęcia.

Zeszła z powrotem na pokład i przycupnęła na stopniu. Stąd robił zdjęcie. Dziewczynka, wtedy nie więcej niż dziesięcio- albo jedenastoletnia, usiadła na siedzeniu zwróconym w kierunku dziobu. Cessna Rowleya była po prawej stronie. Delorme zrobiła ramkę z palców, jak reżyser, i podniosła ją do twarzy. Łatwo było wyobrazić sobie samolot w rogu kadru. Choć ostrożny, fotograf był tak pochłonięty swym pornograficznym dziełem, że przegapił widoczny na ogonie samolotu numer identyfikacyjny.

Miała więc miejsce przestępstwa - przynajmniej jedno z miejsc - i była coraz bliżej sprawcy. Ale to ofiarę chciała przede wszystkim znaleźć.

27

Doktor Bell wyszedł z łazienki i wytarł ręce. Nie musiał ich szorować, nie był chirurgiem, ale nawyk, którego nabrał dawno temu, w czasie studiów, pozostał. Zawsze, gdy miał się spotkać z pacjentem, mył ręce. Używał do tego najłagodniejszego glicerynowego mydła. Delikatnie pachniało migdałami.

Ten rytuał pozwalał mu czuć kontrolę, a potrzebował jej teraz, bo ostatnio jego umysł jakby mu się wymykał. Bell z coraz większym trudem zachowywał spokój, zatruwały go niechciane myśli. Od paru dni zaciskał pięści, by zmusić niektórych pacjentów do uległości.

Zawołał żonę, ale przypomniał sobie, że wyszła gdzieś po południu; nie wiedział gdzie. Starość.

Otworzył drzwi na korytarz. Melanie siedziała tam, gdzie zawsze, chociaż nie wyglądała jak osoba w depresji. Czytała „Życie Toronto”, musiała przynieść tę gazetę. Bell wziął do ręki „New Yorkera”.

Melanie była tak zaczytana, że nie oderwała wzroku od tekstu. Bell przypuszczał, że jest raczej w dobrym nastroju. Zainteresowanie światem zewnętrznym to zawsze objaw ustępowania depresji.

- Witaj, Melanie - powiedział.
- O, witam. - Wcisnęła gazetę do plecaka i poszła za Bellem do gabinetu.
- Mogę dla odmiany usiąść tutaj? - Pokazała krzesło obok kanapy.
- Oczywiście.
- Wystarczyło, że zobaczyłam tę kanapę i od razu poczułam przygnębienie. - Opadła na krzesło. - Pomyślałam sobie, że może usiądę gdzie indziej, gdzieś, gdzie siadają ci, którzy nie mają depresji.
- Rozumiem.
- Jestem już tak bardzo sobą zmęczona. Mam dość tych moich narzekania i marudzenia. Po części dlatego, że postrzegam siebie jako żalną pacjentkę, która lamentuje na leżance psychiatry. Dlatego pomyślałam, że może wyjątkowo zachowam się inaczej.

- Inna perspektywa, jeśli można tak to ująć.
- Właśnie. Tak, dziś czuję się dobrze. Przynajmniej lepiej.
- Widzę. To dlatego chciałaś dodatkowo się spotkać?
- Aha. Muszę panu powiedzieć coś ważnego, ale najpierw, jak zwykle, opowiem, co się dzieje.
- Proszę bardzo. Mów, co nowego.

W każdym aspekcie jej zachowania widać było pozytywne nastawienie. Wielcy aktorzy instynktownie rozumieją fizjonomię emocji. Bell stał się ekspertem po części dzięki instynktowi, po części dzięki długiej praktyce. Widział, że Melanie w tej chwili może nie jest szczęśliwa, ale czuje ulgę i podekscytowanie. No i to niecodzienne ożywienie jej twarzy: brwi unosiły się wysoko ponad okulary, zamiast tworzyć bruzdę w kształcie litery V. Co więcej, gestykulacja: małe dłonie fruwały z dala od ciała wte i wewte, gdy opisywała mu ubiegły tydzień. Swobodnie też zakładała nogę na nogę: kostka leżała na udzie, podczas gdy do tej pory Melanie siedziała spięta. Teraz jedno kolano, gdy opowiadała, wesoło podskakiwało. Bell poczuł falę frustracji, ale ją w sobie stłumił.

- Udało mi się nawet w ciągu paru ostatnich dni przeczytać całą powieść - pochwaliła się. - Wie pan, byłam do tyłu z pracą z literatury angielskiej, a tu nagle strasznie mnie to wciągnęło. Książka E.M. Forstera, nie chciałam, żeby się skończyła. Polubiłam bohaterów, spodobały mi się opisy i spodobało mi się niemyślenie o sobie przez jakiś czas.

- Zwróciłaś swoje myśli gdzieś indziej, z dala od siebie.
- Tak. A co najdziwniejsze w tym wszystkim, że to takie łatwe.

Pochyliła się do przodu i przerzuciła długie włosy na jedną stronę. Bell zauważył, że były świeżo umyte. Wygląd podtopionego szczura niknął pod entuzjazmem, który wyrażała jej twarz.

- Zadziwiająca w lekturze tej książki... a odkładałam ją setki razy, bo bałam się, że mnie zdołuje... więc to, co mnie zdziwiło, to fakt, że łatwiej było ją czytać niż nie czytać. Wie pan, o czym mówię? Miałam zaległości i odkładałam czytanie na lepszy czas, czułam się winna, to mnie dołowało. Ale gdy tylko zaczęłam czytać, było wspaniale.

- Dobrze to słyszeć - powiedział Bell. - Wiesz może, skąd ta niezwykła przemiana?

- To zabawne, bo to, co mi się przytrafiło, powinno rozpętać we mnie piekło. Ale tak się nie stało. To znaczy stało się, ale nie pogrążyło mnie w depresji. Nikomu o tym nie mówiłam i...

Bell czekał.

- Nie powiedziałam mamie. Rachel też nie. - Melanie głośno wypuściła powietrze, opuszczając ramiona.

Rachel była jej przyjaciółką i współlokatorką. Melanie opowiedziała już Bellowi o wielu rzeczach, których nigdy nie wyjawiała Rachel, matce zresztą też nie, i to też mu powie.

- Widziałam Drania - wyrzuciła z siebie.

- Naprawdę? Widziałaś ojczyma?

- Byłego ojczyma. Nie nazywam go tak. Dla mnie to Drań, zresztą nim jest.

- Nazywaj go, jak chcesz. Myślałem, że się wyprowadził.

- Wyprowadził się, ale niedaleko. Do Sudbury.

- Gdzie go widziałaś?

- Koło hipermarketu w Algonquin Bay. Wychodził ze sklepu z elektroniką. Ja wychodziłam z apteki, a on ze sklepu. Nie do wiary, że wrócił do miasta.

- To zabrzmiało tak, jakbyś się ucieszyła.

- Ja? - Osłupiała spojrzała na niego. - Może.

- Ten facet notorycznie cię molestował. Przez lata wykorzystywał cię jak erotyczny gadżet. Możesz wyjaśnić, dlaczego jego widok sprawił ci radość?

- Źle się wyraziłam. Nie ucieszyłam się na jego widok. Tak naprawdę to z początku było jak cios w brzuch. Dosłownie prawie zgięłam się wpół. Ale poszłam za nim. Nie widział mnie, zresztą pewnie i tak by mnie nie rozpoznał. Poszłam za nim na parking i widziałam, jak wsiada do samochodu. Nikogo więcej w nim nie było. Spisałam numery jego wozu.

- Po co?

Jedna z jej rąk znieruchomiała.

- Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym. Po prostu to zrobiłam. Złapałam długopis i zapisałam numery na dłoni. To dziwne, prawda?

- Tak myślisz?

- No, może i nie. Po prostu odruch. A serce cały czas waliło mi jak młotem. - Stuknęła się kilka razy w klatkę piersiową. - Bum, bum, bum. Dosłownie słyszałam, jak wali. A potem pojechałam za nim. Czy to nie szalone?

- Mów dalej.

- Pojechałam za nim do domu. Mieszka w budynku z cegły, można takie spotkać na przedmieściach. Duży garaż i takie tam. Widziałam, jak parkuje na podjeździe. Zatrzymałam się trochę dalej na ulicy i udawałam,

że się rozglądam, jakbym szukała adresu czy coś takiego, ale widziałam, jak wchodzi do domu. Wiem, gdzie mieszka. Na początku chciałam zadzwonić do mamy i opowiedzieć jej o wszystkim, ale potem pomyślałam, że lepiej nie. Zdenerwowałaby się. Drażni ją nawet jego imię. Więc nie zadzwoniłam, tylko pojechałam prosto do siebie i włączyłam nową płytę Radiohead. Usiadłam na brzegu łóżka i przeszłuchałam ją od początku do końca.

- O czym wtedy myślałaś?

- O niczym. Chyba o niczym nie myślałam.

- Jak się czułaś?

- Dobrze. A na pewno lepiej... jak, no nie wiem, jakby ta ogromna, gumowa obręcz, która wyciskała ze mnie życie, nagle zniknęła. Znów mogłam oddychać. - Spojrzała mu w oczy. - Dlaczego tak się czułam?

- No cóż, w pewnym sensie lubiłaś go, pamiętasz?

- Chyba tak.

- Potrafił uwodzić. Sprawił, że go polubiłaś, że mu zaufałaś. Zabrał cię w te wszystkie cudowne miejsca.

- To prawda, zabrał mnie do WonderWorld.

- I na Musical Ride, sama mówiłaś. Dziewczynki coś takiego uwielbiają.

- Jednak nie dlatego poczułam się tak dobrze, gdy go zobaczyłam.

- Więc dlaczego? Możesz powiedzieć?

Oczywiście wiedział dlaczego. Melanie zobaczyła ojczyma. Skutek? Przybrał normalny kształt, przestał być potworem z jej wyobrażeń. Stał się istotą ludzką, człowiekiem kupującym baterie w sklepie z elektroniką, który na parkingu wsiada do samochodu jak wszyscy inni. W porządku, Bell mógł sobie z tym poradzić. Nie obawiał się komplikacji. Było jednak coś jeszcze, co starał się wyartykułować.

- Czy twój ojczym cię widział? - zapytał. - Powiedziałaś, że pojechałaś za nim. Zobaczył cię?

- Nie - zapewniła, bez cienia wątpliwości.

- Ty go widziałaś, ale on ciebie nie. Jak się z tym czułaś?

- Jakbym miała przewagę.

Bell przytaknął.

- To tak, jakbym obserwowała ptaka czy coś takiego. To znaczy, bałam się. Serce mi waliło, już mówiłam. Ale jakaś część mnie nie czuła strachu. Tak naprawdę jakaś część mnie czuła się świetnie.

- Jakby był ptakiem. A ty byłaś...

- Kotem.
- Myśliwym.
- Tak! A nie ofiarą, nareszcie.

Opadła na krzesło, zadowolona z siebie, odprężona, dłonie otwarte. Niech się cieszy. Może miała nawet plan ataku. Kompletnie to do niej nie pasowało. I tak w niczym nie zmieni to ostatecznego wyniku. Cała sztuka terapii polega na uświadomieniu pacjentom, że mają wybór. Kolejnym krokiem było pozwolenie im na dokonanie tego właściwego.

Bell delikatnie przyprowadziłby ją na skraj przepaści, mogłaby zobaczyć, że wystarczy jeden krok i wszelki ból minie. By tego dokonać, musiał zachować spokój, jednak gniew znów przyspieszał bicie jego serca i spłycał oddech. Wyobraził sobie nagle, jak uderza Melanie w twarz, zostawiając na jej policzku szkarłatny ślad swojej ręki, jednak odetchnął głęboko i się powstrzymał.

- Myślisz o tym, jak zranić ojczyma?

- Jak tu teraz siedzimy, zaczynam być na niego wściekła. Powinien mnie przeprosić, przyznać, że mnie skrzywdził.

Niezbędnie wiele, biorąc pod uwagę fakt, że Melanie opowiedziała mu o rzeczach, za które jej ojczym poszedłby siedzieć na długie lata. Gdyby zdecydowała się na niego zapolować, mogłaby otrzymać przeprosiny i się zemścić. Ale wtedy zmałałoby jej poczucie winy, osłabłaby depresja. Tego wolał uniknąć. Stałaby się wieczną marudą i ciężarem dla wszystkich. Do tej pory opowiadała mu o listach, jakie może by napisała, o ewentualnych telefonach, musieli jednak omówić dokładnie wcześniejsze wydarzenia.

- Na dzisiaj to chyba wszystko - powiedział, gdy w końcu trochę zwolniła.

- Wiem. Zawsze zaczynam czuć się parszywie, gdy godzina dobiega końca.

- Chciałbym, żebyś przemyślała parę spraw przed naszym kolejnym spotkaniem. Po pierwsze, nie napisałaś listu, jak obiecałaś.

- List pożegnalny? Zupełnie zapomniałam. Gdy zobaczyłam ojczyma, nie myślałam już o liście.

- Myślałaś o tym, co mogłabyś mu powiedzieć.

- Ciągle o tym myślę.

- Możemy o tym porozmawiać, ale najpierw napisz ten list. Jeśli chcesz pokonać depresję, to najważniejsze jest uświadomienie jej sobie. Bestię trzeba nazwać po imieniu, że się tak wyrażę.

- Napiszę. Obiecuję.
- Druga sprawa. Czujesz przewagę nad swoim ojczymem, czujesz, że mogłabyś wycisnąć z niego przeprosiny. Pewnie przyniosłoby to pozytywny skutek, mogę pokazać ci wiele książek, które tak właśnie mówią. Ale nie ma się co spieszyć.
- Dlaczego? Nie uważa pan, że powinien przeprosić za to, co zrobił? Proszę na mnie spojrzeć. Mam osiemnaście lat, a niemal co dzień rano ledwo zwlekam się z łóżka. Później przez pół dnia myślę, że lepiej by mi było w trumnie.
- Gdybym był chirurgiem, chciałabyś przyspieszyć operację?
- Nie.
- Gdybyś miała raka, chciałabyś, żebym przerwał chemioterapię? Nawet gdybyś reagowała mdłościami?
- Nie, ale to chyba co innego.
- Dobrze, a więc zostawmy to w twoich rękach. Ty jesteś teraz chirurgiem, nie ja. Ja tylko radzę, by zbadać, co dokładnie ojczym ci zrobił. Szczegółowo.
- Mam podać szczegóły? O Boże, naprawdę mi niedobrze.
- Dopóki ich z siebie nie wyrzucisz, będą miały nad tobą władzę. Możesz także pogubić się w końcu w tym, za co ma cię przeprosić, czym zawiñił. Chciałbym, żebyś się z tego oczyściła.
- Wiem, że ma pan rację. To ma sens, ale...
- Ale?
- Czulałam się tak dobrze, gdy przyszłam. A teraz znów czuję się bezna-dziejnie.
- Samowiedza rzadko przynosi dobre wieści. Ty jednak jesteś silna.
- Oj chyba nie. Teraz czuję się okropnie.
- No dobrze. - Bell wstał. - Następnym razem czeka nas dużo pracy. Będziemy mieli list i dokładny opis tego, co robiłaś z ojczymem. To też mo-żesz napisać, jeśli chcesz. Może będzie ci łatwiej, niż o tym opowiedzieć, chociaż naturalnie o tym porozmawiamy.
- Nie sędzę, żebym mogła powiedzieć o niektórych rzeczach.
- Nie ma pośpiechu, absolutnie. Będziemy szli twoim tempem, nie szybciej.
- Melanie podniosła plecak i wstała. Cała energia z niej uszła; znów wy-głądała jak podtopiony szczur.
- Dobrze. Do zobaczenia następnym razem.
- Do widzenia, Melanie.

Doktor Bell tylko próbował pomóc, Melanie to rozumiała. Był wspaniałym lekarzem, nawet z tymi jego zabawnymi tikami, opuszczaniem ramion i potrząsaniem głową. Nieraz myślała, że zaszczeka jak wielki kundel. Na biurku trzymał śmieszna, staroświecką lokomotywę. Kiedyś nawet pokazał jej, jak działa. Gdy nazywał poszczególne elementy i poruszał dźwigniami, był jak najlepszy ojciec, którego nigdy nie miała.

Szczerze chciał pomóc, ale Melanie wolałaby nie mieć tak trudnej pracy domowej. Jak ma napisać list pożegnalny, gdy w rzeczywistości nie chce się zabić? Trzy, cztery tygodnie temu mogłaby taki napisać bez problemu. Wtedy tylko brak energii powstrzymał ją przed samobójstwem.

Gdzieś w korytarzu słyszała, jak jej współlokatorki, Rachel i Laryssa, z czegoś się śmieją. Melanie i Rachel były kiedyś najlepszymi przyjaciółkami, ale w ciągu ostatnich lat zaangażowanie Rachel trochę osłabło - bez wątpienia dlatego, że Melanie była ciągle przygnębiona. Rachel i Laryssa bardzo się od niej różniły, zawsze otwarte, zawsze gotowe gdzieś wyskoczyć.

Melanie w tym roku zaczęła studiować literaturę angielską i postanowiła spojrzeć na swój list samobójczy bardziej jak na ćwiczenie literackie niż terapeutyczne. Gdy była już bliska krawędzi, ułożyła w myślach przynajmniej kilka listów. Czasem adresowała je do matki, czasem do ojczyma, czasami do ojca biologicznego, a czasami do całego świata. Nigdy jednak żadnego nie napisała.

Nie jest to forma literacka, której można się nauczyć od zawodowców. Czytała wiersze Sylvii Plath z cyklu *Ariel* - według Melanie, był to jeden wielki list pożegnalny, list od Lady Lazarus, która wolała przejść na drugą stronę. Samobójstwo rozpalonego do białości gniewu.

Potem była Diane Arbus. Jej zdjęcia dziwadła zrobiły na Melanie wrażenie. Widziała człowieka z pchlim cyrkiem, transwestytę, Żyda olbrzyma. Ona też czuła się odmieńcem. Ogólnie rzecz biorąc, Melanie bliżej było do Arbus niż do Plath. Mogłaby chyba się z nią zaprzyjaźnić.

Tak czy inaczej, pomyślała, nie jestem poetką. Nawet gdybym chciała, nie miałabym pojęcia, jak pisać tak, jak Plath. Zanim przedawkowała i podcięła sobie żyły, Arbus napisała tylko jedno: „Ostatnia wieczerza”. Tak jakby nie chciała nikomu sprawiać kłopotu listem. Ostatnia wieczerza.

No tak, Melanie właśnie zjadła kanapkę z masłem orzechowym i dżemem, ale nie miała zamiaru napisać: „Ostatni lunch”, i zanieść takiego listu do doktora. Podejrzewała, że doktor ma ją za niezbyt rożgarniętą; chciała mu zaimponować.

„Trwanie tak bardzo boli”, pisała. To będzie do całego świata, pomyślała, jakby świat o to dbał. Było to stwierdzenie równie mało interesujące, co prawdziwe. Zawarła w nim wszystko, więc po co dalej pisać? Pewnie dlatego tylu artystów popełniło samobójstwo. Przynajmniej jest to najbardziej wymowne, a jednocześnie oszczędnie sformułowane stwierdzenie. Słowa są czasem zbędne.

Kochana Mamo,

to będzie boleć Cię straszliwie, więc chcę, żebyś nie miała cienia wątpliwości: TO NIE TWOJA WINA. Kimkolwiek był mój ojciec, zrobił źle, zostawiając Cię samą z małym dzieckiem; biorąc wszystko pod uwagę, osiągnęłaś bardzo wiele. O wiele więcej, niż mnie by się udało. Popełniłaś jeden błąd, wychodząc za Drania, jak go nazywamy, ale teraz zdaję sobie sprawę z tego, że byłaś samotną matką, pozostawioną na pastwę losu z malutkim dzieckiem, udręczoną i pełną obaw, pozbawioną w życiu radości. Gdy się pojawił i ofiarował Ci miłość, bezpieczeństwo i uśmiech, musiał bardzo Cię tym poruszyć. Zranił cię okrutnie i nigdy mu tego nie zapomnę.

Nie ma sensu mówić matce, co Drań jej zrobił. Nie w liście.

Przykro mi, że w tak okropny sposób odpłacam Ci za troskę, dobro i radość, które mi dałaś. Cierpię chyba na nieuleczalny smutek, tak jak inni chorują na nieuleczalne nowotwory. Moje życie straciło jakość. Nie cieszy mnie już jedzenie, słońce ani nawet sen. Co rano budzę się z uczuciem lęku i zmęczenia. I chociaż chodzę do wspaniałego psychiatry, zdaję sobie sprawę, że nie ma szans na polepszenie tego stanu.

Było prawie ciemno. W domu cicho. Rachel i Laryssa albo wyszły, albo zabrały się do nauki. Melanie siedziała w coraz gęstszym mroku z uniesionym długopisem. Zapadła w nicość. Zdarzało się jej to czasem, siedziała bez ruchu, patrząc przed siebie bezmyślnie. Czasem mijała godzina, czasem dwie. Tym razem minęło tylko pół godziny.

Wstała i poszła do łazienki. Maleńkie, brązowe, czarne i niebieskie kropki pokrywały umywalkę, jakby nagle dostała wielokolorowej wysypki. Laryssa na pewno znów eksperymentowała z makijażem. Ciągłe się malowała, i to jak! Melanie też by się malowała, gdyby mogła patrzeć na swoje odbicie w lustrze.

Wróciła do pokoju i wyjęła komórkę.

- Mamo?

- Cześć, Mei. Chcesz wpaść na kolację? Właśnie zapiekam jagnięcinę w cieście.

- E, nie, ale chciałam pożyczyć na chwilę twój samochód.

- Jasne. Nie potrzebuję go już dzisiaj. Ale na noc musisz wrócić, bo rano jadę do pracy.

- Potrzebuję go tylko na moment. Chcę wyskoczyć na trochę ze znajomymi do pubu, a czekanie na autobus to tragedia.

- Wiesz, kochanie, gdybyś mieszkała w domu, miałybyś więcej swobody.

- Za duża już jestem na mieszkanie w domu, mamo.

Włożyła kurtkę i poszła do domu kilka przecznic dalej. Ciągle miała w myślach ostatnie słowa matki. Nigdy nie pomyślałaby o swojej kwaterze jako o domu, choćby pani Kemper była nie wiadomo jak miła. Matka zaczęła wypytywać ją o zajęcia i współlokatorki. Trochę to trwało, zanim udało jej się wyrwać.

A teraz siedziała w zaparkowanym wozie niedaleko domu Drania i czekała, sama nie bardzo wiedząc na co. Jego samochód stał na podjeździe, w domu świeciło się światło. Nie wyglądało na to, że mieszka tu ktoś samotny. Dom był zbyt duży, zbyt rodzinny.

Gdyby wyszedł, porozmawiałyby z nim. Tylko wyjdź na zewnątrz, Draniu, a powiem ci, co o tobie myślę. Jak przez całe życie było mi źle i wstyd, jak bardzo czułam się winna. Gdyby wyszedł, powiedziałaby mu, że nie może nawet pocałować chłopaka, bo zaraz przed oczami ma jego, Drania, jego twarz przy swojej twarzy, jego penisa, jego ogromne dłonie. Dłonie, które przytrzymywały, dotykały, tuliły. Dłonie, które trzymały aparat.

Powiedziałaby mu, że nie może korzystać z Internetu, bo obawia się, że natknie się gdzieś na swoje zdjęcia. Bo po co by je robił? Powiedziała mu, że pali się ze wstydu na samą myśl o nich. Nawet teraz wstyd ogarnął całe jej ciało, plecy, ramiona i szyję, nawet uszy.

Myślała, że zwymiotuje, ale fala mdłości stała się falą żalu, wezbrała przez klatkę piersiową aż do oczu, aż w końcu pokazały się w nich łzy. Melanie nie chciała płakać, broniła się przed tym. Patrzyła na dom z cegły, na wielkie podwórko i potężny garaż, i myślała: Ty draniu, jeśli masz tam nową żonę, powiem jej o wszystkim. Powiem jej ze szczegółami, co mi zrobiłeś. Zostawi cię, a może nawet zgłosi to na policję, co sama powinnam zrobić już dawno. Tak, mam nadzieję, że masz żonę. Mam nadzieję, że jest

młoda i ładna, i liczę, że ją kochasz, bo gdy skończę, zostawi cię tak szybko, że nawet nie zdążysz mrugnąć.

- Wygnij plecki w łuk, kochanie. No, Mei. Wygnij plecki. O tak. Och, wyglądasz cudownie!

Aparat robi cyk, cyk, cyk, a on podchodzi coraz bliżej, czasem stoi tylko parę centymetrów od niej. Potem wydaje kolejne polecenia.

- Dobrze, połóż się i udawaj, że śpisz.

Zapach wybielacza na hotelowej pościeli, wykrochmalone, poprasowane prześcieradła, nie takie mięciutkie, jak w domu. Promienie słońca wpadają przez okna wraz z radosną muzyką wesołego miasteczka: kaliope, organy, dzwonki i muzyka rockowa. Krzyki dzieciarni zjeżdżającej ze zjeżdżalni wodnej, wrzaski młodych mam na karuzelach, diabelskich młynach i kolejkach.

- Tatusiu, możemy pojeździć kolejką?

- Za chwilę, kochanie. Tylko zamknij oczy.

Cyk, cyk, cyk.

- Tatusiu, możemy już iść pojeździć kolejką? - pyta z ciągle zamkniętymi oczami.

- Jeszcze trochę, Mei. Dobrze, zsuńmy trochę to prześcieradło.

Cyk, cyk, cyk.

- Tatusiu, obiecałeś.

- Wiem, kochanie. Ach, wyglądasz cudownie, mógłbym cię schrupać!

Cyk, cyk, cyk.

Potem małe figle, niedbałe całusy w szyję, łaskotanie po brzuszku, że ledwie może oddychać. Świetna zabawa! A potem zostawia ją rozbawioną, bez tchu.

Zeskakuje z łóżka i szuka spodenek oraz reszty ubranka.

- Co robisz, Mei?

- Ubieram się. Chcę już iść na kolejkę.

- Skarbie, pójdziemy na kolejkę, jak obiecałem. Ale teraz musisz wrócić do łóżka.

Podnosi ją za ramiona i opuszcza tam, gdzie chce ją mieć. Nie ma już nic na sobie i Mei wie, co się zaraz stanie. Wiedziała to od początku, ale nie chciała o tym myśleć. Tak bardzo chciała jechać do WonderWorld!

- Nie chcę teraz być w łóżku. Chcę iść się pobawić. Obiecałeś.

- Zawrzyjmy umowę. Pójdziemy się pobawić, ale to, jak będziemy się bawić, zależy tylko od ciebie. Możesz zasłużyć na każdą zabawę, jeśli

zrobisz coś dla tatusia. Zrobisz jedną rzecz: pójdziemy na karuzelę. Zrobisz drugą: pójdziemy na diabelski młyn. A jeśli zrobisz dla tatusia coś naprawdę super, to pójdziesz na kolejkę. Ale najpierw troszkę się poprzytulamy. Przyciska ją mocno do siebie, owija się wokół niej jak boa dusiciel.

- Pamiętasz, co ci mówiłem, prawda, kochanie? Że to nasza wspólna tajemnica?

- Wiem.

- Nie możesz powiedzieć mamie ani nikomu innemu. Nikomu. Pamiętasz?

- Pamiętam.

- Nigdy, przenigdy, tak?

- Nigdy, przenigdy.

- A co się stanie, jeśli powiesz?

- Przyjedzie policja i zaberą mnie do domu dla niegrzecznych dziewczynek.

- No właśnie. A tego przecież nie chcemy. No dobrze, a teraz staniemy się bardzo specjalnymi przyjaciółmi.

Ponad dziesięć lat później Melanie obserwowała z samochodu matki dom Drania. Miała nadzieję, że on wyjdzie. Poszperała w plecaku, szukając chusteczek, i znalazła pomięte opakowanie. Wytarła oczy i nos. Wtedy, gdy jej to robił, nie płakała. No, może raz lub dwa, gdy naprawdę ją zabolalo. W końcu jego dorosłe ciało było zbyt duże i nie pasowało do jej jeszcze nierozwiniętych kształtów.

A jednak fizycznie mogła to znieść. WonderWorld. Tak bardzo chciała tam jechać. Wszyscy jej znajomi, którzy tam byli, opowiadali, jakie to cudowne miejsce. I wtedy zrobił jej niespodziankę na ósme urodziny, zabrał ją tam. Tak to jakoś załatwił, że mama nie pojechała z nimi. Melanie była tak podekscytowana, że niczego się nie obawiała. To było jak czekanie na Boże Narodzenie.

Jednak w chwili, gdy zanieśli bagaże do hotelowego pokoju, poczuła gorzyc w gardle i zaczęła dygotać. Wtedy jeszcze nie umiała tego nazwać, tego okropnego uczucia w żołądku. Tej obawy. Strachu połączonego z radosnym podnieceniem. Zupełnie się pogubiła, bo nawet gdy jej to robił, był miły, zawsze miły. Troskliwy, miły, zabawny. Robił wszystko, na co miała ochotę - bawił się z nią lalkami, zapraszał wyimaginowanych gości na herbatkę - jeśli tylko była mu posłuszna.

Potem jeździli na ryby. Zabierał ją łódką na niewielkie jeziora, pokazywał, jak zakładać haczyk i przynętę. Cierpliwy, uczył ją, jak zarzucać małą wędkę, którą jej kupił. Pokazał, jak czyścić złowione ryby i jak je smażyć, żeby cudownie smakowały.

Nic za darmo, oczywiście. W nocy, w namiocie, musiała wynagrodzić tę poświęconą jej uwagę, naukę i zabawę. W namiocie musiała pozować do zdjęć i robić różne rzeczy. Sprawiać mu przyjemność. A on wynajdywał na to coraz to nowe sposoby.

Pewnego dnia, parę lat później, jej przyjaciółka Rachel zszokowała ją, otwierając zdjęcia, które znalazła na komputerze starszego brata. Rachel, chichocząc, przeglądała jedno po drugim z szeroko otwartymi oczami. Była zdumiona i zafascynowana. Miały wtedy po dwanaście lat.

- Ja cię kręcę! - wołała.

- Ja cię kręcę! - wtórowała jej Melanie, udając zdziwienie.

Ona widziała te zdjęcia zupełnie inaczej. Zdumienie Rachel dowodziło, że - w przeciwieństwie do Melanie - jest niewinna.

- Ludzie naprawdę to robią? - pytała Rachel. - To obrzydliwe!

- Dziwne - przyznała Melanie.

- To najbardziej zboczone rzeczy, jakie w życiu widziałam! Chyba się porzygam!

Rachel nigdy dotąd czegoś takiego nie widziała. A Melanie nie tylko widziała, ona to robiła. Robiła to, odkąd skończyła siedem lat.

Co pewien czas jakiś cień przemykał za zasłoniętymi oknami. Cień mężczyzny.

- Wyjdź - powiedziała Melanie. - Wyjdź, Draniu, a powiem ci, co teraz o tobie myślę.

W dniu, w którym oglądały zdjęcia z komputera, między nią a jej przyjaciółką rozwarła się przepaść. Rachel była tak pełna obrzydzenia, że Melanie zaczęła się zastanawiać. Co by o mnie pomyślała, gdyby się dowiedziała? Pewnie byłaby przerażona, pełna odrazy. Nie chciałyby mieć już nigdy ze mną do czynienia.

Do jej serca wkradł się też nowy strach. W komputerze były zdjęcia dorosłych ludzi, ale i nastolatków. Po raz pierwszy Melanie, przerażona, zdała sobie sprawę z tego, że i jej zdjęcia mogły setkami krążyć po Internecie. „, aż w końcu natknie się na nie ktoś znajomy. Od tamtej pory strach już jej nie opuszczał.

Te wszystkie zdjęcia, niezliczone zdjęcia. Bo to nie zdarzało się tylko wyjątkowo, podczas wyjazdów. Nawet w domu, gdy matka wychodziła na

parę godzin, Drań po nią przychodził. Kiedy przytulenia i zainteresowanie już nie wystarczały, zaczął jej dawać pieniądze. Chcesz sobie kupić nową płytę? A może potrzebne ci są nowe dżinsy? Musimy tylko zobaczyć, jak się mają nasze sprawy. Kilka dni później matka zapytała o spodnie - są drogie, więc skąd miała pieniądze?

„Melanie pomogła mi posprzątać piwnicę - odparł Drań - i dałem jej trochę dolarów na dżinsy”.

Potem była łódź, piękna łódź, Drań pożyczył ją od kogoś. Ich trójka w jednej kabinie, pływali po jeziorze całymi dniami. Mama i Drań spali po jednej stronie, Melanie po drugiej. Miała jakieś jedenaście lat. W środku nocy nagle się przebudziła. Siedział na brzegu jej łóżka z rękami pod jej piżamą. Matka spała tuż obok. Musiał dosypać jej coś do wina. Tej nocy Melanie zarobiła na nowe adidasy.

Teraz parszywy Drań wyszedł z domu. Nie zmienił się przez te pięć lat. Miał inną kurtkę, jasnoniebieską, nylonową wiatrówkę, na głowie czapkę bejsbolową. Wcześniej nigdy takiej nie nosił. Zrobił parę kroków po podjeździe, przechylając głowę i wciągając chłodne wieczorne powietrze. Zatrzymał się z rękami w kieszeniach, czekał. Potem wszedł na trawnik i przyglądał się czemuś uważnie.

Jak każdy normalny człowiek, pomyślała Melanie. Położyła rękę na klamce drzwi i głęboko odetchnęła. Dowali mu, i to jak. Nagle zamarła.

Z bocznych drzwi wyszła kobieta i podeszła do jej byłego ojczyma. Ładna czterdziestolatka. Czarne, kręcone włosy sięgały jej ramion. Do twarzy jej było w dżinsowej kurtce i spodniach koloru khaki. Zachowała dobrą figurę. Wygląda lepiej niż mama, pomyślała Melanie i posmutniała.

Powiem jego nowej żonie wszystko, absolutnie wszystko. Nawet jeśli zaprzeczy, nawet jeśli stwierdzi, że zwariowałam, ona pozna prawdę. Tę jej ładną buzię wykrzywi szok. Szczęśliwy błysk w oczach zmieni się w podejrzenie, gniew, nienawiść.

Melanie otworzyła drzwi. Ulica była pusta, ani aut, ani przechodniów. Szczęśliwa para odwróciła się teraz w kierunku domu, na coś czekała. Tego się nie spodziewają.

Melanie była od nich niecałe dwadzieścia metrów, na ukos przecinała jezdnię. Nakazała sercu zachować spokój. Nie chciała wyglądać na wariatkę, najważniejsze, żeby ta kobieta jej uwierzyła, żeby wszystko zabrzmiało wiarygodnie. Szła szybko, jak bizneswoman, która spieszy się na spotkanie.

Boczne drzwi domu otworzyły się i wyszła przez nie mała dziewczynka; w rękę miała piłeczkę i raketkę do ping-ponga.

- Gdzie jedziemy? - zapytała cieniutkim, dziecięcym głosem.
- Idziemy tylko na spacer - odpowiedziała jej kobieta. - Jest piękny wieczór. W ciemności nie zobaczysz piłeczki.

- Zobaczę.

- Dobrze, kochanie, ale zapomniałaś zamknąć drzwi.

Mała zatrzymała się i odwróciła, żeby spojrzeć na dom.

- Idź i zamknij drzwi, skarbie.

Dziewczynka poszła niepewnie w kierunku domu.

- Ja to zrobię - zaproponował Drań.

Melanie podskoczyła na dźwięk klaksonu. Na ułamek sekundy jej stopy dosłownie oderwały się od ulicy. Odwróciła się w chwili, gdy niecały metr od jej kolan zatrzymał się samochód.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Najmocniej przepraszam.

Kierowca pokręcił głową i odjechał.

Roztrzęsiona Melanie wróciła do samochodu matki. Nie mogła wsunąć kluczyka w stacyjkę. Cała rodzina patrzyła w jej kierunku. W końcu udało jej się zapalić silnik i przejechała obok nich z głową pochyloną w dół, udając, że nastawia radio.

Czuła w uszach, jak szybko bije jej serce; przegapiła zjazd do Algonquin Bay. Wjechała na parking mleczarni; siedziała, nie wyłączając silnika, i próbowała złapać oddech. Drań znów miał córkę, siedmiolatkę lub coś koło tego. Drań miał kolejną dziewczynkę.

29

Kelly odłożyła odbitki i zamknęła szufladę.

- To chyba ostatnia partia - powiedziała - przynajmniej tu. W college'u ma pewnie masę innych zdjęć. I negatywy na pewno też.

- O tak - zgodził się Cardinal. - W college'u ma dwie swoje szafy.

Siedział na kufrze w rogu ciemni i przyglądał się fotografiom, chociaż

Kelly mówiła, żeby poszedł na górę i zajął się czymś. Nic nie mógł na to poradzić: chciał być blisko córki, zwłaszcza wtedy, gdy robiła coś dla swojej matki.

- Może sprawdzisz w szkole - zaproponowała. - Może ktoś wie, co robiła. Oni mają lepszy wgląd w jej pracę niż ja.

- Nie, Kelly. Ty jesteś artystką, jej córką. Kto by wiedział lepiej?
- Znajomy fotograf. Ktoś, kto stale z nią pracował. Myślę, że powinie-
neś najpierw sprawdzić. Jeśli w dalszym ciągu będzie wychodziło na to, że
ja najlepiej przygotuję wystawę, to z radością to zrobię. Naprawdę.

- Zawsze pracowała sama. Nie lubiła towarzystwa, gdy robiła zdjęcia.
Ani w ciemni.

- Tylko sprawdź, tato. Chcemy przecież, żeby to wypadło jak najlepiej-
- Dobrze. Dam ci znać.
- Jestem trochę zaskoczona - Kelly dotknęła białej szafki, którą właśnie
zamknęła - ale mama była bardzo zorganizowaną osobą.

- O tak. Lubiła wiedzieć, gdzie co jest. Lubiła robić wszystko na czas.
Miała swoje problemy, nie była jednak roztrzepana.

- Wszystko spisała, każdy negatyw jest opisany i ma datę. Na odbitkach
są z tyłu numery negatywów.

- Tak, denerwowała się, gdy nie mogła znaleźć zdjęcia, którego szukała.
Swoim studentom zawsze kazała trzymać wszystko w idealnym porządku.
Nie tolerowała niechlujstwa.

Kelly dotknęła palcem szafki, drobny gest przypominający jej matkę.

- Nawet te ostatnie rzeczy. Zapis cyfrowy. Ma wszystko na płytach, a
pliki są wyszczególnione na fiszkach w koszulkach. Chciałabym być tak
zorganizowana.

- Zabawne. Często żałowała, że nie jest malarką, jak ty. Mawiała, że
chciałaby kiedyś popracować w bałaganie, że fotografowanie bywa tak bar-
dzo rzeczowe... no i cały ten cholerny sprzęt.

Kelly otworzyła wysoką szafkę w rogu pomieszczenia. W środku w rów-
nych rzędach poustawiane były obiektywy i filtry. Idealny porządek burzyły
puste miejsca - po sprzęcie, który Catherine miała z sobą, kiedy realizowała
swój ostatni projekt.

Tego wieczoru Kelly zabrała swoją małą walizkę do samochodu i Cardi-
nal odwiózł ją na lotnisko. Była z nim w czasie pogrzebu i w ciągu tych dwu
tygodni samotności. O cóż jeszcze mógł prosić? Próbował nawiązać roz-
mowę, ale jej myśli biegły już do Nowego Jorku. Nowy Jork. Tak blisko,
patrzac na mapę, jednak z punktu widzenia psychologii równie dobrze mo-
głaby być w Szanghaju.

Został z nią w poczekalni, aż w końcu przeszła przez ochronę.

- Zadzwoń do ciebie, tato. - Uściskała go gorąco.

- Uważaj na siebie.
- Jasne.

Cardinal powoli wyjechał z terenu lotniska. Nie chciał wracać do domu, nie chciał stawiać czoła ciszy. Zamiast skręcić w lewo na drogę numer 11, pojechał prosto do miasta. Do głównej ulicy, a stamtąd na nadbrzeże.

W świetle przyćmionego przez chmury księżycy widać było pojedyncze osoby uprawiające wieczorny jogging i grupki właścicieli psów otoczone przez swoich węszących i podskakujących pupili. Cardinal zawrócił w kierunku zachodniego krańca miasta, jeździł tam i z powrotem bocznymi uliczkami. Żałosne, pomyślał, że boję się własnego domu.

Zorientował się, że jedzie obok bungalowu Lise Delorme na rogu cichej uliczki niedaleko Rayne Street. Paliło się tam światło. Cardinal zastanawiał się, co takiego Delorme teraz porabia. Miał nieodpartą chęć zajechać pod jej dom, zapukać do drzwi, ale co by powiedział? Nie chciał wyglądać w jej oczach żałośnie.

Co ona może robić? Czyta? Ogląda telewizję? Na swój sposób znał Delorme całkiem dobrze, pracowali razem nad wieloma sprawami. Byli w dobrych układach, często się śmiali. Ale gdy przyszło co do czego, nie wiedział, jak spędza wolny czas ani nawet czy ma teraz faceta, chociaż widział, jak rozmawiała z Shane'em Cosgrove'em; była wtedy wyjątkowo miła.

Jednak tego wieczoru dobrze by mu zrobiło jej towarzystwo. Ten wieczór nie był zresztą jakimś konkretnym wieczorem w jakimś konkretnym miejscu, ale raczej przestrzenią między porami dnia, interregnum między życiem z Catherine a tym, co pozostało.

Zatrzymał samochód na światłach.

- Żałosne - powiedział głośno. - Nawet przez pięć minut nie byłem sam. Siedział tak przez dłuższy czas, zanim zauważył, że ma zielone światło.

Nigdy nie myślał, że dom może być tak cichy. Brak dźwięków był tak przytłaczający, że zdawał się istnieć nie tylko wokół niego, ale także w nim samym. Tak jakby świat zniknął.

Znikąd nie dochodził dźwięk świadczący o obecności Catherine. Żadnych odgłosów kroków, żadnej muzyki, szmerów z ciemni, szumu suszarki. Żadnego: „John, chodź tylko i zobacz!”

Cardinal próbował czytać, ale nie mógł. Włączył telewizor. Jakaś banda zaciekle niszczyła dowody przestępstwa. Gapił się przez chwilę na ekran, ale nic do niego nie docierało.

- Próbuje zachowywać się normalnie - wymamrotał.

Ale nic nie było normalne.

Zdjął z półki zdjęcie Catherine, które postawiła tam Kelly. Ubrana była na nim w kurtkę, przez ramię przewiesiła dwa aparaty.

Zabiłaś się?

Gdy tylko miała do niego pretensję o to, że zabrał ją do szpitala, przeklinała go za wtrącanie się w jej chorobę, wściekała się, że sprawdza jej leki. Tyle płaczu i lez przez te wszystkie lata - więc to prawda? Taka była prawdziwa Catherine? Nie mógł uwierzyć, że ukochana kobieta wyrzekła się jego miłości, że ta miłość jej nie wystarczyła, że on mógł jej nie wystarczyć, że wolała umrzeć niż zostać z nim choćby chwilę dłużej. To właśnie napisał na swoich kartach Roger Felt. Cardinal nie mógł w to uwierzyć.

A jednak nie miał dowodu, że stało się inaczej. Roger Felt, jego główny podejrzany, okazał się nikim więcej niż żadnym zemsty nieudacznikiem. Menedżer Codwalladera też potwierdził, że jego klient był w pracy, tak jak mówił. Zapis wideo to potwierdzał.

Napisałaś list. Ale czy naprawdę mogłaś się zabić?

Czy Catherine miała wrogów? Cardinal prowadził dochodzenia w sprawach wielu ofiar śmiertelnych i wiedział, że może spodziewać się wszystkiego. Drobnym diler narkotyków może okazać się najmiłszą osobą w okolicy, a przyczyną śmierci nie jest konkurencja, ale przedawkowanie.

I odwrotnie: święta kobieta, społeczniczka, która zawsze pierwsza organizuje znajomych i współpracowników, urządza odwiedziny w szpitalach, zbiera pieniądze na obozy dla dzieci - takie wcielenie cnót - mogła na przykład przespać się z czymś mężem, zdefraudować zebrane pieniądze, cierpieć na urojenia... i skończyć jako ofiara albo sprawca zabójstwa.

Ale Catherine? No dobrze, miała jakieś przepychanki w college'u. Zawsze zresztą przegrywała. O tak, w nerwach potrafiła być kąśliwa, łatwo można było sobie wyobrazić, że jej rywal na wydziale fotografii wściekł się po jej złośliwej uwadze. Dostawała też nagrody za zdjęcia - kilka nagród prowincji i jedną państwową - a jej prace były wiele razy wystawiane na lokalnych wernisażach, co parę lat pokazywano je też w Toronto. Gdy ty zdobywasz nagrodę, ktoś inny może poczuć się okradziony.

Cardinal wszedł do kuchni i nalał sobie drinka. W otaczającej go ciszy stukot kostek lodu i bulgot whisky brzmiały nienaturalnie głośno. Włączył radio i przez sekundę słuchał muzyki country, po czym je wyłączył. Nigdy nie słuchał w nocy radia, to był akt rozpacz.

Usiadł przy stole w kuchni. Gdy nie mógł spać, przychodził tu i zjadał miszkę płatków. Kuchnia nie wydawała mu się taka ponura, gdy w pokoju obok spała jego żona. Otworzył! teczkę z aktami jej sprawy Była cieńsza niż inne, nad którymi nieraz ślezczał. To oczywiste, gdyby założono sprawę, byłyby zapiski, jakiś trop, kierunek działań. Ale tateczka nie zawierała prawie nic.

Były tam karty kondolencyjne, teraz zupełnie bezużyteczne. Były też jego notatki dotyczące Codwalladera i Felta - kolejna ślepa uliczka. I strona wyrwana z notatnika Catherine. Bładoniebieski tusz jej ulubionego długopisu. I jej charakter pisma, proste „j” i zakręcone „t”.

Nim skończysz czytać...

Teczka zawierała dwie wersje listu: oryginał zapisany niebieskim tuszem i kopię, którą zrobił Tommy Hunn w Centrum Analiz. Na pokrytej czarnym tonerem kopii widać było ślady palców, niewidoczne na oryginale. Na krawędzi kartki widniał odcisk kciuka Catherine ze śladem po dawnym skaleczeniu. Mniejsze odciski na brzegach też na pewno były Catherine, łatwo było to sprawdzić.

Ale odcisk na dole strony? Za duży jak na palec Catherine. No i Catherine była praworęczna. Gdy wrywała strony z notatnika, robiła to prawą ręką. A czyj odcisk był na samym środku strony u dołu? Jeśli to nie koroner, Delorme czy ktoś, kto znalazł się na miejscu zdarzenia, to kto trzymał list Catherine w swojej ręce?

30

Martwa matka i dziecko. Obraz Edvarda Muncha był ulubionym malarstwem Fredericka Bella i on dokładnie wiedział dlaczego. Nieruchoma postać matki na łóżku, blada, niemal przezroczysta, i krzątająca się wokół niej rodzina, niezwracająca uwagi na dziewczynkę z pierwszego planu. Ręce dziewczynki niepewnie kierują się ku głowie, jakby chciała zasłonić oczy - albo uszy - by odgrodzić się od tragicznego faktu: śmierci matki. Bell wiedział, że matka Muncha zmarła na suchoty, gdy ten był jeszcze chłopcem, i zaważyło to na całym jego życiu. Z tego powodu ciągle dopadało go przygnębienie i z tego powodu został artystą.

Suchoty. Medycyna uczyniła ogromne postępy w ostatnim stuleciu. Suchoty, czyli gruźlica, dzięki antybiotykom zostały niemal całkowicie zwalczone. Ale depresja kwitła w najlepsze.

Munch widział jedno łoże śmierci. Bell poznał dwa.

Pierwsze - jego ojca. Bell miał wtedy osiem lat. Codziennie musiał siedzieć z ojcem przez godzinę, między powrotem ze szkoły a godziną powrotu z pracy matki pielęgniarki.

Jego ojciec był brunetem: gęste wąsy, niemal zrosnięte brwi i czarne, kręcone włosy. Czarny Irlandczyk, jak mówiła o nim matka, a młody Bell zastanawiał się, czy jego ojciec miał jakieś związki z tym, co działo się w Irlandii Północnej. Później dowiedział się, że ojciec nigdy tam nie był. I jeszcze wielu innych rzeczy.

Ale wtedy, na łożu śmierci, ciemną karnacją jego ojca podkreślały zwoje białego bandaża owiniętego wokół głowy i zakrywającego jedno oko. Wyglądał jak żołnierz, który właśnie wrócił z wojny, ranny podczas obrony towarzysza, porażony doświadczonymi okropieństwami.

Wypadek, tak wyjaśniła mu to matka. Straszny wypadek podczas czyszczenia pistoletu, lugera zabranego martwemu niemieckiemu żołnierzowi w 1945 roku.

Drzwi do pracowni ojca były otwarte, jak nigdy. Do niej nieproszeni goście nie mieli wstępu. Młody Frederick był tam tylko kilka razy; raz, by odebrać gratulacje za zajęcie pierwszego miejsca w klasie, i parę razy, by dostać karę.

Ojciec go przerażał - te jego ponure nastroje, napady złości - chociaż potrafił też być miły. Pewnego lata zabrał Fredericka na łąkę, żeby mogli napaść motyli, a potem je opisać. To popołudnie z radością wspominał. Jego ojciec uczył nauk przyrodniczych w pobliskim gimnazjum. Zawsze wyglądał na najszcześliwszego, gdy czegoś uczył.

A kiedy postanowił uczyć syna, zmienił się w zupełnie innego człowieka: cierpliwego, spokojnego, obeznanego w różnych dziedzinach (historia lotnictwa, zasady wewnętrznego spalania, budowa DNA, skala diatoniczna). Siedział przy chłopcu kilka godzin, wyjaśniał, podawał przykłady, analizował, nawet proponował, co Frederick mógłby zapisać lub narysować, by lepiej zapamiętać. Co jakiś czas kładł rękę na ramieniu chłopca i mówił: „Nie poruszaj tak ramionami, synu, bo ci tak zostanie”.

Bell ciągle miał model maszyny parowej, który kiedyś dostał od swojego ojca. Prosta, elegancka zabawka składała się z miniaturowego, mosiężnego kotła zawieszzonego na mosiężnych wspornikach nad dębową podstawą. Wypełniało się go wodą, odkręcając szczelnie przylegającą mosiężną zakrętkę. Jeden tłok, wał napędowy, koło zamachowe, i wszystko. Pod kołem umieszczano się maleńki palnik z metanolem. Gdy woda się gotowała,

poruszała tłok, a on napędzał wał obracający koło. Najlepszy był miniaturowy zawór, można go było otwierać dźwignią i rozlegał się zaskakująco gardłowy gwizd.

Takie edukacyjne popołudnia nie zdarzały się często. Pan Bell miał skłonności do depresji, wtedy całymi dniami przesiadywał w swojej pracowni. Gdy chorował, lepiej było mu nie przeszkadzać. Nawet gdy Frederick był samotny i znudzony, bo wszyscy jego koledzy wyjechali gdzieś na wakacje, nie śmiał zapukać do tych drzwi. Czasem siedział na krześle w korytarzu naprzeciwko pracowni, machał nogami i czekał, aż ojciec wyjdzie.

Nieraz słyszał szloch, darcie papierów, odgłos rzuconej książki. Ten szloch wdzierał się w uszy Fredericka, przerażał go. Matka pukała czasem lekko do drzwi. Płacz ustawał, ona wchodziła i Frederick słyszał jej głos - uspokajała męża, prosiła go, o coś pytała - i niezrozumiałe, lakoniczne odpowiedzi ojca.

Nikt wtedy nie potrafił tego nazwać, a przynajmniej nikt z jego rodziny. Ludzie miewają huśtawki nastrojów, niektórzy nawet znaczne, ale to wszystko. To była Anglia, ludzie przeżyli wojnę, nie mogło chyba być niczego gorszego od niej. Należało trzymać fason, nie wolno było narzekać ani pokazywać emocji. Nikt nie mówił o depresji.

Więc kiedy matka powiedziała mu, że ojciec miał straszny wypadek z pistoletem, Frederick nie kwestionował jej słów, chociaż był zdumiony. Pewnego edukacyjnego popołudnia pan Bell zaprosił syna do pracowni, by pokazać mu, jak dbać o broń i jak ją czyścić, pachniało wtedy oliwą i metalem. To było męskie zajęcie. Ojciec wyjaśnił, że nie wolno przechowywać naładowanego pistoletu ani amunicji razem z pistoletem. Ostrzegł go, by nigdy nie mierzył w niczyją stronę, także w swoją, nawet przez chwilę. Przeciwnie - broń powinien trzymać lufą w dół, gdy ją rozbierał na części i kładł je na szmatce.

Wiele lat później, gdy został lekarzem, Bell zdał sobie sprawę, że kula przebiła przez tylną ścianę gardła, roztrzaskując podniebienie, i zapewne uszkodziła oczodół, zanim wyleciała przez czaszkę. Służby medyczne nie potrafiły wtedy tak sobie radzić z postrzałami jak obecnie. Dziś skutek takiej rany pojawiłyby się problemy z mówieniem i częściowa utrata wzroku. W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku takie obrażenia wystarczyły, żeby zabić, chociaż nie od razu.

W jego ojcu tliło się życie. W salonie ustawiono szpitalne łóżko. Pielęgniarka przychodziła zmieniać bandażę i sprawdzać stan ogólny. Fredericka zawsze wypraszano wtedy z pokoju. Czasem ojciec mamrotał pod nosem

jakieś słowa albo zdania bez związku. „Łapa smoka” albo „Na sznurku”.

Matka Fredericka tak bardzo cierpiała, że nie mogła pomóc młodemu synowi. Przeciwnie, to on próbował ją pocieszać, przynosił herbatę i kanapki robione przez ciotki. A ona patrzyła żałośnie na niego, w jej oczach stawały łzy. Frederick miał wtedy wrażenie, że go nie widzi. Jego ciotki też mówiły tak, jakby go tam nie było; nieraz słyszał, jak ciocia May szepcze do słuchawki dwa słowa: „Zastrzelił się” - tak jakby to nie był wypadek.

Niewidzialny chłopiec siadał w mroku na górze schodów i słuchał. Gdy ktoś wchodził na górę do łazienki, chował się w swoim pokoju i udawał, że czyta. Słyszał rozmowy, matka czasem zawodziła:

- Dlaczego to zrobił? Dlaczego?
- Musiał bardzo cierpieć - odpowiadała ciocia May.
- Miał coś nie tak z głową - dodawała ciocia Josephine.

I w ten sposób do młodego Fredericka dotarło, że jego ojciec postrzelił się celowo. Chłopiec cierpiał, nie umiał sobie z tym poradzić. Nie znał żadnego księdza, żadnej zakonnicy, z którymi mógłby porozmawiać. Choć, czy mogliby mu pomóc? Nie, nie został wychowany w duchu religijnym. Nie mógł też iść do matki, bo ta ciągle twierdziła, że to był wypadek. Przypominał dziewczynkę z obrazu Muncha - zdumioną, pozostawioną samej sobie.

Wciąż czuł nudności, ale coś się zmieniło. Głos nauczycieli w szkole zaczął dobiegać z bardzo daleka, jakby stali nad brzegiem studni, do której wpadł i z której wcale nie miał zamiaru wychodzić. Koledzy przestali go interesować, nie podobały mu się ich wygłupy i zabawy. W czasie przerw siadał pod drzewem i czytał biografie naukowców.

Ojciec nie odzyskiwał przytomności. Według pielęgniarki jego stan się pogarszał. Przyszedł jeden lekarz - wtedy jeszcze wzywali lekarzy do domu - potem drugi. Obaj stwierdzili, że nic już nie mogą zrobić - pacjent albo się obudzi, albo nie.

Nic się nie da zrobić.

Doktora Bella często nachodziła myśl, że gdyby Munch namalował siebie przy tym łożu śmierci, to właśnie tak nazwałby swój obraz. *Nic się nie da zrobić*. Nic, można tylko płakać i dać się pożreć tym wszystkim emocjom, o których nie mówiło się w brytyjskich domach lat pięćdziesiątych. Jako psychiatra Bell wiedział, że powinien czuć wielką wściekłość na ojca za to, że zostawił go w tak ohydny sposób, za udrekę, na którą skazał matkę. Ale nigdy tego nie odczuwał, ani wtedy, ani teraz.

Ojciec Fredericka zmarł w piątek po południu, w marcu 1952 roku. Chłopca nie było wtedy w pokoju, nie było też jego matki, tylko ciocia May. Według niej (mówiła o tym półgłosem komuś przez telefon) było to coś przerażającego. Pan Bell, który od trzech tygodni leżał niemal nieruchomo, usiadł nagle na łóżku, patrząc wprost przed siebie swoim niezakrytym okiem. Ciocia May bała się poruszyć. Jej brat siedział tam, wyprostowany, patrzył tak przez chwilę; nie trwało to nawet minuty.

- A potem się odezwał - powiedziała. - Jakby zareagował na jakieś złe wieści. „O mój Boże”, powiedział, ale wcale nie zabrzmiało to religijnie. Nie wierzę, że doznał jakiegoś objawienia. Powiedział to takim tonem, jak ktoś, kto dowiedział się, że spaliła się szkoła: pełna grozy ciekawość. „O mój Boże”, i opadł na łóżko. Podeszłam do niego i próbowałam do niego mówić, ale już się nie odezwał; odetchnął tylko głęboko i było po wszystkim. Jane jest oczywiście zdruzgotana.

Jane to jego matka, po tym wszystkim zostało ich tylko dwoje. Wkrótce doprowadziła pracownię męża do stanu, w jakim była na początku, czyli przekształciła ją w salon, ale żadne z nich już tam nie weszło. Niedługo potem problemy finansowe zmusiły ich do przeprowadzki do skromniejszego lokalu. Było to ciemne, chłodne mieszkanie, w którym mieszkali przez dziesięć lat. Pewnego dnia Frederick wrócił z dorywczej pracy w aptecę i znalazł na drzwiach napisaną przez matkę notkę:

Fredericku, nie wchodź do środka. Idź do cioci May i powiedz jej, żeby zadzwoniła do lekarza.

W ten sposób stanął nad drugim łóżem śmierci, tym razem na krótko. Matka połknęła dużą liczbę tabletek nasennych, ale zwymiotowała. W rezultacie umierała trzy dni, nie godzinę lub dwie, czego zapewne nie planowała. W końcu funkcje mózgu zaczęły ustawać, co spowodowało dysfunkcje innych organów.

Frederick musiał wyprowadzić się z mieszkania do piwnicy u cioci Josephine. Przeglądając papiery matki, natknął się na starą kopertę, na której ręką ojca napisane było tylko jedno słowo: „Jane”. W środku było to:

Najdroższa Jane,
zamierzam się zabić i skończyć tę farsę. Przepraszam, że zostawiam po sobie bałagan. Po prostu nie mogę dłużej nad sobą panować.

Brak podpisu, brak wyrazów miłości, ani słowa o synu. Osiemnastoletni Frederick Bell usiadł w sypialni matki w otoczeniu wypchanych toreb i tobołków i wpatrywał się w pismo ojca. Wpatrywał się bardzo, bardzo długo.

Na szczęście był inteligentny i z determinacją dążył do sukcesu. Przez studia przebrnął dzięki stypendium i dorywczej pracy. Dzięki cioci Josephine jego koszty utrzymania były minimalne, gdy studiował na uniwersytecie w Sussex.

Spokojny i pogodny na zewnątrz, w środku prowadził prywatną krucjatę. Jak to sobie tłumaczył, chciał wyleczyć ślepotę - ślepotę medycyny na problem samobójstw. Stracił oboje rodziców, którzy przecież mieli lekarzy rodzinnych, i żadne z nich nie zostało zdiagnozowane jako osoba w depresji, nie mówiąc już o skłonnościach samobójczych.

Sam chciał opracować skuteczną terapię. Fascynowały go zarówno leczenie farmakologiczne, jak i różnorodne formy terapii słownej. Nie miał innych zainteresowań, czasami tylko lubił pływać łódką po rzece. W zasadzie można powiedzieć, że pewnego wrześnieowego dnia wszedł do biblioteki uniwersyteckiej i po kilku latach wyszedł z niej jako doktor nauk medycznych. Po kolejnych czterech latach na Uniwersytecie Londyńskim stał się dyplomowanym psychiatrą, przygotowanym do walki z Bytem.

Kiedy odbywał staż w wielu różnych miejscach, jego opiekunowie zauważyli, że szczególnie interesuje się pacjentami w depresji; jego wnioski i spostrzeżenia były zawsze trafne. Ostatni staż odbywał w klinice w Kensington, gdzie po sześciu miesiącach zaproponowano mu stałą posadę. Był oddany pracy, wrażliwy i na bieżąco z najnowszymi lekami. Jego wyniki mówiły same za siebie.

Już pierwszy rok ciężkiej pracy przyniósł sukcesy. Znalazł jednak czas, żeby zakręcić się przy Dorothy Miller, szpitalnej pielęgniarce. Wydał jej się delikatnym i interesującym kłębkim tików nerwowych, często unosił ramiona albo potrząsał głową. Podziwiała go. Dla niego Dorothy była atrakcyjną kobietą, podobało mu się, że niekiedy nalegała, by poszedł z nią do kina albo na kolację gdzieś w mieście - no i żeby choć od czasu do czasu żył jak człowiek.

Gdy zaczął swój drugi rok pracy jako lekarz psychiatra, pojawiły się pierwsze trudności. Nawet trzydzieści lat później pamiętał ten pierwszy raz, gdy nastąpiła zmiana. Od paru tygodni z trudnością słuchał swoich pacjentów. Nagle łapał się na tym, że nie słyszał pytania, które mu zadano. Albo że skończyli mówić o czymś istotnym, a on nie zareagował. Pacjent siedział i wpatrywał się w niego wyczekująco, a on nie miał pojęcia dlaczego.

Pewnego dnia przyszedł do niego mężczyzna w średnim wieku, od dwunastu lat żonaty, z trojgiem dzieci. Zaczął się skarżyć na depresję, że budzi

się rano z jękiem i przekleństwem, bo nie umie stawić czoła nadchodzącym godzinom. I Bell się zdenerwował. Nie potrafił tego wytłumaczyć, czuł, że to coś nienormalnego. Życie układało mu się dobrze, lubił swoją pracę, a pacjent nie powiedział nic, co by go mogło zirytować. A jednak gniew rozsadał mu piersi, gniew tak silny, że przez sekundę Bell chciał złapać pacjenta za kołnierz i porządnie nim potrząsnąć.

Wtedy uczucie gniewu minęło szybko, ale jego nagłe przypiływy stały się coraz częstsze. I nie tylko ten jeden pacjent je wywoływał - wszyscy pacjenci, a przynajmniej ci, którzy cierpieli na depresję. Była to sytuacja alarmująca, groziła działaniem destrukcyjnym, a Bell obawiał się porozmawiać o tym ze swoimi kolegami po fachu.

Nawet widywanie się z pacjentami stało się dla niego trudne. Nie mógł znieść wysłuchiwania, jak bardzo siebie nienawidzą. Nie mógł słuchać, jak z drwiną w głosie podsumowują swoje życie, jak mówią, że nie widzą już dla siebie żadnej przyszłości, że mają dość wszystkiego. Zwłaszcza siebie. To była męczarnia.

Aż w końcu pewnego dnia stało się. Gniew eksplodował.

Edgar Vail był trzydziestosześcioletnim artystą komercyjnym. Do kliniki przyjęto go po próbie samobójczej. Próbował się utopić, ale okazało się, że jest lepszym pływakiem, niż myślał. W historii jego rodziny zdarzały się przypadki samobójstw, teraz też ktoś cierpiał na depresję. Czynnikiem wzmacniającymi były niepowodzenia w pracy i niedawny rozwód. Jednym słowem, miał powody do smutku.

Chciał tworzyć prawdziwą sztukę. Malował poważne obrazy, ale żadna galeria nie chciała ich przyjąć, a nikt oprócz najbliższych znajomych nie był zainteresowany ich kupnem. Mówił o tym w kółko, patrząc w podłogę, potrząsał głową i narzekał, że powinien rzucić to w diabły, dać sobie spokój z malowaniem. Powtarzał, że obrazy wyrażały jego romantyczne życie, ten cały wysiłek, tę walkę, i nic z tego nie wychodziło.

- Więc czemu po prostu się nie zabijesz? - wybuchnął Bell. - Dlaczego nie spróbujesz jeszcze raz, tylko tym razem skutecznie?

Vail popatrzył na niego osłupiały. Szok w jego oczach przestraszył Bella.

- Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak ostro - próbował się wycofać. - Chodziło mi o to, że wtedy miałaś w domu całą butelkę seconalu, a wybrałaś skok do wody, wiedząc, że umiesz pływać. Zmierzam do tego, że mogłaś położyć kres tej udręce, temu okropnemu bólowi. Mogłaś to skończyć od razu, połykając kilka tabletek. A jednak nie zrobiłaś tego. Może powinniśmy skupić się na tym, co stało za takim, a nie innym wyborem?

Szok ustępował.

- Przez chwilę myślałem, że mnie pan atakuje - powiedział Vail.

- Ależ nie, broń Boże. To ostatnia rzecz, jaką bym zrobił. Proszę mówić dalej.

Słowa otuchy odniosły skutek. Vail opadł na kanapę, przekonany, że psychiatra próbuje mu pomóc.

Przez parę następnych miesięcy Bell uczył się skrywać gniew. Przed wizytą pacjenta próbował wspominać dobre wydarzenia, ale to nie działało, bo w obliczu nieszczęść tych ludzi zapominał o tym, co miłe. Próbował też wrócić do ćwiczeń, zaczął znów wiosłować. Ale skutkiem był tak wielki ból mięśni, że jego wściekłość jeszcze się wzmacniała - denerwowali go wszyscy, nie tylko pacjenci.

W końcu jednak opanował gniew, nauczył się go nie odczuwać. Osiągnął to, zachowując się jak prawdziwy psychiatra. Dotarło to do niego pewnego popołudnia, gdy szedł nad rzekę powiosłować. Zatrzymał się i z wiosłami w rękach usiadł ciężko na przybrzeżnej ławce.

Tamiza lśniła srebrem i ogniem w promieniach popołudniowego słońca. Słyszał plusk wody, szum liści na wietrze i przeróżne hałasy dochodzące z miasta. Przez parę chwil miał wrażenie, że słyszy nawet rozmowę gdzieś parę przecznic dalej. Odbierał wszystko ostro, wyraźnie.

I wtedy zdał sobie sprawę, że można wykorzystać narzędzia terapeutyczne w zupełnie nowy sposób, tak jak chirurg może zupełnie inaczej pokierować skalpelem. Można zadawać takie same pytania, unosić brwi jak do tej pory, demonstrować ogromne współczucie, szacunek... a jednak wszystko delikatnie wypaczyć, zmienić trochę kąt i skierować pacjenta na zupełnie inne tory.

Gdy następnym razem Edgar Vail opuścił gabinet z receptą na kolejną porcję środków uspokajających, Bell głośno powiedział do ścian:

- Zabij się i skończmy z tym wszystkim, żalony odpadzie.

Słowa zdawały się odbijać echem w pustym pokoju i Bell poczuł zawroty głowy. Zaczął się śmiać. To było takie proste, dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Śmiał się z własnego zaskoczenia, z zadziwienia, ze zrozumienia, ale także z uczucia wielkiej ulgi.

Jakież to było proste. Wybierz głęboko nieszczęśliwego pacjenta, zrób kilka sesji terapeutycznych, by zdobyć jego zaufanie i wyrazić współczucie, potem przepisz zapas tabletek nasennych na miesiąc. Wtedy w użyciu były barbiturany. W odpowiedniej dawce niezawodnie śmiertelne.

W niektórych przypadkach, jak Edgara Vaila, gdy pacjenta zżerała nienawiść do samego siebie, a mimo to dobrze funkcjonował, należało upewnić się, że zna właściwą dawkę. Zbyt dużo - jak Bell wiedział z doświadczenia własnej matki - a pojawiały się wymioty i istniała możliwość przeżycia. Za mało, a rezultatem był najwyżej potężny kac.

W innych przypadkach, gdy pacjenta pożerał niewypowiedziany smutek - tak jak jego ojca - Bell musiał wykazywać się większą pomysłowością. Takich pacjentów zapisywał na poniedziałek lub wtorek i wysyłał do domu z niewielką próbką jednego z nowych, szybko działających leków antydepresyjnych. Przychodził weekend i pacjent sięgał po pistolet, wchodził na dach albo zakładał sobie pętlę na szyję. To było jak wyciąganie zawlecзки. Z pierwszych dwudziestu samobójstw jego pacjentów zapewne u połowy tak to właśnie wyglądało. Kolejne dwadzieścia pięć procent (włączając Edgara Vaila) wybrało leki uspokajające. Reszta była w tak kiepskim stanie psychicznym, że i tak by się pewnie zabiła. To już nie jego zasługa.

Podjęcie farmakologiczne rodziło jednak problemy. Było to zbyt proste - leki odwalały za niego całą robotę, każdy psychiatra mógł tak zrobić - no i ryzykowne. Recepta na dużą ilość środków uspokajających nie wygląda dobrze w historii choroby samobójcy, bo wiadomo, że odstawienie tych środków często kończy się próbą samobójczą. W Swindon miał przez to kłopoty. Później, w Manchesterze, były nawet pogłoski o szykowanym śledztwie, ale z powodu odsetka przypadków śmiertelnych, a nie zbyt częstego przepisywania leków. Tak czy inaczej, Bell uznał za roztropne wyjechać do Kanady. Dawno już zrezygnował z lekarstw, teraz polegał jedynie na swoich umiejętnościach terapeutycznych.

31

Melanie Greene zostało tylko parę tygodni życia; tak na podstawie profesjonalnych szacunków uważał doktor Bell. Tym razem odrobila pracę domową, przyniosła trzy - uwaga, trzy! - listy pożegnalne. Oczywiście nie potrzebował ich. Gdyby nie potrafił zmanipulować żalostnej nastolatki tak, żeby w końcu ze sobą skończyła, to mógłby złożyć swój certyfikat. Tym razem nie będzie żadnych błędów.

Opowiedziała mu o wypadzie pod dom ojczyma, o planach poinformowania jego kolejnej żony o jego skłonnościach seksualnych i o tym, jak powstrzymała się, widząc tę małą. Taki brak konsekwencji był typowy dla Melanie i mógł okazać się niewielką przeszkodą w skłonieniu jej do przyzwoitego odejścia. Ale tylko niewielką.

- Co cię powstrzymało? - zapytał. - Miałś to wszystko powiedzieć jego żonie, dlaczego nie miałabyś powiedzieć jego córce?

- Po pierwsze, ona ma dopiero jakieś sześć lat. Może siedem.

- Sześciolatki nie powinno się wciągać w takie sprawy?

- Oczywiście, że nie.

- W sprawy, które przytrafiały się tobie, gdy byłaś w podobnym wieku?

- Nie wydaje mi się, że maluchy w ogóle wiedzą o czymś takim, o robieniu tego nawet nie wspomnę. A pan myśli, że powinno się rozmawiać z sześciolatkami o seksie oralnym?

- To twoje odczucia są istotne, Melanie.

- No więc ja nie zamierzam rozmawiać z dzieckiem o takich rzeczach. A dlatego zatrzymałam się wtedy na środku ulicy, że byłam kompletnie zszokowana. To znaczy, fatalnie, że w ogóle Drań się znowu ożenił, i pewnie zgotuje tej kobiecie piekło, ale to, że ma kolejne dziecko... To mnie ogłuszyło. Prawie przejechał mnie samochód. Dziewczynkę czeka dokładnie to samo co mnie. Na rybach, na łodzi, w WonderWorld.

Doktor Bell czuł, że traci kontrolę. Paliły go ręce i zdał sobie sprawę, że widzi, jak ją dusi, potrząsa nią, krzyczy jej w twarz. Nie widzisz? Nie pasujesz tu. Wyświadczyć wszystkim przysługę i zabij się raz, ale porządnie. To była walka o uspokojenie łomotu w jego klatce piersiowej. Postanowił odebrać Melanie od terażniejszości i zabrać ją w przeszłość, do traumatycznych przeżyć.

- Co było najgorsze? Wtedy, gdy byłaś mała. Co było naprawdę najgorsze? Ból fizyczny?

Pokręciła głową.

Zaraz zaczniesz przygryzać kostki palców, pomyślał Bell. Jakby na życzenie jej lewa ręka podniosła się do ust i Melanie zaczęła gryźć palce.

- Zazwyczaj nie było fizycznego bólu. Tylko raz lub dwa, gdy on... no wie pan. O Boże. Od tyłu.

- Seks analny?

- E, tak.

- Krwawiłaś?

Pokręciła głową, patrząc na podłogę. Bell widział, jak zadrżała, gdy Byt wślizgnął się do pokoju. Zgięła się wpół pod naciskiem okrytej peleryną ręki zakapturzonej i pogrążonej w cieniu postaci z lodu i śmierci.

- Zazwyczaj był ostrożny. I głównie chodziło o seks oralny. Traciłam czucie w ustach. Czasem bolało mnie trochę między nogami. Kilka razy, gdy nie mogłam spać, mama pytała mnie, co się dzieje. Chciałam jej powiedzieć. Tak bardzo chciałam jej powiedzieć.

- Ale nie powiedziałaś.

- Nie.

- Bo...

- Bo się bałam. Drań powiedział, że jeśli ktoś się dowie, to przyjdą z opieki społecznej i mnie zabiorą. A on trafi do więzienia.

- A więc to nie ból fizyczny był najgorszy. W takim razie strach?

Melanie przytaknęła. Obejmowała się rękami, jakby w pokoju było zimno, a przecież wpadające przez okna promienie słońca go ogrzewały.

- Ciągle się bałam. Przerzała mnie myśl, że ktoś się dowie.

- Z powodu konsekwencji, o których mówiłaś?

- Tak. Ale także... to było później, gdy miałam trzynaście lat lub coś koło tego, bałam się, że mama się dowie. Bo wiedziałam, że to ją zrani. I wiedziałam, że odbieram jej coś, co należy do niej. Robiłam coś złego własnej matce.

- Spałaś z jej mężem.

To powinno wywołać lawinę, pomyślał Bell, obserwując, jak drży.

- To tak, jakbym była tą drugą kobietą. To...

Nie mogła powstrzymać łez. Wybuchła żalnym płaczem, wyglądała tak, jakby rozpadała się na kawałki.

Bell podał jej chusteczki i czekał. Zdziwiła go siła poczucia winy. Właściwie jej dawki było o wiele bardziej skuteczne niż lekarstwo.

- Więc musiałaś radzić sobie ze strachem - powiedział, gdy Melanie przestała szlochać. - Musiałaś radzić sobie z poczuciem winy za kradzież męża swojej matki. To bardzo dużo, jak na możliwości trzynastoletniej dziewczynki. Ale wróćmy do WonderWorld. Wcześniej powiedziałaś coś, co podpowiada mi, że WonderWorld był najgorszy, ale nie doszliśmy jeszcze do szczegółów.

Kiwnęła głową. Oczy miała zaczerwienione od łez, makijaż spływał strużkami po policzkach. Byt zmienił ją w szmacianą lalkę.

Normalnie w terapii pacjenci mogą iść własnym tempem. Naciskanie ich zazwyczaj mija się z celem z dwóch powodów: albo materiał jest dla

nich zbyt obszerny do przetrawienia, więc jeszcze bardziej zamykają się w sobie, albo można wywołać u nich lawinę emocji, na które nie są odpowiednio przygotowani. W zależności od rodzaju nerwicy skutkiem może być ucieczka, gniew, no i oczywiście samobójstwo.

Doktor Bell zapytał więc pacjentkę o szczegóły. Melanie była młoda i bardzo chciała uwolnić się od cierpienia. Bell wiedział, że na to może liczyć.

- Najpierw muszę się upewnić, że dobrze cię rozumiem. Pragnęłaś bawić się w WonderWorld i on dokładnie to ci obiecał. No i jedziecie tam, jesteście w hotelowym pokoju, ale nie możesz tam iść, dopóty nie zaspokoisz jego potrzeb. Żeby iść się pobawić, musiałaś ofiarować mu seks.

- Tak.

- Wspomniałaś chyba o tym, gdy mówiłaś, jak przed wyjazdem poprosił cię o listę twoich ulubionych zabaw. Jakby list do Mikołaja. Wspomniałaś karuzelę.

- Tak. Jeśli chciałam iść na karuzelę, to...

- Powoli, Melanie.

Starła się zwolnić: patrzyła w podłogę, potem na swoje paznokcie, wzdychała, wyglądała przez okno, zerknęła na zegarek. W końcu, gdy wyczerpała już wszystkie możliwości, odezwała się głosem tak cichym, że Bell musiał się nachylić w jej stronę.

- Gdy chciałam iść na karuzelę, musiałam uprawiać z nim seks oralny. - Uniosła dłoń, by jak wachlarzem przykryć nią twarz.

- Więc to był jakby kontrakt. Rodzaj negocjacji.

- Nie było negocjowania. - Pokręciła głową. - Powiedział po prostu, czego chce. Do diabła, ja miałam tylko siedem lat. Nie dyskutowałam z nim. Był moim ojcem, a przynajmniej tak o nim wtedy myślałam. Mieszkał z nami już od kilku lat.

- Dostawał to, co chciał?

- Tak.

- A ty dostawałaś bilet na karuzelę?

- Tak.

Bell pozwolił jej jeszcze raz zapłakać, obserwował, jak wykrzywia twarz, słuchał obrzydliwych szlochów. Mogłaby występować w cyrku jako superpłaczka albo inne dziwadlo. Nie mógł pozwolić, aby trwało to zbyt długo; musiał iść za ciosem.

- Potem była zjeżdżalnia wodna - powiedział. - Chyba umieściłaś ją na swojej liście.

Melanie przytaknęła.

- Trochę mi niedobrze. Może powinnam...

- Chcesz się położyć? Czasem przywoływanie starego bólu przytłacza.

- Aha, chyba tak zrobię. - Podniosła się niepewnie. - To wygląda jak żart rysunkowy, wie pan, pacjent na leżance u psychiatry. Ciągłe gdzieś widać takie dowcipy. Czuję się naprawdę rozbita.

- Więc się połóż. Obiecuję, że nie będziemy żartować.

Położyła się ostrożnie, grzecznie zwieszając nogi z jednej strony. Wzięła jedną z poduszek i chciała położyć ją na podłodze, ale zmieniła zdanie i umieściła ją na swoim łonie. Pacjenci bywają bardzo wymowni, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Promienie słońca rozświetliły jej włosy.

- Mówiłaś o zjeżdżalni.

- Tak. Bardzo chciałam tam iść. Gdy byłam dzieckiem, największą frajdę sprawiało mi zjeżdżanie. Ogromne emocje, ale jednocześnie czułam się bezpieczna.

- Co zaproponował w zamian?

- On nic nie proponował. Nie było żadnego „może”. On po prostu wyjaśnił zasady.

- Ale przecież mówiłaś, że jeśli chciałaś iść na tę karuzelę, to musiałaś zrobić to i to, a jeśli na zjeżdżalnię, to coś innego. Czy więc nie dawał ci wyboru?

- Może i tak.

- I wybrałaś zjeżdżalnię?

- Tak.

- Wybrałaś sama. Nie zmuszał cię do tego?

- Chyba nie. O Boże.

- Co musiałaś zrobić w zamian? Jak była cena za zjechać ze zjeżdżalni tamtego właśnie dnia?

- Musiałam... no... stosunek.

- Pełny stosunek? Waginalny?

- Tak.

- I zrobiłaś to? - Musiał poczekać dłuższą chwilę, zanim przestała płakać. - Potem była kolejka - powiedział. - Twoja ulubiona, jak sama mówiłaś. Nie mogłaś się jej doczekać.

- Seks analny - rzuciła ot tak, niby obojętnie. - Jeśli chciałam iść na kolejkę, musiałam zgodzić się na seks analny.

- I zgadzałaś się?

- Tak. Zrobił ze mnie małą dziwkę. W wieku ośmiu lat zostałam prostytutką.

- Zauważ, Melanie, że dolna granica wieku, w którym prawo dopuszcza współżycie, to czternaście lat, prawie dwa razy tyle, ile miałaś.

Z trudem, wielkim trudem wypowiedział to zdanie. Dla Melanie jego słowa były jak balsam. Efekty dostrzegł natychmiast: jej dolna warga zaczęła się trząść. Zapłacił za to, ale Melanie mogła odebrać coś mniej pocieszającego jako bezduszość, a to mogło wywołać w niej gniew i opór, który musiałby znów przełamywać. Więc jeśli odrobina uprzejmości i zrozumienia przedłuży grę o tydzień lub dwa, to taka jest cena profesjonalizmu.

- Tak jest w Kanadzie - ciągnął - ale wielu ludzi uważa, że ta dolna granica wieku powinna być znacznie podniesiona. Jak w wielu innych krajach. W Wielkiej Brytanii każdy poniżej szesnastego roku życia jest uznawany za niezdolnego do wyrażenia zgody na współżycie. Ty miałaś osiem lat, Melanie. Osiem.

- To nie było tak, że nie wiedziałam, co on robi. Zanim mnie zabrał do WonderWorld, zdążył mnie już w to wszystko wprowadzić.

- Tak czy inaczej, mówimy o gwałcie.

- Jasne.

Czasem z trudem znajdował słowa pocieszenia. Było to wbrew jego naturze, czuł, że robi coś wbrew sobie. Ale tak należało postępować. Musieli wierzyć, że jest po ich stronie, że broni ich przed nimi samymi.

- Możesz powiedzieć, że najgorsze rzeczy mamy już za sobą? Przez niego czułaś się inną kobietą, czułaś się dziwką. Jakby zmienił WonderWorld w gabinet grozy.

- WonderWorld nie był najgorszy. - Melanie usiadła gwałtownie, trzymając się brzegów kanapy. - Mimo tego wszystkiego, co tam się stało, wcale nie był najgorszy.

- Czegoś więc nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że były inne miejsca, kiedy indziej, gdy twój ojczym robił z tobą coś jeszcze gorszego?

- Nie. Nie chodzi o to, co robił. WonderWorld był straszny, jeśli chodzi o przeżycia fizyczne. Ale on robił to ze mną w innych miejscach. Nawet w domu, jeśli chce pan znać całą prawdę. Czasem w łóżku matki. Wyobraża pan sobie? Drań. W łóżku mojej matki. Ale nawet to nie było najgorsze. - Znów się położyła, oddychała z trudem. - Najgorsze było na łodzi.

- Mówisz o tych wyprawach na ryby? Na kempingu?

- Nie. - Pokręciła głową. - To było na innej łodzi. Piękna łódź motorowa z kabiną. Chyba ją pożyczył albo się nią opiekował. To było tylko dwa razy,

gdy miałam jedenaście lat. Za pierwszym była z nami matka, ale za drugim byliśmy tylko ja i on, jakoś pod koniec całej historii. Zrobił wtedy masę zdjęć.

- Erotyczne pozy, jak wcześniej?

- Niektóre były normalne. Chyba po to, żeby mógł pokazać je mamie, no wie pan. „Tu jesteśmy jeszcze na przystani. A tu jesteśmy na wyspie”. Wiele z nich jednak to czysta pornografia. Mam tylko nadzieję, że nie wrzucił ich do Internetu. Jeszcze tego by brakowało, żeby ktoś to zobaczył.

- Myślisz, że to prawdopodobne?

- Nie wiem. Sporo czasu siedział przy komputerze. No wie pan, słyszy się o takich sprawach.

- Powiedz coś więcej o łodzi. Co najlepiej pamiętasz, gdy myślisz o tamtych chwilach?

- Pamiętam, że leżę w nocy w łóżku. To było na jeziorze Trout, wie pan, prawie zawsze jest ciche. Spokój, woda pociemniała. Delikatne kołysanie, jakby łódź była zawieszona w jakimś przytulnym miejscu, gdzie nie może przytrafić się nic złego. A jednak...

Bell nie przerywał jej, gdy się zawahała. Wyraźnie chciała o tym opowiedzieć.

- A jednak... - ciągnęła. - Niedobrze mi na samą myśl...

- Tu jesteś bezpieczna. Naprawdę. Nie tak, jak na łodzi.

- Wie pan, co o tym wszystkim myślę, prawda? - Spojrzała na niego. - Wie pan, że ja wiem, że to było złe. Że to było chore, zboczone i niedozwolone, w ogóle.

- Tak, wiem, że tak myślisz. Jednak to, że komuś coś się wydaje, nie czyni tego prawdą.

Spłynęło to po niej tak, jak się spodziewał. Zapadła się w sobie, mógłby teraz ogłosić ją świętą, a i tak to by do niej nie dotarło.

- Jak mówiłam, cudownie było leżeć tak w ciemnościach. Słuchać fal uderzających o kadłub, tak to się chyba nazywa. Słyszeć, jak na wietrze łopoczą małe chorągiewki na rufie. To powinno być największe ukojenie na świecie. Ale nie mogłam spać. On leżał na swoim łóżku po drugiej stronie kabiny, ja na swoim. Było gorąco, więc miałam na sobie tylko dół od piżamy, a on zawsze spał nago, zawsze miał wszystko na wierzchu. Było tak cicho, ale nie mogłam zasnąć. Byłam spięta i zupełnie rozbudzona.

I to wcale nie dlatego nie mogłaś zasnąć, że się bałaś - Bell niemal powiedział to na głos. Nie dlatego, że bałaś się tego, co może zrobić, i nie dlatego, że tęskniłaś za matką. To nie dlatego nie mogłaś spać. Jedenaście,

dwanaście lat, nieważne. To nie dlatego, że byłaś zła. Dokładnie wiem, czemu nie mogłaś spać. Pytanie tylko, czy dasz radę mi to wyjawić. Wyjawienie najgorszej części siebie, zdobycie dla niej akceptacji, a nie osąd, jest centralnym punktem terapii. Bez takich chwil nie ma terapii, nie ma postępów, nie ma leczenia. Są tylko rozmowy. Godziny rozmów.

- Możesz powiedzieć dlaczego? - Głos Bella był tak delikatny, że ledwie słyszalny, łagodnie kuszący. - Możesz powiedzieć, dlaczego nie mogłaś spać? Co takiego nie pozwalało ci zasnąć?

- No cóż... Wiedziałaś, że to się stanie. To znaczy, zawsze się tak działo, gdy byłam z nim sama. Zwłaszcza w nocy.

- Byłaś dzieckiem, Melanie.

- Miałam jedenaście lat! Może dwanaście! Powinłam już swoje wiedzieć!

- Dlaczego? Skąd miałaś wiedzieć? Czy ktoś dał ci poradnik *Jak powiedzieć mamie, że gwałci cię ojczym?* Widziałaś kiedyś dwunastolatki na ulicy albo w telewizji?

- No tak...

- I jakie są?

- Większość z nich to ptasie mózdzki. Kompletne głuptasy.

- Innymi słowy: dzieci.

- Dzieci, racja.

- Więc jesteś tam, masz jedenaście czy dwanaście lat. Jesteś dzieckiem, co leży sobie w całkowicie bezpiecznym miejscu z człowiekiem, który twierdzi, że je kocha. Może i kochał cię na swój sposób. Nikogo w pobliżu nie ma. Co ta mała dziewczynka czuła?

- Niedobrze mi jest.

- Chcesz wymiotować?

Sztywno przytaknęła. Była blada i drżała, ściskając brzegi kanapy.

- Musisz wyrzucić z siebie te słowa, Melanie. Te sekrety. Opowiedz o tym i to uczucie minie. Obiecuję.

- Nie, naprawdę jest mi niedobrze.

- Leżysz w ciemności. Masz jedenaście albo dwanaście lat. Blisko ciebie leży dorosły mężczyzna. Wiesz, że przyjdzie do twojego łóżka. Wiesz, co będzie z tobą robił. Co czujesz? Powiedz mi tylko to, Melanie, a mdłości ustąpią. Wiesz, że do ciebie przyjdzie. Co czujesz, zanim wstanie i przyjdzie do ciebie?

- Nie przyszedł! O to właśnie chodzi, rozumie pan? Nie przyszedł do mnie!

- Więc co się wtedy stało, Melanie? Powiedz.
- Nie mogę! Nie mogę! Nie chcę!
- Chcesz. Inaczej nie byłoby cię tu.
- Proszę. Po prostu nie mogę.
- Powiedziałaś, że nie przyszedł do ciebie. Nie przyszedł... a wtedy...?
- Nie mogę.
- Nie przyszedł do ciebie...
- O Boże!
- Nie przyszedł do ciebie i...
- Ja poszłam do niego!

Z jej oczu znów popłynęły łzy. W ciągu tych wszystkich lat pracy jako psychiatra Bell nie widział jeszcze nikogo, kto płakałby tak jak Melanie.

- Chciałam tego! Jestem obrzydliwa! Obrzydliwa! Chciałam, żeby to zrobił! Chciałam, żeby to zrobił! Zrobiłam mu to! Zrobiłam mu to wtedy, wie pan? O Boże, zasługuję na śmierć, jestem szmatą!

Bell patrzył, jak płacze, aż w końcu zabrakło jej łez.

- Jestem obrzydliwa - powiedziała cicho. - Naprawdę nie wiem, czemu ciągle jeszcze chodzę po ziemi. - Wydawała się jakaś mniejsza, jakby poczucie winy coś z niej uszczknęło.

- Obawiam się, że to wszystko, co mieliśmy na dzisiaj.
- O Boże.
- Zostań jeszcze chwilę, jeśli chcesz.

- Nie, nie. Wszystko w porządku, nic mi nie jest.

Poprawiła włosy i wstała, zataczając się lekko. Zebrała swoje rzeczy i pociągając nosem, ruszyła w kierunku drzwi. Otworzyła je i przystanęła.

- Boże, nie wiem, jak przeżyję ten tydzień.
- O, dobrze, że o tym wspomniałaś. Przykro mi, Melanie, miałem powiedzieć ci na początku.
- Że co?
- Nie ma mnie w przyszłym tygodniu.

32

Po lunchu Cardinal zabrał list z odciskiem kciuka na posterunek, żeby porozmawiać z Paulem Arsenaultem. Nie był jeszcze gotów na oficjalny

powrót do pracy. Gdyby wrócił, czekałby na niego stos spraw, którymi musiałby się zająć, a sprawy niezwiązane z pracą odsunąć.

- Mam to dla ciebie sprawdzić w kartotece? - Arsenault pociągnął łyk kawy z kubka, na którym pod kanadyjską flagą wypisane było jego nazwisko.

- Wiesz, że to niezbyt konwencjonalne. Oficjalnie sprawa nie istnieje.

- Masz rację, John. To niezbyt konwencjonalne.

Nazwanie go po imieniu nie wróżyło nic dobrego, oznaczało żal lub nawet coś gorszego. Arsenault słyszał o aresztowaniu Rogera Felta. Odstawił swój patriotyczny kubek, wstał zza biurka i zamknął drzwi, oddzielające jego pokój od reszty posterunku.

- Posłuchaj, John. Przychodzisz do mnie z listem pożegnalnym żony i prosisz o sprawdzenie bazy odcisków palców. Chcę ci pomóc, oczywiście, że chcę. I zrobię to, jeśli naprawę ci na tym zależy. Ale koroner już się tym zajmował. Delorme też. I patolog. Wszyscy się tym zajmowaliśmy. Nie ma podstaw przypuszczać, że ktoś jeszcze był w to zamieszany.

- Więc spełnij moją zachciankę. Zrób to z litości, wszystko jedno. Chcę to po prostu mieć. Chcę wiedzieć, kto oprócz Catherine dotykał tego listu.

- Ale to nie jest fałszywka, John. Sam mówiłeś.

- Kolejny powód, dla którego nie powinno tu być żadnych innych odcisków palców.

- Załóżmy, że to będzie odcisk koronera. Dokąd to nas zaprowadzi?

- Jeśli koroner albo któryś z mundurowych popełnił błąd, trudno. Ludzie popełniają błędy, nie dbam o to.

Arsenault zamyślił się na chwilę, przyglądając się kubkowi.

- Naprawdę myślisz, że ktoś ją zabił?

- Myślę, że ktoś jeszcze czytał ten list. I chcę wiedzieć kto.

- Dobra, dzieciaki. Przerwa!

Eleanor Cathcart zeszła ze sceny, ocierając czoło, choć się nie spociła, i usiadła w pierwszym rzędzie sali w Capital Centre. Jako dzieciak Cardinal przychodził tam wiele razy. Wtedy było to największe kino w mieście.

- Mój Boże, premiera jutro wieczorem, a nasz Torvald ciągle jest w bliższych stosunkach z suflerem niż ze mną. Co pana do mnie sprowadza? Jeszcze raz pozwolę sobie wyrazić żal z powodu Catherine. Będzie jej nam brakować.

- Chciałem tylko z panią porozmawiać - odparł Cardinal. - Była pani ostatnią osobą, która widziała Catherine żywą.

O ile nam wiadomo.

- Tak, w pewnym sensie czuję się odpowiedzialna. Gdybym tylko nie podziwiała tak wspaniałych widoków ze swoich okien! Gdybym tylko jej nie wpuściła! Gdybym tylko tam została!

- To musi być dla pani bardzo trudne.

- No cóż, jakoś z tym żyję, ale istotnie, taka świadomość ma fatalny wpływ na radość życia. Nie wiem, czemu od niedawna życiem się cieszyć nie umiem, że się wyrażę tak poetycko, chociaż oczywiście wiem czemu. Catherine nie żyje, nigdy więcej już tu nie przyjdzie. Naturalnie powiedziałam pańskiej koleżance wszystko, co wiem.

- Mam osobistą sprawę. Próbuję tylko poukładać sobie w głowie parę rzeczy.

- Tak, oczywiście, biedaku. - Dobrotliwie położyła mu dłoń na nadgarstku. - Dobrze wiem, jak się pan czuje.

Cardinal zadał pytania, które Delorme już dawno zadała. Catherine chciała sfotografować widok z apartamentowca, uzgodniły dzień, pani Cathcart wpuściła ją, a sama poszła na próbę teatralną.

- Często widywała pani Catherine? To znaczy w szkole?

- Niezbyt często. Wpadałyśmy na siebie od czasu do czasu. Cześć, cześć i takie tam. Nie byłyśmy zaprzyjaźnione, po prostu uprzejme. Podziwiałam ją z dystansu, tak to chyba można określić. Była w niej piękna rezerwa.

Istotnie, gdy dobrze się czuła.

- Więc nie wie pani zbyt wiele o jej znajomościach w college'u?

- Nie. Mam własną działkę. Sztuka teatralna. Niewiele ją łączy z fotografią.

- Widziała ją pani kiedykolwiek z kimś obcym? Albo z kimś innym, kto by jakoś nie pasował do college'u?

- Nie. Zazwyczaj była sama albo ze studentami.

- Widziała pani, żeby była na kogoś zła? Albo żeby ktoś był zły na nią?

- Nigdy. To znaczy, ludzie martwili się o nią, na pewno pan o tym wie. I czasem, cóż, inni wykładowcy musieli ją zastępować. Ale jestem pewna, że nie uznawali tego za kaprys Catherine. - Pani Cathcart dotknęła czoła wypięgniętymi palcami. - Oczywiście miała to spięcie z Meredith Moore.

- Proszę mi o tym opowiedzieć. - Wersję Catherine słyszał wiele razy.

- Och, jak zwykle chodziło o politykę college'u. Gdy rysuje się możliwość przejęcia kontroli nad departamentem, w ruch idą noże. Doprawdy, rodzinka Borgiów nie sięga pod tym względem temu środowisku do pięć. Gdy Sophie Klein przeniosła się na York University, zarówno Catherine,

jak i Meredith chciały poprowadzić Wydział Sztuki. Zapewne miały takie same kwalifikacje: Catherine otrzymała więcej nagród za pracę twórczą, ale Meredith była lepsza w zarządzaniu. Głupia sprawa, bo Meredith bulwersował sam fakt, że Catherine w ogóle śmiała kandydować. Myślała chyba, że korona powinna automatycznie spocząć na jej namaszczonej głowie, Bóg raczy wiedzieć czemu. I niestety zniżała się do, hm, wytykania problemów psychicznych Catherine, które jakoby miały ją dyskwalifikować. Chodziły nawet plotki, że dziekan otrzymał anonim - kopię historii choroby Catherine ze szpitala, ale według mnie to tylko pogłoski. Wynik tego wszystkiego pan zna.

- Meredith dostała tę pracę.

- Zawsze podziwiałam Catherine za to, jak to zniosła. Nigdy nie powiedziała złego słowa o Meredith, nigdy nie pokazała, że może żywić do niej urazę. Ale Meredith...

- Ale Meredith co?

Pani Cathcart uśmiechnęła się blade.

- Wie pan, ludzie są pamiętliwi. Jestem pewna, że Meredith bardzo chciała widzieć kogoś innego na miejscu Catherine. Ledwie znosiła jej obecność w tym samym pomieszczeniu i ciągle obgadywała ją za plecami. Okropna baba.

Jednak gdy Cardinal poszedł się z nią zobaczyć, Meredith Moore była uosobieniem uprzejmości. Objęła jego rękę drobnymi, suchymi dłońmi i spojrzała mu w oczy.

- Tak mi przykro z powodu Catherine. Taka tragedia.

- Znalazła pani kogoś, kto ją zastąpi?

- W środku semestru? To bardzo trudne. Mam kogoś na oku, ale to nie to samo co pracować z kimś, kto przygotował cały kurs.

- Słyszałem, że nie była pani szczególnie zadowolona z Catherine. Podobno szukała pani kogoś na jej miejsce.

Meredith Moore wyglądała jak suchotnik, i to zawsze. Można było mieć wrażenie, że jej włosy za chwilę się połamią i spadną jej z głowy; twarz przypominała kruchy placek. Cardinal prawie słyszał trzask pęknięć, gdy jej usta ułożyły się w cienką linię.

- Ktokolwiek to powiedział - odparła - nie wiedział, co mówi. Catherine miała świetne wyniki w pracy, jej zdjęcia zyskiwały duże uznanie.

- Więc nie szukała pani nikogo na jej miejsce?

- Nie.

- Jak opisałaby pani swoją współpracę z Catherine? Jak wam się układało?
- Dobrze. Nie byliśmy przyjaciółkami, ale przecież pracowałyśmy na jednej uczelni. To nas łączyło. Wiem, że jest pan policjantem i narzuca pan taki styl rozmowy niezależnie od tego, czy pan chce, czy nie. Niemniej jednak czuję się tak, jakby mnie pan przesłuchiwał.
- Próbuję tylko znaleźć jakiś sens w śmierci mojej żony. Mówiła pani, że studenci wyrażali się o niej w samych superlatywach. Czy wie pani coś o jakimś studencie, który sprawiałby jej szczególne kłopoty? Może to ktoś, kto nie potrafi pogodzić się z niską oceną?
- O nikim takim nie słyszałam. I szczerze w to wątpię. Była dobrą nauczycielką, ale łagodnie oceniała. Niektórzy są zbyt surowi, inni zbyt pobłażliwi. Ja próbuję być gdzieś pośrodku. Catherine była pobłażliwa, myślałam, że zgodziłaby się z taką opinią.
- Tak, Cardinal wiedział o tym. Catherine nie cierpiała stawiać złych stopni komuś, kto zdobył się na chociaż minimalny wysiłek. I była zła, gdy nie miała wyboru.
- Czy kiedykolwiek przyszedł do pani student, który nie zgadzał się z oceną Catherine i prosił o jej zmianę?
- Nie. Niech pan weźmie pod uwagę, że jest za wcześnie, by studenci martwili się o niezaliczenie semestru.
- Catherine także chciała zostać szefową wydziału.
- To prawda. Bardzo o to zabiegała.
- Nietrudno sobie wyobrazić, że zapewne położyło się to cieniem na waszej współpracy. Czy tak?
- Tak mówiła Catherine?
- Pytam panią.
- Z pewnością ten fakt wprowadził pewne napięcie. To chyba zrozumiałe? Nie sądzę, żeby w policji nie było rywalizacji.
- Ale jeszcze nikt z tego powodu nie rzucił się z dachu. Usta pani Moore otworzyły się ze słyszalnym trzaskiem.
- Myśli pan, że zabiła się dlatego, że nie dostała stołka?
- Nie, nic z tych rzeczy.
- To dobrze, bo nie zauważyłam, żeby jato wyraźnie poruszyło. A Catherine była... no cóż, wrażliwą duszą, prawda?
- Tak. Widziała ją pani w dniu śmierci?
- Widziałam ją na korytarzu, przed lunchem. Szła na popołudniowe zajęcia.

- A wieczorem?
- Catherine nie miała zajęć we wtorki wieczorem.
- Nie o to pytam.

Twarz pani Moore zaczerwieńiła się, ale po układzie ust widać było, że z gniewu, a nie zażenowania.

- Odpowiedź brzmi: nie.

- Była pani tu, w szkole?

- Byłam w domu, oglądałam *Antiques Road Show*. Proszę posłuchać, nie wiem, jak to panu powiedzieć. Przykro mi, że to spotkało Catherine, naprawdę mi przykro. Ale moje współczucie nie uprawnia pana do przesłuchiwania mnie jak zbrodniarki.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł i podszedł do drzwi. - Zbrodniarze też tego nie lubią.

33

Dorothy Bell segregowała właśnie makulaturę, gdy w oczy rzucił jej się artykuł. Rozłożyła gazetę na stole w kuchni i zaczęła czytać. Według autora na pogrzeb Perry'ego Dorna przyszło ponad dwustu żałobników. Perry Dorn, absolwent Northern University, miał wielu przyjaciół i cieszył się uznaniem profesorów. Artykuł cytował wypowiedzi kilku osób:

„To był wspaniały facet. Cokolwiek miał, dzielił się z innymi. Nawet gdy był splukany”.

„Zawsze troszczył się o innych”.

„Bardzo zdolny. - To mówił profesor matematyki. - Naprawdę trzeba było się napracować, żeby dotrzymać mu tempa”.

Powodem, dla którego gazeta tak szeroko opisywała pogrzeb, był oczywiście fakt, że Perry Dorn zszokował społeczność, strzelając sobie w głowę w pralni miejskiej. Długotrwała depresja, twierdził autor artykułu.

„Ale ostatnio wydawał się w lepszej formie - opowiadał jeden z jego znajomych. - Nie mógł się doczekać wyjazdu do Montrealu. Był podekscytowany studiami w McGill”.

Jeden z podtytułów brzmiał: *Romantyczny zwrot* - w tym fragmencie były współlokator twierdził, że Perry Dorn miał tendencje do emocjonalnego angażowania się w związki z nieosiągalnymi kobietami.

„Najdziwniejsze jest to, że mógł mieć wiele dziewczyn. Niejedna z chęcią by z nim chodziła, był tak inteligentny i delikatny. Ale on zawsze wybierał sobie takie, które się nim nie interesowały. Wtedy wpadał w depresję, nie jadł ani nie spał całymi dniami. Straszne”.

Shelly Lanois, siostra młodego człowieka, powiedziała tylko tyle, że wszyscy są zbyt wstrząśnięci, by komentować tę sprawę.

Imię i nazwisko Perry'ego Dorna nic nie mówiło Dorothy Bell, ale rozpoznała jego twarz mimo czarnej czapeczki uniwersyteckiej na głowie. Zakrywała jego przedwcześnie przerzedzone włosy, ale nie zasłaniała chudej szyi, dużego jabłka Adama, głęboko osadzonych, pełnych smutku oczu - tego młodego chłopaka Dorothy kilka razy widziała w poczekalni przed gabinetem męża.

Gdy go rozpoznała, jej serce zaczęło łomotać. Młody człowiek u progu kariery uniwersyteckiej wybiera śmierć, i to bardzo widowiskową. Ten młody człowiek miał wszelkie powody, by cieszyć się życiem i z optymizmem patrzeć w przyszłość. I ten młody człowiek był pacjentem jej męża.

Gdy Dorothy spotkała Fredericka po raz pierwszy - czyli już przed ponad trzydziestoma laty - była pod wielkim wrażeniem jego inteligencji. Sama też nie była miernotą, w szkole pielęgniarskiej otrzymywała zawsze najlepsze oceny, ale Bell był w szczególności, niepowtarzalny sposób błyskotliwy. Ciemnowłosy, przystojny. Nie nosił brody ani okularów, za to prezentował całą gamę czarujących tików. Choć miał tylko dwadzieścia kilka lat, powszechnie już go szanowano w londyńskim szpitalu, gdzie oboje pracowali.

Gdy pewnego dnia zaprosił ją na obiad, nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Odwróciła się, spojrzała za siebie, żeby sprawdzić, czy nie stoi za nią przypadkiem paru młodych lekarzy, z którymi stroi sobie z niej żarty. Ale nie było tam nikogo.

Żadne z nich nie miało wtedy pieniędzy. Zabrał ją do lokalu w amerykańskim stylu przy King's Road - stały tam szafy grające, na każdym stoliku butelki keczupu. Wtedy hamburgery były czymś egzotycznym w Londynie. Później, długi czas po ślubie, Bell powiedział jej, że ten bar był o wiele droższy, niż przypuszczał. Zapłacił za rachunek, ale na napiwek już mu nie starczyło.

- Nigdy więcej nie śmiałem się tam pokazać - powtarzał znajomym, gdy po raz kolejny opowiadał tę historię. - Byłem zbyt zażenowany.

Dorothy od razu polubiła jego inteligencję i poczucie humoru. A on lubił jej wrażliwość i sposób, w jaki udało jej się przekształcić ich ponurą połowę bliźniaka w prawdziwy dom. Byli tak szczęśliwi, że nawet nie chcieli im się mieć dzieci. Tak przynajmniej ujmował to Frederick. Dorothy może by i

spróbowała, ale z tego, co mówił, wnioskuje, że nie jest człowiekiem, który polubiłby ojcostwo.

O tych pierwszych latach myślała z nostalgią. Ich rozrywką były wypadki do mało znanych wiosek i od czasu do czasu wycieczki po okolicy.

Stopniowo - nie potrafiła powiedzieć, kiedy dokładnie to się stało - coś zaczęło się psuć z powodu pewnych zawirowań w życiu zawodowym Fredericka. Ogromnie się cieszył, że pracuje w klinice w Kensington, która miała świetną reputację. Jednak zaledwie po półtora roku nagle oświadczył, że przeprowadzają się do Swindon, bo otrzymał posadę w tamtejszym szpitalu. Było to przyjemne miejsce pracy i Dorothy polubiła tamtejsze pielęgniarki, ale oprócz tego był to znaczący spadek prestiżu. Nie mówiła jednak o tym.

To właśnie w Swindon przeciwko Frederickowi prowadzono śledztwo w sprawie przepisywania nadmiernej liczby farmaceutyków. Jak tłumaczył, on tylko przepisał pacjentowi w depresji środek uspokajający, co było normalnym postępowaniem w leczeniu, tymczasem ten prawie od razu połknął całą butelkę tabletek nasennych, także przepisanych przez Bella. Pograżona w żałobie rodzina samobójcy utrzymywała, że Bell zignorował oczywiste wołanie o pomoc, że chłopak powinien był trafić do szpitala. Dochodzenie szpitalne wykazało jedynie zbyt luźne podejście do obserwacji pacjentów i udzielono mu nagany. Mimo to był wściekły.

- Idioci! - krzyczał. - Barany! Co oni mogą wiedzieć? Ludzie w depresji ciągle się zabijają. Ten chłopak nie żyłby już od paru miesięcy, gdyby nie ja. To właśnie robią depresanci: popełniają samobójstwo. I kryją swoje zamiary. Są w tym dobrzy. Jeśli zarzucają mi, że nie udało mi się odczytać jego myśli, to w porządku, przyznaję się.

Przecież praca psychiatry polega dokładnie na czytaniu w myślach, pomyślała wtedy Dorothy. Ale Frederick był jej mężem i trwała przy nim, dzieląc jego oburzenie. Był jej za to tak wdzięczny, że ta pierwsza przeciwność losu jeszcze bardziej umocniła ich związek. Frederick wkrótce znalazł sobie lepszą posadę. Tym razem była to praca w Lancashire, w Centrum Zdrowia Psychicznego w Manchesterze. Ona odpowiadała mu o wiele bardziej. Zaczęli aktywnie uczestniczyć w życiu społeczności, poznali wielu znajomych, wydawali godne pozazdroszczenia przyjęcia. Gdy Dorothy zaczęła myśleć, że już się jakoś ustabilizowali, Centrum poinformowało ich, że będzie kolejne dochodzenie wobec Fredericka. Szpital zainteresował się dużym odsetkiem samobójstw wśród jego pacjentów.

Dochodzenie było jednak pobieżne i niczego nie wykazało. Nie znaleziono żadnych nieprawidłowości w wypisywanych przez niego receptach, wręcz przeciwnie - ordynował mniej leków niż jego koledzy.

- Zalecamy za dużo środków farmakologicznych - tłumaczył komisji. - Moim zdaniem, optymalnym leczeniem depresji jest połączenie psychoterapii z zażywaniem leków. Jedno nie sprawdza się bez drugiego, obie metody mogą też zawodzić w ekstremalnych przypadkach, jednak poleganie tylko na farmakologii jest obciążone wysokim ryzykiem, bo leczenie przebiega z prędkością działania leku, a nie z prędkością zdolności pacjenta do wyleczenia.

Twierdząc tak, wyprzedzał swój czas. Już wtedy był w Anglii jednym z głównych autorytetów w dziedzinie leczenia depresji. Podjął iście herkulesowy wysiłek i specjalizował się tylko w depresjach. Stąd, wywnioskowała komisja, wysoka liczba samobójstw wśród jego pacjentów.

Mimo wszystko Bell czuł się urażony takim obrotem sprawy.

- Co za zniewaga, co za niewdzięczność - powtarzał w kółko. - Potwórna głupota. Trzeba aż dochodzenia, żeby odkryć oczywisty fakt? Pograżeni w smutku ludzie popełniają samobójstwa.

Wkrótce po tym małżonkowie wyemigrowali. Mimo oczyszczenia z zarzutów Dorothy czuła, że jej wiara w umiejętności męża została podkopana. Wiedziała dostatecznie dużo o polityce szpitala, by orientować się, że administracja była zdolna do ukrycia skandalu. Gdy podczas pakowania się znalazła list z Krajowego Urzędu do spraw Opieki Zdrowotnej zawiadamiający, że urząd rozpoczyna jeszcze jedno dochodzenie - tym razem dotyczące całego okresu pracy Fredericka od Swindon do Manchesteru - doznała prawdziwego wstrząsu.

Data listu: zaraz po dochodzeniu w Manchesterze. Frederick nic o nim nie wspomniał.

Nie mogła zdobyć się na rozmowę z nim na ten temat. Nie chciała, żeby wyzywał ją od idiotek i kretynek. Jednak od chwili przybycia do Toronto Dorothy Bell obiecała sobie, że bez niepotrzebnego wścibstwa, ale będzie przyglądać się pacjentom swojego męża. Naturalnie tajemnica lekarska nie pozwalała jej poznać nazwisk, lecz czasem słyszała, jak rozmawiał z chorymi przez telefon. I kilka razy, gdy ktoś zginął, mówił jej: „Mój pacjent, biedaczysko”.

Zauważyła, że zbierał nekrologi. Nigdy nie polubił Toronto i po krótkiej pracy w Centrum Zdrowia Psychicznego przy Queen Street przyjął posadę psychiatry w Ontario Hospital w Algonquin Bay. Wyjaśnił żonie, że ma już dość życia w mieście i że chciałby mieszkać w małym miasteczku. Nie miała powodu mu nie wierzyć.

To było dwa lata temu. Do tej pory Dorothy wiedziała o trzech samobójstwach jego pacjentów: Leonard Keswick, dyrektor zakładu opieki

społecznej, Catherine Cardinal, nauczycielka i fotograf, i teraz Perry Dorn. Wszyscy troje zostali opisani w prasie; pierwszy dlatego, że zarzucano mu przestępstwo, druga, bo znaleziono ją przy nowo wybudowanym apartamentowcu, i trzeci, gdyż zastrzelił się w miejscu publicznym. Dorothy z trudem dopuszczała do siebie myśl, że najprawdopodobniej byli też inni.

Perry Dorn. Dlaczego Frederick nic nie powiedział, że ten młody chłopak był jego pacjentem? Huczało o tym w wiadomościach i lokalnej prasie. Jakiś wyraz szoku albo głębokiego rozczarowania byłby na miejscu, ale on nic o tym nie powiedział, ani słowa.

Dorothy odłożyła gazetę i związała resztę czasopism. Powinna już wyjść po zakupy, zanim w sklepach zacznie się popołudniowy tłok. Przystanąła przed dębowymi drzwiami gabinetu Fredericka. Niewiele było zza nich słyhać, jednak dochodziły do niej głos męża i ciche odpowiedzi pacjenta. Nie przyjmował teraz nikogo, kolejna osoba miała przyjść za pół godziny. Bell oglądał nagranie którejs z sesji. Często to robił.

Zapytała go o to kiedyś.

- Po co to w kółko oglądasz?

- Samodoskonalenie - odpowiedział szybko. - Nigdy nie jest za późno, żeby się doskonalić. Gdy oglądam swoje rozmowy z pacjentami, widzę subtelne sygnały, które przegapiłem, język ciała, którego wcześniej nie dostrzegłem. No i naturalnie to bardzo pomaga lepiej wszystko zapamiętywać.

To zaszło o wiele dalej niż po prostu trening, myślała. Frederick ostatnio w każdej wolnej chwili oglądał nagrania; wtedy gdy inni czytali gazety, oglądali telewizję lub szykowali się do snu, on wracał do swojego gabinetu.

Było w tym coś niezdrowego.

34

Szef policji R.J. Kendall nie był srogim facetem. Cardinal znał przypadki, gdy dawał swoim ludziom drugą, trzecią, nawet czwartą szansę, gdy on na jego miejscu wyrwałby odznaki i broń. Ale Kendall wykazywał też taki brak konsekwencji, że nasuwało się pytanie, czy to jego celowe działanie, czy sposób na trzymanie podwładnych w ryzach. Sprowokowany, potrafił skłąć delikwenta tak głośno, że słyszał go cały posterunek. A tydzień później wychwalał go za świetną robotę.

Kendall siedział właśnie w swoim wielkim skórzanym fotelu. Światło padające z okna za jego plecami tworzyło aureolę z jego przerzedzonych, siwych włosów. Nie zaproponował Cardinalowi, żeby usiadł.

- Nie chodzi o to, że ci nie współczuję - zaczął. - Gdyby moja żona zginęła w podobny sposób, Boże, uchowaj, pewnie też by mnie kusilo, żeby zrobić to samo co ty.

- Szeffie, widziałem ją trzy godziny wcześniej. Wszystko było w porządku. Nie mogła się doczekać pracy nad tym projektem. Tak nie zachowują się ludzie, którzy zamierzają za chwilę się zabić.

- Koroner stwierdził samobójstwo.

- Młody lekarz. Niedoświadczony.

- Sam czytałeś ten list. Zidentyfikowałeś charakter pisma. Chyba nie musimy jeszcze raz tego przerabiać?

- Czula się dobrze, szefie. Nie była w psychicznym dołku.

- Delorme, McLeod, Szelagy, oni wszyscy byli z koronerem. Żadne z nich nie znalazło nic, co by choć trochę sugerowało, że to nie samobójstwo. Patolog też nie. Nie ma czego dochodzić. Nie ma sprawy.

- Ten list został napisany parę miesięcy wcześniej. Mam potwierdzenie.

- A nie powinieneś mieć. - Wokół ust szefa pojawiły się ostrzegawcze plamy czerwieni. - To się nazywa nadużycie środków policyjnych. Sprawa nie istnieje.

- Po to, żeby uwierzyć, że to samobójstwo, musi pan uwierzyć, że napisała ten list trzy miesiące temu. Że potem normalnie żyła i niczego nie dawała po sobie poznać. Pewnej nocy, w środku projektu fotograficznego, zabiera z sobą list i zostawia go przed skokiem z dachu.

- Sprawa nie istnieje! - Kendall poderwał się, twarz mu spurpurowiała. Nie był wysoki, ale wrzaskiem nadrabiał braki w centymetrach. - Nie pozwolę, żebyś przychodził tu i twierdził, że cały zespół się myli, a tylko ty jeden masz rację. I więcej nie będziesz przesłuchiwał szefowej wydziału w college'u, jakby była członkiem mafii! Czy to jasne?

- Szeffie, są solidne podstawy, żeby...

- Nie przychodziłeś nawet do pracy, Cardinal, byłeś na zwolnieniu, a przesłuchiwałeś tę kobietę, jakby była podejrzaną w sprawie o morderstwo. Ale nie ma takiej sprawy! Twoje zachowanie nie byłoby normalne, nawet gdyby to była prostytutka albo dilerką. A Meredith Moore jest szefową Wydziału Sztuki, takich ludzi nie przesłuchuje się bez nakazu, bez uzasadnienia i bez sprawy!

Cardinal chciał coś powiedzieć, ale szef podniósł rękę, ucinając wszelką dyskusję.

- Nie chcę, żebyś wychodził stąd przekonany, że dam ci jakąś drugą szansę. Nic z tego. Chcesz wracać do pracy, nie ma problemu, wracaj. Ale będziesz prowadził tylko te sprawy, które ja i twój bezpośredni zwierzchnik będziemy ci dawać. Reszta to bezprawne wykorzystanie środków policyjnych i nie będę tego tolerował. Wyrażam się jasno?

- Tak.
- To dobrze. Mam nadzieję, że ta kwestia jest już zamknięta.
- Jeszcze tylko jedno pytanie.
- Jakie?
- Co skłoniłoby pana do otwarcia sprawy Catherine?
- Znacznie bogatszy materiał niż masz.

Gdy Cardinal wrócił do swojego biurka, na ekranie migał komunikat o nowym e-mailu.

Do: parsenault, lburke, rcollingwood, ldelorme, imcleol, kszelagy

Od: rjk

Wiem, że wszystkim wam jest przykro z powodu tragedii, jaka dotknęła Johna Cardinala, mnie też nie jest lekko. Jednak przypominam wam, że to było samobójstwo, i w rezultacie policja nie wszczęła dochodzenia w tej sprawie. A więc nie prowadzimy śledztwa. Powtarzam: nie prowadzimy śledztwa. Każdy, kto wykorzysta środki policyjne do prowadzenia spraw, których nie ma, naruszy Ustawę o Policji, co pociągnie za sobą odpowiednie skutki.

RJ Kendall

Szef policji

W oczu rzucał się brak nazwiska Cardinala na liście adresowej; wiadomość przekazał mu Arsenault. Machaniem ręki wywoływał go teraz na korytarz łączący dochodzeniówkę z wydziałem kryminalnym.

- Chciałem z tobą pogadać o włamaniu do Zellersa - powiedział głośno, żeby wszyscy słyszeli.

Cardinal poszedł za nim. Collingwooda nie było, zostali sami w pokoju.

- Sprawdziłem odcisk.
- Ale chyba nie możemy o tym teraz gadać.
- A czemu? Powietrze to też środek policyjny?
- Nie, czas.
- Spokojnie, Kendall już wyszedł. - Wskazał kciukiem parking. - Widziałem, jak odjeżdżał.
- Dzięki za e-mail. Nie chcę, żeby ktoś miał przeze mnie kłopoty.

- Daj spokój, R.J, to ciapa. Nieważne, chciałem ci tylko powiedzieć, że mam wynik negatywny.

- Kompletnie nic?

- Nic, ani w bazie lokalnej, ani krajowej. Totalne zero.

- No trudno, ale próbować warto.

- Mam jeszcze kilka pomysłów, chcesz je poznać?

- Ale tak, żeby R.J, się nie dowiedział.

Cardinal odebrał wiadomości e-mailowe i telefoniczne i usiadł za biurkiem. Z umieszczonego w mosiężnej ramce zdjęcia uśmiechała się Catherine. Właśnie taki jej uśmiech zawrócił mu w głowie, gdy spotkali się po raz pierwszy. Otworzył szufladę i schował do niej zdjęcie.

Zaczął przeglądać wiadomości: zawiadomienia o stawieniu się w sądzie, notatki służbowe, zawiadomienia o zebraniach komisji do spraw zwolnień warunkowych, pisma z zakładu ubezpieczeń i z księgowości oraz różnorodne śmieci, które od razu trafiły do kosza.

Otworzył szufladę, wyjął zdjęcie Catherine i z powrotem ustawił w rogu biurka.

- Tym razem naprawdę tu jesteś?

Delorme rzuciła teczkę na swoje biurko. Wyglądała na zmęczoną i porzytowaną, jakby się dąsała, co było do niej niepodobne.

- Wróciłem - odpowiedział. - Przynajmniej ciałem.

- Powiem ci o sprawie, która oderwie cię od różnych myśli. - Usiadła i przesunęła krzesło w jego stronę.

- Tak?

- Mam miejsce przestępstwa, ale brak świadków, nie wiem, kto jest ofiarą, no i kto sprawcą. - Zaczęła wyjmować z teczki akta. - Miałeś już do czynienia z pornografią dziecięcą?

- Raczej nie. Keswick, pamiętasz go?

- Keswick to pikuś. Przygotuj się na mdłości.

35

Leonard Keswick pochyla się do przodu na kanapie, w rękach gniecie porwaną chusteczkę. Ten otyły mężczyzna wygląda na słabego i zniechęconego, przypomina piłkę, z której uszło powietrze. Jego oczy, wielkie

i wilgotne, są lekko wytrzeszczone - jak oczy psa gończego. Patrzy żałośnie w niewidoczną kamerę.

- Nic wiem, co robić - mówi. - Nic wiem, do kogo mam się zwrócić z tym problemem.

- No cóż, zwrócił się pan do mnie - odpowiada doktor Bell. - Dobry początek, prawda?

- Tak, ale chyba nie na wiele się to zdaje. Minęło parę miesięcy, a nic się nie zmieniło.

Doktor Bell, oglądając nagranie rok później, kiwa potakująco głową.

- Bo nie chcesz, by coś się zmieniło - mówi cicho do siebie. - Tylko że nie umiesz się do tego przyznać.

Zadzwonił telefon i Bell zatrzymał obraz. Ustawił automatyczną sekretarkę, żeby odbierała po pierwszym sygnale, by móc sprawdzić, kto dzwoni. Dzwoniła już dwa razy, druga wiadomość była zdecydowanie bardziej rozpaczliwa niż pierwsza.

- Doktorze? Tu Melanie. O Boże, jest pan pewnie w szpitalu albo ma innego pacjenta. Proszę do mnie jak najszybciej zadzwonić. Naprawdę fatalnie się czuję.

- Oczywiście, że czujesz się fatalnie - odpowiedział. - Zawsze tak się czujesz.

- Boję się, że tym razem naprawdę mogę to zrobić. Nie przestaję o tym myśleć.

- No to w końcu czynimy jakieś postępy. - Bell założył ręce za głowę i spojrzął w sufit.

- Proszę do mnie zadzwonić, gdy odsłucha pan wiadomość. Proszę. Przepraszam. Ja tylko... tylko... proszę.

- Proszę, ja tylko proszę, ja tylko proszę, ja tylko - przedrzeźniał ją Bell. - Daj mi, daj mi, ja, ja, ja.

- Widok ojca doprowadził mnie nad samą krawędź. Wszystko jest czarne, całkiem czarne, ledwo mogę oddychać. Proszę, niech pan do mnie zadzwoni.

Ciche kliknięcie i Melanie się rozłączyła.

Bell wcisnął „Play”.

- Nie mogę pogodzić się z własną bezsilnością - mówi Keswick. - To przyszło tak nagle. To znaczy, jak gówniarz oglądałem pisemka porno. Oglądałem je na studiach, nawet trochę później. Te pisemka są inne, tam są dorośli ludzie. Ale nie szukałem tego, na co się ostatnio gapię!

- Wierzę - mówi Bell. - Są ludzie uzależnieni od eBaya, od zakupów w Internecie, hazardu w Internecie, nie mieli tych problemów, dopóki w ich życie nie wkroczył Internet.

- Tak, bo trzeba się było mocno natrudzić, żeby je robić. Trudno być maniakiem zakupów w Algonquin Bay. No bo co, wykupić cały zapas spodni narciarskich? Tak samo z hazardem. Tu nie ma takich okazji. Największą krzywdę można sobie zrobić, grając na loterii. Ale to, o czym mówię, jest u mnie w domu. Tak jakby wypełnili mi szafki i szuflady stosami zdjęć.

- To tylko zdjęcia?

- Co? - Keswick wygląda na zaskoczonego, jakby doktor odezwał się do niego w jakimś nieznanym narzeczu. - A, tak. Nigdy bym nie dotknął dziecka. Nigdy nie miałem erotycznych myśli z udziałem dzieci. I nie mam, nie myślę o żadnych dzieciakach. Wiem, jaki uraz może spowodować molestowanie seksualne. Nigdy nie zrobiłbym tego dziecku. Nigdy.

- Więc porozmawiajmy, co dokładnie pan robi.

- Patrzę na zdjęcia. To wszystko. Ściągam je z serwerów, gdzie można się nimi wymieniać.

- Wysyła pan zdjęcia?

- Boże, nie.

- Płaci pan za zdjęcia, które ogląda?

- Nie. I nigdy bym nie zapłacił. To by wspomogło ten cały biznes.

- W porządku. Proszę mi powiedzieć, co takiego pan robi, co wydaje się takie straszne. Nie molestował pan dzieci. Nie robił im pan zdjęć. Nie płacił pan nikomu, żeby je zrobił. Nikomu ich pan nie wysyłał.

- Nie, ja tylko je oglądam. Ale to jest chore! Nie powinienem tego robić! Boże, tak mi wstyd. Tak wstyd.

Keswick płacze, łzy ciekną mu po policzkach. Zdejmuje okulary i próbuje położyć je na biurku, ale spadają. Nie sięga po nie, tylko siedzi zgarbiony i szlocha.

- Sam mam dzieci - wydusza w końcu - i to mnie gryzie. Jenny i Rob. Trzy i pięć lat... młodsze niż te na zdjęciach, mimo to chce mi się rzygać. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym się dowiedział, że ktoś je fotografuje. Chyba mógłbym zabić.

- Jak długo to trwa? Rok? Półtora?

- Coś koło tego. To stało się tak nagle. Gdy natknąłem się na tę stronę, jakby włączył się we mnie jakiś mechanizm.

Jakby zaskoczyły jakieś tryby, nagle z mniej więcej normalnego człowieka stałem się demonem seksu. Zboczeńcem. Znów płacze, a doktor Bell ogląda go w milczeniu.

- Próbowałem programu dwunastu kroków, jak pan proponował. Znalazłem stronę online. Lepsze to niż nic, ale to tylko raz w tygodniu i prawie nikt tam się nie loguje. Nie ma tam żadnych grup ludzi uzależnionych od seksu, a nawet jakby były, nie mógłbym im powiedzieć, na co patrzyłem.

- Mnie jednak pan powiedział. Dlaczego im miałby pan nie powiedzieć?

- To co innego. Pan jest lekarzem. Nasze rozmowy objęte są tajemnicą zawodową. Tam mogliby być ludzie, których znam. Chyba umarłbym, gdyby ktoś się o tym dowiedział. Musiałbym się zabić.

- Może więc powinniśmy popracować nad zredukowaniem wstydu, który tak pana dręczy.

- Ale to jest karygodne. To, co robię, jest karygodne.

- Proszę pozwolić mi skończyć. W przypadku wszystkich uzależnień istnieje pewien cykl wstydu. Weźmy heroinę. Osoba uzależniona postanawia skończyć z braniem, lecz się denerwuje, w końcu zupełnie traci panowanie nad sobą. Idzie więc, kupuje działkę i daje sobie w żyłę. Cud. Niepokój ustępuje. To potężna siła, ale jej działanie oczywiście szybko mija. Uzależniony zostaje sam ze swoim wstydem, bo znów zaaplikował sobie narkotyki. Potrzebuje więc czegoś, co uwolni go od poczucia wstydu. Jaka pierwsza myśl przychodzi mu do głowy?

- Kolejna działka.

- Kolejna działka, właśnie. I dlatego programy dwunastu kroków odnoszą sukcesy. Bycie wśród ludzi, którzy akceptują ciebie i twoje słabości, którzy sami je mają, jest potężną bronią w walce ze wstydem. Oczywiście szkoda, jak pan twierdzi, że w mieście nie ma takiej grupy. A może odbędziemy parę spotkań wraz z pańską żoną?

- Nigdy. Proszę nawet o tym nie myśleć. Ona nie wie, że do pana przychodzę.

- Ale mówił pan wiele razy, że stanowicie z żoną kochającą się parę. Czy ta miłość nie przetrwałaby możliwego rozczarowania pańską godną pozałowania słabością?

- Znienawidziłaby mnie. I zostawiła. Zabrałaby dzieci i nigdy bym ich już nie zobaczył.

- Jest pan pewien?

- O, tak. Słyszałem, jak o tym mówiła. Wie pan, kiedy napiszą w gazecie albo powiedzą w telewizji o nauczycielu albo księdzu, zawsze jest pełna obrzydzenia. Powtarza, że powinni kogoś takiego usmażyć w oleju albo wykastrować.

Doktor Bell jest teraz spokojnym głosem rozsądku.

- Ale księża i nauczyciele są ludźmi odpowiedzialnymi za wiele dzieci. To osoby zaufania.

- A ja pracuję w opiece społecznej, otaczają mnie pracownicy socjalni. Myśli pan, że tolerowaliby faceta uzależnionego od dziecięcej pornografii? Od razu by mnie wylali.

- Mówiliśmy o pańskiej żonie, a nie o kolegach z pracy. Tylko ona by o tym wiedziała. Na pewno nie przesadzała w przypadku tych historii? Często mówimy, że powinni kogoś za coś powiesić, ale wcale nie mamy tego na myśli.

- To nie takie pewne. Meg nie kryje swoich emocji. Może przesadzała, jeśli chodzi o formę kary, kastrację i tak dalej, ale nie przesadzała z obrzydzeniem. Słyszałem pogardę w każdym jej słowie. Gdyby kiedykolwiek okazała mnie taką pogardę, nie przeżyłbym tego. Prędzej bym umarł, przysięgam, prędzej bym umarł.

Bell zatrzymał obraz, delektując się przerażonym spojrzeniem pacjenta, jego kompletną bezsilnością. Wyłączył urządzenie. Keswick był barankiem prowadzonym na rzeź. A to trochę zbyt łatwo, żeby sprawić całkowitą satysfakcję. Jednak był w tym wszystkim pewien porządek, niemal grecka godna podziwu nieuchronność.

Znów zadzwonił telefon.

- Cześć, Melanie - powiedział, nie podnosząc słuchawki. - Trochę przygnębiona, co? Podejmujesz ostateczną decyzję?

- Panie doktorze, tu znowu Melanie. Wiem, mówił pan, że pana nie będzie w tym tygodniu, ale myślałam, że sprawdzi pan sekretarkę. Sytuacja staje się krytyczna.

Słyszał, jak głośno pociąga nosem. Podniósł się, wyjął z odtwarzacza płytę i włożył ją do oznaczonego numerem pudełka.

- Proszę, niech pan oddzwoni. Nie mogę jasno myśleć. Może powinienam iść do szpitala. Gdyby mnie pan tam mógł skierować. Mam tabletki. Tuż pod ręką, to chyba najlepsze, co mogę zrobić, ale nie wiem sama.

Doktor Bell wyjął CD z *Siedmioma ostatnimi słowami Chrystusa* Haydna. „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” Udręczonego Chrystusa.

- O Boże. Nie zniosę tego dłużej. Nie wiem, po co jeszcze żyję. Naprawdę nie wiem. - W głośniku rozległ się głośny stukot, jakby nie potrafiła odłożyć słuchawki.

Bell wcisnął play i rozłożył się na kanapie.

- Weź te tabletki - westchnął. - Weź te tabletki, Melanie. I wszystkim nam zrobi się lepiej.

36

Cardinal obudził się rano i nieobecność Catherine pozbawiła go tchu, jakby sypialnia unosila się w próżni, a ktoś otworzył śluzę bezpieczeństwa.

Najpierw poranna rutyna: tosty, kawa oraz gazeta, po czym zainteresował się pracą: sprawa dziecięcej pornografii Delorme i seria włamań Arsenaulta.

W pewnej chwili podniósł wzrok znad gazety i wpatrzył się w pustkę za stołem.

- Nie chcę o tobie myśleć - powiedział głośno. - Nie chcę o tobie myśleć.

Wrócił do czytania, ale nie mógł się skupić. Oczy bolały go po źle przespanej nocy. Im wcześniej wróci na dobre do pracy, tym lepiej. Włożył talerz do zmywarki i wylał fusy po kawie do zlewu. Szybko wykapał się i wyszedł.

Ranki robiły się mroźne. Zbliżała się zima, chociaż na jeziorze nie było jeszcze lodu, może pojawi się na nim za miesiąc lub dwa. Drżał w sportowej kurtce. Niedługo będzie musiał włożyć grube futro. Niebo było jasnoniebieskie; Catherine bardzo by się spodobało, pomyślał. Jej pt cruiser stał samotnie na podjeździe.

- Nie chcę o tobie myśleć - powtórzył i wszedł do swojej camry.

Wyjeżdżał tyłem z podjazdu, gdy jakiś samochód zatrzymał się za nim i zablokował wyjazd. Paul Arsenault opuścił szybę i machnął mu ręką.

- Witam!

Cardinal wiedział, że coś się szykuje. Arsenault nie zajechałby tu po drodze do pracy, gdyby nie miał czegoś super.

- Pomyślałem, że podjadę do ciebie, żebyśmy nie marnowali cennego policyjnego czasu.

- Masz coś ciekawego?

- I tak, i nie. Nie wiem, jak to przyjmiesz.

- Po prostu gadaj.

- W końcu udało mi się coś dostać z bazy danych urzędu imigracyjnego. Nie, nie powiem ci, jak to zrobiłem. Mamy Brytyjczyka, przeprowadził się tu dwa lata temu. - Podał mu wydruk przez okno.

Na karcie były dwa odciski. Zdjęcie na górze było mniej formalne niż zazwyczaj w tego typu dokumentach: kędzierzawe włosy, siwiejąca broda, życzliwy człowiek. Frederick David Bell, doktor nauk medycznych.

Gdy Cardinal przyszedł do pracy, zadzwonił do Bella i umówił się z nim w porze lunchu w szpitalu.

Wyjechał na autostradę numer 11 i skręcił na dobrze znany podjazd do szpitala. Cardinal był tu niezliczoną ilość razy - w ramach pracy, bo często przebywali tu przestępcy, i z powodów osobistych, z powodu Catherine. Zazwyczaj gdy ją przyjmowano, był szary i ponury luty.

Budynek z czerwonej cegły niemal tonął w powodzi liści. Mroźny wiatr wiał nad wzgórzami, topole i brzozy pochylały głowy jak baletnice. Tyle się dla Cardinala wiązało z tym miejscem; teraz poczuł skoncentrowany ból. Przypomniały mu się te wszystkie chwile, kiedy Catherine tu przyjmowano, ponieważ jej urojenia brały górę i wyrzucała z siebie szaleńcze stwierdzenia, jakby mogły mieć jakikolwiek sens albo dlatego, że dopadła ją taka depresja, iż niewiele brakowało, by złapała za żyłkę.

Winda zabrała go na trzecie piętro. Drzwi gabinetu doktora były otwarte. Siedział nieruchomo na krześle i wyglądał na parking u stóp wzgórza. Mógł przypominać psa siedzącego w oknie i czekającego na powrót pana.

Zapukał - głośno, żeby go przestraszyć - i zadowolili go rezultat. Ramiona Bella podskoczyły, odwrócił się w kierunku gościa i wstał.

- Proszę, niech pan wejdzie i usiądzie.

Cardinal postawił teczkę na podłodze i usiadł.

- Miał pan rację co do tych kart - powiedział. - Nie były od mordercy.

- Tak właśnie myślałem.

- Pisał je człowiek, którego wsadziłem parę lat temu za defraudację.

- No tak, to ma sens. Defraudacja to coś podstępnego, niegodziwego. Wszystko się zgadza. Stracił żonę w wyniku pana działań?

- Tak. W tym też miał pan rację.
- Ale raczej nie popełniła samobójstwa.
- Nie. Ale skąd pan to wie?

- Bo, przynajmniej pozornie, cały wstyd w takim przypadku spada na przestępcę, a nie jego rodzinę. Inaczej jest, gdy chodzi o od dawna powtarzające się przestępstwa na tle seksualnym albo o rasizm, o coś, o czym współmałżonek zapewne wiedział lub co przynajmniej podejrzewał. Ma pan coś dla mnie? Po to pan tak nagle przyjechał? Zanim pan tu wszedł, myślałem właśnie, jak bardzo musi to być dla pana bolesne. Te wszystkie wspomnienia o Catherine.

- Dopadają mnie wszędzie.

Cardinal otworzył teczkę i wyjął z niej list Catherine. Tym razem podał Bellowi wersję z laboratorium. List zabezpieczony był folią, biały zapis drobnego pisma upiornie odbijał się od grafitowego tła, na dole strony widniała duża plama odcisku kciuka.

Doktor włożył małe okulary do czytania i popatrzył na list.

- Hm, pokazywał mi pan to już. Widzę, że teraz jakoś to przetworzono.
- Znów ma pan rację. A na dole widać pański kciuk.

Cardinal wypatrywał na twarzy Bella jakiejś reakcji, jednak nie doczekał się żadnej. Naturalnie, psychiatra nauczył się ukrywać własne emocje w sytuacjach, gdy inni tracą panowanie nad sobą.

- Tak, Catherine pokazywała mi taki list parę miesięcy temu. - Bell od-
dał mu go.

- Dziwne, nie wspominał pan o tym, gdy pokazałem go panu w zeszłym tygodniu.

Doktor skrzywił się, zdjął okulary i zaczął masować nasadę nosa. Bez grubych szkieł wydawał się dziwnie bezbronny, jak lemur w świetle dnia.

- No cóż, popełniłem gafę. Bardzo mi przykro, detektywie. Przyznaję, nie chciałem pana informować, że widziałem już ten list. Bo co by pan sobie pomyślał? Że zlekceważyłem stan Catherine... napisała list pożegnalny, a ja beztrąsko go zignorowałem.

- Ależ dlaczego miałbym tak pomyśleć? Przecież to tylko list samobój-
cy, cierpiącego ot sobie na depresję.

- No cóż, jest pan zdenerwowany...

- Nawet pokazała panu ten list, bo miała mimo wszystko nadzieję, że pomoże jej pan zwalczyć te straszne pragnienia. Gadacie sobie, a po godzi-
nie oddaje pan list z powrotem.

- Łatwo jest stawiać to wszystko w złym świetle z perspektywy czasu.
- A w ciągu kolejnych trzech miesięcy, gdy myśli samobójcze stają się coraz bardziej natarczywe i Catherine przychodzi do pana dwa albo trzy razy w miesiącu, pan nie widzi powodu, żeby umieścić ją w szpitalu. Nie widzi pan nawet powodu, żeby zadzwonić do mnie, ze mną o tym porozmawiać. O tak, przecież ja jestem tylko jej mężem, mieszkam z nią od wielu lat, po co miałby mnie pan informować? A więc dla reszty świata z Catherine jest wszystko w porządku. Ale pan wie, że planuje samobójstwo, i nic pan z tą wiedzą nie robi.

- Właśnie takich wniosków z pana strony się obawiałem. Pracuję na polu żalu i rozpacz, z ludźmi w głębokiej depresji. To smutne, często chcą skończyć ze swoim życiem i niektórym się to udaje. To niczyja wina. Rodzinami kierują emocje i to popycha je do wydawania pochopnych sądów. W pana pracy na pewno też tak się dzieje. W gazetach pisali, że rodzina Dorna jest niezwykle oburzona na policję za sposób, w jaki wybrnęła z tej sytuacji.

- Z tą różnicą, że policjant robił wszystko, by powstrzymać tego chłopaka.

- I ja też zrobiłem wszystko, by powstrzymać pańską żonę.

- Pozwalając, by przez trzy miesiące nosiła z sobą list pożegnalny. Żeby pewnej nocy, w trakcie robienia zdjęć, mogła pod wpływem impulsu podjąć ostateczną decyzję i skoczyć.

- Proszę pana, z depresjami mam do czynienia od ponad trzydziestu lat i, proszę mi wierzyć, nic już mnie nie zaskoczy. Jedynym pewnikiem w przypadku tej choroby jest to, że zaskakuje najbliższych.

- Doprawdy? Uważałem to zawsze za koszmarnie przewidywalne.

- Proszę mi wybaczyć, ale myli się pan. Nie widział pan, co się święci, tak samo jak ja. Jeśli chodzi o list, który napisała wcześniej, to świadczy on o rozwadze. Chciała użyć odpowiednich słów, gdy nie była tak bardzo wyczerpana psychicznie, słów, które wyraziłyby jej uczucia mniej szorstko niż nabazgrane szybko parę zdań. Większość listów pożegnalnych, jak zapewne pan wie, nie zawiera troski o tych, którzy zostają.

- Czy przyszło panu do głowy, by do mnie zadzwonić, gdy napisała ten list?

- Nie. Catherine nie była przygnębiona, gdy go przyniosła. Rozmawialiśmy o nim jak o śnie albo fantazji. Jasno mówiła, że nie ma zamiaru zrobić sobie krzywdy.

- W to wierzę. Coś bym zauważył.

- Ciągłe pan sugeruje, że może być jakieś inne wyjaśnienie przyczyny jej śmierci? Najpierw podejrzewał pan, że mogła zostać zamordowana, bo dostał pan te ohydne karty kondolencyjne. Według pana mógł je wysłać tylko ktoś, kto ją zabił. Namierzył pan tę osobę i okazało się, że człowiek nikogo nie zabił. Prawda? Czy może coś przegapiłem?

Koniec gry, pomyślał Cardinal. Pan doktor wie, że nie mam żadnych dowodów. Żadnych.

- Nie była w depresji, gdy zginęła. - Tylko tyle mógł powiedzieć. - Nie dała żadnego sygnału, że chce umrzeć.

- W ciągu ostatnich lat dawała najróżniejsze sygnały. Czytałem historię jej choroby. Catherine była w szpitalu prawie dziesięć razy, jeden raz z powodu manii, ale wszystkie pozostałe przypadki to poważna depresja. Za każdym razem pragnęła śmierci, czuła, że samobójstwo to dla niej jedyne wyjście. Jest dla mnie oczywiste, że zdecydowała się na ten krok w stosunkowo jasnym stanie umysłu, gdy mogła zrobić to pod pewną kontrolą, po przemyśleniach.

- Widziałbym, że to się zbliża - powtórzył Cardinal, wiedząc, jak kiepsko to brzmi. Catherine, coś ty zrobiła? Coś ty mi zrobiła?

- Na pewno w ciągu tylu lat pracy spotkał się pan z przypadkami ludzi, którzy nie zauważali najbardziej oczywistych faktów dotyczących ich najbliższych.

Cardinal pomyślał o burmistrzu i jego puszczalskiej żonie. Czy jestem aż tak ślepy? Każdy zna prawdę prócz mnie?

- Czy nie jest możliwe, że w swojej rozpaczy przeoczą pan coś, co widzą wszyscy dokoła? Dlaczego nie dopuszcza pan do siebie możliwości pomyłki? Stracił pan żonę i pana zdolność rozumowania jest co najmniej przytępiona. Któż nie poddałby się uśmierzającym ból efektom przeczenia faktom? Karty wysyłał pełen żalu do pana były więzień, nie ma powodu, by wierzyć, że ktoś zabił pańską żonę. Znałem Catherine dwa lata i nie wyobrażam sobie, by mogła mieć wrogów. Pan ją znał znacznie dłużej... znalazł pan kogoś, kto mógłby mieć motyw?

- Nie. Ale motywy nie zawsze są osobiste.

- Mówi pan o psychopatach. Nie ma jednak powodu przypuszczać, że była to robota seryjnego mordercy. A już na pewno nie kogoś, kto mógłby mieć dostęp do jej notatek i zostawić list pożegnalny na miejscu zbrodni. Jeśli wierzy pan, że Catherine została zamordowana, to wiedza, że trzy miesiące wcześniej napisała list, nie zapobiegłaby tej zbrodni. Jeśli przyjmie pan, że to samobójstwo, nie będzie czego dochodzić, chyba że chce

mnie pan pozwać za popełnienie błędu w sztuce lekarskiej. Ale jak mówię, i pan też to mówi, Catherine nie dała żadnego sygnału, że zamierza coś takiego zrobić. Żadnego. Dlatego brałem ten list za dobrą monetę. To była odpowiedź na pytanie, które jej postawiłem.

- Jakie pytanie?

- Rozmawialiśmy o powodach, dla których nie zdecydowała się popełnić samobójstwa, mimo tylu lat cierpień psychicznych. Najważniejszym powodem byliście pan i wasza córka. Moje pytanie brzmiało: Co napisałaby pani swojemu mężowi, zanim popełniłaby pani samobójstwo? Co napisałaby pani w liście? Chciałem, żeby Catherine wyraziła swoje uczucia od razu, ale nie zrobiła tego. Chciała to przemyśleć. I wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, przyniosła ten list na następne spotkanie. Jak pan widzi, w czytelny sposób wyraża w nim swoją miłość do pana.

Coś ścisnęło Cardinala za gardło. A potem, ku swemu przerażeniu, zaczął płakać.

- Powinien pan wziąć jeszcze parę dni wolnego - łagodnie zasugerował Bell. - Najwyraźniej nie dał pan sobie czasu, żeby naprawdę się wypłakać. Może powinien pan wyświadczyć sobie tę uprzejmość.

37

Delorme lubiła poranne odprawy. Cała szóstka detektywów z wydziału kryminalnego zbierała się wtedy w sali odpraw z kubkami i ciastkami w rękach i omawiała postępy w prowadzonych przez siebie sprawach. Bywało tak, że gdy dołączali do nich chłopcy z dochodzeniówki, dwaj zajmujący się bezpieczeństwem na ulicach, oficer wywiadu, oficer łącznikowy i koordynator komórek nadzorujących zapobieganie przestępczości, w pokoju bywało nawet szesnaście osób. Dziś jednak przyszło tylko siedem.

Celem tych spotkań było omówienie taktyki działań na dany dzień i przydzielenie zadań poszczególnym osobom. Słuchanie relacji o przebiegu pracy kolegów było zawsze interesujące, czasem zdumiewało, ale zazwyczaj nie obywało się bez sporej dawki humoru. Jeśli w ciągu dnia słyhać było śmiechy, to właśnie wtedy. McLeod rzucał zjadliwe uwagi z prędkością karabinu, Szelagy w poważny sposób opisywał swoje obserwacje, niezły

ubaw. Cardinal także bywał zabawny, chociaż jego dowcip nie był ostry, często żartował sam z siebie.

Dzisiaj jednak obecność Cardinala podziałała na wszystkich przygnębiająco. Gdy czekali na Chouinarda, każdy zajmował się sobą, udając, że przegląda notatki albo dokumenty. McLeod podczytywał w gazecie strony z wydarzeniami sportowymi. Cardinal siedział cicho, przed nim leżała czysta strona zeszytu. Na pewno miał świadomość atmosfery w sali. Delorme zrobiło się go żal.

Chouinard, starszy detektyw, wszedł pospiesznie z ciężkim kubkiem w jednej ręce i cienką teczką w drugiej. Był nudny, ale mogli na nim polegać, rozsądny, poważny, solidny.

- Nie wstawajcie - powiedział. Zawsze to mówił, choć i tak nigdy nikt tego nie robił.

- Widzicie? To dlatego chcę być kiedyś starszym detektywem. - McLeod wyrwał z rąk Chouinarda cienką teczkę i podniósł ją wysoko. - My dzwigamy stukilowe walizy, a on nosi przy sobie menu z kawiarni.

- To naturalny porządek rzeczy - obruszył się Chouinard. - Nie uczyłeś się o boskich prawach królów?

- Musiałem wtedy być na wagarach.

- Dobra. - Chouinard pociągnął spory łyk kawy i delektował się nią przez chwilę. Otworzył teczkę i wyjął zadrukowaną kartkę papieru, zawsze przynosił taką na odpawy. - Sierżant Delorme, zacznijmy od pani. Może opowie nam pani, jak się miewa nasza dziewczynka z łodzi?

- Znalazłam łódź, gdzie przynajmniej raz doszło do napastowania. Poza sezonem jest przechowywana na przystani Four Mile. Przeszukałam ją za zgodą właściciela, pana Ferriera. Ma córkę, blondynkę w wieku trzynastu lat, ale nie miałam okazji z nią porozmawiać. Niewykluczone, że to ofiara, może molestował ją ktoś ze znajomych rodziców.

- Mamy więc miejsce przestępstwa. Nie próbowała pani jakoś zabezpieczyć łodzi?

- To wydarzyło się lata temu, dziewczynka na zdjęciach ma jakieś jedenaście lat, a od tamtej pory łódź była na wodzie, na wietrze, w przechowalni. Nie sądzę, żebyśmy tam cokolwiek znaleźli. Mimo to chciałabym, żeby objęto tę przechowalnię dyskretną obserwacją, na wypadek, gdyby ktoś chciał majstrować przy łodzi.

- To nie będzie trudne. Zaraz się tym zajmujemy.

Delorme otworzyła szarą kopertę z kolejnymi zdjęciami, które przesłało Toronto. Było tam jeszcze jedno na łodzi: dziewczynka, ubrana, uśmiechała

się, w tle rysowało się wzniesienie. Delorme teraz już wiedziała, że to wzgórze nad jeziorem Trout. Widać było fragment wijącej się wśród drzew autostrady 63. Drugie zdjęcie przedstawiało małą jako sporo młodsze dziecko, nago. Chichotała do obiektywu, leżąc na dywanie. Za nią stała niebieska kanapa.

- To pewnie jej dom - powiedziała Delorme. - Ta niebieska kanapa pojawia się na wielu zdjęciach.

- Tam w tle jest autostrada 63? - zapytał Chouinard.

- Tak. Według Toronto to zdjęcie zrobiono jakieś dwa lata temu. Inne też pokazują dziewczynkę w tym wieku, więc szukamy trzynastolatki, blondynki o zielonych oczach.

- Toronto mówi, że to zdjęcie ma dwa lata?

Wszyscy spojrzeli na Cardinala. Delorme poczuła ulgę, wszyscy zresztą ucieszyli się, słysząc jego głos. Mówił o pracy, o czymś codziennym.

- Nie wiem, na czym oni się opierają - odparła Delorme. - Może na tym, że nie ma zdjęć, na których miałyby więcej niż trzynaście lat.

- Nie szukasz trzynastolatki. Ona ma osiemnaście albo coś koło tego - stwierdził Cardinal.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Popatrz na słupy oświetleniowe przy autostradzie. To są stare lampy sodowe. Nie pamiętasz, kiedy wymienili je na nowe, białe?

- Nie pamiętam dokładnie; akurat kupiłam sobie nowy samochód, a to jest model z 1999 roku. W dniu, w którym go kupiłam, zatrzymał mnie jakiś młodziak z drogówki, bo nie dostosowałam prędkości do warunków. Lampy wtedy nie świeciły. Dał mi wykład, jak to powinnam uważać, mam ładny nowy samochód i tak dalej. Miałam ochotę go zabić.

- I co? Wlepił ci mandat? - zapytał McLeod.

- No jasne.

- Widzicie? To właśnie problem z drogówką. Od samego początku źle ich szkolą. Widzą przepisy, ale nie widzą rzeczywistości, nie widzą sytuacji. Dajcie mi dwa tygodnie w ośrodku szkoleniowym, a przewrócę wszystko o sto osiemdziesiąt stopni.

- Raczej do góry nogami - zauważył Chouinard.

- Więc jeśli w 1999 roku miała jedenaście albo dwanaście lat - ciągnął Cardinal - to teraz ma jakieś siedemnaście, osiemnaście.

Delorme zastanawiała się nad tym; musiała upłynąć chwila, zanim przyzwyczaiła się do nowej sytuacji. Nie szukała już trzynastolatki. Szukała osiemnastoletniej dziewczyny.

- Poprosiłam Toronto o więcej zdjęć - powiedziała. - Dzwonili, że dziś powinni przyjść. Zgarnęli ze sto płyt u jakiegoś zboka i nasza mała pojawia się na wielu fotkach. Liczę na to, że tło na nowych zdjęciach trochę nam pomoże.

- W porządku - przerwał jej Chouinard. - Cardinal, zajmie się pan tym z sierżant Delorme. Bardzo bym chciał dorwać tego bydlaka, ale chyba nie musimy angażować do tego całego wydziału. Nie mamy tu raczej do czynienia z szerokim kręgiem pedofilów. Z tego, co wiemy, to jeden facet molestujący jedną dziewczynkę. To wystarczająco ohydne, nie chcę jednak wykorzystywać wszystkich ludzi do jednego zadania. Aha, sierżant Delorme, proszę traktować te zdjęcia z największą ostrożnością. Tylko wyjątkowo ktoś może je obejrzeć, dobrze?

- Oczywiście.

- A co z ludźmi z przystani? Nikt nie pamięta niczego podejrzanego?

- Nie. To stosunkowo spokojne miejsce. Mówiłam im, że prowadzę śledztwo w sprawie napaści, więc nie domyślają się, o co chodzi. Wspomnieli o jednym zdarzeniu, jednak nie na samej przystani. Jakiś facet próbował przyłożyć Frederickowi Bellowi przed restauracją nieopodal.

- Temu psychiatrze? - zapytał Chouinard.

- Tak. To było ponad rok temu. Jakiś zropaczony ojciec. Bell leczył jego syna, który popełnił samobójstwo. - Delorme unikała wzrokiem Cardinala, gdy wypowiadała te słowa, ale czuła na sobie jego spojrzenie.

- Wiem, jak to jest - ze smutkiem odezwał się Burke. - Niektórzy ludzie naprawdę chcą umrzeć - dodał, pogarszając sprawę.

- Zrobiłeś, co mogłeś. Powiedziałam to pani Dorn - pocieszała go Delorme. I modląc się, żeby zmienili temat, zwróciła się do Chouinarda:

- Szefie, znam starszą siostrę Perry'ego Dorna. Chyba powinnam z nią jeszcze raz pogadać.

- Nie wdroyliśmy dochodzenia, a rodzina grozi wniesieniem sprawy. - Chouinard pokręcił głową.

- Mogłabym z nią pogadać nieformalnie. Wystarczająco dobrze się znamy. Tak się składa, że jego lekarzem też był doktor Bell.

- Dobrze. Ale nie na terenie komisariatu ani ze służbowego telefonu. Kto następny?

Delorme musiała wysłuchać listy podejrzanych, którą Arsenault przygotował w sprawie serii włamań. McLeod z kolei miał serię napadów i żaden ze świadków nie chciał zeznawać. Oczywiście palnął mowę o grubej ścianie milczenia.

Cardinal zagadnął Delorme, gdy już wrócili do swoich biur.

- Jak się nazywał ten facet, który zaatakował Bella? - zapytał cicho.
- Burnside. William Burnside. Jego syn miał na imię Jonathan.
- Pamiętam tę sprawę. Wiesz, że Bell był też psychiatrą Catherine?
- Czytałam o tym w raporcie koronera.

Cardinal patrzył na nią tak uważnie, że poczuła się nieswojo. Był przecież zrównoważonym facetem, trochę ponurym, ale spokojnym i łagodnym.

- Jonathan Burnside, Perry Dorn i Catherine. Nie sądzisz, że to sporo samobójstw w dorobku jednego gościa? Jakie jest prawdopodobieństwo trzech samobójstw w tak krótkim czasie?

- Czterech - poprawiła go Delorme. - Sprawdzalam wczoraj wcześniejsze przypadki pornografii dziecięcej w naszym rejonie.

- No jasne. Keswick.

- Leonard Keswick. Zastrzelił się, gdy wyszedł za kaucją. Bardzo zaskakujące, bo zarzuty nie były nazbyt poważne: parę zdjęć na komputerze, głównie nastolatek, i nie robił ich sam, tylko je oglądał.

- Pamiętam. Najwyraźniej wstyd był nie do zniesienia.

- Strata posady też nie pomaga.

- A jak to było, że wpadliśmy na jego ślad? Jeśli nie sprzedawał żadnych zdjęć ani nie wymieniał się nimi, nawet ich nie kupował, to jak się o nim dowiedzieliśmy?

- Anonimowy telefon. Ktoś do nas zadzwonił. Może jeden z tych wolontariuszy komputerowych, tyle się o nich teraz słyszy.

- Tak, może.

38

Tego dnia Cardinal pomagał Delorme przy sprawie pornografii dziecięcej, jednak jego myśli krążyły wokół doktora Bella. Kilka razy Delorme musiała powtórzyć, co mówiła. Mimo to praca przyniosła mu pewną ulgę i po jakimś czasie zatęsknił za domem.

Dla Cardinala jego dom stał się domem latających sztyletów - nie mógł się nigdzie ruszyć, żeby nie sprawić sobie bólu. Tej nocy leżał w łóżku, ale nie mógł zasnąć. Przytasczył do sypialni telewizor i ustawił go na komo-dzie. Pod tym kątem trudno było cokolwiek oglądać. Ogólnie pomysł

telewizora w sypialni nie bardzo mu się podobał, miał jednak nadzieję, że jakiś stary film go uśpi.

Przeskoczył po wszystkich czterdziestu kanałach i dał sobie spokój. Poszedł do kuchni, nalał sobie mleka i stał w szlafroku i kapciach, patrząc na komputer Catherine. Cienki, srebrny laptop leżał obok telefonu. Miała lepszą głowę do komputerów niż on i używała swojego maca do wszystkiego, od płacenia rachunków po załatwianie wyjazdów w biurze podróży i zakup sprzętu fotograficznego.

Był to osobisty komputer i Cardinal nigdy go nie używał. W ogóle nie lubił korzystać w domu z komputera. Gdy chciał w weekend sprawdzić pocztę, logował się do sieci na starym gruchocie w piwnicy.

Teraz jednak usiadł i otworzył laptopa, który zaświecił kojącym turkusem. W takim kolorze był pulpit. Kliknął ikonę przeglądarki; otworzyła się na stronie startowej - miejscu dla fotografów, z codzienną porcją nowych zdjęć. Cardinal nie zwrócił na nie uwagi, tylko rozwinął menu z ulubionymi stronami Catherine. Wszystko było posegregowane w folderach. Kliknął na folder „zdrowie”. Wiedział, że jest jakaś internetowa grupa wsparcia dla ludzi cierpiących na zaburzenia dwubiegunowe, którą jego żona bardzo lubiła.

Znalazł łącze oznaczone „bipolar.org„ i kliknął. Otworzyło się okno z prośbą o nazwę użytkownika i hasło. Miejsce na nazwę wypełniło się samo jako „IceFire”, ale pole z hasłem zostało puste. Wiedział, że Catherine używała hasła Nikon na niektórych kontach pocztowych, ale gdy je wpisał, wyskoczył komunikat o błędzie. Próbował przypomnieć sobie markę jej aparatu cyfrowego. Wpisał „Cannon” i znów pokazał się błąd. Wpisał jeszcze raz, tym razem przez jedno „n” i z małą literą.

Ekran rozbłysnął i Cardinal zobaczył „listę wątków”. Były tam tematy dotyczące leków („Dlaczego pasuje mi/nie pasuje lit”; „Reakcje samobójcze na SSRI”), tematy poświęcone stanowczości („Pożegnaj się: jak powiedzieć »tak« normalności”) i w końcu jeden, który wyglądał obiecująco: „Zarzuty wobec psychiatrów”.

Kliknął łącze i przeleciał stroną w dół, szukając wpisów z loginem Catherine. Znalazł odpowiedź na czyjeś pytanie.

- Przepraszam, skarbie - szepnęła i kliknęła napisaną przez nią wiadomość.

Jeśli po jakichś sześciu spotkaniach nie czujesz się dobrze u swego terapeuty, to poszukałabym innego. Nie powinno się rezygnować zbyt wcześnie, bo potrzeba trochę czasu, aby nawiązać z kimś dobry kontakt. Ale jeśli do tego czasu nie nawiążą

się dobre stosunki, to może się to nie stać nigdy.

Cała Catherine: chłodne podejście, staranny dobór słów, stanowczość wobec tego, co ważne. Napisała to zaledwie trzy dni przed śmiercią.

Cardinal przeczytał jeszcze parę jej wiadomości. Żadna nie dotyczyła doktora Bella. Głównie były to odpowiedzi na pytania, mówiła innym, do kogo się zwrócić po poradę, albo polecała książkę, którą uznała za pomocną. Kliknął na „nową wiadomość” i napisał:

Pilne: Chcę się skontaktować z kimś, kto kiedykolwiek miał kontakt z doktorem Frederickiem Bellem, który obecnie praktykuje w Algonquin Bay w Ontario. Wcześniej pracował w Toronto, a jeszcze wcześniej w Anglii. Z wdzięcznością przyjmę każdą odpowiedź, zarówno pozytywną, jak i negatywną.

Przeczytał wiadomość jeszcze raz, wcisnął „Enter” i wyłączył komputer. Gdy tylko obudził się rano, poszedł do kuchni i się zalogował. Wyskoczyła informacja o trzech odpowiedziach.

IceFire, spotykałam się z doktorem Bellem przez pół roku w Toronto, zanim wyprowadziłam się do Nowej Szkocji. Według mnie był wrażliwy i inteligentny, żałowałam, że kończę terapię u niego. Wychodziłam akurat z ciężkiej manii, więc nasze spotkania dotyczyły tylko leczenia farmakologicznego, żebym mogła jako tako funkcjonować. Trudno mi powiedzieć, jak radzi sobie z kimś, kto ma raczej problemy z depresją. Mam nadzieję, że to coś pomoże.

Następna wiadomość była taka:

Hej, myślałam, że lubisz swojego psychiatrę. Co jest?

Trzecia była z Anglii.

IceFire, jeśli zastanawiasz się, czy pójść do Fredericka Bella z powodu zaburzeń bipolarnych albo depresji, to chcę ci to bardzo odradzić. Facet jest bezsprzecznie inteligentny, szanowany w swojej dziedzinie i może zapobiec dalszym postępom choroby. Ja spotykałam się z nim prawie trzy lata po tym, jak próbowałam popełnić samobójstwo, łykając butelkę środków nasennych (fatalny pomysł!). W ciągu tych trzech lat mój stan nie tylko się nie polepszył, ale wręcz stopniowo się pogarszał. Trudno mi to udowodnić, lecz odniosłam wrażenie, że doktor wcale nie chciał, żebym wyzdrowiała. Pomyśl tylko. On nie chciał, żebym wyzdrowiała. Aha, nie cierpię na paranoję. Zazwyczaj jestem ufna, przez to miałam w życiu parę problemów. Jednak przez cały czas terapii u Bella dręczyły mnie myśli samobójcze, jego zainteresowanie wydawało mi się niezdrowe, naprawdę. Raz

czy dwa wydało mi się nawet, że zachęcał mnie do patrzenia na samobójstwo jako na realny wybór. Oto przykład: próbuję być poetką, a on pewnego dnia zaczyna mówić o Sylvii Plath, w sposób wyważony, ale jakby wspierał tezę, że samobójstwo uczyniło ją sławną. Niby drobiazg, gdybyś jednak była psychiatrą zajmującym się walczącą o uznanie poetką, wspominałabyś o Sylvii Plath?

Takich zabiegów było mnóstwo - może same w sobie nic nie znaczyły, ale w sumie miały na mnie negatywny wpływ. Teraz moją terapię prowadzi psycholog, a leki wypisuje mi psychiatra. Różnica jest jak między nocą a dniem. Mój terapeuta analizuje moje negatywne myślenie, ale robi to tak, że postrzegam je jako śmiertelnie niebezpieczne! W efekcie zmienił się mój sposób myślenia. Nie jestem radosną dziewczynką, ale definitywnie pozbyłam się myśli samobójczych i piszę o wiele więcej niż kiedykolwiek. Inni może mieli dobre doświadczenia w kontaktach z Bellem, choć szczerze w to wątpię.

Przy okazji, co zdecydowało, że zrezygnowałam z Bella? Gdy byłam w naprawdę fatalnym okresie - odrzucono mój wniosek o stypendium, zdechł mi pies i mój mąż miał romans (grrr!) - on zaproponował, żebym napisała list samobójczy. List samobójczy, nieźle, co? Czemu od razu nie dał mi pistoletu do ręki?

Cardinal zamknął komputer i sięgnął po telefon. Numer do doktora Carla Jonasa z Instytutu Clarke'a miał ciągle w spisie często wybieranych numerów, który wisiał na lodówce. Było tam kilka numerów do doktora, łącznie z jego komórką. Dochodziła ósma trzydzieści rano. Cardinal wybrał numer komórki, niespecjalnie wierząc, że go złapie.

- Halo? Tu Jonas! - krzyknął doktor. Zawsze tak odbierał telefon. Czterdzieści lat w Kanadzie, a jego akcent ciągle był tak samo węgierski, jak gulasz.

- Doktorze Jonas, tutaj John Cardinal.

- John Cardinal. Proszę poczekać, właśnie próbuję uniknąć rozjechania przez panienkę parkującą sportowego olbrzyma. Mógłbym wjechać w ten samochód i ciągle miałbym miejsce, żeby zawrócić. Ha! Poddała się. Szuka chyba pasa startowego. Co za giganty, niesamowite. Czym mogę panu służyć? Wszystko w porządku u Catherine?

Kiedy się w końcu przyzwyczai do tego pytania? Nawet świadomość, że ono padnie, nie chroniła go przed bólem.

- Nie. - Tylko tyle zdołał powiedzieć.

- Nie? Co znaczy to nie? Co się dzieje z Catherine?

- Nie żyje, doktorze. Catherine nie żyje.
- Nastąpiła długa chwila ciszy.
- Jest pan tam, doktorze?
- Tak, jestem. Ja tylko... Jeśli dzwoni pan do mnie, to zapewne nie zginęła w wypadku.
- Skoczyła z dachu dziewięciopiętrowego budynku. Zostawiła list.
- Och, tak mi przykro. To bardzo smutna wiadomość. Nie muszę tego chyba panu mówić. Taka dzielna, twórcza kobieta. Bardzo ją lubiłem.
- No cóż, wiele pan dla niej znaczył, mam nadzieję, że zdaje pan sobie z tego sprawę. Zawsze mówiła o panu bardzo ciepło. Ostatnio skierowała kogoś do pana. Naprawdę, zaczerwieniłby się pan, gdyby przeczytał to, co o panu mówiła.
- Serce mi rośnie - powiedział cicho Jonas. - Jeśli pan może, proszę mi powiedzieć, czy Catherine była hospitalizowana.
- Nie. Od ponad roku.
- Ale chodziła do tego Anglika, doktora Bella?
- Tak, i szczerze mówiąc, lubiła go nawet.
- Oczywiście myśli pan teraz, że ją zawiódł. Być może o mnie myśli pan tak samo.
- Ależ skąd. Nie widział się pan z nią od bardzo dawna.
- Czy przed śmiercią była przygnębiona?
- Absolutnie nie. Myślałem nawet, że jest w świetnej formie. Wie pan, była zajęta, pracowała nad nowym projektem.
- Niestety, często tak bywa. Podejmują decyzję i... bum! pogrążają nas w rozpacz. Jednak nigdy nie spodziewałem się tego po Catherine. Zawsze myślałem, że za bardzo kochała życie, by to zrobić. Dlatego mimo wagi jej problemów zawsze na czas trafiała do szpitala. Chciała przeżyć i ponad wszystko nie skrzywdzić pana i waszej córki. Ach, jakież to smutne. Czy mogę coś dla pana zrobić?
- Mam tylko jedno pytanie. Leczył pan Catherine przez wiele lat, liczę więc na jasną, poważną odpowiedź.
- Postaram się. Chociaż nie zawsze da się wszystko opisać w kategoriach czerni i bieli. Cóż to za pytanie?
- Czy kiedykolwiek poprosiłby pan osobę z depresją maniackalną o napisanie listu pożegnalnego? Lub w ogóle osobę w depresji?
- Nigdy. Absolutnie nie.
- Nawet jako część terapii? Może po to, żeby wydobyć na światło dzienne myśli samobójcze pacjenta?

- Nigdy. Pierwszym pytaniem, jakie zadaje się pacjentowi w depresji, jest: Czy kiedykolwiek myślałeś o samobójstwie? I jeśli odpowiedź brzmi: tak, zadawane są kolejne dwa pytania: Jak często? Podjąłeś jakieś konkretne kroki w tym kierunku? Tak się mierzy powagę wyobrażeń samobójczych, jeśli chory podejmował jakieś próby. Nakłaniając do napisania listu, sprawiamy, że to, co do tej pory było tylko fantazją, staje się realne. Pacjent robi konkretny krok naprzód.

- Poproszę o wyjaśnienie. Czy to pana osobisty pogląd, czy praktyka ogólna?

- Nie, nie, to podstawa, podstawa. Każdy, kto miał do czynienia z psychoterapią, powie panu to samo. Pacjent o skłonnościach samobójczych szuka pomocy w walce z takimi myślami. Prośba o napisanie takiego listu to jasny przekaz, że pisanie listów pożegnalnych to w zasadzie zupełnie normalna rzecz. A to nie jest normalne. Listy pożegnalne mają albo towarzyszyć pacjentowi w czasie samobójstwa, albo są wołaniem o pomoc. Po pierwsze, nie chcemy, żeby pacjent popełnił samobójstwo, po drugie, on już woła o pomoc, taki list nie posłużyłby więc żadnemu z tych celów. Weźmy pacjenta chorego na raka, okropny ból, fatalna jakość życia, którego zresztą zostało mu parę tygodni. Jeśli rzeczywiście chce skończyć ze swoim cierpieniem, to wybór taki jest usprawiedliwiony, może nawet pozytywny, więc można przeciwiczyć napisanie takiego listu, żeby chory powiedział, czego chce. Ale jako terapia dla samobójcy? No nie, to jakby zaproponować pedofilowi, żeby narysował swoje fantazje. Albo seryjnemu zabójcy, żeby opisał swoją idealną ofiarę. Przykro mi, że porównuję ludzi w depresji z przestępcami, ale chcę, żeby pan zrozumiał, o czym mówię. Może lepszy przykład: powiedzmy komuś cierpiącemu na anoreksję, żeby przyniósł zdjęcie ulubionej modelki lub aktorki. Tacy ludzie już postrzegają siebie w ekstremalnie negatywnym świetle, mają zniekształcone ciała. Mieilibyśmy im pomagać przez dawanie takich zadań? Nie, nie, to niemożliwe.

- W porządku, sprawa jest jasna. Ale czy możliwe jest, aby inny terapeuta widział w tym sposób na objaśnienie negatywnych uczuć pacjenta?

- Mam szczerą nadzieję, że nie. To byłaby kompletna nieodpowiedzialność. Chce pan powiedzieć, że Bell poprosił Catherine o coś takiego?

- Na jej liście był odcisk jego palca. Przyznaje, że widział wcześniej ten list, ale utrzymuje, że Catherine przyniosła go z własnej inicjatywy.

- To zupełnie co innego. Oczywiście...

- Problem w tym, że nie bardzo mu wierzę. Inna z jego pacjentek powiedziała mi, że poprosił ją o napisanie listu pożegnalnego. Była wtedy

w głębokiej depresji, a on prosił ją o to w ramach terapii. Zrezygnowała z niego właśnie z tego powodu.

- No cóż, jestem tym głęboko wstrząśnięty. Ochrona parkingu patrzy na mnie podejrzliwie, a ja siedzę tu i nie wiem, co o tym myśleć. Według mnie to najgorsza z możliwych metod, jeśli w ogóle to jakaś metoda. Nie do wiary. Zresztą, nawet gdyby nie prosił Catherine o napisanie takiego listu, powinien ją hospitalizować, gdy mu go przyniosła. Nie było takiej propozycji?

- Nic o tym nie wiem.

- Niebywałe. Pytanie brzmi: co dalej? Załóżmy, że poprosił o list. W takim razie to kwestia prawna, a tutaj nie mogę panu pomóc. Zaniedbał obowiązki? Popenił błąd w sztuce? To pytania do prawników i komisji etycznych. Zamierza pan iść w tym kierunku?

- Komisje etyczne? - zapytał Cardinal. - Nie, mam trochę lepszy pomysł.

39

Dorothy Bell była rano u fryzjera, a po południu relaksowała się, przez godzinę grabiąc liście i pakując je w worki. Była już w domu i podlewała kwiaty w doniczkach, gdy usłyszała kroki wychodzącego pacjenta. Otworzyły się drzwi i stanął w nich Frederick.

- Co za miła niespodzianka - powiedział i pocałował ją w czoło. - Myślałem, że poszłaś do miasta.

- Już wróciłam.

- Kurczę, dopiero czwarta, a ja umieram z głodu. Kanapki w szpitalu są takie maleńkie. Można się tam zagłodzić na śmierć i nikt nawet nie zauważy. - Zaczął szperać w szafce.

- Czego szukasz?

- Ciastek, kochanie! Ciastek! Oddam królestwo za ciastko!

- Są w drugiej szafce. Czerwone pudełko.

- Znów je chowasz - zażartował. - Przede mną.

- Ten Dorn - powiedziała. - Ten, który się zastrzelił w pralni. To był twój pacjent, prawda?

- Tak. Biedaczysko.

- To dziwne, że cię to w ogóle nie poruszyło.
- Ależ poruszyło.
- Nawet o tym nie wspomniałeś.
- Po prostu nie chciałem cię martwić.
- A dlaczego miałyby to mnie zmartwić?
- Nie wiem. Teraz wyglądasz na zmartwioną.
- Zastanawiam się, czemu nic nie powiedziałeś. To dość dramatyczny sposób na odebranie sobie życia. We wszystkich gazetach o tym pisali.

- Dziwne, Dorothy, to ja powinienem martwić się o pacjentów, a nie ty. Niektórzy młodzi ludzie chcą się zabić, takie jest życie. Wielu przychodzi do mnie wtedy, gdy jest już za późno, by cokolwiek zmienić, niektórzy nie chcą w ogóle niczego zmieniać. Bardzo, ale to bardzo chcą się zabić. I robią to.

- I ciebie to nie rusza?
- Kochanie, o co ci chodzi?
- Nie mogę tego pojąć. Twój pacjent idzie w miejsce publiczne, strzela sobie w głowę, a ty nie wspominasz o tym nawet słowem.

- Całymi dniami gadam z ludźmi, całymi dniami ich słucham. Czasem nie mam ochoty rozmawiać w domu. Na pewno są lekarze, którzy przynoszą problemy swoich pacjentów do domu i wciągają w nie swoje rodziny. Ja taki nie jestem. I już. - Wstawił mleko z powrotem do lodówki i podniósł szklankę i talerz. - Następny pacjent dopiero o piątej. Idę popracować nad notatkami.

Zamknął za sobą drzwi. Dorothy słuchała cichnących odgłosów jego kroków.

Doktor Bell postawił mleko i ciastka na stoliku do kawy i włożył do odtwarzacza płytę. Musiał szybko wyjść z kuchni, bo miał przemożną chęć uderzyć żonę, zrobić coś, czego nie zrobił - i nie chciał zrobić - w całym swoim życiu. Jej oskarżenia zdenerwowały go. Już wiedział, że samobójstwo Dorna było zbyt widowiskowe, żeby uznać je za optymalne rozwiązanie.

Kiedyś cierpliwość Bella była bezgraniczna, pozwalał, żeby jego trzódka szła swoim tempem. Z czasem stał się jednak porywczy, co wyprowadzało go z równowagi. Miał do czynienia z tyloma pacjentami ogarniętymi obsesją, że wiedział, jak rzadko zachowują stabilność. Niemal zawsze ich stan się pogarszał, aż w końcu tracili kontrolę na swoim życiem i lądowali w szpitalu na lekach otepiających. Pragnął być taki, jak kiedyś, zanim wszystko zaczęło wymykać mu się z rąk.

- Leonard Keswick - powiedział głośno, by oczyścić umysł. - Kolejne przygody.

Keswick go rozweselał. Przewinął płytę do najciekawszego fragmentu. Na ekranie szybko znikaly z pudełka chusteczki, jedna za drugą. Keswick zakrył dłońmi twarz, potem ją odsłonił. Bell wcisnął „play”.

- To najgorszy koszmar - mówi Keswick. Jego głos tłumią łzy i wstyd. - Wie pan, co zrobiła moja żona, gdy się dowiedziała?

- Na pewno mi pan to powie - odparł Bell i ugryzł ciastko. Orzechowe.

Nie przepadał za takimi.

- Napluła na mnie - mówi Keswick. - Dosłownie napluła mi w twarz. Moja własna żona.

Doktor Bell na ekranie jest okazem terapeutycznej cierpliwości i zrozumienia. Ten w pokoju zamachał zirytowany rękami.

- Skąd wiedziała policja? - szlocha Keswick. - Jak na to wpadli?

- Nie powiedzieli? Musieli przecież powiedzieć, skąd wzięli dowody.

- Dowody? Dowody były w moim komputerze! Pełno tam było zdjęć trzynastoletnich dziewczynek!

- I chłopców - dodał Bell z pełnymi ustami. - Nie zapominaj o chłopcach, ty stara cioto.

- Powiedzieli tylko, że otrzymali pewne informacje.

- Co to może znaczyć?

- Nie wiem. Może to ma coś wspólnego z portalem internetowym albo dostawcą Internetu. Nieważne. Stracę pracę i pewnie też rodzinę. Czuję się jak w piekle, doktorze, taka jest prawda. Tak jakbym już umarł i poszedł do piekła. Kompletnie nie wiem, co robić.

Bell dopił mleko i strząsnął z kolan okruchy ciastka.

- Oj, wydaje mi się, że dokładnie wiesz, co robić, Lenny. Chyba dokładnie wiesz.

Zadzwonił telefon i w głośniku rozległ się głos szpitalnej recepcjonistki, Gillian McRae.

- Panie doktorze, tu Gillian. Nie oddzwonił pan do Melanie Greene? Dzwoniła dwa razy po południu. Jest strasznie przygnębiona i wydaje mi się, że powinien pan się z nią natychmiast skontaktować.

- Oczywiście, Gillian - powiedział Bell, nie odbierając telefonu. - Już dzwonię.

Delorme popchnęła akta w kierunku Cardinala. Jej brązowe, poważne oczy niczego nie zdradzały. Cardinal otworzył teczkę.

- Och, nie.
- Robi się coraz gorzej - powiedziała Delorme.

Jeśli Chouinard próbował oderwać myśli Cardinala od jego cierpienia, przydzielając go do pomocy Delorme, to nie mógł wybrać lepszego zadania. Cardinal widział przez lata pracy różne okropności, rzeczy obrzydliwe i okrutne, nigdy jednak nie coś, co zbulwersowałoby go tak jak zdjęcia, na które patrzył.

Pokręcił głową, jakby chciał ochłonać.

- Na niektórych nie ma chyba nawet siedmiu lat.
- Wiem. - Delorme patrzyła zamyślona na własne palce, jakby z takim złem w męskim wydaniu miała do czynienia na co dzień. - I to trwa latami. Przynajmniej do chwili, gdy skończyła trzynaście lat.

Na późniejszych zdjęciach mała już nie płakała. Na większości z nich jej twarz niczego nie wyrażała. Może dziewczynka próbowała myśleć o czymś innym, o matematyce, nazwach rzek, czymkolwiek, by oderwać się od tego, co ten mężczyzna - ojciec czy może opiekun - jej robił. Od tego, co jej odbierał i co już nigdy do niej nie wróci.

- Nie wiem jak dla ciebie - powiedziała Delorme - ale dla mnie jedną z najśłodszych chwil w życiu był pierwszy pocałunek. Donny Leroux. Byliśmy tacy młodzi, małoletnie nastolatki. Ja miałam może z jedenaście, dwanaście lat, on też coś koło tego. Byłam u niego na daczce, jego rodzina mieszkała nad jeziorem Trout przy Water Road, mieli mały domek nad wodą. Chatkę z dwoma łózkami piętrowymi. Pojechałam tam z koleżanką, Michelle Godin, i jeszcze jakimś chłopakiem, ale nie pamiętam, jak się nazywał. Ktoś wyciągnął butelkę i zaczął nią kręcić. Słyszałam wcześniej o grze w butelkę, ale nigdy się w to nie bawiłam. Najśmieszniejsze jest to, że nigdy nie myślałam o całowaniu się. Nie byłam tego ani spragniona, ani ciekawa. Chyba jednak miałam jedenaście lat, bo później na pewno o tym myślałam. No więc Donny w końcu mnie pocałował. Wiesz, tak tylko z zamkniętymi ustami, przez mikrosekundę, ale i tak nigdy tego nie zapomnę. No i dwadzieścia pięć lat później ciągle to pamiętam, ten słodki dreszcz.

Jakby delikatny prąd przechodził moje ciało aż po czubki palców. Jakby mnie ktoś laskotał, ale od środka.

- Może to miłość - rzucił Cardinal.

- O nie. Myślałam o tym także później, nie chciałam jednak mieć z nim nic więcej wspólnego. Jeszcze wtedy nie wiedziałam chyba, co to randka, ale nie przypominam sobie, żebym chciała poznać go lepiej albo spędzać z nim dużo czasu. To tak, jak zobaczyć po raz pierwszy zorzę polarną. Pamiętasz ją, nigdy jej nie zapomnisz, a przecież nie łączysz z tym swojej przyszłości.

- On mógł to odebrać inaczej.

- A wiadomo, czy to był jego pierwszy pocałunek? - Delorme wzruszyła ramionami. - Tak czy inaczej, chodziło mi o to, że nasza tajemnicza mała nigdy nie doświadczy tego uczucia. Ten facet okradł ją z tego wszystkiego. Gdy pocałuje chłopaka w swoim wieku, to będzie coś zupełnie innego.

I to akurat może być najmniejszy problem, pomyślał Cardinal, przeglądając resztę zdjęć.

- Toronto świetnie się spisało. - Wskazała jedno ze zdjęć, na którym, sądząc po prostej symetrii łóżka i dwóch stolików, było widać pokój hotelowy. - Są pewni, że to Motel Zmęczonych Podróżników niedaleko na północ od Toronto.

- Nie znam go.

- Ja też nie, ale najwyraźniej znają go rodzice małych dzieci. To najbliższy WonderWorld w miarę tani motel.

- Nieźle, zabiera ją na ekstrawycieczkę i robi takie rzeczy. I wytropili ich w Algonquin Bay. Jak, przez ten samolot?

- Tak. Rozmawiałam z właścicielem, facet nazywa się Frank Rowley. Nie wygląda na naszego sprawcę. Po pierwsze, jest łysy. Ma żonę i dziecko, i oprócz samolotu fioła na punkcie gitary. Sporo mi powiedział o swoich sąsiadach z przystani, ale nigdy nie widział niczego podejrzanego.

Drzwi pokoju otworzyły się i weszła Mary Flower, w ręku trzymała kolejną grubą kopertę.

- Chciałaś, żebym dała ci znać, jak tylko przyjdzie - powiedziała. - No i jest.

- Jeszcze więcej fotek z Toronto. - Delorme odebrała kopertę. - Ciężko tam nad tym pracują. Bardzo chcą, żebyśmy dorwali tego gościa.

Delorme rozcięła kopertę i wyjęła zdjęcia.

- Tym razem to nie motel. Ani łódź.

- Na wszystkich jest chyba ten sam dom - zauważył Cardinal. - Salon, kuchnia, sypialnia...

- Wiem, ale nic z tego nie pasuje do wnętrza, które widziałam. Gdy tylko się dało, próbowałam zerkać do pokoi, żaden nie wyglądał jak tutaj. W żadnej z kuchni nie było niebieskich płytek.

- A te zasłony? - Cardinal podniósł zdjęcie zrobione w salonie; dziewczynka na kanapie, za nią skraj niebieskiej zasłony z motywem złotego medalionu.

- Nie było ich na wcześniejszych zdjęciach. Jestem niemal pewna, że w żadnym domu nie było takich zasłon. Ale ludzie ciągle zmieniają zasłony.

Cardinal przejrzał resztę zdjęć. To, co pokazywały, przesłoniło jego rozpaczą. Biedna mała. Nie miał wątpliwości, że mężczyzna ze zdjęć był jej ojcem albo ojczymem; jej twarz na nieerotycznych fotografiach wyrażała zbyt wielki zachwyt, zbyt wielkie zaufanie. A potem to zaufanie gwałtownie ci odebrano. Jak nauczysz się ufać od nowa?

- Poukładajmy te zdjęcia według jej wieku - zaproponowała Delorme. - Ty weź te poza domem, a ja resztę.

Cardinal kładł jedno zdjęcie po drugim na stole. Czuł w sercu coraz większy ciężar. Pomijając już nawet pytanie, jak można pożądać małego dziecka, Cardinal nie potrafił pojąć, jak ten facet mógł patrzeć w tę jej słodką buzię i ranić jej duszę. Jak mógł trzymać tę rączkę, poddawać się niewinnym pocałunkom dziecięcych ust, a potem wykorzystywać dziewczynkę? Cardinal nie mógł zrozumieć postępowania kogoś zdolnego do takiej zdrady wobec dziecka.

Mężczyzna był chyba około trzydziestki, miał długie, ciemne, sięgające prawie ramion włosy. Chociaż na zdjęciach widać było różne fragmenty twarzy, żadne nie pokazywało jej całej. Tu brew, tam ucho, kawałek nosa. Trochę za mało, by wysnuć taki wniosek, ale wydawał się dość przystojny, zdolny do normalnego życia erotycznego. Dlaczego więc niszczył dzieciństwo małej dziewczynki, którą się opiekował?

Delorme zebrała wcześniejsze zdjęcia i dodała je do układanki na stole.

- Na żadnym nie wygląda na starszą niż na zdjęciach z łodzi - stwierdziła. - I jeśli zrobiono je pięć lat temu, to może to oznaczać na przykład to, że mała nie chciała już być jego zabawką i kazała mu spadać albo nawet komuś o wszystkim powiedziała.

- Wątpię, nie wiem czemu, może dlatego, że ona wyraźnie kocha tego gościa na normalnych fotkach. Jakoś nie przypuszczam, żeby mogła go spławić. Na pewno nie wtedy.

- A ja myślę, że to możliwe. Co znaczy, że ten gość może już siedzieć w pudle.
- Coś mi przyszło do głowy...
- Co? Jakoś zmarkotniałeś.
- Zastanawiam się, co to może znaczyć, że te zdjęcia mają pięć lat. Gdzieś czytałem, że obecnie przeciętna rodzina przeprowadza się co pięć lat.
- Czyli niemal na pewno żaden z domów, które odwiedziłam, nie był miejscem przestępstwa. - Ruchem dłoni pokazała zdjęcia. - Te domy nie były miejscami przestępstw - poprawiła się. - I to nie wszystko. Rodzina mogła się rozpaść, co jest bardzo prawdopodobne, biorąc pod uwagę problemy, jakie ma ten gość.
- I jakie powoduje. - Cardinal pokręcił głową. - Taki facet może zniszczyć wiele rodzin.
- Stali tak oboje z rękami skrzyżowanymi na piersiach i pochylonymi głowami, jak stratedzy w czasie wojny oglądający zdjęcia zbombardowanych miast i tłących się ruin. Zdjęć było tyle, że pokrywały prawie cały stół w sali odpraw.
- Ludzie biorą ze sobą meble, gdy się przeprowadzają - powiedziała Delorme. - Ciągle mam nadzieję, że rozpoznam krzesło, stół, książki, cokolwiek.
- Facet był ostrożny, nie fotografował żadnych charakterystycznych przedmiotów.
- Tak. Chorobliwie uwielbia zbliżenia.
- A może ta kanapa tutaj? - Cardinal podniósł zdjęcie dziewczynki śpiącej na dwuosobowej kanapie. Była obita czerwonym pluszem i miała ciekawe, drewniane wykończenia.
- Nie, zapamiętałabym taki mebel.
- A to? - Cardinal wziął zdjęcie, na którym widać było nogę i róg nowoczesnego stołu w szwedzkim stylu. - Ten stół jest dosyć charakterystyczny.
- Delorme spojrzała i pokręciła głową.
- U Ferriera był o wiele większy, z ciemnego drewna. Stół u Rowleya taki wiejski, popękany. Prosty chłopak z tego faceta.
- Tu jest kominek. - Cardinal podniósł kolejne zdjęcie.
- Nie widziałam żadnych kominków. - Wzruszyła ramionami. - Zresztą, jak sam mówiłeś, są spore szanse, że po pięciu latach się przeprowadzili i nie mają kominka.
- Ale mogli zabrać narzędzia do kominka. Na przykład ten mosiężny pogrzebacz albo szufelkę.

- Nic takiego nie zauważyłam.

- Szkoda, że nie poszedłem z tobą do tych domów. Co dwie głowy, to nic jedna, i moglibyśmy się rozdzielić, no wiesz, jedno z nas idzie do łazienki, a drugie rzuca okiem na kuchnię.

Delorme nie odpowiedziała. Pochyliła się nad stołem, opierając podbródek na dłoni, i wpatrywała w zdjęcia. Brała jakieś w rękę i odkładała z powrotem. Potem znów po nie sięgała. Cardinal i Delorme nie byli partnerami, policja w Algonquin Bay nie przewidywała tego typu współpracy, funkcjonariusze posterunku byli przydzielani do zadań według potrzeb, jednak pracował z nią wystarczająco długo, żeby wiedzieć, kiedy w jej głowie kiełkuje jakiś pomysł. Wyciszała się wtedy, zwracała się do swojego wnętrza.

Podniosła kolejne zdjęcie i teraz trzymała dwa obok siebie.

- Spójrz - powiedziała.

Cardinal odłożył jedno ze zdjęć na łodzi i podszedł do niej.

- Frank Rowley ma taki dywanik jak tu - zauważyła. - Taki w indiańskim stylu.

- Hm, nie jestem ekspertem od dywaników. Nie wiem, czy to droga rzecz i czy ktoś zabierałby to ze sobą.

- Według mnie takie coś kosztuje. Zauważyłam ten dywanik u niego w domu, miał takie intensywne kolory, czernie i błękity. Wszystko w domu jest z drewna i fajnie wygląda w zestawieniu z takimi kolorami. Ale to chyba nie ten sam.

- Dlaczego? Bo polubiłaś tego faceta?

- Nie, jego dywanik jest połatany. O mało się na nim nie przewróciłam. Ma rozdarcie, jakby szew w poprzek wzoru.

Cardinal przeglądał inne zdjęcia, szukał na nich dywanika: W końcu znalazł jeszcze jedno. Trudno było zwrócić uwagę na róg dywanika, kiedy dokonywał się gwałt na dziecku. Podniósł fotkę.

- Mówiłaś o rozdarciu? Takim jak to?

41

Wendy Merritt włożyła resztę naczyń do zmywarki, wlała do pojemnika detergent i zatrzasnęła drzwiczki. Ustawiła timer na północ. Urządzenie

trochę hałasowało, ale za to pobierało najtańszy prąd. Wendy bardzo zwracała uwagę za zużycie energii, zwłaszcza odkąd zamieszkała z Frankiem.

To była poważna decyzja, i to już w półtora roku po śmierci jej męża. Zmarł na atak serca po udziale w maratonie w Toronto. Była wstrząśnięta, przez dwa miesiące ciągle płakała. Potem został już tylko szok. Gdyby nie Tara, bez wątpienia stoczyłaby się na dno jako alkoholiczka, ale zebrała się w sobie, by zająć się małą. W końcu zaczęła nawet doceniać słodkie chwile bycia samotną matką.

Nie chciała być jednak już zawsze sama. Zaczęła przeglądać oferty matrymonialne, pomagała w kościele, gdzie prawdopodobieństwo spotkania samotnych panów było spore. Z przyjaciółką Pat chodziły czasem do pubu, żeby upolować jakiś miejscowy talent, jak Pat zwykła nazywać facetów kręcących się koło Tawerny Chinook i Pięciu Dzwonów.

Stare powiedzenie okazało się aż nadto prawdziwe: najfajniejsi faceci albo mieli żony, albo byli gejami. Tak zupełnie szczerze, razem z Pat doszły do wniosku, że wolni panowie w tym mieście są żałośni. Wypijały po piwie przy barze, pogadały z kimś, kto się odezwał, i wracały do swoich domów przygnębione taką wyprawą.

Wielu facetów, którzy próbowali z nimi rozmawiać, było kompletnie szurniętych. Nie chodziło o to, że mieli jakieś dziwaczne hobby albo groźnie się zachowywali, chociaż paru okazało się dość nieokrzesanych. Nie, w większości przypadków byli wewnątrznie puści, jak opuszczone domy. Wendy miała wrażenie, że kiedyś, dawno temu, ktoś odpowiedni może i by się znalazł. Teraz jednak często trafiał się tylko ktoś, kto siedział sobie przy barze, kupował jej drinka, a potem bez słowa gapił się na butelki. A gdy czas było wracać do domu, kładł swoją łapę na jej udzie, jakby właśnie się przyjaźnie i serdecznie wygadali. Większość tych gości od dziesięciu lat nie przeczytała książki, oprócz działu sportowego nigdy nie czytali prasy, nie mieli poglądów ani opinii na żaden temat - ot, obojętność, pustka w środku. Nawet gdyby Wendy miała ochotę pójść z kimś takim do łóżka lub chociaż zaprzyjaźnić się - a nie miała jej ani na jedno, ani na drugie - to żadnego nie warto było przedstawiać jej sześciolatniej córce.

Tara poradziła sobie ze śmiercią ojca wyjątkowo dobrze. Z początku Wendy myślała, że lzy nigdy nie przestaną płynąć. Wkrótce jednak mała przywykła do nowego życia i w końcu przestała pytać o ojca. W pewnym sensie to jeszcze bardziej zasmuciło Wendy.

Tak minął rok samotnego macierzyństwa. Miłość do Tary była złotym pomostem nad otchłanią, uczuciem, które trzymało ją przy życiu. I chociaż

nigdy nie pomyślałaby, że to możliwe, pokochała córkę jeszcze bardziej. Czasem martwiła się, czy przypadkiem dziewczynka nie stała się dla niej zbyt ważna, czy nie zastąpiła jej nieżyjącego męża. Między innymi z tego powodu chciała znaleźć jakiegoś mężczyznę i była tak bardzo rozczarowana miejscowymi talentami. Dopóki nie poznała Franka Rowleya.

Wendy lubiła powtarzać, że Frank dosłownie wleciał w jej życie, jak to nieraz zdarza się na filmie: biały rycerz zstępuje z chmur, by ratować ją i Tarę; jednak prawda była o wiele mniej interesująca. Razem z Tarą stały przed nim w kolejce do kasy. On coś powiedział, ona nie zwróciła na to uwagi, pomyślała tylko, że jak na łysego faceta wygląda całkiem, całkiem. (Obecnie myślała, że w ogóle jest super, a najseksowniejsza jest właśnie jego łysa głowa).

Potem już miały wyjeżdżać z parkingu, gdy Tara zawołała:

- Mamusiu, idzie tu ten pan.
- Jaki pan, kochanie?
- Ten ze sklepu. Biegnie do nas.

Wendy odwróciła się i zobaczyła, jak macha ręką i podchodzi, ciężko dysząc. Uśmiech. Uchylenie okna, zapomniana torba z zakupami wraca do jej rąk, podziękowanie. Wszystko trwało niecałą minutę i pewnie nie myślałaby o tym więcej, gdyby nie ich kolejne spotkanie.

I tym razem faktycznie był białym rycerzem.

Wybrała się razem z Tarą nad jezioro. Wypożyczyła na przystani małą, blaszaną łódkę z niewielkim silnikiem. To był cudowny dzień, pływały od jednej wysepki do drugiej w okolicy zatoki Four Mile. Wendy dobiła w końcu do jednej z plaż, czas płynął im na zabawie w Indian, a właściwie bawiły się w chowanego. Wendy nie zauważyła nadciągającej burzy.

Były zaledwie sto metrów od brzegu, gdy silnik odmówił posłuszeństwa. Wendy bezskutecznie próbowała go uruchomić, w końcu nie czuła już ręki. Gdy zobaczyła, że przewód paliwowy jest naderwany, zrozumiała, że popłyną tylko wtedy, gdy zaczną wiosłować.

Wiosła były ciężkie, toporne; raniły jej dłonie. Nie dawała sobie z nimi rady. Powietrze zrobiło się gęste, niebo gwałtownie pociemniało, nad wzgórzami przecięły je pierwsze błyskawice. Wendy naparła całą siłą na wiosła, ale straciła równowagę i przewróciła się na tył łodzi. Oba wiosła wysunęły się z dulek i wpadły do wody. Zaczęły obie wiosłować rękami, ale wysiłki Tary przynosiły raczej odwrotny skutek i Wendy naprawdę zaczęła się martwić. W ciągu zaledwie paru minut wiatr odepchnął je daleko od brzegu, w dali widać było tylko parę domów, a na wodzie oprócz nich ani żywej duszy. Wszyscy wiedzieli, że trzeba uciekać na brzeg.

Zanim coś dostrzegła, najpierw usłyszała niski warkot. Narastał. Spojrzała w górę, ale oprócz szarofioletowych kłębow chmur nie widziała nic. I nagle samolot przeleciał obok nich, po czym zniknął między dwoma wyspami na północy. Wendy miała cichą nadzieję, że pilot je zauważył, zgłosi to na przystani i ktoś po nie przyplynie. Zanim zdołała wydobyć wiosła i zamocować je w dulkach, wielkie krople deszczu uderzyły o dno łodzi.

- O rany - powtarzała w kółko Tara. - Ja się wcale nie boję, mamusiu. Hej, mamusiu, ja się nic a nic nie boję.

- To dobrze, kochanie - mówiła Wendy, chociaż uważała, że bardziej racjonalny w tej chwili byłby strach.

Przemokły, błyskało się coraz bliżej, a ich blaszana łódka była najwyższym punktem na powierzchni jeziora.

Odciski na jej dłoniach zaczęły już pękać, gdy znów usłyszały odgłos silnika, tym razem o wiele cichszy. Były w głównej zatoce, gdy zobaczyły wodujący samolot. Jego pływaki wzbijały w górę kaskady białej piany, która opadała na czarną wodę. Zatrzymał się z rykiem silników niecałe dwadzieścia metrów od nich, wydawało się, że przechyła się na jednym pływaku. Wtedy otworzyły się drzwi i stanął w nich pilot.

- Zaraz rozpęta się burza, będzie niefajnie. Lepiej was podholuję, dobra?

Bez zastanowienia rzucił im linę; Wendy przywiązała ją do dziobu łodzi. Dzieliło ich prawie dwadzieścia metrów, a czuła na sobie wzrok mężczyzny.

- Wie pani co? Chyba się gdzieś spotkaliśmy - powiedział.

- Możliwe, to małe miasto.

- Supermarket. - Strzelił palcami. - Stała pani przede mną w kolejce i zapomniała pani torby z zakupami.

- Pamiętam pana! - zawołała Tara. - Pan przyniósł naszą torbę.

- Zgadza się. Ja też cię pamiętam. Gotowe do holowania?

- Ja tak! - krzyknęła Tara. - Polecimy za panem w powietrzu?

- Nie. Popłyniemy wodą na drugą stronę zatoki.

- Och! - Rozczarowana Tara opadła na blaszaną ławkę. Mokre włosy przyklejały się do jej idealnie okrągłej czaszki.

- Gotowe! - krzyknęła Wendy.

Zamknął drzwi, śmigła się obróciły. Wkrótce łódka podążyła kilwaterem zostawianym przez pływak. Śmigła młóciły powietrze, wiał wiatr, mokre kosmyki włosów uderzały w ich twarze. Było prawie tak ciemno, jak w nocy. Na brzegu włączyły się automatyczne światła.

- Chciałabym, żeby się wzniósł - powiedziała Tara. - Ale by było fajnie.

- Samolot chyba jest na to za słaby, kochanie.

- Mogłybyśmy w łódce przelecieć nad wzgórzami prosto do domu.

Przepłynęli zatokę w mniej niż kwadrans. Wiosłowanie zajęłoby ponad godzinę. Pilot przycumował samolot do swojej boi na przystani i zaczął przyciągać łódkę.

- Da pani radę dopłynąć do doków?! - próbował przekrzyczeć grzmoty.

- Muszę wziąć z samolotu swój skif, inaczej nie będę mógł dostać się na niego następnym razem.

- Chyba tak. Bardzo panu dziękuję!

Przyciągnął je do samolotu i zaczął zwijać linę. Wendy odwiązała ją od dziobu, Mężczyzna wyciągnął do niej rękę.

- Frank Rowley - przedstawił się.

- Wendy Merritt. A to jest Tara.

Tak właśnie Frank Rowley wleciał w ich życie.

Wendy zaczęła szorować garnek, który nie mieścił się w zmywarce. Do kuchni wszedł Frank, na głowie miał perukę. Jego zespół grał dziś w ta-wernie przeboje lat sześćdziesiątych i Frank lubił wkładać na scenę perukę à la John Lennon. Tak wyglądała jego fryzura, zanim w wieku trzydziestu lat stracił prawie wszystkie włosy; pokazywał jej na zdjęciach.

- Jedziesz pograć? - zapytała.

- Za chwilę. Sprzęt jest już w samochodzie. Chcę ci coś pokazać. - Z tylnej kieszeni spodni wyjął dwa bilety. - Bob Thibeault dał mi dwie wej-ściówki do WonderWorld na ten weekend. To znaczy na piątek i na sobotę.

- Kurczę, szkoda - powiedziała. - Nie mogę, mam posiedzenie rady.

Zbliżało się jesienne zebranie grona pedagogicznego. W piątek lekcje były odwołane z powodu konferencji nauczycieli, poświęconych sprawom rozwoju zawodowego.

- Wiem, kochanie, ale chciałem ci coś zaproponować. Tak sobie myślę. ...Jesteśmy razem już osiem miesięcy i wydaje mi się, że między mną a Tarą układa się całkiem dobrze.

- Nawet lepiej niż dobrze. Ma fioła na twoim punkcie.

- Tak sądzisz? - Frank był wyraźnie zadowolony.

- Ciągle pyta, gdzie jesteś, kiedy wrócisz do domu. Chyba nadal nie może uwierzyć, że istniejesz naprawdę. I boi się, że znikniesz, jak jej tata.

- No właśnie to miałem na myśli. Nie mieliśmy z Tarą okazji, żeby się do siebie zbliżyć, tylko ja i ona, no wiesz.

- Przecież latałeś z nią samolotem, byliście na paru wycieczkach. No i pływaliście łodzią.

- To prawda. Ale to trwało tylko parę godzin. Myślałem, że byłoby fajnie spędzić razem parę dni. To by nas bardzo zbliżyło. Prawdziwy tata i córeczka.

Wendy oparła się o blat i skrzyżowała ręce. Trochę niepokoiła ją myśl o puszczeniu Tary na parę dni do innej miejscowości. Jej córka bywała na całodniowych obozach, parę razy spała u koleżanek. Nigdy jednak bez niej nie wyjeżdżała z miasta. A WonderWorld był ponad trzysta kilometrów stąd, prawie pod Toronto. Powiedziała to Frankowi.

- No dobrze, w porządku - odparł rozczarowany. - Jeśli uważasz, że jeszcze nie jest gotowa... Myślałem, że to świetna okazja. Ale nie ma sprawy, oddam je komuś.

- Nie, nie, nie rób tego.

- Skoro mamy je wyrzucić...

Czego ja się obawiam? - wyrzucała sobie. Frank to najbardziej odpowiedzialny facet, jakiego spotkałam.

- Mówię bez sensu - zdecydowała. - Oczywiście, że może jechać. Na pewno będziecie świetnie się bawić. Tylko czy na pewno chcesz spędzić dwa dni w wesołym miasteczku?

- Muszę przyznać, że nie jest to idealny sposób na spędzanie czasu, ale wydaje mi się, że to świetna okazja, żebyśmy się z Tarą naprawdę poznali.

W salonie grał telewizor. Do kuchni weszła Tara, w rękę ścisnęła maskotkę, wypchanego lwa.

- Masz włosy na głowie. - Roześmiała się na widok Franka.

- Jak wyglądam? Jak Ozzy Osbourne?

- Podoba mi się. - Tara pociągnęła go za perukę.

- Ups, uważaj, kochanie. Spadnie mi na oczy i nie będę wiedział, gdzie jechać.

- Mamusiu, mogę dostać komórkę? Taką z Harrym Potterem.

- Nic z tego. Znów oglądałaś jakąś reklamę.

- Ale proszę, mogłabym zadzwonić do Courtenay i Bridget.

- Możesz do nich zadzwonić nawet teraz.

- To nie to samo. Mamusiu, proszę, kup mi.

- Frank ma dla ciebie coś lepszego. Powiesz jej, Frank?

Frank przykucnął, jak zwykle gdy z nią rozmawiał.

- Co powiesz na wyprawę do WonderWorld w ten weekend? Tylko ty i ja.

- WonderWorld? To potrójnie superanckie!

- Zastanów się przez chwilę - wtrąciła się Wendy. - Będzie w porządku, jeśli pojedziesz tylko z Frankiem? Mamusia nie może jechać, bo musi iść do pracy.

- Chcę jechać! Chcę! Kiedy? Jutro?
- W piątek - odpowiedział Frank. - Spędzimy cały piątek i sobotę razem. Będzie fajnie, co? Może nawet włożę dla ciebie swoje włosy.

42

Pacjenci umierają, a Frederick zupełnie nic sobie z tego nie robi. Znow się zaczęło, jak w Manchesterze, pomyślała Dorothy Bell, wspominając ich pobyt w Anglii. Tam też Frederick nie przejął się, gdy troje jego pacjentów popełniło samobójstwo w ciągu zaledwie tygodnia. Nie przejął się, gdy matka młodego samobójcy stanęła przed szpitalem z transparentem, na którym napisała „Dr Bell zamordował mojego syna”. I nie przejął się nawet wtedy, gdy koledzy wytknęli mu duży odsetek samobójstw wśród pacjentów.

Ułożył sobie kilka modelowych odpowiedzi. „Próbujesz pomagać ludziom i właśnie takie podziękowanie dostajesz”, powtarzał, ciężko wzdychając i wzruszając ramionami. „Nikt nie rozumie, na czym polega śmiertelna depresja”, powtarzał. „Większość lekarzy nawet nie chce się nią zajmować”. Kreował się na zawiadackiego chirurga, który odważnie kraje nożem groźne tereny, gdzie inni boją się wejść.

A mimo to w Swindon nie przejął się, gdy młoda dziewczyna pod jego opieką wysadziła w powietrze cały dom, próbując się otruć gazem. Ani wtedy, gdy facet grubo po pięćdziesiątce - niedługo miał zostać dziadkiem - strzelił sobie w głowę na podwórku przed domem własnej córki. Nie przejął się też, gdy pielęgniarki w szpitalu w Manchesterze, gdzie pracowała też Dorothy, zaczęły mówić na niego Doktor Śmierć. Powiedziała mu o tym, ale on tylko wzruszył ramionami.

- Przeciwno głupocie nawet bogowie są bezradni. - I tyle.

Frederick wyglądał na zmartwionego tylko raz, gdy jego koledzy z Manchesteru zażądali przeprowadzenia dochodzenia z ramienia Krajowego Urzędu Zdrowia w sprawie przepisowywania przez niego siedmiokrotnie większej dawki środków nasennych niż inni lekarze prowadzący podobną liczbę pacjentów.

- Nie ma psychiatrów z podobną liczbą prowadzonych przypadków - wściekał się, nawet gdy pakowali się już do Kanady. - Depresja powoduje bezsenność. Co mam niby robić, pozwolić, by dostawali szalu przez bezsenność?

To było mniej więcej wtedy, gdy toczył się proces doktora Harolda Shipmana, którego oskarżono o zamordowanie dwustu pięćdziesięciu pacjentów przez podanie im dużych dawek heroiny. Shipman był znany jako dobry, życzliwy lekarz, który odwiedzał pacjentów w domu. No i wielu pacjentów zmarło w trakcie jego odwiedzin lub wkrótce potem. Pulchna żona Shipmana stała twardo przy nim, każdego dnia była na procesie, nigdy nie powiedziała mediom ani słowa.

A teraz Frederick i ten chłopak, co to zabił się dwa lata temu, i pan Kewick, i żona policjanta, i biedny Dorn, który zastrzelił się w pralni. Jak jej mąż mógł być w tej sytuacji tak niewzruszony? Oczywiście, nie był Haroldem Shipmanem, nie zabijał ludzi, ale musiał robić coś nie tak, skoro tylu jego pacjentów popełniało samobójstwo.

Pamiętała, jak powtarzała sobie po skazaniu Shipmana, że w przeciwieństwie do jego żony ona chciałaby wiedzieć, dlaczego tak się dzieje, zrobiłaby coś.

Teraz właśnie coś zrobię, powiedziała do siebie, wślizgując się do gabinetu Bella. Nie była pewna, co dokładnie robi, ale nie mogła - i nie chciała - siedzieć beczynnie, gdy za sprawą jej męża ludzie umierali. Nie miała zamiaru być panią Shipman.

Otworzyła szafkę, w której Frederick trzymał nagrania z sesji terapeutycznych. Oglądanie ich stało się jego obsesją. Wiele lat temu, gdy jeszcze korzystał z taśm wideo, obawiała się, że jej mąż ogląda filmy pornograficzne, ale po kilkukrotnym podsłuchiowaniu pod drzwiami jej obawy okazały się płonne. Nie usłyszała żadnych jęków ani krzyków udawanej rozkoszy. Przez ciężkie drzwi przenikały tylko szmery wyznań, głos otuchy, szloch.

Płyty zostały oznaczone numerami akt, a nie nazwiskami; łatwo można było przyporządkować je do konkretnych akt w szafkach.

Frederick długo jeszcze będzie w szpitalu. Wyjęła pierwszą płytę z pudełka i włożyła ją do odtwarzacza. Podeszła do kanapy, na której tak wielu pacjentów jej męża szlochało i zwierzało się, usiadła i zaczęła oglądać.

43

Chociaż Cardinal nie prowadził teraz zbyt wielu spraw, musiał zwracać uwagę na drobne przestępstwa, jak to w niewielkich miasteczkach. Włamania, kradzieże i napady - trzeba przeprowadzać śledztwa i wypełniać setki papierów procesowych dla sądu.

Rano pomógł dotrzeć Lise do byłej żony Franka Rowleya, ale teraz De-lorme go nie potrzebowała, więc po cichu sprawdzał przeszłość doktora Bella. W Internecie znalazł streszczenia jego skryptów, nazwy komisji, w których zasiadał, jego stopnie naukowe i wszystkie dawne i obecne przyna-leżności. Skupił się na pierwszym miejscu pracy Bella, klinice w Kensing-ton. Niestety, obydwaj lekarze, którzy pracowali wtedy z Bellem, byli zbyt zajęci, żeby rozmawiać o byłym koledze.

Więcej szczęścia miał u doktor Irv Kantor ze szpitala w Swindon. Gdy mówiła o dawnym koledze, w jej głosie pojawiły się smutne tony.

- Uważałam Fredericka za dobrego psychiatrę. Był pracowity, bystry, zaangażowany, troskliwy. Nikt tak jak on nie rozumiał depresji. Nikt.

- Jednak ma pani pewne wątpliwości - zauważył Cardinal.

- No cóż, pojawiły się pewne problemy.

- Jakiego rodzaju?

- Frederick praktykował tutaj, ale otrzymał naganę za przepisywanie leków w nadmiernych ilościach. To oznaczało, że nie mógł liczyć na stałą pracę u nas.

- A co przepisywał?

- Tabletki nasenne. Wydaje mi się, że komisja dyscyplinarna uznała, że sam musi być od nich uzależniony, tak jednak nie było. Dawał je po prostu ogromnej liczbie pacjentów. Kilku z nich popełniło samobójstwo, połykając te pigułki.

- Oskarżono go o błąd w sztuce lekarskiej?

- Rodzina jednego z pacjentów próbowała wnieść oskarżenie, ale nie potrafiła znaleźć psychiatry, który by potwierdził, że Frederick popełnił zasadniczy błąd, przepisując tabletki komuś, kto nie mógł spać, nawet jeśli ten ktoś cierpiał na depresję. Wszyscy mogliśmy stwierdzić, że powinien przepisywać mniej. To mogła być zła ocena sytuacji, ale nie błąd w sztuce.

- Dziwię się więc, że mi pani o tym mówi.

- Gdyby chodziło tylko o to, tobym nie mówiła. Ale żyjemy w świecie, w którym żyją tacy jak Shipman; na pewno słyszał pan o lekarzu, który zabił kilkuset pacjentów?

- Tak, czytałem o tym. O ile pamiętam, były podejrzenia co do niego, ale szpitale nie informowały się nawzajem, zgadza się?

- Tak. Wszyscy milczeli. Ale jeszcze coś na temat Fredericka. Wkrótce po raporcie komisji wyjechał ze Swindon. Lubiliśmy go, mimo to wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy wyjechał. Zatrudnił się w Centrum Zdrowia

Psychicznego w Manchesterze; to największy szpital psychiatryczny na północy. Parę lat później wystąpiła u nich niezwykła fala samobójstw, coś około czterech razy tyle niż w podobnych szpitalach. W gazetach pojawiły się artykuły i żądania przeprowadzenia śledztwa przez Krajowy Urząd Zdrowia, jednak z pewnych względów do niego nie doszło. Frederick wyprowadził się i sprawa chyba ucichła.

- Dokąd się wyprowadził?

- Nie wiem. Potem nigdy więcej go nie spotkałam.

Cardinal telefonował do szpitala w Manchesterze. Dział kadr podał mu tylko lata zatrudnienia Bella, szef Komisji do spraw Praktyki Lekarskiej i Standardów odmówił jakiegokolwiek rozmowy bez brytyjskiego nakazu, a ordynator psychiatrii nie oddzwonił.

Cardinal wiedział, że stosunki między tymi, którzy diagnozują pacjentów, a tymi, którzy się nimi opiekują, bywają czasem napięte, żeby nie powiedzieć otwarcie: wrogie. Dlatego właśnie zadzwonił później do przełożonej pielęgniarek.

Policji w Ontario nie wolno zbierać informacji podstępem i fakt, że Cardinal, który zazwyczaj sztywno trzymał się procedur, wahał się tylko przez sekundę, dowodził ogromnego napięcia, w jakim się znajdował.

Przełożoną pielęgniarek w szpitalu w Manchesterze była Claire Whitestone. Miała męski głos, a jego ton wskazywał na to, że jest bardzo zajęta, więc brak jej czasu na gadanie z jakimś George'em Beckerem, pielęgniarzem ze szpitala psychiatrycznego w Algonquin Bay.

- Algonquin Bay - powtórzyła. - Tam chyba można wpaść na igloo albo na białego niedźwiedzia.

- Na niedźwiedzia albo Indianina - poprawił ją Cardinal. - Nie ma tu igloo.

- W czym mogę pomóc?

- Mamy tu poważny problem i potrzebuję pomocy kogoś takiego, jak pani. Kilku informacji. A wasza administracja i lekarze... Walenie głową w mur.

- Nie licz na moje współczucie, kolego. Codziennie walę głową w ten mur. To z mora mojego istnienia. Co się stało?

- Potrzebuję informacji na temat psychiatry, który u was pracował. Skonfliktował się z poprzednim pracodawcą z powodu przepisywania zbyt dużej liczby leków.

- Od razu wiadomo, o kim mowa. Jeśli szuka pan błota do obrzucenia Fredericka Bella, to nie u mnie. Mimo tego zamieszania z Shipmanem, ciągle obowiązują pewne przepisy dotyczące ujawniania rejestrów dyscyplinarnych. Można to zrobić, ale nie od ręki, i nie u mnie. Musi się pan

zwrócić do...

- Do Krajowego Urzędu Zdrowia. Tyle to ja wiem.
- Nie powiedzą nic przez telefon, ja też nie. U was też chyba istnieje prawo zakazujące rzucania oszczerstw i zniesławiania?
- Oczywiście.
- Więc zrozumie pan, dlaczego nie mogę powiedzieć nic złego o tym wspaniałym, cudownym człowieku, natchnionym lekarzu, drogowskazie dla nas wszystkich.

Cardinal miał nieodparte przecucie, że chciała, by było dokładnie na odwrót. Już wcześniej przygotował sobie odpowiedź.

- Będziemy zwracać się o przesłanie nam wszelkich materiałów archiwalnych - powiedział. - Ale, jak pani mówi, to wymaga czasu. A tu umierają ludzie. Więc ujmę to zwięźle, a pani może uda się oszczędzić nam trudu i kogoś ocalić.

- Tylko szybko, panie Becker. Mało tu nas, miałam ciężki dzień, a przede mną kolejna zmiana.

- Powiem wprost. Mamy podejrzenie wysoki współczynnik samobójstw. Wszyscy samobójcy byli leczeni przez tego samego psychiatrę.

- Otrzymujecie skargi od pacjentów? Albo ich rodzin?

- Jeden z członków rodziny przyłożył doktorowi, można to uznać za skargę. Inna była pacjentka twierdzi, że namawiał ją do napisania listu pożegnalnego.

Przez satelitę do uszu Cardinala dobiegło parsknięcie i jego delikatne echo.

- Zapytam tak: Gdybyśmy z waszego urzędu otrzymali dokładny raport na temat tego lekarza, czy znalazłyby się tam podobne przypadki? Proszę zauważyć, że nie wymieniam nazwiska lekarza.

- Zauważyłam i doceniam to, panie Becker. Gdyby nasz urząd zechciał ruszyć dupę i przeprowadzić szczegółowe śledztwo, bez wątpienia dotarłby do podobnych przypadków.

- Czy było jakieś podejrzenie popełnienia przestępstwa?

- Innego niż niedopatrzenie? Oficjalnie nie, ale wie pan, według mnie, gdy ktoś skacze z dachu budynku...

- Ktoś skoczył?

- Nie jestem biegłym medycyny sądowej, jednak ten przypadek zawsze wydawał mi się podejrzany. Proszę pamiętać, mówię tu tylko o sobie. Był list pożegnalny i tak dalej. Ale pan mówi, że wasz doktor prosił o te listy.

- W co najmniej dwóch przypadkach.

- Nie wydaje mi się, żeby to była najlepsza terapia. A panu?

- Mnie się wydaje, że warto przeprowadzić dalsze śledztwo.

- Szczerze, panie Becker, nie mówi pan jak pielęgniarz. Kim pan właściwie jest?

- Mężem. - Słowo „wdowiec” nie przeszło mu przez gardło. Nie przemknęło mu nawet przez myśl, aż do chwili, gdy wyznał, że jest mężem. - Moja żona pewnego dnia wyszła z domu zrobić zdjęcia. Wygląda na to, że skoczyła z dachu, ale zostawiła list.

Sekunda ciszy.

- Przykro mi to słyszeć, panie Becker. Zaraz się rozłączam. Zadał pan proste pytania, więc mogę prosto odpowiedzieć. Czy dochodzenie wykazałoby podobieństwa między samobójstwami tutaj i w Algonquin Bay?

Odpowiedzią na pana czysto hipotetyczne pytanie jest całkowicie niehipotetyczne „tak”.

Gdy wrócił na posterunek, Mary Flower dała mu grubą kopertę z jego nazwiskiem.

- Mikołaj wcześniej do ciebie przyjechał w tym roku - powiedziała i się zaczerwieniła. - Przepraszam. Głupio gadam - wymamrotała i odeszła.

Na kopercie nie było adresu zwrotnego. Cardinal położył ją na biurku, otworzył i wyjął zawartość. Sześć błyszczących płyt DVD.

44

Płyty były w zwykłych, białych pudełkach - żadnych etykiet oprócz białej nalepki z tyłu pudełka z numerem wpisanym niebieskim długopisem. Cyfrę 7 zapisano z poprzeczną kreską. Cardinal włożył płyty z powrotem do koperty i poszedł do sali odpraw.

Na stoliku na kółkach stał tam duży telewizor, pod nim magnetowid i odtwarzacz DVD. Sprzęt służył do przeglądania przesłuchań podejrzanych, prac na miejscu zbrodni i tym podobnych. Cardinal wyjął płytę z koperty i wsunął ją do urządzenia.

Na ekranie: gabinet doktora Bella - książki, dywaniki, dębowe meble, wygodne krzesła zapraszające, by na nich usiąść, odprężyć się, wyrazić, co leży na sercu. Wszystko jest tu miękkie i przyjemne. Młody człowiek o przeredzonych, jasnych włosach siedzi na środku kanapy z nogą założoną na nogę; jedną rękę położył na kostce. Dla patrzącego na to z zewnątrz, jest to poza dobrego samopoczucia i swobody, jednak podrygująca stopa zdradza zdenerwowanie, a gwałtowne ruchy głowy świadczą o tym, że chłopak nie czuje się dobrze w tym gabinecie, w świecie, może nawet w swoim ciele.

To Perry Dorn, ten, co zastrzelił się w pralni. Cardinal rozpoznał go ze zdjęć w gazetach i w telewizji. Po drugiej stronie siedzi doktor Bell, na kolanie trzyma otwarty notatnik.

Z ust młodego człowieka wylewa się cierpienie: tak bardzo kochał matematykę, a jednak odrzucił ofertę uniwersytetu McGill, żeby zostać z kobietą, na której punkcie ma obsesję, a ona go rzuciła. Rozpacz wyziera z każdego załamania się jego głosu, ze zrezygnowania, które widać po jego opuszczonych ramionach. Nienawiść do samego siebie płonie żywym ogniem w jego słowach, nawet w słowach wymuszonej radości. Ale dobry pan doktor nie proponuje, żeby chłopak poszedł do szpitala. Zamiast tego pyta o szczegóły, jak ukochana Margaret zniszczyła mu życie.

A potem rozmawiają, że nie może być pewien, czy Margaret w ogóle zauważy jego samobójstwo, bo jest tak zajęta swoją nową miłością.

- Pomyślałem o pralni - mówi Bell. - Pomyślałem, że była bardzo symboliczna, gdy zaczęliście chodzić ze sobą. Sam powiedziałeś, że doznałeś oczyszczenia na nową drogę. Zapamiętałem to jako dobrą uwagę. Oboje wyszliście oczyszczeni z przeszłości. Tak to chyba ująłeś. I zastanawiałem się...

- Pralnia - mówi Perry i rzuca na stół chusteczkę. - Tak, na pewno zauważy pralnię.

Cardinal włożył drugą płytę. Leonard Keswick, pracownik zakładu opieki, zabił się, gdy w jego komputerze znaleziono pornografię dziecięcą. Ponieważ był dyrektorem tej placówki, spotkał kilka razy Cardinala przy różnych okazjach, często też pojawiał się w telewizji.

John szybko przewinął wstępną.

- Wie pan, co zrobiła moja żona, gdy się dowiedziała? - pyta Keswick. - Napłuła na mnie. Dosłownie napłuła mi w twarz. Moja własna żona.

Wybuch płaczem. Bell cierpliwie czeka na swoim fotelu, aż w końcu zawodzenie przechodzi w szloch, a szloch w chlupanie.

- Skąd wiedziała policja? - szlocha Keswick, jego głos tłumi chusteczka. - Jak na to wpadli?

- Nie powiedzieli? - pyta z troską Bell. - Musieli przecież powiedzieć, skąd wzięli dowody.

- Dowody? Dowody były w moim komputerze! Pełno tam było zdjęć trzynastoletnich dziewczynek! Nie wiem, skąd się dowiedzieli. Powiedzieli tylko, że otrzymali pewne informacje.

- Co to może znaczyć? - Bell poprawia się w fotelu, porusza ramionami i przekrzywia głowę to w jedną, to w drugą

stronę; jego tiki mocno rzucają się teraz w oczy.

- Nie wiem. Może to ma coś wspólnego z portalem internetowym albo dostawcą Internetu. Nieważne. Stracę pracę i pewnie też rodzinę. Czuję się jak w piekle, doktorze, taka jest prawda. Tak jakbym już umarł i poszedł do piekła. Kompletnie nie wiem, co robić.

Keswick zawsze wyglądał na pewnego siebie faceta, a teraz rozklejał się na kanapie u psychiatry.

Cardinal zaczynał rozumieć, w jaki sposób pacjenci Bella dawali się nabrać na jego powierzchowne ciepło. Był niby taki otwarty, pełen zrozumienia i szacunku. Cardinal też się rozkleił, spotykając się z taką postawą, gdy po raz pierwszy był u Bella; prosił go nawet o radę. Ci wszyscy pacjenci - Catherine również - przychodzili do niego po pomoc, po to, żeby wyciągnął ich z otchłani rozpacz. Któż mógł przypuszczać, że ten właśnie człowiek spycha ich z powrotem w dół? Cardinal przypomniał sobie klasyczną definicję uwodzenia: ciepły sposób bycia i niskie pobudki.

Data w rogu nagrania wskazywała, że doktor i pacjent rozmawiali tak jakiś rok temu, w tym samym miesiącu, w którym Keswick popełnił samobójstwo.

Cardinal przewinął kawałek do tyłu i wcisnął play.

- Powiedzieli tylko, że otrzymali pewne informacje - żałośnie wyznaje Keswick.

- Co to może znaczyć? - pyta Bell.

- Jakby pan nie wiedział, doktorze. - Cardinal zatrzymał odtwarzanie. - Jakby pan nie wiedział.

Wyjął z koperty kolejną płytę. Na wierzchu była żółta karteczka, na której starannie napisano: „Bardzo mi przykro z powodu pańskiej straty”.

Chwilę potem na ekranie pojawiła się Catherine, Cardinal wstrzymał oddech. Bezwiednie wyciągnął do niej rękę.

Catherine siedzi na środku kanapy, zgarbiona, z rękami wciśniętymi między kolana. Zawsze tak siadała, jak sumienna studentka, gdy mówiła o czymś bardzo interesującym.

Bell jest rozluźniony, poważny; noga na nodze, na kolanie jak zwykle notatnik.

- Czuję się ostatnio o wiele lepiej - mówi Catherine. - Pamięta pan, jak niedawno bałam się, że znów stoję na krawędzi depresji?

- Tak.

- Nie czuję już nic takiego. Chodziło pewnie tylko o napięcie związane z moim projektem. Mam zamiar zrobić serię

zdjęć o różnych porach dnia, dokładnie o dziewiątej, osiemnastej i dwudziestej pierwszej, zaczynam od nocnych ujęć.

- Chyba mówiła mi pani, że to będą jakieś zdjęcia lotnicze?

- Z dużej wysokości, ale nie lotnicze. Chciałam zrobić pierwszą serię z wieży katedry, ale nie dostałam na to pozwolenia. Dziś wieczorem będę robić pierwsze zdjęcia nocne. Zna pan ten nowy budynek niedaleko obwodnicy?

- Tak. Nie wiedziałem, że już go skończyli.

- Jest prawie gotowy. Moja znajoma w nim mieszka, więc ja idę tam dziś z aparatami. Ona wpuści mnie na dach z tarasem i będę robić zdjęcia panoramy miasta. Księżyc ma dziś jasno świecić, więc wrażenie powinno być niesamowite.

Cardinal słyszał w jej głosie entuzjazm. Bellowi także nie umknął.

- Pani znajoma też tam będzie? Myślałem, że pracuje pani sama.

- Wpuści mnie tylko na dach, a potem idzie na próbę, więc cały dach tylko dla mnie.

- Co takiego zaszło w ostatnim tygodniu? Wtedy widziała pani swoją pracę w czarnych barwach. - Bell przewraca strony notatnika. - „Nie wiem, po co się do tego biorę. Nigdy nie zrobiłam nic wartego uwagi, nikogo nie obchodzą moje zdjęcia i zapewne nigdy nikogo nie zainteresują”. Tak pani ostatnio twierdziła.

Jej własne słowa zadały jej mocny cios. Wyraz twarzy zmienia się dramatycznie, mruży oczy, lekko rozchyła wargi.

Ona ci ufa, myśli Cardinal. Jest szczerą, nic nie ukrywa. Zazwyczaj była bardziej skryta, zwłaszcza w rozmowach o swojej pracy. Ale przy tobie otwiera się. Chce twojej pomocy, żeby pokonać mroczne myśli. Jak jej się odplaciłeś?

- To było... - zaczyna, ale zapada się w sobie. - To było...

- Myślałaś, żeby całkowicie rzucić fotografowanie, że nie ma sensu tego ciągnąć. Nie chcę być okrutny, ale musimy rozmawiać o twoich najgłębszych uczuciach.

- Nie, nie, rozumiem. Zapomniałam już, jak fatalnie się czułam tydzień temu.

- Mhm.

- Wydaje mi się jednak, że to przygnębienie wiązało się z projektem. Tak mi się nieraz robi, rozmawialiśmy już kiedyś o tym. Każdy nowy projekt powoduje napięcie i zaczynam wynajdywać powody, dla których nie powinnam go realizować. Gdy tylko

zaczynam myśleć w ten sposób, widzę swoje życie jako pasmo porażek i wpadam w podły nastrój.

- „Nic, co robię, nie ma żadnej wartości”. Tak to jakoś pani powiedziała.

Skurwiel, pomyślał Cardinal.

- To coś więcej niż podły nastrój - ciągnie Bell. - Nie zrobiła pani niczego wartościowego?

- To było... chciałam powiedzieć... myślałam, tak myślałam. Widzi pan, tak się właśnie dzieje, gdy się denerwuję z powodu projektu. Wymyślam powody, dla których nie powinnam go realizować. A główny jest taki: Kogo to obchodzi? Nie mam za sobą długiego pasma sukcesów. Wie pan, w moim wieku Karsh słynął już ze swoich portretów, André Kertész miał już za sobą najpiękniejsze sceny uliczne, a także eksperymenty z dziką naturą, a Diane Arbus wystawiła swoje dzieła w Muzeum Sztuki Współczesnej. Więc po co się wysilać? Tak właśnie myślałam. Ale później te wszystkie myśli odeszły i koncentruję się teraz tylko na swojej pracy: wyzwania techniczne, różne interesujące ujęcia, i zapominam o wszystkim innym.

- To ciekawe, że wspomniała pani Diane Arbus.

- Była wspaniała. Mała dziewczynka z Upper West Side, która nie boi się chodzić w najciemniejsze zakątki Nowego Jorku, by fotografować transwestytów, karłów i Bóg jeden wie kogo jeszcze. Była genialna.

- Zapewne najsłynniejszy fotograf ostatniego stulecia.

- Tego nie wiem. Najbardziej znana kobieta wśród fotografów, to fakt.

- W każdym razie stała się nią po tym, jak się zabiła.

- To bardzo smutne. - Catherine mówi tak, jakby straciła bliskiego znajomego. - Przeczytałam wszystko na jej temat. Ona i jej mąż tak bardzo się kochali. Po tym, jak się rozstali, nigdy nie była już sobą. Nigdy tego nie przeboleła. Nie sądzę, żeby praca czy nagroda mogły jej to wynagrodzić. I nie winiła go, ciągle go kochała. A on ją.

Opowiada o niej, jakby znały się przez lata, jakby codziennie ze sobą rozmawiały i pracowały, pomyślał Cardinal. Jak mogłem to przegapić? Nie słuchałem jej?

- Ale fakt pozostaje faktem - mówi cicho Bell. - Zabiła się, może nie jest najsłynniejszym fotografem, na pewno jednak jedną z najsłynniejszych samobójczyń. To bez wątplenia miało

wpływ na to, jak postrzegamy jej pracę. A pani o niej wiele myślała.

- Uwielbiam ją. Jej praca jest dla mnie ważna. I ma pan rację, to, w jaki sposób umarła, rzeczywiście wpływa na odbiór jej fotografii; jakby każdej towarzyszył ogromny, czerwony wykrzyk. Jakby były naznaczone krwią.

- To jeszcze bardziej ją rozślawiło.

- Tak. Mimo wszystko to smutne.

- No właśnie, tylko proszę mnie źle nie zrozumieć, zastanawiam mnie, czy to jej przesłanie nie chowa się gdzieś w zakamarkach pani umysłu, gdy nachodzą panią myśli o samobójstwie. Według pani coś w tym jest?

- O Boże. - Catherine przerywa i w milczeniu patrzy gdzieś poza kadr. - Czy naprawdę mogę być taka płytką? Zabić się, by zyskać sławę?

- Ale to nie jest niemożliwe, prawda? Są takie przypadki. Skurwiel, znowu pomyślał Cardinal.

- Nie wydaje mi się, żeby to zdecydowało w tym przypadku. To znaczy, jeśli w ogóle, to sobie tego nie uświadamiała. Nie, gdy myślę o samobójstwie, to dlatego, że cierpię tak bardzo, że chcę, aby to cierpienie się skończyło. Chcę mieć to za sobą. No i myślę wtedy, że jestem ciężarem dla Johna, jak bardzo musi nienawidzić samego patrzenia na mnie. Więc powinienam zdjąć z niego ten ciężar.

- Och, kochanie, nie. - Cardinal jęknął głośno. - Nie.

- Potem jednak zastanawiam się, jak bardzo bym go skrzywdziła, jak bardzo by cierpiał, i nie mogę tego zrobić. - Catherine pokręciła głową, odganiając złe myśli. - I wie pan co? Nigdy się nie zabiję. Wiele razy byłam już blisko, ale chyba mam jakąś wewnętrzną siłę, gdzieś w głębi siebie wiem, że nigdy się nie zabiję.

- Rozumiem. - Bell opada na oparcie tak, że jego twarz znajduje się w cieniu. - I nie wydaje ci się, że to tylko dlatego, że masz dziś dobry nastrój?

- Nie. To moje prawdziwe ja. Taka jestem. Tydzień temu byłam spięta z powodu projektu. Teraz już go robię, jestem gotowa do pracy i czuję się podenerwowana... tak, zawsze się niepokoję... ale chcę się zająć pracą. Chcę zobaczyć, co z tego wyjdzie.

Ciągle słysząc te przeszywające serce słowa, Cardinal zajechał do biura prokuratora przy Slater Street.

Do jednej z sal wtczono stolik z DVD i Cardinal wraz z prokuratorem obejrżeli w ciszy pracę doktora Bella. Cardinal odtworzył ostatnie sesje trzech pacjentów.

Pierce był potężnym mężczyzną z wydatnym torsem, miał bladą skórę i maleńkie oczka, którymi mrugał nerwowo. Swoim wyglądem przypominał kreta. Niejeden bandyta dał się na to nabrać, gdyż był pewien, że poradzi sobie z krzyżowym ogniem pytań tak niewinnie wyglądającej istoty. W sądzie największym atutem Pierce'a był jego głos, aksamitny szept, który sprawiał, że po głębokim zastanowieniu nawet najbardziej naciągany argument wydawał się całkiem rozsądny w opinii sali, i sądu też.

- Ta kobieta to pewnie twoja żona - powiedział, gdy Cardinal wyjmował płytę z odtwarzacza.

- Zgadza się.

- Przykro mi, detektywie. Jestem zdumiony, że tak szybko wrócił pan do pracy. Oglądanie tego musiało być trudne do zniesienia.

- Trzeba powstrzymać Bella, zanim znów zabije jakiegoś pacjenta. - Cardinal słyszał w swoim głosie wściekłość. - Trzeba go przymknąć - dodał już łagodniej.

Pierce pochylił się ku niemu. W leżącym przed nim notatniku nie zrobił nawet jednej notatki.

- Proszę posłuchać, detektywie - powiedział. - Przedstawiliśmy przed sądem wspólnie kilka trudnych spraw, większość z nich wygraliśmy. Głównie dlatego, że jest pan świetny w przygotowywaniu spraw i znajdowaniu stuprocentowych dowodów.

- Mam odcisk palca Bella na...

- Proszę pozwolić mi skończyć. Nawet nie próbuję wyobrazić sobie, o czym pan myślał, mówiąc, że w tych nagraniach jest coś, co może pomóc w postawieniu zarzutów kryminalnych. Gdyby pan był nowicjuszem, dzwoniłbym teraz do Kendalla z pytaniem, skąd, do cholery, pana wytrzasnął. Bo tutaj nie ma pan nawet pozorów przestępstwa.

- Mam odcisk jego palca na liście żony. Mam wyniki badań, które mówią, że napisała go parę miesięcy temu, jeszcze w lipcu, a on nawet nie zaproponował hospitalizacji, nikomu o tym nie powiedział.

Ostrożnie, pomyślał, zachowaj spokój i rozsądek.

- Jeśli nawet wezmę to, co pan mówi, za dobrą monetę, to jego zachowanie można co najwyżej rozpatrywać w kategoriach błędu w sztuce, czyli sprawy cywilnej. Nikt nie wniósłby takiej sprawy do sądu, dysponując

tylko odciskiem palca. Nikt z mojego biura.

- Nie mówimy o jednej sprawie. Widział pan Perry'ego Dorna. Chłopak jest kompletnie zdołowany, a jednak facet non stop kieruje rozmowę na najbardziej bolesne kwestie: zostawiła cię, odrzuciła cię, poświęciłeś swoją przyszłość. Pogrąża go.

- Zgadzam się. W niektórych swoich uwagach jest wręcz wrogi.

- Przez cały czas prezentuje tę swoją pseudożyczliwą postawę. Taki miły, taki zatroskany. A potem wbija nóż w plecy.

- Nie do końca, detektywie.

- Ci ludzie są całkowicie bezbronni. A nawet jeśli nie, to proszę popatrzeć na Catherine. - Cardinal odetchnął głęboko, ale serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. - Wchodzi, jest w dobrym nastroju, podekscytowana nowym projektem, a on co robi? Mówi: Ostatnio nienawidziłaś siebie i wszystkiego, co robisz. Uważa to pan za terapeutyczne?

- Bez wątplenia jest to zaskakujące. Ale sesje terapeutyczne to nie pogaduszki. On nie jest od dyskusowania o fotografii, jego rolą jest pomóc choremu. Może w jego ocenie najlepszym na to sposobem jest powrót do najbardziej bolesnych przeżyć pacjenta.

- A Keswick? Pamięta go pan?

- Pamiętam.

- Ile mu groziło? Maksymalnie.

- No cóż, prawo przewiduje nawet pięć lat, ale w rzeczywistości dostałby najwyżej półtora roku w zawieszeniu.

- Półtora roku w zawieszeniu, a facet nie żyje.

- Oskarżenie o posiadanie pornografii dziecięcej raczej nie poprawia wizerunku. Stracił rodzinę. Na pewno straciłby pracę.

- Właśnie. A jak do tego doszło? Niech pan popatrzy na jego akta. W komputerze miał może dziesięć fotek małolatów uprawiających seks. Jak to się stało, że w ogóle został oskarżony? Na pewno go nie szukaliśmy. Ktoś na niego doniósł.

- Twierdzi pan, że to Bell?

- Tak uważam.

- Udowodni to pan? Ma pan nagranie rozmowy?

- Nie. Jedyne, co mamy w aktach, to informacja o dwóch anonimowych telefonach. Oba od mężczyzny w średnim wieku. W drugim twierdził, że widział zdjęcia w komputerze Keswicka. Inaczej w ogóle byśmy nie interweniowali. Kto inny mógłby to zrobić? To był komputer u niego w domu, a nie w pracy.

Pierce zdjął okulary i potarł grzbiet nosa. Bez okularów jeszcze bardziej przypominał łagodne stworzonko z bajek Beatrix Potter.

- Na razie nie ma pan nic. I gdyby myślał pan jasno, wiedziałby pan, że niczego nie ma. Mogę składać to tylko na karb pańskiej bolesnej straty.

- To morderstwo na odległość - powiedział Cardinal. - Morderstwo zdalne. On doskonale zna najbardziej czułe punkty każdego pacjenta i uderza w nie celnie. Proszę spojrzeć na Dorna. Bell nawet wskazał mu miejsce, pralnię. Czego jeszcze panu trzeba? Nie możemy tak sobie tu siedzieć i nic nie robić. Ten skurwiel reżyserował wszystkie te przedstawienia.

- Ponoszą pana emocje. - Pierce wstał. - Moja żona zmarła dwa lata temu. W inny sposób niż pańska. To był wypadek samochodowy, kierowca ciężarówki zasnął za kierownicą. Stało się to nagle, to nie była jej wina, byłem kompletnie zdruzgotany. Przez miesiąc nie chodziłem do pracy. Absolutnie niczym nie potrafiłem się zająć. Zapominamy, jak wielką rolę w postrzeganiu świata grają nasze emocje. Jestem pewien, że wie pan o tym: nie ma czegoś takiego jak morderstwo na odległość.

- Ale jest karalne zaniedbanie. Co najmniej karalne zaniedbanie. Każe im pisać listy pożegnalne. Uważa pan, że to tylko ignorancja?

- Błąd ludzki albo błędna ocena to jeszcze nie karalne zaniedbanie. Musiałby przepisywać jakieś kosmiczne dawki leków, coś takiego. Proszę zauważyć, że nawet nie wnika, skąd pan wzięł te nagrania.

- Anonimowa przesyłka, prawdopodobnie od pani Bell.

- To i tak bez różnicy. Nie ma w nich nic, co wskazywałoby na morderstwo.

- Proszę mi nie mówić, że biuro prokuratora nic z tym nie zrobi. Macie zamiar siedzieć i patrzeć, jak ten facet popycha kolejnych pacjentów do samobójstwa? Umierają ludzie!

- No cóż - łagodnie powiedział Pierce. - Jeśli chce go pan dopaść, mógłby nakłonić pan ich do zeznań przed komisją lekarską. Na pewno ostro by sobie z nim pogadała.

45

Małe, mosiężne koło, obracając się, błyszczało, a maleńka maszyna wydawała odgłosy sapania miniaturowej lokomotywy. Frederick Bell nożyczkami do paznokci przyciął knot palnika pod kotłem i napełnił go metanolem. Cylindryczny kocioł był tak mały, że mieścił mniej niż pół

szklanki wody. Mosiężne elementy lśniły we wpadającym przez okno świetle, a koło zamachowe nie przestawało się obracać.

Ta maszyna była jedyną pamiątką po ojcu lub może raczej jedyną, której nie chował. Stała na biurku, Bell uruchamiał ją od czasu do czasu, gdy był w nastroju do przemyśleń.

Takim jak teraz, kiedy myślał o Melanie Greene. Bell był niemal pewien, że popchnął młodą dziewczynę na krawędź przepaści. Nic bardziej nie odbiera poczucia własnej godności i nie wpędza w depresję, jak wykorzystywanie seksualne. Zmuszenie jej do mówienia na ten temat i do przyznania, że miała co do tego mieszane uczucia, było dziecinnie łatwe. Oczywiście mistrzowsko wyczuł czas, kiedy należało zostawić ją samą sobie. W jej zielonych oczach widział zaufanie, pragnienie akceptacji. Był niemal pewien, że w tej chwili Melanie jest pogrążona w tak głębokiej rozpacz, że nie będzie więcej szukała pomocy. Dziś po raz pierwszy od ostatniego spotkania nie zadzwoniła. Jednak ten brak absolutnej pewności irytował go.

Zabawa małą maszyną parową zazwyczaj go uspokajała, przywoływała obrazy z dzieciństwa, gdy ojciec uczył go swych ulubionych prawd naukowych. Maszyna parowa dawała okazję do porozmawiania o prawie Boyle'a, o pędzie, i ogólnie historii takiego urządzenia. Chłopiec postrzegał wtedy ojca jak drugiego Alexandra Grahama Bella. Nawet włosy i brodę miał taką jak on.

Czasami, podczas zabawy maszyną, doktorowi nagle zmieniały się poglądy na jego terapię negatywną. Postanawiał jednak pomagać tym ludziom tak, jak na początku, odciągnąć ich znad krawędzi, zamiast spychać w przepaść. Trwało to jednak bardzo krótko, po dwóch lub trzech spotkaniach, czasami zaraz po pierwszym, wracał do swoich starych praktyk.

- Nienawidzę ich - wymamrotał pod nosem. Przesunął mosiężną dźwignię i maszyna zagwizdała wesoło. - Po prostu ich nienawidzę.

Przesuwał dźwignię w dół, aż gwizd zmienił się w syczenie i koło przestało się obracać. Zabawa dziś go nie uspokajała, na pewno niczego więc nie postanowi. Zgasił błękitny płomień i postawił urządzenie na szafce obok zdjęcia matki. Uśmiechała się na nim, stojąc na podwórku w jednej ze swoich szmizjerek, włosy miała uczesane zgodnie z modą lat czterdziestych. To zdjęcie zrobiła ciotka zaledwie na tydzień przed tym, jak jego matka połknęła zabójczą dawkę pigułek nasennych, osierocając swego osiemnastoletniego syna.

Nie, nie, nawet wspomnianie dzieciństwa nie mogło go dziś uspokoić. Nie teraz, gdy ciągle nie miał pewności, czy oczyścił ziemię z kolejnej zbędnej jęczmyny. To była istotna praca, rodzaj odchwaszczania, jednak

prawdziwą satysfakcję odczuwał wtedy, gdy robili to sami. Był psychiatrą i zdawał sobie sprawę, dlaczego tak się dzieje, jednak niczego to nie zmieniło. To był właśnie ten mały, brudny sekrecik psychiatrii: mógł poznać dokładną przyczynę swej obsesji, nerwicy czy też upodobań, a mimo to nie potrafił się od nich uwolnić.

Nie, prawdziwą satysfakcją było jednak skłonienie tych mazgajów do zniknięcia z powierzchni ziemi. Świat stawał się lepszy, a on miał czyste ręce. Catherine Cardinal nie była w tej kwestii powodem do satysfakcji. W jej przypadku musiał użyć wyjątkowych środków, i od tamtej pory nie był już sobą. Po raz pierwszy tak naprawdę kogoś zabił, wiedział, że to prosta droga do szaleństwa, więzienia, śmierci.

Nie uważał siebie za człowieka gwałtownego, ale Catherine Cardinal doprowadziła do tego, że taki się stał. Całe to zapewnianie, że miłość i sztuka to dwa pozytywne aspekty jej życia. Jakiego życia? Parę miesięcy w szpitalu co rok albo dwa? Łykanie litu? Jak mogła nie rozumieć, że jedynym lekarstwem dla niej była śmierć? Gdyby stracił cierpliwość i nie czekał, aż sami się zabiją, zepsułby sobie całą zabawę. Gdyby uciekł się do takich osobistych interwencji, prawo szybko by się nim zajęło. Traf chciał, że jego pierwsza, własnoręcznie zgładzona ofiara była żoną policjanta.

Był ostrożny, nikt go nie widział. Jak cień przemknął przez opuszczony parking i pod wystawami sklepów. Wjechał windą na górę i wyszedł na dach. Nikt go nie zauważył. Potem wszystko poszło szybko. Podrzucił list i zatarł ślady.

Podszedł do szafki, w której trzymał nagrania. Chciał jeszcze raz popatrzeć na Dorna. No dobrze, jego śmierć była może trochę zbyt spektakularna, ale nieunikniona. Dorn był młodym człowiekiem zdeterminowanym, żeby do niczego nie dojść: urodzony nudziarz i zrzęda, wiecznie zakochujący się w dziewczynach, które miały go gdzieś. Gdyby Bell mu nie pomógł, chłopak obdarzałby kolejne kobiety niechcianym uwielbieniem, a znajomych zamęczał gładzeniem o swoich cierpieniach. Trzeba było wyrwać chwast z korzeniami i po sprawie.

Gdy tylko otworzył szafkę, zauważył brak co najmniej sześciu płyt. Najpierw pomyślał, że któryś z pacjentów jakimś cudem dowiedział się o nagraniach i zdecydował się na kradzież. Wtedy jednak zdał sobie sprawę z tego, że zainteresowani pacjenci - Perry Dorn, Leonard Keswick, Catherine Cardinal - nie żyją. Brakowało dwóch płyt każdego z nich.

- Dorothy! - Wybiegł na korytarz. - Dorothy, gdzie jesteś?!

Krew tętniła mu w skroniach. Korytarz zwęził się, nagle przypominając czarny tunel. Bell rozpoznał w sobie rodzącą się wściekłość. Jestem

wściekły, pomyślał, obraz tunelu, szybki puls, drżenie nóg - to wszystko są oznaki wściekłości. Nie mógł jednak jej stłumić, nawet gdyby bardzo chciał. Przekroczył pewien próg, skutki tego były nieobliczalne.

Z hukiem otworzył drzwi do kuchni. Dorothy trzymała rękę na klamce tylnych drzwi, właśnie miała wychodzić. Odwróciła się, jej oczy były jak dwie małe, ciemne plamki lęku. Oczy Muncha. *Martwa matka i dziecko*.

- Masz chyba coś, co należy do mnie - powiedział. Jego słowa pulsowały, jakby miały własne tętno.

- Robisz coś potwornego. - Dorothy nacisnęła klamkę. - Gdy w Manchesterze zaczęli umierać pacjenci, stanęłam za tobą murem. Wmawiałam sobie, że na pewno masz rację, że na pewno masz najtrudniejsze przypadki, próbujesz pomagać ludziom, którym nie da się już pomóc, i to tylko z pozoru wygląda tak źle.

- Co zrobiłaś z moimi płytami? - zapytał.

46

Gdy Cardinal wyszedł z biura prokuratora, pojechał prosto do domu Bella. Zaparkował po przeciwnej stronie ulicy i popatrzył na ciemne szczyty dachu rysujące się na tle wieczornego, fioletoworóżowego nieba. Srebrne bmw stojące na podjeździe sugerowało, że doktor jest w domu, ale jak to sprawdzić?

Chociaż potrafił stosować przemoc, kiedy zachodziła taka potrzeba, Cardinal nie był brutalnym człowiekiem. Nieważne, jak bardzo burzyła się w nim krew, gdy musiał aresztować bandytów i łotrów, zawsze znajdował w sobie odrobinę rozsądku, która pozwalała mu trzymać emocje w ryzach. Teraz, gdy tak siedział w samochodzie i wpatrywał się w dom Bella, ledwo się powstrzymywał, żeby nie wejść tam i nie tłuc go tak długo, że mógłby tylko czekać pod respiratorem na śmierć. W końcu wrzucił bieg i lawirując w korkach, pojechał tam, gdzie miał już nigdy nie postawić nogi.

Gdy dojechał, właśnie zamykano CompuClinic. Z pralni chemicznej wyszła kobieta z naręczem zabezpieczonych folią ubrań i wsiadła do samochodu. Cardinal zaparkował i podszedł do bocznej ściany budynku. Wiedział, że nie powinien tu być, że nie jest gotowy, o czym świadczyło drżenie rąk i ściśnięte gardło.

Krew Catherine została już dawno zmyta, nie było taśmy policyjnej, a kawałki sprzętu komputerowego posprzątno. Nikt by nie pomyślał, że niedawno ktoś zakończył tu życie. Obszedł budynek, szukając wejścia. Jak większość budynków w budowie, ten także nie był chroniony tak, jak te oddane już do użytku. Znalazł dwa wyjścia pożarowe, oba zamknięte, ale mógł je otworzyć każdy; na budowach prawie nigdy nie włączano alarmów. Puste okna wystaw sklepowych były zasłonięte kartonami, ale niektóre kartony wystarczyło pociągnąć, by odpadły. Dziesięć sekund zajęło mu zrobienie na tyle dużej dziury, że zdołał wejść do środka.

Wewnątrz było wystarczająco jasno od światła wpadającego przez szklane drzwi. Pomieszczenie było betonowym bunkrem, ze ścian i sufitu sterczały grube kable. Pod jedną ze ścian leżała sterta równo poukładanych desek, a powietrze pachniało cementem i surowym drewnem.

Drzwi prowadziły do korytarza zalanego światłem jarzeniówek. Na jego końcu widać było drzwi do piwnicy i pustą, otwartą windę towarową. Zanim wszedł do niej, włożył skórzane rękawiczki. Dopiero wtedy wcisnął guzik dachu. W niecałe dwie minuty, przez nikogo niezauważony, był na dachu. Tak jakby to mógł zrobić zabójca. Drzwi na patio były teraz zamknięte, obok nich leżała cegła, którą podkładano, by się nie zatrzasnęły. Zapewne był to jeden z ostatnich przedmiotów, których przed śmiercią dotknęła Catherine.

Cardinal zjechał zwykłą windą i wyszedł frontowym holem. Jeszcze raz stanął na parkingu i popatrzył na miejsce, gdzie leżała Catherine. Czyżby ten widok miał pozostać mu w pamięci do końca życia? Jej kurtka, jej zakrwawiona twarz, rozbity aparat.

Przez całą drogę do domu próbował zastąpić tę scenę innym obrazem. Naturalnie był w stanie przywołać z pamięci tysiące różnych chwil spędzonych z Catherine, ale nie potrafił zatrzymać ich wystarczająco długo, by przysłoniły koszmar z parkingu. Jedyнным obrazem, jaki pozostawał w jego umyśle dłużej niż ułamek sekundy, było jej zdjęcie. Trochę zdenerwowana, z dwoma aparatami na ramieniu.

Z dwoma aparatami.

Gdyby nie to wspomnienie, gdyby nie to zdjęcie, Cardinal pewnie przez wiele miesięcy nie zszedłby do ciemni Catherine. Nie chciał płatać się wśród jej kuwet, tac, klisz filmowych, jakby to on był duchem. Nawet nie myślał o możliwości zrobienia tam porządku. Ciemnia musiała pozostać taka, jaką zostawiła ją Catherine. W przeciwnym razie bardzo by się gniewała, nie mogłaby pracować.

Mimo że trzymał w ramionach jej martwe ciało, mimo długiej nieobecności, Cardinal ciągle całym sobą czekał na jej powrót.

Jedna ze scen nagranych przez Bella wciąż stawała przed oczami Cardinala, tym razem Cardinala detektywa, a nie męża.

- Zna pan ten nowy budynek niedaleko obwodnicy? - W jej głosie słysząc entuzjazm. - Jadę tam dziś z aparatami.

Z aparatami. Liczba mnoga.

Otworzył wąską szafkę, w której trzymała sprzęt. Nie było aparatów. Parę długich, czarnych obiektywów leżało na półkach. Były też obiektywy do starego nikon, mniejsze zabrała ze sobą. Nie było też canona.

Aparaty w liczbie mnogiej.

Przeszedł w drugi kąt piwnicy, do stołu, na którym porozkładał rzeczy Catherine. Ostatnie rzeczy. Plastikowy worek ze szpitala, w którym były jej zegarek, bransoletka, koszulka, dzinsy i bielizna. Aparatu nie było.

Wyszedł z domu i przetrząsnął samochód Catherine - podłogę, bagażnik, schowek. Nic.

Gdy jechał z powrotem do miasta swoim samochodem, zadzwonił do dochodzeniówki. Collingwood trzymał się grafiku tak dokładnie, jak tylko pozwalała mu na to praca - odbębniał swoją zmianę i zniknął, jak kukulka w staromodnym zegarze. Można było odnieść wrażenie, że Arsenault został przyjęty do tej samej roboty dla czystego kontrastu - człowiek nigdy nie wiedział, kiedy go zastanie. Nieraz pracował do późna w nocy; na tyle często, że wywoływało to plotki na temat jego życia osobistego, względnie jego braku.

Arsenault odebrał po pierwszym dzwonku.

- Muszę sprawdzić pudełka z miejsca znalezienia Catherine. - Cardinal nie bawił się we wstępy. - Muszę sprawdzić, czy jest tam aparat - rzucił, wyprzedzając pikapa.

- Od razu mogę ci powiedzieć. Był tam aparat, nikon. Obiektyw rozwalony na kawałki.

- Tylko jeden?

- Tak. Tylko jeden. - W głosie Arsenaulta brzmiało zaskoczenie.

- Jest ktoś w depozycie dowodów? Możesz załatwić mi wydanie pudeł? Zaraz będę.

- Nie trzeba nic załatwiać, są tutaj, w dochodzeniowym. Sprawa zamknięta, zapomniałeś? Domyśliłem się, że przedzej czy później o nie zapytasz.

- Jestem za dziesięć minut.

Cardinal gwałtownie skręcił, wyprzedzając hondę civic, i w pędzie minął Water Road. Na szczęście korkowała się w przeciwnym kierunku.

Posterunek był pogrążony w ciszy. Cardinal słyszał kogoś, prawdopodobnie Szelagy'ego, który stukał w klawiaturę przy swoim biurku, ale oprócz tego wydział kryminalny świecił pustkami.

Poszedł prosto do dochodzeniowego, gdzie zastał Arsenaulta siedzącego przed komputerem.

- Hej, John - przywitał go Arsenault, nie podnosząc głowy. - Są na stole.

Dwa pudła, duże i małe, stały otwarte na stole, zamiast - jak zwykle - pod ścianą. Cardinal nacisnął włącznik i stół zalało światło jarzeniówki.

Zajrzał do mniejszego pudła. Nikon Catherine z roztrzaskanym obiektywem leżał wśród innych jej rzeczy; była tam torba na aparat wraz z wyspaną zawartością - notatnik, filtry, parę obiektywów.

W większym pudle nie było aparatu. Zamyślony Cardinal stał bez ruchu. Jedynym odgłosem było stukanie klawiatury Arsenaulta. Jeśli Catherine jak zwykle robiła zdjęcia dwoma aparatami, to znaczy, że ktoś zabrał canona: albo ktoś, kto przyszedł na miejsce później, albo napastnik.

Przypadkowy złodziej wydawał się mało prawdopodobny. Ilu ludzi potrafi ukraść martwemu człowiekowi aparat? Aparat, który niemal na pewno był zniszczony? I jeśli już trafił się złodziej, to czemu ukraść jeden aparat, a zostawił drugi? Założenie, że ukraść go napastnik, mogło oznaczać dwie rzeczy: Catherine została napadnięta z powodu nowiutkiego, błyszczącego aparatu, złodziej zepchnął ją z dachu, gdy już go miał; albo napastnik zabrał go już po wszystkim. Cardinalowi przychodził tylko jeden dobry powód, dla którego mógłby to zrobić.

Większe pudło zawierało przedmioty znalezione w pobliżu ciała, które niekoniecznie miały z nim coś wspólnego: pudełko po papierosach, parę niedopałków, jakieś opakowanie, papierowy kubek. Było tam też wiele elementów elektronicznych, złom komputerowy z mieszczącego się na parterze centrum serwisowego. Oprócz okolic kontenera cały podjazd był usłany uszkodzonymi kartami perforowanymi, dyskami i chipami. Collingwood i Arsenault sumiennie je zebrali.

Każdy przedmiot był w plastikowej torebce, oznaczony numerem, datą, inicjałami policjanta, który go znalazł, podane zostały też odległość i położenie względem ciała. Cardinal popatrzył na kilka z nich. Nie był specem od komputerów, ale rozróżniał karty pamięci, gdy je widział. Te, na które patrzył, były starego typu, pochodziły z komputerów starszych niż CompuClinic.

Cardinal wyjął z pudła kolejne przedmioty: napęd CD, słuchawki, torebkę z kartą pamięci. Przyjrzał się jej dokładnie. Była to karta wielkości znaczka pocztowego, miała zielony kolor i ząbkowany brzeg. Na drugiej

stronie była nalepka. Otworzył torebkę i wysunął kartę na stół. Jasnoszare litery na zielonym tle układały się w słowo „canon”.

- Hej, Arsenault- powiedział. - Macie gdzieś aparat, który odczyta taką kartę?

Arsenault popatrzył i pokręcił głową.

- Nasze pracują na kartach MS. Mają inny kształt. A co?

- To chyba karta z aparatu Catherine. Chcę zobaczyć, co na niej jest.

- Ten nikon nie jest cyfrowy.

- Miała ze sobą drugi aparat. Canona.

- Naprawdę? W takim razie odczytamy ją w drukarce.

- Nie trzeba podłączyć do niej aparatu?

- Nie. Ma własny czytnik kart.

Arsenault odwrócił się od biurka i podjechał krzesłem do drukarki. Nacisnął guzik; wysunęła się taca z gniazdami czytnika.

- Włóż ją tutaj. - Pokazał palcem najmniejszą szczelinę.

Cardinal umieścił kartę we wskazanym miejscu i Arsenault wsunął tacę z powrotem.

- Jeśli tam coś jest, powinno pokazać się na ekranie podglądu. - Postukał w prostokątny wyświetlacz wielkości karty do gry na przodzie drukarki.

Wyświetlacz zrobił się czarny i pokazało się logo Canona. Potem zobaczyli pierwsze zdjęcie - panorama miasta zrobiona z wysoka, w oddali widoczne punkciki świateł. Cardinal rozpoznał dwie dzwonnice francuskiego kościoła. To ostatnie rzeczy, jakie widziała Catherine.

- Można je przeglądać - powiedział Arsenault. - Naciskaj „dalej”.

Cardinal nacisnął guzik i obraz zmienił się trochę - ten sam widok, ale w pewnym zbliżeniu. Kolejne zdjęcie zrobiono pod innym kątem. Po prawej stronie jaśniały ostrzegawcze czerwone światła wieży telekomunikacyjnej. Jeszcze kilka zdjęć panoramy i znów powrót do kościoła. Cardinal wiedział już, czemu właśnie tej nocy chciała robić zdjęcia. Pomarańczowy księżyc w pełni właśnie wtaczał się w kadr obok kościelnych wież.

- Ładne - szepnął Arsenault.

Na następnym zdjęciu księżyc był częściowo schowany. A na kolejnym - właśnie zaczynał ukazywać się między wieżami. Jeszcze chwila i zostałby uchwycony między wieżami, jak wielka dynia. Ale następne zdjęcie przedstawiało coś zupełnie innego.

Wyglądało na przypadkowe, jakby ktoś potracił lub przestraszył Catherine: ściana, trochę rozmazana, smuga światła z góry i czyjaś ręka w prawym rogu. Ręka mężczyzny. Widać było ramię, łokieć, rękawiczkę i kawałek płaszcza.

Cardinal nacisnął „dalej” i usłyszał, jak Arsenault ze świstem wciąga powietrze.

- Przylapała go - powiedział Cardinal cicho. Na gorącym uczynku.

Ręka mężczyzny była uniesiona jakby ostrzegawczo. Światło nad wyjściem na dach rzucało na taras czarny jej cień. Mimo cieni można go było rozpoznać bez trudu. Ten szeroki uśmiech i szczerą twarz. Wyglądał jak człowiek, którego każdy chciałby mieć za przyjaciela albo nauczyciela - a może nawet lekarza.

47

Tabletki leżały na biurku. Małe, niebieskie ślicznotki, jak uspokajający błękit wieczornego nieba. Było ich prawie trzydzieści, miesięczny zapas, który uprzejmie przepisał jej doktor Bell, kiedy po raz pierwszy go odwiedziła. Prawdziwe błogosławieństwo, gdy sen nie przychodził. Kiedy noc przeciągała się w nieskończoność i wewnątrz jej głowy zalewało światło, tabletki działały kojąco, jak ciepły dotyk matki.

Na biurku obok tabletek stała wysoka szklanka z wodą; na jej bokach perliły się krople. Melanie podniosła ją i postawiła na jednym z notatników.

Żegnała się dłużej, niż się spodziewała. Miała zamiar napisać tylko krótki list i odejść. Nie wiedziała jednak, czy potrafi coś zrobić takiego swojej matce i doktorowi Bellowi, który tak bardzo próbował jej pomóc.

Ułożyła tabletki w szereg; małe, niebieskie poduszeczki. Dwadzieścia pięć sztuk. Linijką podzieliła je na pięć grup. Przedłużała tę zabawę przez kilka minut, układając tabletki w małe gwiazdy.

Nigdy nie czuj się winna, napisała, to absolutnie nie twoja wina. Zawsze byłaś dla mnie dobrą matką, zawsze dawałaś mi wszystko, czego potrzebowałam. Każda inna córka wyrosłaby na szczęśliwą, dobrze wychowaną, młodą kobietę.

Zgarnęła z biurka pięć tabletek i wrzuciła je do gardła. Dwa łyki wody i już ich nie było.

Kocham cię bardzo, dodała równym pismem. Zawahała się.

Minęło kilka chwil i patrzyła tępo przed siebie. Połknęła następne pięć tabletek. Musi się spieszyć, bo inaczej zaśnie i obudzi się z jeszcze gorszym samopoczuciem niż teraz. Nie chciała się obudzić.

Doktorze Bell, nie mam pretensji, że odwrócił się pan ode mnie. Czasem mówiłam obrzydliwe rzeczy i rozumiem, że mogło zrobić się Panu po nich niedobrze.

Wrzuciła do ust kolejne pięć tabletek i podniosła szklanę. Zakrztusiła się na wspomnienie o tym, co mówiła ostatnio doktorowi. Przełknęła wszystkie, ale złapał ją kaszel. Musiała wypić prawie całą wodę, żeby go powstrzymać. Do oczu napłynęły jej łzy. Nie będę płakać, pomyślała, dość już płaczu. Na zawsze.

Jest Pan dobrym lekarzem, więc zapewne widział Pan, że nie można mi już pomóc. Mimo to starał się Pan bardzo i nie mógł zdobyć się na powiedzenie mi, że nie ma dla mnie ratunku.

Następne pięć tabletek.

Przykro mi.

Następne pięć tabletek.

Przepraszam za wszystko.

48

Mimo że szef uznał jego poprzednie zachowanie za błędne, Cardinal mocno wierzył w procedury. A w tę mroźną noc - nie było co prawda śniegu, ale temperatura spadła poniżej zera - właściwym, zgodnym z procedurą postępowaniem powinien być telefon do szefa w sprawie dowodów, które miał. Jeśli Chouinard przyzna, że dowody uzasadniają natychmiastowe aresztowanie, to wyznaczy mu do pomocy innych detektywów. Jeśli nie, trzeba będzie pogadać z prokuratorem i ustalić, czego im jeszcze trzeba.

Gdy przejeżdżał obok katedry, zdawał sobie sprawę, że nie dzwoniąc do szefa, łamie procedurę. Ale przecież już pracując nad tą sprawą, łamał procedurę. Nie wzywając wsparcia, również. Oczami wyobraźni widział szefa, jego twarz rzeźbił mróz na przedniej szybie. Słyszał jego gniewne słowa w szumie nawiewu ciepłego powietrza.

Jednak nic nie mogło go powstrzymać.

Camry Cardinala przejechała na czerwonym świetle, na jej dachu błyskał kogut. Nie włączył syreny, nie chciał, żeby doktor ją usłyszał.

Trzy minuty później zatrzymał się w pewnej odległości od domu Bella. Paliły się w nim światła. Przechodząc na tyły domu, minął okna kuchni; w środku nikt się nie ruszał. Na podjeździe nadal stało bmw.

Po cichu wszedł na ganek. Górna część drzwi była przeszkłona, częściowo zasłaniała je zasłonka w kratkę. Zajrzał przez niewielką szczelinę i dostrzegł przeciwległą ścianę, stała tam lodówka i wisiał kalendarz. Widać też było zegar z kukułką. Patrząc trochę pod kątem, zobaczył panią Bell. Leżała skulona na podłodze w kałuży krwi.

Wybił łokciem szybę i sięgnął do zamka. Przez chwilę się nie ruszał, nasłuchując. Dom był ogromny, a drzwi do kuchni zamknięte. Jeśli Bell był w domu, mógł nawet nie usłyszeć hałasu tłuczonego szkła.

Cardinal na palcach obszedł kałużę i dotknął szyi pani Bell. Była jeszcze ciepła, ale nie wyczuł pulsu. Ilość ciemnej krwi wskazywała, że serce nigdy już nie zabije. Na rękach widział rany; kobieta musiała się więc bronić. Na szyi ziała straszna rana cięta.

Nie najlepsza robota, pomyślał. Kiedyś robiłeś tak, że ludzie zabijali się sami. Zabrała twoje płyty, ukradła bezcenne trofea i dostałeś szału. Pytanie tylko, co dalej. Co zrobi człowiek mający obsesję na punkcie samobójstw i winien dwóch zabójstw?

Cardinal nacisnął klamkę i ruszył po cichu w kierunku poczekalni oświetlonej małym, eleganckim żyrandolem. W gabinecie doktora było ciemno, tak samo jak w salonie. Spróbował otworzyć drzwi gabinetu. Zamknięte. Na schodach leżał dywan, były jednak stare. Lekko stawiał stopy, by zminimalizować skrzypienie. W rękę trzymał pistolet.

Na górze świeciło się tylko w pierwszym pokoju. Jeszcze cztery stopnie i Cardinal już tam był, trzymając broń w pogotowiu. Pokój był duży, ale zagraczony meblami. Dwie szafy, dwa fotele, stara toaletka i ogromne, przykryte czerwoną narzutą łoże, na którym leżała do połowy spakowana walizka. Nikogo nie było za drzwiami ani pod łóżkiem, nikt nie chował się w szafach.

Sprawnie przeszukiwał kolejne pokoje: sypialnię zmienioną w pracownię krawiecką, pokój gościnny pachnący suszonymi kwiatami, dwa inne pokoje utrzymane w delikatnej kolorystyce, mały pokój z telewizorem, komfortowo urządzonej bibliotekę z małym bilardem i kominkiem.

Na korytarzu było jeszcze dwoje drzwi. Za pierwszymi znajdowała się garderoba.

Nagle skrzypnięcie. Jakaś deska nad głową? Ktoś jest na drugim piętrze? Mógł to być zwykły odgłos, jak w każdym starym domu, ale Cardinal zastął w oczekiwaniu i nasłuchiwał.

Odnalezienie byłej żony Franka Rowleya nie wymagało szczególnych zabiegów policyjnych. Kilka telefonów, sprawdzenie akt w urzędzie stanu cywilnego i Delorme mogła jechać do domu pani Penelope Greene. Niewiele domów w Algonquin Bay było mniejszych od tego, w którym mieszkała Delorme, ale dom pani Greene szczególnie. Była to chatka z czerwonej cegły, przycupnięta w cieniu dwóch o wiele większych rezydencji. Wyglądała jak szkrab między dwojgiem rodziców.

Drzwi otworzyła ładna czterdziestoletnia kobieta. Farba do włosów koloru blond miała ukryć pojawiającą się tu i ówdzie siwiznę. Jej spojrzenie wyrażało nieufność, zielone oczy zwięzły się, ale mało prawdopodobne żeby zawsze tak wyglądała. Niemal na pewno była to reakcja na widok policjantki stojącej w progu jej drzwi.

- Pani Rowley? - zapytała Delorme.
- Już nie. Dawno wróciłam do panińskiego nazwiska.
- Sierżant Delorme.
- Melanie nie ma żadnych kłopotów, prawda?
- Nie, pani córka nic nie zrobiła, ale muszę z panią porozmawiać o czymś, co niemal na pewno jej dotyczy.

Pani Greene zaprosiła ją do pokoju gościnnego. Mała, dwuosobowa kanapa i dwa fotele ledwie się tam mieściły, jednak był w tym wszystkim pewien urok przytulnego, choć trochę podniszczonego domu. Delorme usiadła na kanapce. Była tak niska, że policjantka patrzyła na matkę Melanie znad własnych kolan. I nagle zdała sobie sprawę z tego, że widziała tę kanapkę na jednym ze zdjęć: wymyślne, drewniane wykończenie wokół czerwonych, pluszowych obić. Przez drzwi za plecami pani Greene widać było fragment kuchni wraz z niebieską glazurą, kuchni z niektórych zdjęć. Tak, Delorme przyszła do właściwego domu, jednak nie czuła z tego powodu radości.

- Pani Greene, ile lat ma pani córka?
- Osiemnaście. W grudniu skończy dziewiętnaście.
- I jest blondynką, jak pani? - To było zbędne pytanie. Pani Greene miała takie same zielone oczy, jak dziewczynka na zdjęciach, identyczne, idealnie zarysowane brwi, taki sam lekko zadarty nos.
- Ma nawet jaśniejsze włosy niż ja. Takie, jakie ja kiedyś miałam. Ale po co pani te informacje? Nie było żadnego wypadku, prawda? Proszę mi

powiedzieć. Nic jej nie jest?

- Nie było żadnego wypadku. O ile nam wiadomo, nic jej nie jest. Jej ojciec to Frank Rowley, zgadza się?

- Ojczym. Wkroczył w nasze życie, gdy Melanie szła do szkoły. Pięć lat temu jednak nas zostawił. Życie rodzinne najwyraźniej mu nie służyło, przynajmniej tak powiedział. Wyprowadził się do Sadbury i nie utrzymywał z nami kontaktu. Przynajmniej z Melanie powinien był mieć jakiś kontakt, ale nie. Teraz znów mieszka w mieście. Widziałam go parę razy, ale przechodziłam na drugą stronę ulicy, żeby się z nim nie spotkać. Ma drugą żonę i przybraną córkę, która wygląda na sześć lat. Nie mówiłam nic Melanie, chociaż może powinnam. Zdenerwuje się, jak na niego wpadnie.

Delorme wyjęła teczkę ze zdjęciami i wybrała powiększenie, na którym widać było tylko roześmianą twarz dziewczynki w wieku siedmiu albo ośmiu lat.

- To pani córka?

- Tak, to Melanie. Skąd pani to ma? Mam setki zdjęć, ale tego chyba nigdy nie widziałam.

Delorme wybrała inne powiększenie, ukazujące głowę i ramiona. Dziewczynka wygląda na trzynaście lat i ma taki sam nieufny wyraz twarzy jak matka.

- Tak, to też Melanie. W wieku trzynastu lat. Pani sierżant, przeraża mnie pani. Skąd ma pani stare zdjęcia mojej córki, których nigdy nie widziałam?

Delorme wyjęła kolejne dwa zdjęcia. Zostały tak wykadrowane, by widać było tylko sprawcę, a nie to, co robił i z kim. Długie włosy, nagi tors, stał odwrócony od aparatu.

- Czy poznaje pani tego mężczyznę?

Z przesadną ostrożnością wyjęła z rak Delorme zdjęcia, jakby były skażone.

- To Frank. Mój mąż, Frank. Były mąż.

- Jest pani pewna? Na zdjęciach nie widać zbyt wiele.

- Po prostu wiem, że to on. Mieszkałam z nim parę lat. Sposób pochylania głowy, nawet ta postawa, lekkie przygarbienie. Poza tym, ma charakterystyczne trzy pieprzyki na ramieniu. - Postukała w zdjęcie. - Na lewym ramieniu. Tworzą trójkąt, jakby konstelację Oriona. Chyba usłyszę coś bardzo niemiłego.

- Obawiam się, że tak. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę Melanie?

- Mieszka teraz sama. Wynajmuje pokój, bo chciała się usamodzielnąć,

kiedy dostała się do college'u. Dam pani adres. Ale najpierw muszę wiedzieć, o co chodzi. - Wstała i zaciskała dłonie, jakby gotując się do walki.

- Może niech pani usiądzie - powiedziała Delorme. - To, co powiem, na pewno wyprowadzi panią z równowagi.

- Proszę mówić, pani detektyw.

- Przykro mi to mówić, ale mamy inne zdjęcia Franka i pani córki. Zdjęcia, na których uprawia z nią seks. Znaleziono je w Internecie.

Pani Greene przycisnęła do piersi prawą rękę.

- Co takiego?

- Jest co najmniej sto innych zdjęć. Nie mamy pojęcia, skąd je wysłał. Ludzie, którzy zbierają takie coś, lubią się także wymieniać. Skutki są takie, że gdy policja z Toronto aresztuje kogoś za posiadanie pornografii dziecięcej, często w podejrzanych komputerach znajdowane są zdjęcia pani córki.

Pani Greene ciągle stała bez ruchu, jej ręka drżała.

- Musimy porozmawiać z pani córką i dowiedzieć się, czy będzie chciała zeznawać przeciwko panu Rowleyowi. Chodzi o poważne przestępstwo i prawdopodobnie trzeba się martwić o kolejne dziecko.

Ale pani Greene prawie jej nie słyszała. Delorme patrzyła, jak szok przechodzi w ból, rozpacz, żal i tysiąc innych nienazwanych emocji. To było jak oglądanie w zwolnionym tempie nagrania z wyburzania domów: obie ręce zasłoniły jej twarz, jęknęła, nogi się pod nią ugięły i opadła ciężko na krzesło, by po chwili osunąć się na kolana.

Delorme poszła do malusieńkiej kuchni i zrobiła herbatę. Gdy wróciła do pokoju, pani Greene już nie płakała, tylko gwałtownie pociągała nosem. Po każdym łyku herbaty jej cierpienie coraz bardziej przechodziło w gniew.

- Zabiję go - powiedziała wreszcie. - Załłukę jak psa.

- Nie robi pani tego, ale może pani przyczynić się do tego, że już nigdy na coś takiego się nie poważy.

Gniew zmienił się w samooskarżanie.

- Powinam była wiedzieć. Dlaczego niczego nie zauważyłam? Moja biedna córeczka. Mój Boże. Tyle razy zostawiałam ich samych. Pozwoliłam, żeby zabrał ją na biwak! Na łódź! Pozwoliłam na wyjazd za miasto! Nigdy nie przyszło mi do głowy, że jest zdolny do czegoś takiego.

- Postarał się, żeby nie było nawet cienia podejrzeń.

- Mimo wszystko powinienam była wiedzieć. Teraz, gdy pani mi o tym mówi i pokazuje te zdjęcia, wierzę w to. Wiem, że to, co pani mówi, jest prawdą, więc czemu sama na to nie wpadłam? Och, tyle razy chciał sam ją zabierać w różne miejsca... ależ byłam głupia! Moja mała Melanie.

Zaczęła płakać, Delorme zrobiła kolejną herbatę. Gdy zabrakło łez, pani Greene sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer.

- Nie odpowiada. - Wybrała numer jeszcze raz. Zadzwoiła trzy razy, w końcu Delorme zaproponowała, by po prostu pojechały do wynajmowanego przez Melanie mieszkania.

- Nie wiem, czemu nie odbiera telefonu - po raz kolejny powtórzyła pani Greene, gdy jechały przez miasto. Jak większość ludzi, których dosięgły złe wieści, ona także teraz czuła na przemian zwątpienie i nadzieję. - Na pewno nic jej nie jest.

Delorme skręciła w MacPherson.

- Mam nadzieję - powiedziała - że Melanie będzie zeznawać przeciwko Rowleyowi.

- Chyba te zdjęcia wystarczą, żeby go skazać? Drań. Trzeba go wykastrować, tak powinien skończyć.

- Zdjęcia to dowód pomocniczy - wyjaśniła Delorme - ale zeznania Melanie przekonałyby ławę przysięgłych. A jeśli nie będzie chciała, zaczną się zastanawiać dlaczego. Będzie to mógł wykorzystać na swoją obronę.

- Ale to byłoby dla niej straszne. Przez tyle lat zastanawiałam się, dlaczego jest tak nieszczęśliwa, a tu się okazuje, że skrzywdził ją człowiek, którego uwielbiała. Wykorzystał ją jak... jak... och, nie przejdzie mi to przez gardło. A potem całkowicie wyrzuca ją ze swego życia. Zeznania przywołają te wszystkie wspomnienia.

- Pani Greene, w ciągu ostatnich dziesięciu lat pracowałam z wieloma ofiarami gwałtów. Niemal w każdym przypadku, nie mogę powiedzieć, że we wszystkich, ale prawie w każdym, te kobiety uznały zeznawanie przeciwko sprawcom za coś pozytywnego. Bez wątplenia było to zenujące i bolesne, na pewno jednak mniej niż milczenie. A jeśli dodatkowo zajmie się tym dobry terapeuta, może okazać się, że było to uzdrawiające.

- Spotyka się już z terapeutą. Doktor Bell. Podobno jest bardzo dobry.

Delorme skręciła w lewo w Redpath, przez dłuższą chwilę jechały w milczeniu. Nagle pani Greene wskazała palcem masywny dom z czerwonej cegły, przed którym w stercie liści stał podświetlany krasnal.

- To tu. Melanie lubi ten dom, bo to tylko pół przecznicy od Algonquin, a zaraz za rogiem jest przystanek. W dziesięć minut jest w college'u, co ważne, bo kilka razy ma zajęcia o ósmej. Ósma rano, wyobraża sobie pani? Mam nadzieję, że jest w domu. Na pewno jest. To tylko dom z pokojami pod wynajem - ciągnęła, gdy wysiadły z samochodu i ruszyły ścieżką - ale pani Kemper, właścicielka, to bardzo miła osoba. Ma oko na dziewczyny, chyba wszystkie studiują, jednak nimi nie rządzi. Melanie mieszka na drugim piętrze po lewej. O, świeci się u niej, pewnie wróciła, jak tu jechałyśmy.

Weszły do niewielkiego przedsionka i pani Greene wcisnęła przycisk dzwonka.

- To jej buty, te z futrzanym obszyciem. Pani Kemper pilnuje, żeby zdejmowały buty przed drzwiami.

Czekały przez chwilę, pani Greene wcisnęła dzwonek jeszcze raz. Teraz usłyszały czyjeś kroki na schodach. Gdy otworzyły się drzwi, uśmiech pani Greene zbladł i wyrażał już tylko grzeczne powitanie.

W drzwiach stanęła młoda kobieta w bluzie z kapturem i z trzema kolczykami w nosie. Cicho krzyknęła ze zdziwienia.

- Cześć. - Pani Greene otworzyła drzwi na oścież. - Ashley, prawda? Chyba się już znamy. Jestem mamą Melanie.

- Ach, tak. Witam.

- Melanie chyba ledwie weszła. Przyjechałyśmy do niej na chwilę.

- O ile wiem, Melanie nie ruszała się z domu - powiedziała Ashley. - Na razie - rzuciła przez ramię i już jej nie było.

Delorme poszła na górę za panią Greene. Ten dom był o niebo lepszy niż miejsca, w których ona mieszkała za swoich studenckich czasów. Na schodach leżał chodnik, ściany wytapetowano i, co najważniejsze - wszystko było czyste. Delorme przypomniała się piwnica w Ottawie, pełne piachu schody i wszechobecny zapach pleśni.

Pani Greene postukała w masywne, białe drzwi z mosiężną czwórką. W środku grało radio, Delorme rozpoznała głos prowadzącego ze stacji EZ Rock oraz reklamę miejscowego salonu Toyoty.

- Musi być w pokoju - powiedziała pani Greene. - Na dole są jej buty. No i to niepodobne do niej, żeby zostawiać włączone światło i radio.

- Może bierze prysznic. - Delorme zastukała mocno do drzwi.

- Prysznic jest tutaj. - Pani Greene wskazała otwarte drzwi. - Mają wspólną łazienkę. No gdzie ona jest?

- Melanie? - Delorme walnęła w drzwi dłonią. W końcu korytarza otworzyły się drzwi, zobaczyły twarz młodej kobiety. Zaraz się schowała. W jej oczach płonęła nienawiść.

- Melanie, jeśli tam jesteś, to powiedz coś. - Pani Greene oparła się o drzwi. - Nie musimy wchodzić, jeśli nie chcesz. Jeżeli potrzebujesz prywatności, to w porządku, ale powiedz chociaż, że nic ci nie jest.

- Proszę zejść na dół po klucz - poleciła Delorme. Matka Melanie zaczęła panikować, poleciła - Szybko.

Delorme nie przestawała krzyczeć przez drzwi.

- Kurwa, zamknij w końcu mordę! - dobiegł z góry kobiecy głos.

Po chwili, potykając się w pośpiechu, przybiegła pani Greene. Próbowała włożyć klucz do zamka, ale Delorme musiała zrobić to sama. Gdy weszły do środka, pani Greene krzyknęła.

Melanie leżała na podłodze obok biurka. Delorme zauważyła butelkę po lekach, szklankę wody, list. Uklękała przy dziewczynie i sprawdziła puls.

- Żyje. Proszę złapać ją za nogi, położymy ją na łóżku.

Pani Greene półprzytomnie posłuchała polecenia, w jej oczach było przerażenie.

Delorme obróciła dziewczynę na bok i włożyła jej palec do gardła. Po chwili jej ręka spłynęła gorącymi wymiocinami. Spróbowała jeszcze raz, ale odruch wymiotny nie wydobył z Melanie już nic więcej.

Niezgrabnie, lewą ręką wyjęła swój telefon i wezwała karetkę. Szpital był niedaleko.

50

Frank Rowley uniósł futerał z gitarą i ułożył go płasko w bagażniku wozu. Potem zapakował małą, ozdobioną postaciami Disneya walizkę Tary. Dziewczynka stała teraz na podjeździe w różowej kurtce, a wiatr rozwiewał jej blond włosy. W końcu obok gitary położył własną walizę. Spakował ją starannie, wkładając laptop między dwie pary dżinsów i chowając nową kamerę internetową w skarpetce. Wkrótce mieli wyjechać, mieli być znowu razem. Serce Rowleya cieszyło się na samą myśl o tym.

- Całkiem spora walizka jak na dwa dni - zauważyła Wendy. Nie zawracała sobie głowy wkładaniem kurtki. Stanęła obok Tary i żeby nie zmarznąć, tuliła do siebie dużego misia swojej córeczki.

- Znasz mnie, zawsze pakuję za dużo rzeczy.

- Okropny wiatr. Może powinniście poczekać do rana?

- No coś ty - odpowiedział - to najlepszy czas na jazdę. Nie ma ruchu, zajedziemy na miejsce i jeszcze zdążymy dobrze się wyspać. A potem od rana będziemy dobijać się do bram WonderWorld, żeby nas wpuścili. Prawda, Taro?

- Tak! Tak! - krzyknęła. - Kolejka!

- Będzie super - zwrócił się do Wendy. - Mamy cały dzień na WonderWorld i sobotę rano. Po południu gramy na weselu. Nic jej nie będzie. Zamówili nas tylko na dwie godziny, Terry się nią zajmie.

Terry, żona basisty, przyjeżdżała na każdy ich występ. Jej mąż był świetnym muzykiem, chociaż nieco krnąbrnym.

- Wiatr przekrzywia ci peruczkę.
- Wiem, wiem. - Rowley poprawił ją.
- Wygląda ekstra! - zawołała Tara.
- Nie wiem, po co ci ona. Gracie dopiero w sobotę.
- Bo Tara ją lubi i obiecałem. Prawda, Taro?
- Tak jest.
- No dobrze, mądralo. Wskakuj.
- Najpierw posadzę misia.

Wendy otworzyła drzwi i z całą powagą przypięła misia pasami. Potem na przednim fotelu zapięła córkę.

- Bądź grzeczna, słyszysz?
- Słyszę.
- Będę za tobą tęskniła, kochanie. - Wendy uściskała ją i pocałowała w czoło.

- Mamusiu, to tylko dwa dni!
- Zajmę się nią, nie martw się. - Frank uśmiechnął się do Wendy.

Na podjazd wjechał samochód, a za nim radiowóz policyjny. Rowley przysłonił ramieniem oczy, chroniąc je przez ostrym światłem reflektorów. Po ciszy i zdecydowaniu, w jakich funkcjonariusze zajechali, zorientował się, że to nie pomyłka. Wiedział także, że jest tylko jeden powód, dla którego mogli tu być. Poczul pierwsze ostrza strachu, jego plecy pokryły się potem.

- Jak możemy pomóc? - zapytał, nim zdążył rozpoznać kobietę idącą w jego stronę. - Och, pamiętam panią. Pani detektyw z przystani.

- Zgadza się- powiedziała Delorme i natychmiast zwróciła się do Wendy: przedstawiła się i pokazała odznakę. - Czy to pani córka jest w samochodzie?

- Tak, o co chodzi?
- Proszę zaprowadzić ją do domu.
- Dlaczego? Co się tu dzieje?
- Proszę ją zabrać do domu. Przyjechałam aresztować pana Rowleya, a nie chcę tego robić na oczach pani córki.

- Aresztować go? Nie może go pani aresztować, on nic nie zrobił.

- Posłuchaj pani i zabierz Tarę do domu - odezwał się Rowley. - Wyjaśnię wszystko na komisariacie.

- Ale co się dzieje?
- Kochanie, zabierz małą do domu.

Rowley patrzył, jak Wendy zabiera Tarę z samochodu. Jęki zawodu zaczęły się, zanim dotarli do drzwi domu.

- Panie Rowley, jest pan aresztowany za wytwarzanie i rozpowszechnianie pornografii dziecięcej. Wszelkie komputery, aparaty, dyski twarde, płyty i inne nośniki danych będące pana własnością zostaną zabezpieczone. Dalsze zarzuty napastowania i molestowania seksualnego dziecka zostaną panu przedstawione w obecności prokuratora.

- Nie wiem, o czym pani mówi. W życiu nie dotknąłem tej dziewczynki.

- Nie mówimy o tej dziewczynce - odpowiedziała Delorme, zatraskując kajdanki na jego nadgarstkach.

51

Cardinal cierpliwie nasłuchiwał. Skrzypnięcie w starym domu - to nie musi nic znaczyć. Bell mógł już dawno uciec taksówką na lotnisko.

Teraz jednak na pewno dobiegł go odgłos stawianej stopy.

W trzech cichych krokach przeszedł korytarz i otworzył ostatnie drzwi, za którymi były schody na półpiętro. Ostrożnie zaczął wchodzić na drugie piętro. Za podestem nie widział nic. Gdy na niego wszedł, odetchnął głęboko i ruszył wyżej, trzymając pistolet w pogotowiu.

- Tak myślałem, że to pan. - Usłyszał głos Bella.

Lekarz siedział na ostatnim stopniu z lugerem w dłoni. Lufa była skierowana w pierś Cardinala. Detektyw wiedział, że gdyby stało się to parę tygodni wcześniej, na pewno zadrżałby na widok wycelowanego w siebie pistoletu doktora. Teraz jednak zdał sobie sprawę z tego, że zupełnie o to nie dba.

- Powinieneś wiedzieć jedno. Mam teraz nad tobą znaczącą przewagę.

- Dlaczego? Bo nie zależy ci na życiu? Po raz kolejny doktor go rozszyfrował. - Zapewniam, że ze mną jest dokładnie tak samo. Ja też straciłem żonę.

- Straciłem to chyba nie najlepsze słowo. Według mnie zamordowałeś swoją żonę. Zabrała twoje trofea. Kolekcjonowałeś je od lat. Chwile triumfu. Zwycięstwa.

- Jeśli mówisz o moich płytach, to bardziej bystry człowiek zobaczyłby w nich tylko pomoc naukową.

- Nie masz żadnych studentów.

- Pomoc naukową dla mnie. Niektórzy z nas ciągle próbują się uczyć,

na przykład przeglądając nagrania ze spotkań ze szczególnie trudnymi pacjentami.

- Jest się czym chełpić. Widać, jak zachęcasz swoich pacjentów do samobójstwa, cały czas udając, że im pomagasz.

- Ja im tylko wyjaśniam. Stawiając ich w świetle ich prawdziwych uczuć, daję im siłę, by zgodnie z nimi postępowali. Otwierają się nowe wyjścia, niektórzy odkrywają nowe sposoby ukojenia bólu, a nawet szczęście. Inni wybierają śmierć, a to już całkowicie ich wybór i ich prawo.

- Nagrania wyraźnie pokazują, na jakich uczuciach się skupiasz. Tylko na tych negatywnych. Najczarniejszych myślach. Zachęcasz ich: „Napisz list pożegnalny. Uczynmy to realnym, tutaj. Ubierzmy to w słowa. Zróbmy krok w tym kierunku, pomyśl o tych wszystkich pozytywach, jakie z tego wynikną. I raz na zawsze skończ z cierpieniem, uwolnij swoją rodzinę od ciężaru”.

- W bardzo wielu przypadkach taka jest prawda. To uzasadnione obawy.

- Upewniasz się, że mają pod ręką wystarczającą liczbę tabletek, na wypadek gdyby bali się krwi albo...

- Albo czego? Oszpecenia? Tak, gdy skaczą, strasznie zniekształcają kości twarzy, prawda?

Palec Cardinala zacisnął się wokół spustu beretty.

- Albo przepisujesz im leki antydepresyjne, a potem nagle zmieniasz je albo odstawiasz. Idealny sposób, by doprowadzić kogoś do ostateczności.

- Detektywie, gdybym wszystkich swoich pacjentów doprowadzał do samobójstwa, nie miałbym w ogóle praktyki. Gdyby przeze mnie rzeczywiście pogarszał się stan ludzi, nikt by do mnie nie wracał.

- Oni nie wracają. Umierają.

- Wspaniale. Sherlock Holmes odkrywa prawdę o depresji. Ludzie w depresji popełniają samobójstwa.

- Twoi pacjenci owszem. Muszą, no nie?

Bell podniósł lugera tak, że mierzył teraz w twarz Cardinala. Detektyw poderwał swoją berettę do pozycji strzeleckiej.

- Mógłbym cię teraz zabić - powiedział - i byłoby to usprawiedliwione zabójstwo. Nie musiałbym nawet kłamać, jak było.

- Proszę bardzo - odparł Bell. Jego uzbrojona ręka się kołysała.

Cardinal widział płonącą w nim wściekłość, jakby obserwował pożar lasu z helikoptera.

- Wiem, że chcesz mnie zabić.

- I ty też chcesz, żebym to zrobił. Nazywają to samobójstwem z pomocą gliniarza. O to chodzi, prawda? Czytałem w twojej książce o tym, jak oboje

twoi rodzice popełnili samobójstwo; to rzeczywiście mógł być dobry powód, żeby studiować leczenie depresji. Z drugiej strony, to także dobry powód, żeby czuć nienawiść do tych, którzy na depresję cierpią. I by chcieć samemu ze sobą skończyć.

- To też było w mojej książce. Tak zwany gen samobójczy.

- Już dawno byś się zabił, ale w przeciwieństwie do wielu swoich pacjentów nie potrafisz się na to zdobyć. Dokładnie tak, jak piszesz w książce: niektórzy muszą przebywać w pobliżu ludzi zdolnych do samobójstwa. Potrzebujesz ich, by robili to za ciebie. Namawiasz ich, prowadzisz, manipulujesz nimi, cały czas udając, że im pomagasz. Próbujesz urealnić to samobójstwo, które zawsze chciałeś popełnić, ale nigdy nie miałeś dość odwagi, by to zrobić. Ciekawe, czy wiedziałeś o tym, gdy zostałeś psychiatrą.

- Co skończyłeś, detektywie, podstawówkę? Myślisz, że uda ci się mnie zdiagnozować?

- Nie muszę. Sam możesz to zrobić. Bo po co poświęciłbyś życie ludziom, których najnormalniej w świecie nienawidzisz? To musiał być heroiczny wysiłek tak udawać troskliwość i oddanie.

- Nie wiesz nic o ludziach, którymi się zajmuję. To mendy. Marudy. Kompletnie bezużyteczne. Kompletnie samolubne. Przez całe swoje żałosne życie nie zrobili niczego dla kogoś innego poza sobą. Ludzkie odpady.

- Jak się z tym czujesz, doktorze? Czy to nie twoje ulubione pytanie? Jak się czujesz, gdy w końcu się zabijają? Te marudy, te ludzkie odpady. To na pewno jest...

- Wspaniale - dokończył Bell. - Nie ma drugiego takiego uczucia. Nie potrafię go opisać. To lepsze niż seks, lepsze niż heroina. Uwielbiam to. Więc może mnie zastrzelisz?

- A gdy nie chcą się zabić - ciągnął Cardinal - gdy są zbyt silni, jak Catherine...

- Nie moja wina, że nie zrozumiała. Rozpaczliwie chciała się zabić, tylko nie potrafiła się do tego przyznać. Ile razy musiałaby iść do szpitala, zanim by załapała?

- To musi być bardzo... irytujące, żeby nie powiedzieć... frustrujące.

Twarz Bella wyrażała pogardę.

- Wkurzające?

- Nic o mnie nie wiesz. - Bell pokręcił głową. - Nikt nic o mnie nie wie.

- W Manchesterze wiedzą. Albo się dowiedzą, gdy rozpoczną śledztwo.

- Tak myślisz.

- Ja to wiem. I wiem, że zabiłeś Catherine. Bo, jak twierdzisz, nie załapała. Nie załapała, że jej terapeuta chce, żeby popełniła samobójstwo, a gdy

się nie poddała, nic mogłeś się z tym pogodzić, więc sam musiałeś ją mordować.

- Bardzo byś chciał, żeby tak było, co? Jeśli popełniła samobójstwo, to w jakim świetle to ciebie stawia? Wielki detektyw. Rycerz w lśniącej zbroi. Do czego się nadaje, jeśli nie potrafi ocalić własnej żony? Jeśli ona nie chce dłużej z nim być? Jeśli nienawidzi go tak bardzo, że woli odebrać sobie życie niż spędzić je z nim? To nie do zniesienia, prawda? Nic dziwnego, że musisz wierzyć, że ją zabiłem.

- Ja nie powiedziałem, że wierzę. Powiedziałem, że wiem.

Podniósł małą torebkę.

- A to niby co ma być?

- Karta pamięci, doktorze. Z aparatu Catherine.

- No i co z tego?

- Zrobiła ci zdjęcie, gdy wszedłeś na dach. Zawsze tak robiła, fotografowała każdego, kto był tam, gdzie ona robiła zdjęcia. Była nieśmiała, aparat był jej obroną. Wiedziałeś, że zrobiła zdjęcie, dlatego zabrałeś jej aparat. Zszedłeś na dół na miejsce upadku i zabrałeś go. Pewnie byłeś zbyt rozkojarzony, by zauważyć, że się rozleciał i karta z niego wypadła, i rozczarowany, gdy wróciłeś do domu i niczego nie znalazłeś w aparacie. Chciałbym cię wtedy widzieć. To lepsze niż heroina, na pewno. Ja widziałem, co jest na tej karcie, i dlatego twierdzę, że już po tobie.

- Miała zaburzenia dwubiegunowe. Od lat. Ile razy była w szpitalu? Dziesięć? Dwadzieścia?

- Nie liczyłem.

- I tak by się zabiła.

- Tak sobie to tłumaczysz? To pomaga ci zasnąć?

- No to jazda. Zastrzel mnie.

- Chcesz tego?

- No już. Nie boję się.

- Przykro mi, doktorze. Nikt nie zrobi tego za ciebie. Musisz się zastrze-
lić sam.

Cardinal opuścił broń i skierował lufę w podłogę. Ręka Bella zdrząła mocniej.

- Zabiję cię - powiedział. - Wiesz, że mogę to zrobić.

- To nie mnie chcesz zabić. Ja nie jestem jednym z twoich pacjentów. Jednym z tych odpadów, jak o nich ze współczuciem mówisz. Zabicie mnie nie ukoji bólu.

Nagłym gestem, niemal marionetkowym w swej gwałtowności, Bell wycelował lugera w swoją skroń.

- Przez te wszystkie lata - ciągnął Cardinal - pragnęłaś właśnie tego.
Krople potu wystąpiły na czoło Bella. Zaciśnął powieki, po policzku potoczyła się łza.

- No dalej. Nie chcesz chyba spędzić reszty życia w więzieniu, prawda?
Ręka i pistolet drżały. Całym ciałem Bella wstrząsały dreszcze. Pot pokrył już całą jego zaczerwioną twarz.

- Nie potrafisz, co?

Bell zajęczał, spomiędzy kudłatej brody wydobyło się łkanie. Luger spadł na podłogę i potoczył się w dół schodów. Cardinal podniósł go.

- Zdaje się, że odwaliliśmy dziś kawał roboty. Powiedziałbym nawet, że dotarliśmy do źródeł twojego problemu. Teraz będziesz miał kilkadziesiąt lat w więzieniu, żeby nad tym pomyśleć.

52

Mijają dni, jesień powoli ustępuje zimie. Jest już środek listopada, na drzewach nie ostał się żaden liść. Każda łodyga zamknęła się przed chłodem, każda gałąź jest czarna i naga na tle nieba. Opadłe liście zalegają na poboczach i w rowach, leżą wokół schodów domów i bram garażowych, na tarasach i parapetach. Padał deszcz i trawników nie pokrywają już puszyste, wielokolorowe plamy tęczy. Liście, rozdeptane i pozbijane w kupki, walają się na chodnikach i podjazdach, zalegają nawet w nadkolach samochodów.

Temperatura spadła, John Cardinal włożył więc swoją ciężką, skórzaną kurtkę na futrzanej podszewce. Po przepięknym październiku nastął ponury listopad, ślicznotkę zastąpiła szkarada. Jeszcze tydzień, dwa i zamiast kurtki trzeba będzie nosić futro, miśka polarnego, jak o nim mówiła Catherine.

Cardinal wraca z porannego spaceru po leżących za jego domem wzgórzach. Niezliczoną ilość razy spacerował tam z żoną. Delorme zadzwoniła wcześniej, ponownie przepraszając za pochopne wnioski, które wyciągnęła w sprawie Catherine. Potem powiedziała mu, że Melanie Greene wyszła już ze szpitala i wróciła z matką do domu. Jej nowy terapeuta jest optymistą.

Drugą stroną drogi idą państwo Walcott, wyprowadzają na spacer swojego strasznego psa. Z szacunku dla jego straty przestają się kłócić.

- Pewnie zacznie padać śnieg - mówi pan Walcott.

Cardinal zgadza się z nim i kieruje się w stronę domu. Zapach dymu i boczku miesza się z zapachem wilgoci. Od tygodnia powinien sypać śnieg,

ale w tym roku coś się spóźnia.

Detektyw wchodzi do domu i zdejmuje kurtkę. Walczy z mokrymi sznurówkami, w końcu zdejmuje jeden but i słyszy, jak w kuchni zaczyna dzwonić telefon. Ciężkim krokiem, w jednym bucie i z rozwiązanymi sznurówkami, idzie odebrać.

To jedyna osoba, z którą ma ochotę teraz rozmawiać.

- Kelly, co słyhać? Co porabiasz tak wcześniej?
- Dostałam w nocy twoją wiadomość, ale było za późno, żeby oddzwonić.

Cardinal ściąga but i zabiera telefon do salonu. Połączenie nie jest najlepsze, słyhać tajemnicze trzaski i szумы, ale on siedzi sobie w ulubionym fotelu i opowiada córce, jak kaucję za Fredericka Bella ustanowiono tak wysoko, że zostanie w więzieniu aż do rozprawy, oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia.

Chwilę później słyzy płacz córki, jej szloch dobiega wyraźnie mimo coraz gorszego połączenia z Nowym Jorkiem. Kelly jeszcze nie pogodziła się z tym, że jej matka zginęła nie z własnej, ale z cudzej ręki. Nie zmienia to jednak gorzkiego faktu i Cardinal chciałby, żeby Kelly była teraz przy nim, żeby mógł ją objąć i powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że wszystko będzie dobrze, chociaż wie, że nie jest i nie będzie.

- Kelly?

Płacz ustał, ale wraz z nim ustały też szумы i trzaski.

- Kelly?

Połączenie zostało przerwane.

Cardinal rozłącza się i wybiera jej numer, ale słyzy tylko sygnał: zajęte.

Za dworze pada śnieg, maleńkie płatki polatują ukośnie. Gdyby Catherine tu była, pakowałaby teraz aparat, wkładała buty. Pierwszy śnieg zawsze wyciągał ją na dwór, chociaż te zdjęcia były zbyt „kalendarzowe”, jak mówiła, by mieć jakąś wartość. Cardinal słyzy skrobanie w dach. Ze słuchawką w dłoni idzie do tylnych drzwi i otwiera je. Wiewiórka przyłapaną na podgryzaniu izolacji przewodów klimatyzacyjnych patrzy na niego zaskoczona.

- Uciekaj - mówi Cardinal, ale wiewiórka mu się przygląda błyszczącymi ślepkami. Płatki śniegu rozpuszczają się na jej uszach i ogonie.

Cardinal wyciąga w jej stronę telefon, wiewiórka czmycha, jest już tylko rudą plamą wśród liści. Zapada cisza. Prawie cisza. Lekki wiatr szemrze między brzożami, śnieg szeleści na opadłych liściach.

Dzwoni telefon. Cardinal odbiera i znów ma połączenie z Nowym Jorkiem.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję Gregowi Dawsonowi z Centrum Analiz Sądowych za pomoc w opisaniu procedur postępowania z dokumentami stanowiącymi dowody w sprawie.

Po raz kolejny składam też gorące podziękowania sierżantowi Rickowi Sapinskiemu z komendy policji w North Bay za informacje dotyczące metod śledczych stosowanych przez policję. Jeśli w książce znajdują się jakieś błędy, to tylko z mojej winy.